

JAKUB
CWIĘK

STRÓŻE

LOKI - kłamca, oszust, zdrajca i..
ostatnia szansa Twojego anioła stróża

SON
imaginatio



JAKUB
CWIEK

STRÖZE

Kraków 2018

Stróże

Copyright © by Jakub Cwiek 2018
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2018

Redakcja – Tomasz Hoga
Korekta – Aneta Wieczorek
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

skan i opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

Jakub Cwiek

www.jakubcwiek.pl
www.facebook.com/JakubCwiekOfficial



Wydanie I, Kraków 2018

ISBN EPUB: 978-83-8129-173-6
ISBN MOBI: 978-83-8129-172-9

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

WSTĘP

*

PIESKIE POPOŁUDNIE

NADODRZE, WROCŁAW, POLSKA

OBRZEŻA PALERMO, SYCYLIA

DZIELNICA KRZYKI, WROCŁAW, POLSKA

OPOLE, POLSKA

DZIELNICA KRZYKI, WROCŁAW, POLSKA

WARSZAWA, POLSKA

DZIELNICA KRZYKI, WROCŁAW, POLSKA

OPOLE, POLSKA

ŚRÓDMIEŚCIE, WROCŁAW, POLSKA

WROCŁAW, POLSKA

KOMENDA WOJEWÓDZKA POLICJI, WROCŁAW, POLSKA

NA OSTATNIM GROSZU, WROCŁAW, POLSKA

OPOLE, POLSKA

KOMENDA WOJEWÓDZKA POLICJI, WROCŁAW

NADODRZE, WROCŁAW, POLSKA

W DRODZE

DROGA S3, POLSKA

ZIELONA GÓRA, POLSKA

WYDZIAŁ DS. STRÓŻÓW, NADZÓR ANIELSKI, ZAŚWIATY

WŚCIEKŁOŚĆ I WRZASK

ROOSTER TOWN, GEORGIA, USA

RAJ UTRACONY

ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI

WROCŁAW, POLSKA

ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI

WROCŁAW, POLSKA

ZAŚWIATY

ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI

LIZBONA, PORTUGALIA

ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI

LIZBONA, PORTUGALIA
ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI
GDZIEŚ NAD ATLANTYKIEM
ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI
WROCLAW, POLSKA
EPILOG

CHYBA ŚNISZ

Scena po napisach końcowych

CZ. 1

TRZECH TO JUŻ TŁUM...

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

CZ. 2

APOKURWALIPSA W JABŁONOWIE DOLNYM

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

Scena po napisach końcowych

*Michałowi i Maćkowi,
którzy są stróżami brata swego...*

WSTĘP

Historia tej książki jest dość zabawna, bo właściwie zamiast niej miał być serial - taki krótki, niskobudżetowy, prosto do internetu. Pomyślałem sobie, że byłoby fajnie stworzyć historyjkę trochę w stylu *Zabójczej broni*, ale w świecie Kłamcy.

Tylko kto miałby być jej bohaterem? Żaden z już stworzonych nie pasował, uznałem więc, że wymyślę nowych. Tylko jak uzasadnić, że wcześniej o nich nie wspominałem? No przecież! Niech będą zwykłymi Stróżami! Jak pomyślałem, tak zrobiłem i w ten sposób powstało dziesięć scenariuszy do serialu *Stróże*, którego bohaterami byli dwaj aniołowie: Zadra i Butch*.

Prowadziłem sobie tę dwójkę, aż doszli do takiego punktu, w którym uznałem, że ej, chwila... przecież oni w zasadzie mogą fajnie poszerzyć uniwersum. Jeśli tylko dać im szansę, jeśli tylko tu i tam wpuścić Lokiego z jego matactwami i robieniem na boki, *Stróże* coś dopowiedzą, uzupełnią to, co już napisałem, o nowe opowiadania z zupełnie inną perspektywą. A potem, tekst po tekście, wyszło mi nagle, że za sprawą moich nowych i starych bohaterów nie tylko poszerzę świat Lokiego, lecz także mogę w nim jeszcze sporo namieszać. No cóż, zaraz się przekonamy, czy się udało. Dajcie znać, a na razie życzę Wam wszystkim miłej lektury. I jak zawsze dzięki, że jesteście!

*

<Klik>

Raz dwa... Raz, dwa...

Hosanna, Alleluja, Hosanna...

<odgłos stukania>

Chwalmy Pana, Alleluja!

<odgłos odkładania>

Dobrze, spróbujmy zatem. <nerwowy śmiech> Na Trony i Zwierzchności, to zdumiewające, że tak mały przedmiot może być tak onieśmielający!

Zdawać by się mogło, że gdy Metatron wyśpiewał cię z Woli Pana, by głos Twój niósł się przez wieczność i bezkres, by wypełniał chwałą Stwórcy każdą cząstkę bytu, to niewielki przedmiot, który więzi dźwięki i odtwarza je na zawołanie, nie powinien wprawiać cię w zakłopotanie. Może to dlatego, że mówię, nie śpiewam? Może dlatego, że wciąż uczę się tego „ja”, zamiast „my”?

Nie, to nie jest dobry początek.

<Klik>

<Klik>

Imię me Isma'il...

Choć nie, kurs mowy współczesnej uczy, że powinienem przedstawić się inaczej. Jeszcze raz...

<Klik>

<Klik>

Mam na imię Isma'il. Niegdyś eosopran w jednym z dolnych Chórów Pana, wkrótce... jeśli taka będzie wola Tronów i łaska nieobecnego Pana – anioł stróż.

Dziwnie się czuję ze świadomością, że zostałem wybrany. W pamięci mam czasy, gdy Pan był jeszcze z nami. Wtedy Chóry składały się

wyłącznie z takich jak ja, aniołów wyśpiewanych, by śpiewać, by wprawić rzeczywistość w drganie, nieść radość i otuchę na krańce Wszechświata.

Potem zaczęli przychodzić ci, którzy zawiedli. Nazywamy ich Zbłąkanymi, bo zawiedli w swojej posłudze. I dlatego zesłano ich do nas. Za karę. Nieustannie dają temu wyraz smutno-gniewnymi spojrzeniami i tendencją do przechodzenia w moll, gdy tylko śpiewy obowiązkowe zmieniają się w improwizacje, a także agresją i izolacją. Na przerwach zbłąkani niemal zawsze rozmawiają tylko ze sobą, mówią o ludziach, o świecie. Obskakują nowych, gdy ci przychodzą, i pytają o sytuację polityczną, o nowe mody, filmy w kinie. Dziś rozumiem te słowa, wcześniej nie mówiły mi wiele. Tak jak nie rozumiałem ich odpowiedzi na moje pytanie, jak tam jest. „Posrasz się, a nie zrozumiesz”, mówili najczęściej i wypychali mnie ze swoich zamkniętych kręgów.

Zbłąkani fałszują. Zwierzchności mi świadkiem, że nie chcę nikogo fałszywie posądzać o złą wolę, ale uważam, że robią to specjalnie. Jakby w ostatniej chwili wycofywali się z właściwego dźwięku. Potem chichoczą. Nie uczą się tekstów, tylko piszą je sobie na rękach, a gdy wznosimy Hymn o Miłości, parskają na słowo „cymbał”.

Jeden z Cherubinów zwrócił im nawet uwagę, że zachowują się niedopuszczalnie, ale wtedy któryś odpowiedział, że większa kara ich już nie spotka. Ale spotkała. Była nią decyzja Nadzoru Anielskiego, by niektórych spośród Chórzystów wcielić do służby Stróżów.

Z początku Zbłąkani nawet się ucieszyli i zaraz zaczęli pokazywać, jak to się zrehabilitowali za dawne przewiny. Nagle zaczęli śpiewać czysto, integrować się, pytać o imiona i nawet je zapamiętywać. Mnie co prawda nadal nazywali „Tym koleśkiem z Moby Dicka”, co mi niewiele mówiło, ale robili to już jakby milej.

Dopiero potem się okazało, że Nadzór wyklucza z naboru wszystkich, których do Chórów zesłano za przewinienia w dawnej służbie. Anioł stróż, który z tego czy innego powodu przestał nim być, nie miał już powrotu. Zamiast tego, za sprawą niedoboru Stróżów, zdecydowano się powołać i przystosować Chórzystów pierwotnych do nowej służby. I tak oto trafiłem tutaj. Do niewielkiego pokoju w niedawno powstałej przestrzeni uczelnianej Nadzoru Anielskiego. Na to łóżko, z tym urządzeniem na poduszce.

Przedmiot nazywa się dyktafon. Otrzymałem go dzisiaj, jak i wszyscy z pierwszego naboru, na zajęciach z „Przystosowania do współczesności” z zadaniem nauczenia się obsługi. Dyktafon jest cyfrowy i nie zawiera

w sobie żadnego nośnika, o którym nas uczono, takiego jak kasety, płyty CD czy winylowe. Nagrywa dźwięk na zawartą w nim pamięć i z tej pamięci odtwarza. Jak? Jeszcze nie wiem, ale muszę się nauczyć przynajmniej częściowo. Choć i tak kluczowa jest lista zagrożeń, jaka może z tego przedmiotu wynikać dla podopiecznego. Tę mam stworzyć sam w oparciu o zajęcia z historii cywilizacji ludzkiej. Dużo wkuwania, ale dla kogoś, kto przez eony nauczył się zylionów gugolpleksów pieśni, nie powinno to być aż takie trudne, czyż nie?

To, co właśnie zrobiłem, to pytanie retoryczne. O tym też się ostatnio uczyłem. Niesamowite, że ta wiedza jeszcze mi się nie miesza.

Dobra, wystarczy na początek.

<Klik>

<Klik>

Dzień drugi z dyktafonem. Zobaczymy, co pamiętam z zasad przyznawania Stróżów.

Wynikiem niedoboru Stróżów i ciągle zwiększającej się liczby ludzi postanowiono, co następuje:

Po pierwsze, anioł stróż nie będzie już przypisywany jednostce, a całej komórce rodzinnej i będzie z nią wędrował przez pokolenia aż do skończenia rodu lub utraty praw do Stróża przez jej przedstawiciela. W przypadku gdy z jakiegoś powodu w nowej komórce rodzinnej znajdzie się dwóch Stróżów, zostanie to zgłoszone do Nadzoru Anielskiego, by jeden z nich mógł zostać rozdysponowany na innych potrzebujących. Anioł stróż sam decyduje, przy którym członku rodziny zamierza przebywać, na podstawie indywidualnej oceny sytuacji i stopnia zagrożenia. W przypadku postępowania Wydziału Interwencyjnego Nadzoru Anielskiego Stróż zobowiązany jest swój wybór uzasadnić.

Po drugie, potencjalny podopieczny musi być osobą wierzącą, praktykującym katolikiem. Dopuszcza się wyjątki dla innych spośród chrześcijan, ale rozpatrywane indywidualnie. Anioł stróż czerpie siłę oraz możliwości dokonania interwencji z modlitw podopiecznego, a zatem...

O, właśnie, przypomniało mi się, bo mieliśmy dzisiaj bardzo interesujący wykład jednego ze Stróżów. Nazywał się Kwiryniusz i mówił nam właśnie o sile modlitwy oraz o tym, jak motywować podopiecznego do regularnego

zawierzenia i proszenia o wsparcie. Kwiryniusz był bardzo przekonujący i mówił wiele mądrych rzeczy, ale potem słyszałem, jak na korytarzu któryś z pracowników Nadzoru mówił o nim, że mądry się, a przecież toczyło się w jego sprawie postępowanie na wniosek samego archanioła Gabriela. Ponoć Kwiryniusz pozyskiwał modły za pomocą istoty mitycznej w służbie archanielskiej, niejakiego Lokiego.

Ale wracam do temata... a nie, muszę już iść, więc nagram to sobie później. Na Trony, to wciąż takie dziwne...

<Klik>

PIESKIE POPOŁUDNIE

NADODRZE, WROCŁAW,
POLSKA

Krwia i prochem śmierdziało już od ulicy, więc to nie mogła być zwykła zbrodnia. One nie cuchną ani tak wyraziście, ani tak szlachetnie.

Komisarz Jakub Ryjek zamyślił się. Czy to nie brzmi aby trochę zbyt szpanersko? Cwaniacko albo górnolotnie? Cholera, nie znał się na tym. Ostatnim kryminałem, który czytał, było *Żegnaj, laleczko* Chandlera. Lata temu, jeszcze w podstawówce sięgnął po tę książkę, bo kumple naopowiadali mu bzdur, że w środku są mocne sceny seksu z tytułową laleczką. Nie było ich, więc zraził się do Chandlera, kryminałów i czytania w ogóle. A teraz, za zaliczkę, której w obliczu ostatnich życiowych zmian nie mógł zlekceważyć, proponowano mu napisanie czegoś o jego własnym życiu. To się chyba nazywało ironia losu, nie?

- Dobra, najwyżej potem skreślę - mruknął, sięgając po notes. Wybrał świeży, jeszcze w folii; dostał go od Gośki na gwiazdkę. Przyjrzał się uważnie pirackiej czaszce odcisniętej na skórce, myśląc, czy to aby na pewno dobry omen. Zaraz jednak potrząsnął głową, zerwał folię i na pierwszej stronie zanotował dwa zdania, które przyszły mu do głowy, a potem przeczytał je na głos, by sprawdzić, jak brzmią.

Nie brzmiały. Skreślił je, sapnął na poły gniewnie, na poły z rezygnacją i wysiadł z samochodu. Drzwi mógł otworzyć na oścież, bo choć o tej porze samochody parkowały tu niemal jeden na drugim, w jego przekonaniu powód, dla którego tu przybył, uprawniał go do skorzystania z szerokiego,

pomalowanego na niebiesko- biało miejsca dla niepełnosprawnych. Oparł się o bok swojej sfatygowanej toyoty, wyjął z kieszeni pomietą paczkę viceroyów i zapalił.

- Ej, koleżko, naprawdę chciałbyś się znaleźć na ich miejscu?

Niski, tubalny głos zwiastujący prawie na pewno wielkiego, masywnego miśka. Nie ochrypły, dźwięczny sugerował kogoś raczej młodego. Może trzydzieści lat?

„Fajnie, że ktoś reaguje”, pomyślał Ryjek, „szczególnie tu, na Nadodrze”. Słyszał od swoich kolegów z tego rewiru, że ludzie stąd długo byli nauczeni pilnować wyłącznie swoich interesów. Może ta rewitalizacja kosztująca miasto setki milionów na coś się jednak przydała?

Mimo tych myśli nie zareagował i się nie obejrzał. Wpatrzony w poranny ruch uliczny, zaciągnął się papierosem, wypuścił dym i zaraz znowu pociągnął. Szybko, łapczywie. Jak w ogólniaku, gdy trzeba było zdążyć przed końcem przerwy.

- Ej, mówię do ciebie! - ton się wyostrzył, dźwięki minimalnie skoczyły w górę. Misiek nie nawykł, że się go nie słucha. Ciekawe, czym się zajmował?

Komisarz zaciągnął się jeszcze raz, po czym spojrzał na papierosa, jakby się z nim żegnał, i upuścił go na ziemię. Przygniótł butem i złapawszy za zawieszoną na szyi odznakę, odwrócił się w samą porę, by znaleźć się oko w oko z wielkim białym orłem. Zwrócone w prawo ptaszysko mimowolnie na niego zerkające skojarzyło się Ryjkowi z obrażoną kobietą, sprawdzającą ukradkiem, czy jej foch przynosi należyty skutek.

- Niebieski.

Zadarł głowę, by nad gęstą, sterczącą na wszystkie strony brodą dostrzec płaski, wielokrotnie składany nos i dwa małe, głęboko osadzone świńskie oczka. To przed nimi zamachał wzniesioną w górę odznaką. Następnie, dwukrotnie uderzając obcasem o pomalowany chodnik, rozwinął:

- Niebieski do niebieskiego. Masz z tym problem, przyjacielu?

Świńskie oczka zmieniły się w maleńkie szparki. Orzeł na piersi poruszył się, gdy wielkie jak miechy płuca nabrały powietrza, by zaraz je wypuścić. Ryjek poczuł, jakby właśnie wsadził głowę pod dmuchawę do rąk w McDonalddie, co mu się, nie zamierzał tego ukrywać, kilka razy wżyciu zdarzyło. Tyle że tamto powietrze nie śmierdziało kebabem z sosem czosnkowym.

Wielki facet cofnął się o krok, a potem kolejny; dopiero wtedy wyciągnął ręce i uniósł je przed siebie w pojednawczym geście.

- Spokojnie, bez nerw- powiedział, szczerząc zaskakująco białe i równe zęby.- Trzeba było od razu powiedzieć, że niepełnosprawność umysłowa, to bym się nie odzywał. Uszanowanie panu władzy.

Skłonił się z drwiną, odwrócił i ruszył przed siebie, a Ryjek z trudem powstrzymał się, żeby nie parsknąć. To była naprawdę dobra riposta. Powinien ją zapamiętać i umieścić całą tę sytuację w swojej pieprzonej książce.

Na razie jednak, z czego zdawał sobie sprawę i co na wszelkie sposoby próbował odwlec, miał inną robotę. Tę właściwą, po której otrzymaniu pół godziny temu kłął dobre pięć minut, a potem przez kolejne dziesięć tłumaczył telefonicznie byłej żonie, że jednak nie weźmie chłopców do kina, jak im wcześniej obiecał. W ogóle nie wiedział, kiedy wróci, bo, tu cytat z nieocenionego podinspektora Wyciorowskiego, „szambo wyjechało”, koniec cytatu. Teraz znów wyjął z kieszeni telefon, jeszcze raz sprawdził zapisany adres i obszedł budynek z lewej strony.

Wejście do włoskiej knajpki Michaelo Cielo znajdowało się zaraz za rogiem. Przed lokalem stały już trzy wozy, dwa oznakowane, jeden nie, ale wszystkie od nich. Zajmowały całą wolną przestrzeń niewielkiego skwerku, a nawet trochę więcej; Ryjek dostrzegł, że częściowo rozmontowali restauracyjny ogródek.

Miejscówka była już z grubsza zabezpieczona, przynajmniej z zewnątrz. Rozciągnięto taśmę, na ziemi tu i tam stały znaczki dowodów z cyframi, framugę ubabrano proszkiem do daktyloskopii, a rozbitą szybę witryny zastąpiono grubą, przezroczystą folią.

Przepuszczała światło, ale niczym łazienkowe okno uniemożliwiała zobaczenie czegokolwiek konkretnego grupce gapiów zgromadzonych po drugiej stronie ulicy.

Ryjek przyjrzał im się. Dziesięć, może piętnaście osób, w większości dzieciaki z ogólniaka, które zdecydowanie powinny być teraz w szkole. Część siedziała na ławce pod murem, reszta albo stała, albo zajmowała niski murek i udawała, że ma bardzo ważne i ekscytujące tematy do rozmów. Komisarz widział jednak telefony w ich dłoniach i miał świadomość, że czekają tylko na karetkę i czarne worki, by wszystko to ponagrywać i wrzucić do internetu. A choć nie wiedział dokładnie, co go czeka w środku, to zdawkowy opis, jaki otrzymał, gdy go tu wezwano, wystarczał do

stwierdzenia, że im później poniesie się to wszystko w mediach i na społecznościówkach, tym lepiej.

- Przegoń ich stąd- polecił mundurowemu stojącemu przy wejściu do Michaelo Cielo. - Wylegitymuj i spisuj, postraszyć rodzicami, szkołą czy księdzem proboszczem. Zrób cokolwiek, ale niech spierdalają.

Mundurowy pokiwał głową, mruknął coś cicho pod nosem i ruszył w stronę dzieciaków, a Ryjek wszedł do środka.

Przez pewien czas kilku lokalnych watażków robiło w tym lokalu swoje interesy, więc komisarz bywał tu już wcześniej. Pamiętał dobrze filary na bazie prostokąta obłożone rżniętą, starą cegłą i zdjęcia w ramkach z Ikei prezentujące włoskie widoki. Za ladą, dębową albo oklejoną na dąb, znajdował się piec do robienia pizzy, a dalej po prawej drzwi na zaplecze, normalnie wahadłowe, teraz zablokowane kołkiem, by ułatwić pracę krzątającym się wszędzie technikom. Tak jak w zdaniu, które sobie ułożył, zapisał i skreślił, w lokalu śmierdziało prochem i krwią. A także bazylią, rozmarynem, pomidorami, czosnkiem, rozlanym winem, octem z lekką nutką szczyn i gówna. Te ostatnie były pewniakami, dokądkolwiek komisarz się udawał. Były bazą, na której budowano wszystkie perfumy jego życia.

Ryjek podrapał się po szyi, tuż pod brodą, i powiódł wzrokiem po kłębowisku ciał na krzesłach, podłodze i porozwalanych stołach. Gruby facet w białej koszuli wylewającej mu się zza paska opierał podwójny podbródek na piersi, niczym weselny wujek, który uciał sobie drzemkę przed oczepinami. Wysportowany facecik w eleganckim, grafitowym garniturze wypinał się do drzwi przewieszony przez stół. Ślady na jego plecach przypominały trafienia paintballowym markerem. Dalej byto jeszcze kilku, ale z miejsca, gdzie stał, komisarz nie widział ich za dobrze. Ot tu wystawała jakaś ręka, tam kawałek głowy, wszystko w odłamkach mebli, zasłonięte innymi ciałami, znikające za załomem czy ławką obitego skórą boksu. Co oni robili tu tak wcześnie rano?!

Wszystkimi już się zajęto. Ci, którym dało się zrobić wyraźny obrys, mieli już swoje rysowane kredą odpowiedniki, innych oznaczono kółkiem czy czymś na kształt rozlanego na patelni jajka. Wokół trzaskały migawki aparatów techników, podeszwy butów zgrzytały na potłuczonym szkłe, a trupy wszystko to znosiły mężnie, bez nerwowego zniecierpliwienia czy cienia skargi.

I wtedy do nuty zapachowej wdarło się coś jeszcze. Woń przyjemna, subtelna, ale wyraźna, którą Ryjek potrafił nawet dobrze nazwać. *Bleu de*

Chanel. Spodziewał się tutaj tego zapachu.

- Cześć, Pierdolet - powiedział.

- Co sądzisz o tym kolorze? - usłyszał w odpowiedzi.

Zaraz potem technik kryminalny Piotrek, zwany przez kolegów Pierdoletem, pojawił się nagle po jego lewej stronie. Jak zawsze poruszał się bezszelestnie; gdyby nie te jego perfumy, człowiek orientowałby się, że jest w pobliżu, dopiero wtedy, gdyby się odezwał lub wszedł w pole widzenia.

Ryjek nie miał ochoty na gadanie o bzdurach, ale znał technika od lat i wiedział, że jeżeli teraz nie ustąpi, to i dzisiaj nie wyjdzie na tym dobrze, i potem też będzie się z tą sprawą pieprzył dwa razy dłużej niż to konieczne. Niby i tak będzie priorytet w badaniach, bo wszystko wskazywało tu na jakieś solidne porachunki, ale technicy nawet wtedy potrafili człowiekowi uprzykrzyć życie, opóźnić i potem dodatkowo zasypać papierzyskami. A skoro małym kosztem można sobie oszczędzić fochów w labie, to czemu nie? Przyjrzał się więc niewielkiemu kwadratowi materiału, który Pierdolet trzymał dużą pęsetą.

- A co mam o nim sądzić? - odparł. — Kolor jak kolor. Niebieski.

Technik teatralnie przewrócił oczami. Był szczupłym, drobnym blondynkiem o zawsze modnej, wygolonej wysoko fryzurze i z wypomadowanym wąsikiem. Miał opinię dobrego fachowca, ale ruszał się i zachowywał zupełnie jak ten kabareciarz, co zasłynął na scenie z grania wyginającego się pedzia.

- Jezusie, Kubuś, ty już w ogóle ignorant jesteś!- powiedział miękko, z nutą przygany. - Pozostali przynajmniej się starali. Mówili przynajmniej „błękitny”, „lazurowy”... Ale - machnął ręką - to i tak nie rozwiązywało problemu.

- Jakiego problemu?— Ryjek zapytał odruchowo i natychmiast zganił się w myślach za to, że jeszcze ciągnie tę rozmowę.

- No naszego! Grześ mówi, że to turkusowy, a ja, że cyjan, bo przecież nie wpada w zieleń jak turkus, tylko jest sinobłękitny. Prawda? No weź się przyjrzyj, tak? Wpada ci to w zielony? Wpada? No nie wpada. Nie- wpada!

Ryjek przejechał ręką po czole.

- Powinni kiedyś zrobić z wami porządek, wiesz?- westchnął — Dla takich jak wy nie powinno być miejsca w policji.

Pierdolet skrzywił się, wydał wargę i przestąpił z nogi na nogę,

wypychając biodro na bok. Wolną ręką wykonał zamaszysty, teatralny gest i wziął się nią pod bok.

- Masz na myśli gejų, Kubuś?- zapytał zaczepnie. - Taki się z ciebie homofob...

- Mam na myśli pary- doprecyzował Ryjek, wchodząc mu w zdanie. - Klóćcie się, kurwa, jak stare małżeństwo nad odcieniami niebieskiego kawałka szmaty, a tymczasem mamy tu ile? Raz, dwa, trzy... dziewięć trupów podziurawionych jak sito?

- Właściwie to jedenaście, bo jeszcze dwa w kiblu... - Technik wskazał kciukiem za siebie, w stronę korytarza w głębi sali, gdzie migotał i skrzył przestrzelony na pół symbol toalet. - Ze znanych Alfi, Skarpeta i Bonzo, reszta to jakieś młode lokalne szczyły, Włoch i dwóch Irlandczyków. I już, Kubuś, nie ekscytuj się tak, bo nikt tu przecież o robocie nie zapomina. Ta szmatka też jedzie do badań. Nasączyli ją jakimś nowym ćpadłem, które tu chyba testowali czy chcieli wprowadzać. Nie wiem i się nie interesuję. Ale to dowód.

Jakby na potwierdzenie tych słów wyjął z kieszeni niewielką foliową torebkę i wsunął do niej skrawek materiału. Przejechał palcami po strunowym zapięciu i wsadził woreczek do kieszonki na piersi. - Widzisz? Już wszystko załatwione. Wszystko idzie jak ta lala, nikt się nie obcyndala.

- Dobrze. Kto pierwszy odpowiedział na wezwanie? Są tu jeszcze? - Komisarz miał już zamiar ruszyć w głąb lokalu na dalsze oględziny, ale technik nagle złapał go za ramię i przysunął się do niego.

- Stary, żarty żartami - wyszeptał Ryjkowi prosto do ucha - ale weź ty mi teraz pomóż, bo to ważne. Mamy w chacie kryzys, miesiąc miodowy się skończył i teraz ustala się, kto nosi spodnie. Grzechu trochę na ciebie leci, a na pewno cię szanuje, zwłaszcza po tej akcji na Świdnickiej. Jak ty mu powiesz, że to cyjan, to on...

- Chcesz powiedzieć, że kwestię tego, kto jest w waszym domu samcem alfa, rozstrzygnie kolor zwykłej niebieskiej szmatki?

- To cyjan!- oburzył się Pierdolet, ale zaraz zmitygował się i zakasłał w czarną gumową rękawiczkę. Sam je sobie kupował, za swoje, w sklepie sieciowym dla tatuażystów. Noszenia niebieskich, a do tego śmierdzących jak tanie kondomy, odmawiał kategorycznie. - I nie takiej zwykłej znowu. To jest jedwab!

- Dla mnie to może być nawet... Ej, a co to za gość?

Technik odwrócił się i zrobił zdziwioną minę.

- No co ty, Kuba, przecież to mój Grzesio. Ja wiem, że się ostatnio zapuścił trochę, w boczki mu poszło, ale na litość! Nie bądź taki oceniający! I broń Boże mu tego nie mów, bo...

- Przecież nie o Grzeska pytam, kurwa, Pierdolet- warknął zniecierpliwiony komisarz. - Ten gość za nim.

Technik jeszcze raz się obejrzał, tym razem przekrzywiając głowę jak sroka albo jeden z tych domorosłych znawców sztuki w muzeach czy galeriach.

- Jeśli ci chodzi o tego mundurowego, to on chyba z Fabrycznej, ale głowy nie dam, bo nie znam. A jeśli o ciało, to...

Ryjek uznał, że dalsza dyskusja jest bez sensu. Rosły, dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony mężczyzna ubrany w grafitowe spodnie w kant, takąż kamizelkę i koszulę z podwiniętymi rękawami zniknął właśnie w przejściu do drugiej sali, najwyraźniej przez nikogo niezauważany albo przez wszystkich lekceważony. Kim był? Którymś ze skrótowców, jak zwykli nazywać w psiarni wszystkie te agencje o trzyliterowych skrótach? Kimkolwiek był, na razie było to miejsce zbrodni Ryjka i na nim spoczywał obowiązek dopilnowania, by nikt obcy się tu nie pałętał. Zwłaszcza z prasy, co już niestety parę razy się zdarzyło.

Ruszył teraz przed siebie, obszedł przestawiony stolik, minął najpierw zmiernego w jego kierunku policjanta, a potem technika kucającego przy jednym z ciał.

- Cześć, Grzesiu - mruknął mimochodem, mijając zarośniętego, wiecznie rozczochranego partnera Pierdoleta. Miał nadzieję, że ten go nie zatrzyma, ale wołał nie ryzykować minięcia go bez słowa. Na szczęście technik nawet się nie obejrzał, zajęty krwawą plamą i roztrzaskaną przez kulę deską zasłaniającą kabel wiodący do naściennej lampy.

- Dzień dobry, komisarzu. Ładna marynarka.

- Dzięki. W szmateksie kupiłem.

- Jak my wszyscy, komisarzu. Jak my wszyscy.

Ryjek uśmiechnął się i chciał już zapytać, o czym Grzesiek rozmawiał z tym szarym mięśniakiem - bo wyglądało, jakby ucieli sobie pogawędkę - ale uznał, że zamiast tego woli sam rozmówić się z nieznanym. Nie wiedział, czy z drugiej sali nie ma wyjścia na zewnątrz, a zdecydowanie nie mógł pozwolić, by tamten mu uciekł. Skręcił za winkel i niemal od razu dostrzegł

faceta na drugim końcu sali. Stał tyłem tuż przed długim stołem, na którym, w nienagannym porządku, kontrastującym z chaosem pierwszego pomieszczenia, rozstawiono zastawę i serwetki uformowane w łabędzie. Coś w jego postawie, w gładko, naturalnie przybranej pozycji spoczynnej, mówiło komisarzowi, że facet pewnie był zaprawiony w niejednym boju. Tylko gdzie? Mógł być Czarnym, ale Ryjek szybko odrzucił ten pomysł. Znał kilku z antyterrorystycznych. Choć w razie potrzeby umieli się zdyscyplinować, to jednak na pewno nie mieli aż takiego drylu w odruchach. Przynajmniej nie ci wrocławscy. Wojskowy.

Z misji? Weteran? Takich częściej podkupywał sektor prywatny niż państwowy. No i państwowi, zwłaszcza na służbie, inaczej się ubierali.

Kimkolwiek był, stał sobie niewzruszony kilka metrów od miejsca rzezi, z dłońmi zaplecionymi na krzyżu i wpatrywał w replikę Rafaelowskiego *Wniebowstąpienia*, obwieszoną teraz balonikami girlandami i koślawymi literami układającymi się w napis „Ciało Chrystusa”. „No tak”, pomyślał Ryjek, „przecież to maj”.

- Hej, ty tam! - zawołał.

Facet obrócił się powoli, wyraźnie zaskoczony. Zmrużył głęboko osadzone oczy, zacisnął usta, a potem potarł szeroką, kanciastą szczękę.

- Mówisz do mnie?- Pytanie zabrzmiało niczym echo lawiny przetaczającej się z łoskotem przez skalny wąwóz.

Ryjek rozłożył ręce i ostentacyjnie rozejrzał się po sali.

- A jest tu poza nami jeszcze ktoś inny? Kim jesteś i co tutaj robisz?

- Ty mnie widzisz?

- A ty się, kolego, aby dobrze czujesz?

Wielki mężczyzna nie przestawał trzeć szczęki. Właściwie robił to coraz szybciej, gwałtowniej. Palce jego drugiej ręki naprzemiennie rozluźniały się i zaciskały w pięść.

„Wytrąciłem go z równowagi”, pomyślał Ryjek, cofając się o krok i ustawiając bokiem. Jednocześnie jego prawa dłoń powędrowała w stronę kabury zamocowanej na pasku. Widywał już wcześniej takich jak ten. Równie wielkich i pewnie równie mocno naćpanych. Naszprycowanych tak, że bić swoją głową o ścianę przestają długo po tym, jak już podziurawisz ich na sito.

- Pytam jeszcze raz. Kim jesteś i co tutaj robisz. Nie powinno cię tu być.

- To prawda, nie powinno - zgodził się tamten i odsunął rękę od twarzy.

Wydawać się mogło nawet, że się uśmiechnął, ale równie dobrze mógł to być cień, który zmieniał ułożenie z każdym ruchem mężczyzny, jakby szukał sobie na jego obliczu wygodnego miejsca.- Zawsze gdy gdzieś jestem, to znak, że stało się coś złego. Tym bardziej nie powinieneś mnie widzieć.

Czy on się właśnie przyznał?

Ryjek, nie czekając ani chwili dłużej, dobył broni, przyjął wyuczoną postawę i wycelował w pierś mężczyzny.

- Nie ruszaj się. Aresztu...

Tyle zdążył powiedzieć, bo nagle mężczyzna drgnął i rozmył się. Niemal w tej samej chwili komisarz poczuł, jak jakaś niewidzialna siła podbija mu broń, szarpie, wyrywa i obraca w powietrzu. Ułamek sekundy później lodowaty łokieć zawinął się wokół jego szyi, a tuż przy samym uchu Ryjka rozległo się:

- Masz na imię Jakub? To się chyba nazywa ironia.

Komisarz szarpnął się, próbując się oswobodzić. Kątem oka dostrzegł, jak jego służbowa broń leci na ziemię, powoli, kręcąc się w powietrzu jak w finałowej scenie jakiegoś współczesnego filmu akcji. „Arnold by ją złapał”, przemknęła mu przez głowę absurdalna myśl. „Albo Bruce Willis”.

Mężczyzna trzymający go za szyję dotknął jego biodra, o które zahaczyła jedna z kul Strzelca ze Świdnickiej, i Jakub Ryjek zawył z bólu. Nawet tam wtedy, gdy kula, kręcąc korkociąg w powietrzu, wdarła się w niego, rozerwała tkankę, stapiając ją z materiałem koszulki, i zazgrzytała o kość, nie poczuł czegoś, co mogłoby się równać z tym błyskiem bieli, tym atomowym wybuchem, który uderzeniową falą cierpienia rozlał się po całym jego ciele, pozbawiając niemal wszelkich myśli i wciskając w ich miejsce jedną, obcą, rozgrzaną do czerwoności niczym piętno. Słowa, które słyszał całkiem niedawno, ale nie zrozumiał ich ani wtedy, ani teraz.

„Odtąd nie będziesz się zwał Jakub, lecz Izrael, bo walczyłeś z Bogiem i z ludźmi, i zwyciężyłeś”.

Potem zemdłał.

OBRZEŻA PALERMO,
SYCYLIA

- ...nie słuchałeś moich porad, gdy mówiłem, co i jak należy zrobić. Nie chciałeś wyrazić swojej wdzięczności jak inni, gdy dzieliłem się swoją wiedzą, uznając, że po prostu ją sobie weźmiesz - perorował skryty w cieniu mężczyzna, rozpostarty w ciężkim, obitym skórą fotelu. - A dziś, gdy rzeczy potoczyły się nie po twojej myśli, przychodzisz tu do mnie, do mojego stanowczo zbyt mrocznie i tendencyjnie urządzonego biura, w dodatku w dniu ślubu mojej córki... i prosisz, bym za wynagrodzeniem to wszystko naprawił? Dobrze zrozumiałem?

Mówił szeptem, ale na tyle donośnym, że jego słowom nie przeszkadzały dochodzące z dołu stłumione dźwięki muzyki i zabawy.

Nie przeszkadzały okrzyki dzieci bawiących się na werandzie i przestronnym podwórzu ogromnej rezydencji, ani nawet huk wystrzałów ze wzgórza, gdzie grupka młodych mężczyzn wybrała się niedawno przetestować stare, ale wciąż sprawne lupary.

Szept mężczyzny z cienia niósł się echem po gabinecie, odbijał od luster w ozdobnych ramach, od lamp, dębowych komód, kanapy i szafy, rezonował stojącymi za blisko siebie szklankami do bourbona na mosiężnej tacy.

Androgyniczny młodzian po drugiej stronie masywnego biurka na lwich nogach poruszył się nerwowo na krześle. Sięgnął ręką, jakby chciał dotknąć rozrzuconych na blacie dokumentów i bibelotów z wycieczek po Afryce, ale zaraz udał, że tylko rozprostowuje palce, i cofnął dłoń. Sznyty cieni rzuconych przez na wpół rozchylone, drewniane żaluzje i dzielących jego przystojną, choć nieco zmizerowaną twarz na czarno- białe pasy, poruszyły się i przez jedną chwilę można było odnieść wrażenie, że jego głowa rozsypie się zaraz jak źle ustawiona wieża z drewnianych klocków.

- Nie wiedziałem, że ta dziewczyna na dole to twoja córka - powiedział wreszcie, skubiąc nerwowo czubek nosa. - Najmocniej przepraszam, że zjawiam się w tak niefortunnym momencie i...

- Ja też nie wiedziałem- przerwał mu mężczyzna w fotelu. - I przyznam szczerze, sam byłem w szoku. Ale gdy kilka dni temu na jej panińskim zapytałem ją w pewnym momencie, kto jest jej tatuśkiem, a ona wyjęczała, że ja... Kilka razy powtarzałem to pytanie. Nie miała wątpliwości, wyobraź sobie!

Przechylił się do przodu i nagle jego twarz również znalazła się w pociętym żaluzjami świetle: szeroka, porośnięta równo przystrzyżoną brodą szczęka, prosty nos, usta wykrzywione w zadziornym półuśmiechu. Szeroko

rozłożonymi palcami lewej ręki odgarnął za uszy sięgające ramion blond włosy. Prawa dłoń sięgnęła do rozsypanych na dokumentach wykałaczek.

- Dość już tych żarcików - powiedział, wkładając patyczek do ust i przygryzając go. - Druhny mojej córki będą zaraz, dokładnie jak lubię, więc masz minutę. Wiem, czego chcesz, bo mi to właśnie powiedziałaś, a ja dość się już wyśmiałem i napowtarzałem „a nie mówiłem”. Jestem gotowy wysłuchać cię dalej. Jak zamierzasz za to zapłacić? Z góry, podkreślę, bo ostatnio coraz trudniej mi wam ufać.

Androgyniczny odchylił połą marynarki i wyjął kopertę stercząca z wewnętrznej kieszeni. Położył ją na skraju biurka i przesuwając palcami tak długo, aż jej róg zatrzymał się na stopie drewnianej figurki przywodzącej na myśl afrykańskiego Buddę.

Długowłosy przepchnął językiem wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego.

- Mogłem się spodziewać - zadrwił.

- Czego, Loki? Czego mogłeś się spodziewać? Bo chyba nie rozumiem.

Blondyn wskazał dłonią na kopertę.

- Teraz wiemy, kim się zajmujesz, ale ile pokoleń pracowałeś dla żydowskich kupców? Siedem, dziesięć?

- Trzydzieści dwa, ale co to ma do rze... - zaczął Androgyniczny, by zaraz przerwać. Spojrzał na kopertę ze smutkiem, westchnął ciężko. Powoli, jakby wymagało to od niego niebywałego wysiłku, uniósł głowę i spojrzał rozmówcy w oczy. - Rozumiem. Ale to znaczy, że mi pomożesz. Kłamco?

- Niewykluczone- odparł tamten, biorąc do ręki kopertę. Otworzył, przyjrzał się włożonym tam długim, srebrzystobiałym piórom. Wyjął jedno i wycelował nim w twarz Androgynicznego. - Wróc za godzi... nie, czekaj, druhny są trzy, nie dwie. Za dwie godziny wróc.- Rzucił kopertę na biurko i wskazał ją brodą.- Ale sugerowałbym raczej pudełko po naprawde dużych butach.

DZIELNICA KRZYKI, WROCŁAW,
POLSKA

Ból po przebudzeniu był niczym smród zatęchłego mieszkania zaraz po przekroczeniu progu. Uderzył Ryjka w pierwszej chwili i trzymał mocno

przez kilka pierwszych wdechów i wydechów, a potem już tylko ćmił na pograniczu zmysłów, grożąc, że w każdej chwili wraz z każdymi uchylonymi drzwiami, otwartą szafką czy poruszonym workiem może zaatakować jeszcze raz, mocniej.

Komisarz powoli uniósł ręce, przeciwko czemu natychmiast zaprotestowało biodro, i powoli, delikatnie rozmasował skronie, oddychając przy tym powoli i głęboko. Dopiero gdy ból głowy zelżał, Ryjek zdecydował się rozchylić powieki.

Leżał we własnym łóżku, we własnej pościeli, w samych bokserkach. Jego rzeczy ułożono na krześle, spodnie złożone na siedzisku, koszula i marynarka przewieszane przez oparcie. Rolety w oknach opuszczono w jednej trzeciej, więc w pomieszczeniu panował przyjemny dla zmęczonych oczu półmrok; z kuchni dochodził zapach świeżej kawy. To ostatnie znaczyło, że ktoś musiał umyć dzbanek ekspresu. A kto wie, może nawet kubek?

Ryjek ostrożnie usiadł na łóżku i rozejrzał się. Obok na trzech stosach starych płyt DVD leżała plastikowa deska do krojenia ze szklanką wody i telefonem, na który naklejono żółtą karteczkę z jednym tylko słowem: „Notatki!”. Pismo było staranne, mógłby rzec kobiecie, gdyby nie to, że żadna z kobiet, z którymi się spotykał, nie umiała zapisać niczego poza pieprzonym, nieczytelnym szlaczkiem. Z Kingą nawet się z tego powodu rozstali, bo nie był w stanie rozczytać, co napisała na cholernej liście zakupów. Tak przynajmniej widział to on, bo ona nakręciła z tego zdecydowanie większą dramę, jak zawsze, gdy nie miała racji. Do dziś pamiętał, co mu wtedy wykrzyczała prosto w twarz:

- Kurwa, Kuba, to, że nie możesz przeczytać na cholernej kartce, czy proszek do prania nazywa się Vizir czy Vision, nie jest powodem, by wyłączyć telefon, pójść w tango na dwa dni i nie dać nawet pieprzonego znaku życia!

„Czepialska cholera”, pomyślał. „Dobrze, że się wyprowadziła”.

To nadal jednak nie tłumaczyło, kto o niego zadbał i w jaki sposób Ryjek znalazł się znowu w swoim łóżku. Pamiętał przecież, że był w robocie, w restauracji na Nadodrze, gdzie...

Podrapał się pod okiem, usiłując się skupić i przypomnieć sobie, co takiego wydarzyło się w miejscu, do którego go wezwano. Jak przez mgłę widział wejście do włoskiej knajpy, policyjną taśmę, radiowozy i grupę dzieciaków na murku naprzeciwko. Był w stanie przywołać nawet ich

twarze, podobnie jak lekko tępawe oblicze mundurowego pilnującego wejścia. Potem w środku... w środku... w...

- No żeż cholera jasna! - Uderzył się otwartą ręką w ukryte pod kołdrą udo i natychmiast tego pożałował, bo biodro zapiekło go żywym ogniem. Co on sobie w nie zrobił, do cholery? Upadł gdzieś? Grzotnął o coś zarówno nim, jak i głową? To dlatego nie pamiętał?

Nagle pociągnął nosem, wyczuwając w powietrzu znajomą zapachową nutę. *Blue*. A więc Pierdolet, a skoro on, to znaczyło, że na miejscu był przynajmniej jeden trup. W dodatku niebieski. Nie, nie niebieski. Morski. On był taki, taki...

- Lazurowy - wyszeptał Ryjek i oblizał spierzchnięte wargi. Ta myśl nie miała żadnego sensu, bo jaki trup i dlaczego miałyby być, do cholery jasnej, lazurowy?! Ktoś go pomalował, czy jak? Trupio- artystyczny performance?

Właściwie, przemknęło komisarzowi przez głowę, nie byłaby to najgłupsza rzecz, jaką przepchnięto w tym mieście pod szyldem sztuki. Instalacje artystyczne na patopodwórkach, system świateł układających się we wróżby, banalne wiersze rodem z powieści Coehlo jako murale na ścianach budynków. W przypadku pomalowanego na lazurowo trupa przynajmniej istniała pewność, że nikt go nie finansował z samorządowych pieniędzy. No, bliskie pewności przeświadczenie.

Komisarz odrzucił na bok kołdrę i opuścił nogi z łóżka, próbując wymacać stopami kaptcie. Nie znalazłszy ich, wstał i poczłapał w stronę kuchni. Zatrzymał się dopiero w progu, obejrzał, klepnął w czoło i zawrócił. Podniósł z deski szklankę z wodą i wypił wszystko na raz.

- Lazurowy trup - prychnął, ocierając usta. - To jest tak głupie, że...

Urwał, targnięty gwałtowną konwulsją, która spięła jego ciało, sprawiła, że głowa odskoczyła do tyłu, a palce dłoni wyprostowały się nagle. Szklanka uderzyła o wykładzinę, ale się nie stłukła, tylko potoczyła pod łóżko.

Ryjek syknął z bólu, ale zaraz po każdym bolącym miejscu rozlało się ciepło. Wyobraził je sobie jako słończnikowożółte. Jak promień słońca w letni wieczór, ostatni, nim zacznie się robić chłodno. Na kilka sekund ogarnęła go przyjemna błogość, to wrażenie, które towarzyszyło mu zwykle, gdy stygł i opadał po orgazmie, a potem wszystko w jednej chwili minęło. Zniknęły ciepło, napięcie mięśni i błogość, ale wraz z nimi także ból głowy i biodra, piasek w oczach, a nawet pęknięcia na spierzchniętych wargach. Wróciła za to pamięć.

„Odtąd nie będziesz się zwał Jakub, lecz Izrael, bo walczyłeś z Bogiem i z ludźmi i zwyciężyłeś”.

Co to był u diabła za facet?!

Energicznym krokiem podszedł do krzesła, złapał za spodnie i wciągnął je na tyłek. Z oparcia zdjął marynarkę, rzucił ją na łóżko, po czym przyjrzał się krytycznie koszuli i pokręcił głową. Z szafy wyjął nową, błękitną, umiarkowanie wymiętą, za to niemal kompletnie pozapinaną. Wciągnął przez głowę, wcisnął w spodnie, podwinął lekko rękawy.

Skarpetki znalazł w łazience na kaloryferze. Były niedoprane w kilku miejscach i trochę sztywne, ale nie śmierdziały, co uznał za kluczowy argument. W przedpokoju włożył buty, jak zawsze na siłę, bez rozsznurowywania. Wrócił do pokoju, sięgnął po marynarkę i wtedy przypomniał sobie o telefonie i karteczce na nim. Teraz już bez trudu rozpoznał pismo Grzeška, partnera Pierdoleta. Odblokował komórkę, wybrał ikonę notatek i zaczął czytać najnowszą, która, sądząc po wskaźniku przewijania, zapowiadała się na solidny esej.

„Ale nam napędziłeś stracha, chłopie! Mirek z SOR- u chciał cię wziąć na oddział, ale powiedzieliśmy, że luz i dasz radę w domu, skoro nie ma zagrożenia życia, a jakbyś trafił teraz znowu do szpitala, to nikt cię już do służby nie dopuści, bohater czy nie. Więc tak, możesz się śmiać, ale pedalska mafia kryje ci właśnie dupę. Czynności robi chwilowo Marian, sprawdza tropy na polecenie prokuratury, ale przekaże wszystko bez gadania, więc się nie martw. Masz wizytę u naszego neurologa w klinice na Borowskiej. Jeśli się sam nie pozbierasz do szesnastej, Piotrek po ciebie wpadnie. Facet nazywa się Ciechocki i...”

Ryjek nie czytał dalej. Wsadził telefon do tej samej kieszeni marynarki, w której trzymał kluczyki. Ciekawe, czy przywieźli go jego wozem czy będzie się musiał teraz tłuc komunikacją? Uznał jednak, że chwilowo nie będzie do Grzeška dzwonił i po prostu pojedzie sprawdzić. Powinni tam jeszcze być, w sensie na miejscu, roboty było przecież huk. Zerknął na zegarek w kuchni i zobaczył, że dochodzi czternasta, czyli nie leżał jakoś specjalnie długo.

Wyszedł z mieszkania, zjechał na dół windą i wyszedł na świeże powietrze. Świeciło mocne słońce, więc odruchowo zmrużył oczy, ale ku własnemu zaskoczeniu zdał sobie sprawę, że światło go nie razi. Rozejrzał się po parkingu za samochodem. I wtedy go zobaczył.

W pierwszej chwili Ryjek był przekonany, że to ten sam facet, był wszak

identycznie ubrany. Gdy jednak wyteżył wzrok i podszedł kilka kroków, zorientował się, że człowiek opierający się o siatkę i patrzący przez nią na gimnazjalistki celebrujące przerwę dymkiem za murkiem śmietnika jest zdecydowanie drobniejszy niż gość, który zaatakował go w Michaelo Cielo. Mimo to komisarz odruchowo sięgnął do kabury na pasku... by zaraz zdać sobie sprawę, że nie zabrał broni. Najwyraźniej dbający o detale Grzesiek zabezpieczył ją w Ryjkowym sejfie, który, gdy nie byto w nim pistoletu, zawsze pozostawał uchylony.

Policjant zaklął cicho pod nosem, ale uznał, że poradzi sobie bez broni. Powoli, starając się nie wzbudzać podejrzeń, przeciął najpierw parking, a potem wszedł na trawnik, rozglądając się jednocześnie za jakimś psem, na którego mógłby się powołać, by uzasadnić obecność na trawniku, gdyby się pomylił co do tamtego. Jednak im bliżej był tego chudego, łysego chłopaka w grafitowej koszuli, takiej kamizelce i spodniach w kantkę, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że to musi być jakiś zbok. To jak uważnie przyglądał się palącym dziewczynom, jak nerwowo przełykał ślinę i bezwiednie poruszał ustami. Jak zaciskał palce na oczkach siatki - Ryjek zbierał już po mieście różnej maści dewiantów i ten tutaj wpisywał się wręcz idealnie.

W końcu, gdy uznał, że jest już wystarczająco blisko, Ryjek przystanął. Wysunął do przodu lewą nogę, ukrywając prawe biodro, na którym jednocześnie położył rękę, tak by choć w pierwszej chwili wyglądało, jakby miał broń, której w każdej chwili mógł dobrać.

- Policja, nie ruszaj się - powiedział stanowczo, ale nie krzyknął. - Odsuń się od siatki i powoli odwróć.

W pierwszej chwili łysy nie zareagował, zupełnie jakby słowa komisarza jakimś cudem zgubiły się na tych kilku dzielących ich metrach i ominęły go szerokim tukiem interpersonalnej obwodnicy. W końcu jednak powoli, jakby w zwolnionym tempie, obejrzał się i zmierzył komisarza wzrokiem. Wyglądał na zaskoczonego w równym stopniu, co tamten w knajpie.

- Ty mnie widzisz? - zapytał, pogłębiając Ryjkowe uczucie *déjà vu*.

- No przecież na ciebie patrzę, koleś - warknął komisarz. - Nie w taki sposób, w jaki ty przyglądasz się tym dziewczynkom, ale... ej, ręce na widoku! Co ty tam kombinujesz?

Łysy puścił siatkę i powoli odwrócił się w stronę Ryjka. Ręce wciąż trzymał przed sobą, na wysokości twarzy. Zachowywał się spokojnie, ale jego usta poruszały się delikatnie, coś mamrotał pod nosem.

„Czy tamten też to robił?” - zastanawiał się Ryjek. I czy ci dwaj mogą mieć ze sobą coś wspólnego? Ubrani tak samo, ćpali najwyraźniej te same rzeczy i do tego...

Wtedy kątem oka dostrzegł identycznie ubranego mężczyznę podążającego śladem siedemdziesięcioletniej pani Józków spod siódemki. Krępa, kołysząca się na boki kobiecina niosła zakupy w dwóch pękaty reklamówkach z Biedronki, a drobny, kędzierzawy chłopak w niekompletnym grafitowym garniturze, jak prosto ze studniówki, stapał ostrożnie tuż za nią, jakby nie chciał stanąć na przerwę między chodnikowymi płytami. Ręce trzymał szeroko; zmieściłby się między nimi solidny szczupak albo trzydziestodwucalowy telewizor, jaki Ryjek miał w pokoju nad komodą. Chłopak mało na nią nie wpadł, gdy sąsiadka zatrzymała się gwałtownie, łupnęła reklamówkami o chodnik i otarła spocone czoło.

- A co pan komisarz tak po trawie łązi?- wyskrzeczwała, dostrzegłszy Ryjka. - Mało panu gówna w życiu, że chce pan jeszcze na butach nosić?

Ryjek posłał łyseму wymowne spojrzenie, które dla smaku doprawił bezgłośnym „ani się waż”. Ten skinął głową na znak, że zrozumiał, i unioś wyżej ręce, by pokazać, że zamierza się zastosować. Zaraz jednak, co nie umknęło uwadze komisarza, tęsknie zerknął w stronę murku i śmietnika.

- Dzień dobry pani. - Ryjek skinął sąsiadce głową. - Taka praca, że czasem człowiek w co wdepnie. A ten chłopiec to rodzina pani jakaś? Bo to wstyd, że tak za panią idzie, a toreb nie weźmie.

Kobiecina obejrzała się zaskoczona, by zaraz z niepokojem pokręcić głową. - Panie komisarzu, pana to aby na pewno w tej strzelaninie w głowę nie trafili? O kim pan mówi do mnie?

Ryjek już unosił rękę, by wskazać jej chłopca, gdy nagle echem w jego głowie zahuczało usłyszane dwie minuty temu pobrzmiewające autentycznym zdumieniem pytanie: „Ty mnie widzisz?”.

- Dla ciebie to też zaskoczenie, co? - zapytał nagle łysy. Głos miał miły, przyjemny, niski. Trochę, jakby mówił do zwiniętej w rulon gazety. - Nie wiesz, kim jesteśmy, prawda?

- Wiem, jak na co dzień nazywamy takich, co podniecają się na widok nieletnich, kolego - odparł ostro Ryjek.

Łysy uśmiechnął się smutno i pokiwał głową.

- Czyli nie wiesz. I widzisz nas od niedawna. Cóż, przyjacielu...

- Nie jesteśmy przyjaciółmi, kolego. Nie opuszczaj rąk!

Łysy uniósł ręce nieco wyżej.

- Będę musiał to zgłosić- powiedział.- Ale spokojnie, nic nie poczujesz. Nawet się nie zorientujesz i...

- Grozisz mi?!

- Panie komisarzu, pan się na pewno dobrze czuje? - Pani Józków była wyraźnie zaniepokojona. - Z kim pan tam tak gada?

- No przecież widzi pani, że...- zaczął Ryjek, ale urwał w pół zdania. Bo przecież nie widzi. Tak jak nie widziała chłopaka idącego za nią krok w krok. Ani nikt inny nie widział rano w restauracji tego barczystego typu, który nazwał go Izraelem i przetrącił mu biodro. Wszystkich trzech widział tylko on. I tylko on...

- Musimy porozmawiać, Jakubie Ryjku - usłyszał nagle tuż za sobą znajomy głos. Bez oglądania się wiedział, że stoi za nim wielki facet z Michaelo Cielo.

Gdy Ryjek wrócił do mieszkania, wielkolud już tam był. Stał wpatrzony w okno, z rękami zaplecionymi z tyłu, zupełnie jak wtedy w restauracji, i wpatrywał się w spadzisty, kryty czerwoną dachówką dach szkoły. Nie zareagował, ani gdy drzwi się otworzyły, ani gdy zamknęły. Odwrócił się dopiero, gdy Ryjek wszedł do pokoju i usiadł na łóżku.

- Jestem aniołem- powiedział wtedy tym swoim tubalnym głosem i zaraz umilkł, jakby to wyjaśniało wszystko. - W zasadzie to wszyscy jesteśmy. Wszyscy, których zobaczyłeś.

Ryjek nie odpowiedział. Jeszcze przed wejściem do windy wyszukał w komórce hasło, skąd się biorą urojenia, i znalazł ciekawy artykuł o halucynacjach wywołanych przez szok pourazowy. Teraz go doczytywał, znajdując pomiędzy badanymi a sobą w tym momencie mnóstwo podobieństw. Co prawda badani żołnierze nie widzieli akurat aniołów, ale komisarz uznał to za lokalny koloryt w kraju, który nawet już nie próbował udawać światopoglądowej wolności.

- Nie jestem twoim urojeniem, Jakubie Ryjku.

Komisarz wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od ekranu.

- A co innego miałbyś powiedzieć?

- Na przykład to, że w wieku szesnastu lat złamałeś nos, próbując

pocałować Angelikę Kociub, i potem obydwójce utrzymywaliście, że was pobito. Angelika zabrała wasz sekret do grobu, gdy pięć lat temu umarła na nowotwór, a ty mało nie opowiedziałeś tej historii na stypie, bo wypileś za dużo...

- I to ma niby coś udowodnić? - Ryjek odrzucił komórkę na bok, na poduszki. - Skoro jesteś moim urojeniem, masz dostęp do moich wspomnień, to logiczne. Dużo logiczniejsze niż to, że bandzior z miejsca zbrodni, parkowy pedofil i pokraka z ministerstwa głupich kroków to pierdolone anioły.

- Nie pierdolone - zaprzeczył facet. - Zwyczajne. Dwóch Stróżów i agent Winy.

- Czego?

- WINA. Wydział Interwencyjny Nadzoru Anielskiego. - Mężczyzna poruszył dłonią jak iluzjonista i w jego ręce pojawił się świecący kartonik. - Proszę, wiem, że ludzie potrzebują wizualizacji.

Ryjek wziął do ręki wizytówkę, obejrzał z jednej i drugiej strony. Na odwrocie znajdował się symbol- płonący miecz skierowany ostrzem w dół z wielkim okiem w miejscu głowicy, przez co trochę przypominał komisarzowi wieżę Saurona z *Władcy Pierścieni*. W tle znajdowały się skrzydła zaginające się tak, jakby chciały otulić głownię.

Przeciętna graficzka od podrzędnego pracownika podmiejskiej agencji reklamowej, uznał Ryjek. Takie potworki zwykli zamawiać u nich nowobogacy prezesi firm nazywających się Metalrutex S.A. albo Zbychopol sp. z o.o. I jeszcze to hasło napisane gotykiem pod grafiką.

- „WINA jest zawsze po twojej stronie” - przeczytał. - Chyba za dobrze tego hasła nie przemyśleliście, co?

Anioł nie odpowiedział.

- O, nazywasz się Butch. Tak mam do ciebie mówić? Butch?

- Tak mam na imię, Jakubie Ryjku - odparł tamten.

- Rano nazwałeś mnie Izraelem.

Kącik ust Butcha drgnął ledwie zauważalnie.

- Żart taki, hermetyczny. Nie będę tłumaczył.

- Nie musisz. Usiądziesz?

Butch obszedł łóżko. Sięgnął po krzesło i odwrócił je oparciem do przodu identycznym ruchem, jaki Ryjek zwykł serwować podejrzanym w pokoju przesłuchań, jednocześnie pełnym gracji, nonszalancji, lekkości i

pewności siebie. To jeszcze mocniej utwierdziło komisarza w przekonaniu, że ma do czynienia z halucynacją. Tylko skąd mu się to wszystko wzięło w głowie?

- Masz mnóstwo pytań - stwierdził Butch.

- Czytasz mi w myślach?

Anioł pokręcił głową.

- Nie jestem w stanie - przyznał. - Próbowałem w restauracji. Po prostu stawiam się w twojej pozycji. To podobno ludzka technika śledcza. Empatia.

- Empatia to nie... - zaczął Ryjek, ale machnął ręką. Nie będzie, uznał, kłócił się z własną halucynacją o abstrakcyjne pojęcia. - Dużo was jest? Aniołów znaczy? Kiedyś myślałem, że każdy ma swojego.

Butch nerwowo potarł szczękę kantem dłoni, na moment odsłaniając zęby niczym drapieżnik. Błysk w jego oku mógł być refleksem słonecznego promienia, ale Ryjek był niemal pewien, że to ogień skryty we wnętrzu wielkoluda. Ogień, nad którym tamten usilnie stara się panować.

- Kiedyś tak było - powiedział w końcu anioł. - Ale potem ludzi zaczęło przybywać, a aniołów wręcz przeciwnie. Wtedy zmieniono zasady.

- Zasady?

- Tak, zasady - powtórzył Butch. - Według nowych nie każdy ma swojego anioła.

Komisarz pokiwał głową. Nie kłóć się z halucynacją. Nie kłóć się z halucynacją.

- I jak rozumiem, ty jesteś moim?

- Nie- Butch pokręcił głową.- Powiedziałem ci, kim jestem. Pokazałem wizualizację. Nie jestem Stróżem. Tylko...

- Aniołem Winy, tak, rozumiem - Ryjek poczuł, że zaczyna go boleć głowa. - W takim razie, gdzie jest mój Stróż?

- Nigdy go nie miałeś, Jakubie Ryjku. A teraz tym bardziej nie jest ci on potrzebny.

- Nie rozumiem- stwierdził komisarz i już w trakcie wypowiedzania tego zdania zdał sobie sprawę, jak bardzo jest ono bez sensu. Przecież niczego tu tak naprawdę nie rozumiał. Po prostu tego, co właśnie powiedział Butch, nie rozumiał jeszcze bardziej.

Anioł wstał z krzesła. Podeszedł do komody i przejechał po niej ręką, jakby sprawdzał warstwę kurzu. Poprawił ramkę, w której wciąż tkwiło modelowe zdjęcie obcej, szczęśliwej rodziny. Zabębnił palcami po

gumowych przyciskach telewizyjnego pilota. W końcu się odwrócił, teraz już szeroko się uśmiechając, i zaplótł ręce na piersi.

- Święci nie potrzebują Stróżów, Jakubie Ryjku.

OPOLE,
POLSKA

Za apteczną ladą SuperPharmu na Krakowskiej stał młody, niewysoki mężczyzna o krótko przyciętych, przerzedzonych włosach. Na nosie miał okulary w grubych, czerwonych oprawkach, za sprawą których wyglądał trochę jak mocno wychudzony Jurek Owsiak nieudolnie usiłujący zapuścić wąsa. Skubał teraz te kilka włosków nad górną wargą, próbując rozczytać receptę starszej pani w sukience śmierdzącej naftaliną i tanimi owocowymi perfumami.

Anioł Rizel przyglądał mu się, siedząc po turecku na kontuarze. Nie miał tam za wiele miejsca, ale wcisnął się jakoś między reklamę Bepanthenu a stojaczkę z darmowymi próbkami kremu przeciwzmarszczkowego. Oparłszy łokcie na kolanach, a brodę na zaplecionych dłoniach, patrzył i czekał stosownej okazji.

Jemu podobnych w aptece było w tym momencie jeszcze czterech. Trzech spośród nich towarzyszyło starszym paniom. Wyglądali jak wnuki, które wyrwały się prosto ze szkolnej akademii, by pomóc babci w sklepie. Idąc krok obok swoich podopiecznych, otaczali je ramionami i uważnie obserwowali to podłogę, to szafkę, czy aby nic się tam nie obluzowało i nie spadnie. Rizel zazdrościł im tak łatwej roboty. Gdyby mógł, zamieniłby się...

Nie, to nieprawda. Nie zamieniłby się za nic. Przecież oto w tym właśnie chodziło, nie? Kochał tego swojego huncwota miłością szczerą i czystą. Niezależnie od tego, jak gówniarz był głupi, Rizel nigdy nie pomyślał nawet o tym, by składać podanie o przeniesienie na podstawie klauzuli o uzasadnionej niechęci. Zresztą sytuacja, w której teraz obaj się znaleźli, bardziej niż winą dzieciaka spowodowana durnym pomysłem anioła i jego konsekwencjami. A taki chciał być sprytny. Tak bardzo chciał pokazać, jak to doskonale umie rozgrywać ludzi, rozstawiać figury i pionki na szachownicy życia i naginać świat, by jego wola stała się prawem. Teraz,

gdy tylko o tym myślał, czuł nieprzyjemne dreszcze. Jakież to był w ogóle lucyferyczny koncept.

- Trzeba było od razu iść z tym do Kłamcy - mruknął pod nosem. - Nie byłoby teraz tego wszystkiego.

Tak, zdecydowanie trzeba było, ale on próbował przyoszczędzić. A teraz nie dość, że musiał opuścić młodziaka, by gnać do Palermo, nie dość, że przeklęty mitol zażądał całego pudełka piór, to jeszcze nie wiadomo, czy na tym etapie uda się cokolwiek wskórać. Był dobry, wszyscy to mówili, ale podobno jak WINA już raz się przyczepi, to nie ma zmiłuj. Zwłaszcza ten wielki był nieustępliwy. Jak mu było? Mitch, Match... Atak, Butch!

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po aptece. Zauważył, że jedna z obstawionych staruszek wyszła, ale w międzyczasie do środka prosto z przeciwległego Empiku wpadły dwie rozszczebiotane nastolatki, w tym jedna z aniołem stróżem. Ten był masywny i barczysty. Choć, jak każdy anioł, nie miał zmarszczek czy innych widocznych oznak wieku, z wyglądu i postawy mógłby uchodzić za ojca jednej z małolat. Oczywiście, gdyby go widział ktokolwiek postronny.

- Szlag - westchnął Rizel. - Jak tak dalej pójdzie, nic nie załatwi. Najdalej za godzinę poprzednia dawka przestanie działać i młody albo dostanie następną, albo się obudzi. A wraz z nim obudzą się myśli, wspomnienia i...

- Pssst! Hej, kolego.

Rizel odwrócił głowę i zobaczył przyczajonego za regałem Stróża. W pewnym sensie byli do siebie podobni, obaj androgyniczni niczym... Jak to go określił Loki? A, no tak. „Albinoskie nieślubne dzieci Davida Bowie i Grace Jones”. Rizel musiał oba te nazwiska sprawdzić w internecie, ale gdy obejrzał zdjęcia, przyznał mitolowi rację. Takie same pociągłe twarze, proste nosy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i duże oczy wręcz stworzone do podkreślania ich wyrazistym makijażem. Do tego jeszcze drobna budowa ciała, specyficzny, niezwykle płynny sposób poruszania się, jakby ciągle w blasku fleszy. Różnica między Rizelem a tym drugim polegała na tym, że siedzący na kontuarze anioł pozostawał sobą, a jego czający się za regałem z przeciwbólami kolega usiłował być męski. Temu bowiem z pewnością miał służyć drapieżny, krótko wystrzyżony wojskowy irokez czy ewidentnie namalowany kilkudniowy zarost.

- Kolego, możesz mi pomóc? - zapytał anioł spomiędzy półek.

Rizel wzruszył ramionami.

- Wolałbym nie- odparł zgodnie z prawdą. - Mam coś do zrobienia.

- Jak każdy- odparł tamten i wyszedł spomiędzy regałów. Rozejrzał się niepewnie i wyciągnął rękę. - Nie znamy się chyba. Kiros jestem.

- Czego ci trzeba, Kirosie?- zapytał Rizel, umiejętnie unikając przedstawienia się. Gdyby mógł, wymyśliłby sobie jakieś imię, ale znał swoje ograniczenia i wiedział, że jako anioł nie był zdolny nawet do tak drobnego kłamstwa.

Właściwie, zanim archanioł Michał wziął na służbę to przekłete nordyckie bóstwo, wszystkim się wydawało, że nie mogą też unikać odpowiedzi czy tak jawnie naginać regulaminu, ale tu zasady nie były aż tak doprecyzowane, nie pojawiała się też fizyczna niezdolność. Można było powiedzieć, że Loki, powiedziawszy im o tym wszystkim i nauczywszy ich pewnych technik, dokonał prawdziwej niebiańskiej rewolucji. Może największej od czasów wielkiego L.

- To twój, nie?- Anioł Kiros wskazał na farmaceutę. - Dobrze się składa, bo nie wygładasz mi na służbistę, a potrzebuję przysługi.

„Całe szczęście, że sam sobie odpowiedział”, pomyślał Rizel z wyraźną ulgą. Owszem, siedział akurat w tym miejscu, by każdy skrzydlaty odniósł wrażenie, że opiekuje się farmaceutą. Zapytany wprost i zmuszony do odpowiedzi, musiałby wyznać prawdę, a tak mógł dalej grać w tę grę.

- Jaką przysługę masz na myśli?

- Widzisz tego gościa tam, na męskich kosmetykach? Nienaturalnie czarne włosy, brudny kołnierzyk białej koszuli, spora nadwaga?

- Widzę. To twój?

Kiros westchnął ciężko i skinął głową.

- Ano mój. Całe życie porządny facet, przykładny katolik z dobrej rodziny, z której on jeden już mi się ostał. Rzecz w tym, że ostatnio sobie nowy telefon kupił...

Ponad głową Kirosa Rizel dostrzegł, że sklep nagle opustoszał. Co prawda nadal było w nim mnóstwo ludzi, ale ze skrzydlatych pozostał tylko on i jego nowy znajomy. Idealna okazja, którą właśnie zaprzepaszczał. Mimo to nie mógł teraz po prostu spławić Stróża. To mogłoby wzbudzić podejrzenia, a na pewno zrobiłoby mu wroga.

- Słyszałeś o takiej aplikacji, co się nazywa Tinder?- zapytał Kiros. - Na mieście mówi się, że to nowa seksualna rewolucja. Chodzi o to, że widzisz zdjęcia ludzi z okolicy i klikasz, czy ci się ktoś podoba, czy nie, a jeśli osobie, która ci się podoba, ty również się podobasz, to...

- Wiem, co to Tinder. Do rzeczy- odpowiedział Rizel i natychmiast mina drugiego anioła uświadomiła mu, że wszedł za ostro. Uśmiechnął się przepraszająco. - Wybacz, ciężki czas ostatnio. Z czym mogę ci pomóc?

Do apteki weszła właśnie jakaś ciężarna kobieta, trzymając za rękę dziecko. Była pod obstawą, ale nie zabawiła długo. Zerknęła tylko na ceny pieluch, mruknęła pod nosem coś o zdziercach i wyszła. Ruszyła korytarzem w głąb, zapewne do Biedronki. Z kolei farmaceuta o wyglądzie Owsiaaka w czymś się pomylił, zdenerwował i nawet zaczął się jąkać zupełnie jak lider WOSP.

- Chodzi oto, że mi się Areczek sparował z taką jedną dziunią, tipsiarą. Dziewucha, jak na taki, jak to mówią, plastik, wcale głupia nie jest, studia robi na Opolskim, socjologię chyba, ale młodsza jest od Areczka prawie trzydzieści lat, a niewyżyta jak gwiazdka porno.

- Cudzołożyli?- zapytał Rizel, a Kiros posłał mu zdumione spojrzenie.

- Jakie cudzołożyli, bracie? - zaśmiał się gorzko. - Areczek nigdy żonaty nie był, ona też ślubów nie składała, zresztą nawet jeśli, to bez znaczenia, bo nie jest ze słusznie wierzących, więc się nie liczy. Mogliby co najwyżej nieczystość odhaczyć, ale to występki, nie grzech, nikt za to piekłem nie straszy.

Rizel machnął ręką na znak, że nie chce toczyć tej dyskusji. Faktycznie nie chciał. Miał na ten temat odmienne zdanie, ale przecież ani po temu czas, ani miejsce. W SuperPharmie wciąż nie było prócz nich żadnych innych aniołów.

- W każdym razie nie, nie spali ze sobą - kontynuował Kiros. - Ale dzisiaj zamierzają i w związku z tym Areczek sobie zorganizował u kolegi receptę na to nowe viagrowate coś, podobno dużo wydajniejsze i mocniejsze. Zamierza się dziś wykazać, tyle tylko, że ma problemy z sercem. Dziedziczne, rozumiesz, cała familia mi na to zeszła, ale ten mój uparciuch nie chce nawet o tym myśleć. No i tu właśnie prośba do ciebie, bracie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął listek z małymi fioletowymi pastylkami. Zamachał nim Rizelowi przed nosem jak grzechotką, po czym złapał go za rękę i wywinął tak, by położyć blister na otwartej dłoni.

- Podmienić trzeba - wyjaśnił, zamykając palce Rizela na listku i przykrywając zaciśniętą pięść własną dłonią. - Na takie, co nie działają. Lepsze w końcu rozczarowanie niż rozległy zawał, nie?

Rizel oswobodził dłoń i przyjrzał się pastylkom.

- Wiesz, że to nadużycie, prawda? Jakby to wyszło...

- A czemu by miało wyjść?- Kiros wzruszył ramionami.- To sprawa między mną a tobą, nie? Musimy sobie pomagać przecież, nie wszystko da się zgodnie z regulaminem.

Rizel wciąż się wahał. Patrzył to na tabletki, to na klientów apteki, to znowu na farmaceutę, który z jakiegoś powodu coraz bardziej zdenerwowany gubił się, plątał i raz po raz przeproszał. W sumie nic prostszego, by podmienić listek tabletek. Poszłoby raz- dwa, Kiros zachowałby robotę, a on sam okazję, by zwędzić wreszcie te cholerne psychotropy i wrócić do młodego. W sklepie wciąż nie było więcej skrzydlatych, ale ten stan był raczej krótkotrwały. Lada chwila znajdą się tu kolejne babcie, świętobliwe rodziniki czy kto tam jeszcze i znowu będzie tu musiał siedzieć godzinę albo dwie. Nie miał tej godziny. Właściwie nie wiedział, czy w ogóle ma jeszcze czas, zanim młody się obudzi. Zanim się w nim obudzą...

- No dalej, pomóż koledze - zachęcał Kiros. - No weź, przecież słyszałem, że sam mówiłeś o Kłamcy, czyli to nie tak, że nie rozumiesz. Swoją drogą, zrobił już coś dla ciebie?

- No właśnie nie - odparł z westchnieniem Rizel, w myśli dodając ciche „niestety”. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że choć nie skłamał, to nie wiedział, czy to rzeczywiście prawda. Może Loki już zapracował na swoje pióra? Może przynajmniej część problemu się rozwiązała?

Raz jeszcze przyjrzał się trzymanemu w dłoni srebrnemu listkowi, po czym podrzucił go, zamknął w dłoni i spojrzał na drugiego anioła.

- Dobra, zrobmy to. Stawiaj Areczka do kolejki!

DZIELNICA KRZYKI, WROCLAW,
POLSKA

Kiedyś, jeszcze na początku służby, Jakub Ryjek trafił do domu złodzieja podpasek. Jak się okazało, mężczyzna kradł opakowania Always i Belli od naprawdę dawna, bo całe mieszkanie, przeszło siedemdziesiąt metrów kwadratowych, miał nimi wyklejone od podłogi po sufit. Mocował je tak, by jedna zachodziła na drugą na podobieństwo rybich łusek. Wedle jego zapewnień, gdy którakolwiek wzbudzała wątpliwości, szybko wymieniał

albo ją samą, albo - gdy się nie dało - cały pasek.

Gość nie był jakimś zwyczajnym ulicznym świrusem. Przeciwnie, zawodowo był cenionym uniwersyteckim wykładowcą z tytułem profesora, wybitnym lingwistą i do tego erudytą gawędziarzem. Jak się okazało wtoku śledztwa, z tymi podpaskami odbiło mu po powodzi w dziewięćdziesiątym siódmym, w której to stracił wszystkie pamiątki po tragicznie zmarłej żonie i trzy czwarte bardzo cennej biblioteki.

- Właściwie nie wiem, co mną tak naprawdę kierowało, proszę pana - wyjaśnił Ryjkowi z rozbijającym, smutnym uśmiechem staruszka, który właśnie wjechał w drogę pod prąd. - Pewnie mógłbym próbować zrzucić winę na niezwykle sugestywne reklamy telewizyjne, te wszystkie parametry absorpcji, chłonności i inne takie, ale po prawdzie, to nie mam pojęcia, czy to rzeczywiście był powód czegokolwiek. No i zrozumi tu, panie, starego wariata.

Ryjek zapamiętał sobie tę rozmowę i potem wiele razy ją przywoływał, gdy przychodziło mu rozmawiać ze sprawcami takich czy innych przestępstw. Najważniejszą lekcją wyciągniętą z tamtej pogawędki była świadomość, że to nie tak, że wariat musi mieć od razu wszystkie poluzowane śrubki. Zwykle wystarczy tylko jedna. Poza tym może myśleć, zachowywać się i działać normalnie. Przynajmniej dopóki luzy nie wywołają trwałych szkód.

„Nie jesteś wariatem”, zapewnił się teraz w myślach po raz nie wiadomo który i zaraz odpowiedział sobie tak samo jak zawsze: „Nie mnie to przecież oceniać”.

Stojący przy telewizorze Butch przyglądał mu się cierpliwie z rękami wciąż zaplecionymi na szerokiej piersi. Uśmiechał się, czekał i najwyraźniej bez usłyszenia pytania nie zamierzał nic więcej mówić.

„Ciekawe, czy to zawsze tak działa?” - zastanawiał się Ryjek. Czy to tak człowiek ostatecznie pogrąża się w szaleństwie? Powodowany ciekawością i chęcią zrozumienia nawet najdziwniejszej sytuacji zaczyna zadawać pytania swoim własnym halucynacjom, a potem zanurza się coraz głębiej w ruchomych piaskach pokręconej logiki serwowanej mu przez podświadomość aż po totalnego bzika?

Może tak, może nie, ale siedzieć dłużej beczynn timer i tak nie mógł. Albo na oddział zamknięty, albo do roboty, ale uchwyc Boże, żeby miało mu odwalić ostatecznie tu, na tym cholernym łóżku, w tej wynajmowanej od zawsze klitce, której nigdy nie zdołał polubić.

- Świętym? - zapytał w końcu. - Że niby ja jestem święty?

- Tak- odparł Butch.- Wynikiem formalnej pomyłki, którą już zgłosiłem, ale na razie owszem, jesteś święty.

- Do tego nie trzeba być... bo ja wiem... martwym?

Butch prychnął z rozbawieniem, rozplótł ręce i podrapał się po łokciu. Dopiero teraz, w tym świetle Ryjek zobaczył, jak wiele blizn ma na rękę jego rozmówca.

- W zasadzie to wręcz przeciwnie - wyjaśnił anioł. - Wtedy stajesz się wiecznie żywy. Ale z twojego punktu widzenia tak, trzeba najpierw umrzeć docześnie, by dostąpić świętości.

- No więc jak ja...

- Ty umarłeś, Jakubie Ryjku. Wtedy, na ulicy Świdnickiej.

W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, zaśmiać się czy choćby prychnąć, ale zdał sobie sprawę, że przecież to była poniekąd prawda. Według dokumentacji szpitalnej rzeczywiście umarł i nie było go przez dwie minuty. Czas, w którym powinien doświadczyć tuneli, zjawisk świetlnych, chóralnych głosów, a może spotkania z wujkiem Błażejem, ale który zwyczajnie przeleżał nieprzytomny w kałuży własnej krwi i moczu na niesprząniętej psiej kupie.

- Znaczy że co? - zapytał niepewnie. - Nie odratowali mnie?

- Ależ odratowali. Ale procedury zdążyły ruszyć i wiesz... - Butch bezradnie rozłożył ręce. - Biurokracja.

- Nie rozumiem.

- Technicznie rzecz biorąc, byłeś wstanie łaski uświęcającej.- Butch wrócił na krzesło, usiadł i oparł wielkie łokcie na oparciu. - Jak wyczytałem w twoich aktach, byłeś dzień wcześniej u spowiedzi i komunii, tak?

Ryjek skinął głową.

- Przyjaciółka dziecko chrzcila, chrzestnym zostałem, więc... ej, zaraz, jakie moje akta?!

- No właśnie, w momencie wywiązania się strzelaniny byłeś więc czysty, a przynajmniej bez grzechu ciężkiego. - Butch zbył pytanie, kontynuując wywód. - Czy wiesz, kogo wtedy uratowałeś, wyskakując przed kule?

- Matkę z dzieckiem- odparł, przypominając sobie tamte zdarzenia z niezwykłą wyrazistością. Widział zmierzwioną blond brodę tego szaleńca, jego małe, żarzące się nienawiścią świńskie oczka. Widział otchłań lufy, a potem ogień wylotowy. Wszystko jak na zwolnionym ujęciu w filmie akcji.-

Zepchnąłem z linii strzału kobietę i jej syna.

- To też - Butch skinął głową. - Ale wiesz, kto był wtedy za tobą? Kogo osłoniłeś własnym ciałem?

Ryjek wzruszył ramionami.

- A skąd niby miałbym to wiedzieć?

Butch roześmiał się krótko, chrapliwie, jakby po żołniersku wydzielał tego śmiechu skromną, okopową rację.

- Jezusa, Jakubie Ryjku. Jezusa Chrystusa w Najświętszym Sakramencie niesionego do chorego przez ojca Huberta Żyłkę, dominikanina. W dodatku, co również odnotowano, umierałeś z imieniem Pana na ustach.

Ryjek podrapał się po głowie. Tego sobie nie przypominał, ale było w gruncie rzeczy możliwe. Czasem tak mówił, gdy go bolało. Ostatnia głoska imienia Pańskiego dobrze brzmiała przez zaciśnięte zęby.

- Dalej już prosto - kontynuował Butch. - Ponieważ umarłeś bez ciężkiego grzechu, w obronie Jezusa i z imieniem Pańskim na ustach, z chwilą ustania akcji serca uruchomiła się procedura.

- I tak się domknęła? W dwie minuty?!

Butch pokręcił głową.

- Nie każ mi tłumaczyć zawłości czasowych pomiędzy tym światem a tamtym. Nie zrozumiesz. Ale technicznie rzecz biorąc, jesteś święty, i choć zgłosiłem cię do moich przełożonych, nie sądzę, by ten stan mógł się zmienić. O ile zdążyłem się od wczoraj zorientować, do degradacji musiałbyś najpierw zostać ogłoszony świętym przez papieża, a potem również przez niego z tego rejestru wykreślony.

- A Bóg? On nie może mnie skreślić?

Butch popatrzył na Ryjka smutno.

- Wierz mi, to ostatnie, czego byś chciał.

Komisarz znowu się podrapał, po czym wstał z łóżka i przeszedł do kuchni. Tam stał przez niemal minutę oparty o lodówkę, aż w końcu otworzył ją, wyjął z niej wędlinę, ser i pokrojonego wczoraj, nieco rozmokłego już pomidora. Z chlebaka wyjął chleb i miękkie masło, z szuflady nóż do smarowania. Nastawił też wodę w elektrycznym czajniku.

Nie śpieszył się, bo w końcu co go niby goniło? Halucynacja w drugim pokoju, która wmawiała mu, że został świętym? Może wzięła się z niewyspania, szoku lub głodu. Jeśli tak, zamierzał zająć się tym, jak zajmował się śledztwami na tym etapie. Uporać się z problemem i znaleźć

rozwiązanie drogą eliminacji fałszywych tropów.

Właśnie kończył smarować kanapkę masłem, gdy jednocześnie z pstryknięciem czajnika w progu kuchni pojawił się Butch.

- Nie przyszedłem do ciebie bez powodu, Jakubie Ryjku- powiedział.

- Możesz po prostu Jakub? - zaproponował komisarz, kładąc na kanapce plaster sera. - Powstałeś w mojej głowie. Bardziej już tego dystansu nie zmniejszymy, nie uważasz?

- Niech będzie, Jakubie - zgodził się anioł. - Potrzebuję twojej pomocy.

Ryjek przymierzył się nożem do ukrojenia krakowskiej suchej. Ustawił nóż tak, by ukroić cienki plaster, ale po namyśle przesunął ostrze i odciął gruby talar. Upchnął go na serze razem z pomidorem, posolił i docisnął drugą pajdą chleba.

- Nie wiem, jak mógłbym ci pomóc, Butch. Nie znam się na bosko-anielskich sprawach.

- Ale znasz na policyjnej pracy, prawda? A tego właśnie mi trzeba. Stróża pośród ludzi. Kogoś, kto pomoże mi rozwiązać tę sprawę. Moją sprawę, która jest też, tak się składa, twoją.

Ryjek najpierw zamarł z nożem nad środkiem kanapki, a potem odwrócił się, niechcący kierując czubek ostrza w pierś Butcha.

- Co masz na myśli, mówiąc, że to twoja sprawa? Masz na myśli to, co się stało w Michaelo Cielo? Ta wojna gangów?

Butch powoli pokiwał głową.

- To wszystko by się nie wydarzyło, gdyby pewien Stróż nie złamał naszych zasad - powiedział po raz pierwszy bez pewności siebie w głosie. Zastąpiły ją smutek i odrobina zażenowania.- Moim zadaniem jest dowiedzieć się, który z nich i w jakim stopniu to, co się stało, opiera się na jego...

Urwał i wyprostował się niczym pies myśliwski, który zwęszył zwierzynę. Zamrugał kilkakrotnie i powoli poruszył głową.

- Co... - zaczął Ryjek, ale Butch uniósł palec ostrzegawczo, po czym powoli przysunął go do warg, nakazując komisarzowi milczenie.

- Chodź, pokażę ci, czym się zajmuję, lepiej to zrozumiesz- powiedział w końcu, wyciągając w stronę Ryjka rękę. Ewidentnie chciał, by komisarz ją ujął.

Ten spojrział najpierw na kanapkę, potem na wyciągniętą w jego stronę dłoń. Pomyślał o szaleństwie, podpaskach i własnej świętości. O tym, że nie

powinien rozmawiać z własną halucynacją i zadawać jej pytań, jeśli nie chce skończyć w psychiatriku.

Uniósł trzymany w dłoni nóż i ostrożnie położył go na blacie. - Pieprzyć to - mruknął i ujął dłoń Butcha.

Poczuł kopnięcie elektrostatycznego ładunku, a przed oczami buchnęło mu oślepiające światło, od którego oczy zabolowały go tak, jakby dobrał się do nich spec od akupunktury. Ryjek syknął głośno, zamrugał parę razy i... zdał sobie sprawę, że znajduje się w zupełnie innej kuchni. Takiej z czerwono-czarnymi meblami pod wymiar, z nowiutkim okapem jeszcze z folią i z białymi sztućcami wyglądającymi jak z plastiku. Po przeciwnej stronie przedpokoju była łazienka, a przez jej otwarte drzwi komisarz dostrzegł chudego anioła z włosami spiętymi w kitkę. Siedział na krawędzi wanny i mokrym mydłem z zapalem tarł kołnierzyk białej koszuli. Mówił coś pod nosem, mamrotał cicho i nie zauważył nowo przybyłych, dopóki Butch nie chrząknął głośno. Wtedy to anioł zerwał się na równe nogi, chowając za sobą ręce.

- Ja, ja tylko, ja... - próbował się wysławić. - Jesteście z Winy prawda?

- Z WINA. I ja jestem - powiedział Butch, robiąc krok do przodu. - A ty, aniele, jak rozumiem, właśnie dopuszczasz się nadużycia drugiego stopnia. „Kto celem uchronienia podopiecznego przed konsekwencjami czynu przezeń postanowionego i zrealizowanego z udziałem wolnej woli i bez przymusu podejmuje działania bezpośrednie, dopuszcza się nadużycia i podlega karze poważnego ostrzeżenia, chyba że organ Nadzoru postanowi inaczej”.

Butch wyrecytował to wszystko bez zająknięcia, zupełnie jakby odczytywał z kartki, surowo i beznamiętnie. Ledwie jednak skończył, uśmiechnął się delikatnie i nieco nienaturalnie, jak ktoś, kto nie nawykł do bycia miłym; wykonał dłonią gest zachęcający anioła do mówienia.

- Wytłumacz się - polecił.

Anioł zrezygnował z chowania rąk. Mokrą koszulę i mydło położył na pralce, wytarł ręce o spodnie.

- Kryzys wieku średniego - westchnął ciężko i umilkł.

Po dłuższej chwili Ryjek pomyślał, że to może być już koniec wyjaśnień. Uznałby to za wielce niepokojące, zwłaszcza że zdał sobie sprawę, gdzie się właśnie znajduje. Było to mieszkanie sąsiada z parteru, dość zasadniczego, eleganckiego typka nazwiskiem Kozłowski, biznesmena, męża ładnej pucułowatej żony i ojca dwójki uroczych, wyjątkowo

grzecznych dzieciaków. Zdaniem Ryjka wyglądali na takich, którzy mogli mieć anioła, choć w zasadzie co on o tym wiedział? Nie miał jeszcze pojęcia, na jakich zasadach można było otrzymać skrzydlate wsparcie i komu przysługiwało, skoro nie miał go nawet policjant na służbie.

- Jestem z nim od jego urodzenia i wcześniej taki nie był - odezwał się wreszcie anioł. - Miał swoje wysoki, ale gdy się poznali z Grażynką, on... No wydawało się, że nie widzi poza nią świata. Wszędzie razem, na imprezy, na wakacje, nawet w delegacje jeździli, póki się dzieci nie pojawiły. Ale potem też, gdzie się dało, to razem. Ale mocno przeżył swoją czterdziestkę. Bo wiecie, w tym wieku zmarł jego ojciec. Dokładnie trzy dni po swoich czterdziestych urodzinach. A gdy się jeszcze okazało, że...- Urwał, podnosząc z pralki szczotkę do włosów, w której nagromadziło się już sporo jasnorudych, krótkich kłaków. - No zaczął szaleć, co ja powiem. Najpierw ta wywłoka z pracy, potem jakaś z sieci. W delegacji jakaś, na integracji zespołowej. Próbowałem go przywracać do pionu, rozładowywałem klucze hotelowe, pakowałem mu do pokoju współspaczy niby przypadkiem, kazałem Grażynce dzwonić nie w porę. Czasem działało, czasem nie. Czasem musiałem mu zasugerować dyskretną przypominajką, by kasował SMS- y albo nie zostawiał telefonu na widoku. Nie to, żeby Grażynka mu nie ufała, ale wiecie, strzeżonego. Szukałem rozwiązania, naprawdę. I miałem już kilka pomysłów, kiedy dziś zobaczyłem...

Smętnie popatrzył na koszulę i westchnął.

- Szminka na kołnierzyku, co? - Ryjek podrapał się za uchem. - Też kiedyś na tym wpadłem.

Stróż przyjrzał mu się, marszcząc czoło.

- A ty to, przepraszam, kto?

- Święty z przypadku - wyjaśnił Butch. - No dobrze, aniele, jak masz na imię i które to twoje przewinienie?

- Hear - odparł anioł i znowu umilkł, tym razem wpatrując się w podłogę. Gdy się w końcu odezwał, mówił tak cicho, że Ryjkowi ledwie udało się go usłyszeć. - I trzecie.

Butch pokiwał głową ze smutkiem.

- Zatem znasz zasady, aniele. Muszę cię ze sobą zabrać.

Anioł Hear, wciąż nie podnosząc wzroku, ruszył przed siebie z rękami wyciągniętymi do przodu. Wyglądał teraz jak uczestnik parady zombie urządzanych raz po raz w większych miastach. Gdy stanął przed Butchem,

ten dotknął jego przegubów, a wtedy pojawiły się na nich świetliste znaki przypominające pieczęcie. Stróż opuścił ręce zetknięte nadgarstkami jakby w wyjątkowo ciasnych kajdankach i dopiero wtedy podniósł głowę, by spojrzeć Butchowi prosto w oczy.

- Ale wyślecie kogoś za mnie, prawda? Oni tu potrzebują ochrony.

- Znasz zasady - odparł Butch, kładąc mu rękę na ramieniu w przyjaznym, niemal troskliwym geście. A potem powietrze wokół nich zafalowało i obaj zniknęli.

Ryjek został sam. Rozejrzał się na boki, dotknął najbliższej ściany w irracjonalnym przeświadczeniu, że jego dłoń przez nią przeniknie. Zamiast tego pod palcami poczuł chropowatą tapetę i pozostawił zostawiając na bieli małą plamkę po soku z pomidora. Uniósł rękę, by zetrzeć ją mankietem, ale zamarł w bezruchu, usłyszawszy najpierw kroki, a zaraz potem chrzęst zamka w drzwiach.

„No to, kurwa, pięknie”, zdążył jeszcze pomyśleć, zanim w progu stanął Kozłowski.

WARSZAWA,
POLSKA

Kłamca przyleciał do Warszawy jako Giuseppe Tilloni, elegancki, pięćdziesięcioletni architekt z Rzymu. Wybór ten podyktowany był sprzyjającymi okolicznościami - obaj, Loki i Tilloni, w tym samym czasie zdecydowali się skorzystać ze znajdującej się na uboczu, a więc pustej lotniskowej toalety - ale jak się okazało, trudno było o lepszy. Włoch miał miejsce w klasie biznesowej i zamówiony posiłek kosztowny, który w samolocie zwykle smakował najlepiej spośród dostępnych opcji, a na dodatek jego garnitur pasował na Kłamcę, jakby był szyty na miarę. To zawsze było w cenie, bo choć wygląd zewnętrzny można było załatwić iluzją, to jednak udawanie, że ma się na sobie coś z nowej kolekcji Caruso, gdy w rzeczywistości są to luźne dzinsy i koszulka z Berlusconiem pokazującym środkowy palec, stanowiło zupełnie niepotrzebne marnowanie energii.

Zatem dzięki splotowi okoliczności i podobnej budowie ciała, dwie godziny po spotkaniu w toalecie Giuseppe Tilloni wciąż tkwił nieprzytomny

i związany w jednej z kabin, za towarzystwo mając telefon komórkowy odtwarzający w pętli dźwięki radosnego wypróżniania, a Loki wysiadł właśnie z samolotu i dziękował pięknym stewardessom za bardzo miły lot.

Już na Okęciu czym prędzej przeszedł przez odprawę i w kolejnej łazience zrzucił z siebie iluzję. Przyjrzał się swojej ulubionej twarzy, szczupłej, ale z wydatną szczęką porośniętą gęstym, jasnym zarostem, zwilżył dłoń i zaczesał sięgające ramion włosy, zakładając je za uszy. Wychodząc, uśmiechnął się do kolejki kobiet stojących do damskiej, ale żadna z nich nie odpowiedziała tym samym, jakby się bały, że jakiegokolwiek dodatkowe napięcie mięśni spowoduje koniec pracy tych usilnie zaciskanych.

W lotniskowej kawiarni zamówił kawę, a potem zapłacił iluzją karty i odebrał iluzoryczny paragon. Zapytany oto, czy życzy sobie kawę z mlekiem, odmówił, ale poprosił o dużo cukru i jakby się dało kilka wykałaczek oraz numer telefonu barmanki. Zamiast tego ostatniego dostał znużone spojrzenie kobiety starszej o dwie dekady od swojej metryki i będącej na nogach od co najmniej doby.

- Mój telefon jest w naprawie, ale w pilnych sprawach mogę podać numer męża - odparła ze wschodnim zaśpiewem i wyszczerzyła się, odsłaniając zamocowany na zębach aparat ortodontyczny. W blasku lamp jej zęby wyglądały jak z żelaza.

Loki potrząsnął głową, uśmiechnął się i wycelował w nią palcem.

- Gładko wybrnęłaś - przyznał z rozbawieniem. - I powiedziałaś to z takim przekonaniem, jakbyś faktycznie miała męża.

Kobieta zmarszczyła czoło i nos, a wypięlegnowane brwi ułożyły się na kształt litery V.

- Kolego...- zaczęła oschle, ale zaraz urwała, westchnęła i docisnęła palcami nasadę nosa. - Kurwa, wykałaczki. Dlaczego od razu nie skojarzyłam?

Kłamca roześmiał się, jakby właśnie powiedziała najzabawniejszy żart na świecie. Odwrócił się na hokerze, powiódł wzrokiem po klientach baru i szybko policzył tych na służbie, w grafitowych wdziankach. Czterech na czternaście osób. W sumie standard.

- Nie uważasz, że to zabawne, Swietka, że mają cię tu pod nosem i nikt nigdy nie zwrócił na ciebie uwagi?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli mówisz o szarych, to ja ich tam widzę tylko, jak się zapomną ukryć - odparła. - Ale wiem też, że oni patrzą jedynie na tych, którzy stanowią zagrożenie dla ich podopiecznych. A ja tu sobie spokojnie kawę polewam, za napiwki dziękuję, zaczepkom się nie daję. Ludzie biorą mnie za Ukrainkę, chwalą polski - i to czasem wkurwi, ale... Zresztą co ja ci, zdrajco, tłumaczę? Sam przecież wiesz. Poczekaj.

Odwróciła się i wypięła kolbę z ekspresu. Nasypała świeżej kawy, wpięła kolbę z powrotem, podstawiła filiżankę. Wszystkie ruchy były pewne, zautomatyzowane, wyuczone i kompletnie pozbawione znamion flirtu z kimkolwiek. Nie było kręcenia biodrami, zmysłowego odchylenia głowy, wodzenia ręką po szyi czy przestępowania z nogi na nogę, by podkreślić kształtne łydki opięte ciemnym nylonem. Wszystko w niej opowiadało historię, jaką sobie zawczasu przygotowała, by móc tutaj pracować, i wyraźnie dbała o każdy jej detal. Loki nie mógł jej za to nie podziwiać.

- Dziękuję - powiedział, gdy postawiła przed nim kawę. - A wykałaczkii?

- Zwracasz nimi uwagę - odpowiedziała. - A ostatnie, czego mi trzeba, to... Tak, proszę pana? Już podchodzę.

Znowu odeszła na chwilę, a Loki ujął filiżankę za ucho i raz jeszcze odwrócił się na hokerze, tym razem opierając łopatki i łokieć o kontuar. W międzyczasie z baru wyszedł jeden zaopiekowany ze swoim aniołem stróżem i w lokalu zostało tylko trzech skrzydlatych. Dwóch stało z rękami splecionymi na kroczu i rozglądało się na wszystkie strony niczym agenci Secret Service na służbie. Trzeci kibicował małemu chłopcu w rozgrywce na przenośnej konsoli.

Za przeszkloną szybą oddzielającą bar od szerokiego korytarza terminalu przeszła najpierw skłócona rodzina z rozbrykanym dzieckiem, a chwilę później pilot w niebieskim mundurze ciągnący za sobą niewielką walizkę na kółkach. Rodzina miała Stróża, pilot nie, co Kłamcy wcale nie zdziwiło. Kiedyś usłyszał, że chyba żaden pilot na świecie nie jest wystarczająco wierzący, a do tego większość z nich dość pogardliwie wypowiadała się na temat aniołów, gdy raz czy drugi prasie zdarzyło się nazwać tak kogoś z branży.

„Tak, latam”, powiedział kiedyś nowojorski as lotnictwa William O'Dowd po tym, jak posadził maszynę z zablokowanym podwoziem na wiejskiej drodze gdzieś w Pensylwanii. „Tak, czuwam nad powierzonymi mi ludźmi. Ale póki nie sprawdziliście, czy mam czym ruchać, nie nazywajcie mnie, proszę, aniołem. Czy biblia nie mówi aby, że oni nie mają

jajec? No i to lądowanie nie było żadnym cudem, tylko wynikiem tysięcy godzin spędzonych w symulatorach i w powietrzu!" Lokiemu bardzo spodobała się ta wypowiedź, a o anielskich interwencjach w lotnictwie w sumie nie wiedział, co ma myśleć. Miał wrażenie, że póki ktoś patrzy na ręce tym z kontroli lotów, piloci mogli się obchodzić bez opieki.

- Po co przyszedłeś, Loki? Bo chyba nie na tę podłą kawę - Swietka wróciła i zabrała się za polerowanie szklanek.

- Nie jest taka zła, choć faktycznie do włoskiej...

- Przyszedłeś mnie zabrać? - weszła mu w zdanie.

Odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

- Raczej wynając- powiedział po długich sekundach, podczas których, miał szczerą nadzieję, kobieta przeanalizowała sobie swoją sytuację. - Kilka dni, nie więcej, ale koniecznie dzisiaj.

Powoli, z rozmysłem pokiwała głową.

- Za pół godziny kończę zmianę - powiedziała. - Dodaj do tego jeszcze kwadrans na przebranie i będę gotowa. Akurat zaczynałam urlop, więc masz szczęście.

Loki zerknął na zegarek na ścianie.

- Dobrze, pasuje - uznał, zupełnie lekceważąc uwagę o swoim rzekomym szczęściu. Sięgnął po portfel i wyjął z niego sześć dwustuzłotowych banknotów, które Tilloni musiał kupić jeszcze w Rzymie. - Robiłaś tu jakieś swoje akcje po tym, jak pola zamieniły się w lotnisko?

Lewy kącik jej uniósł się lekko.

- A ty spałeś z kimś, odkąd twoja żona zapadła w śpiączkę?

- W punkt. Dobra, masz tu pieniądze, wybierz sobie jednego z tych swoich dzieciaków, ale takiego wiesz, żeby nie było go na listach zaginionych. Nie może też jednak wyglądać jak wsiok z dziewiętnastowiecznej roli. Ma udawać twojego syna, więc...

Widział, jak jej twarz się spina, a górna warga unosi, by obnażyć obleczone w żelazo zęby. Przypomniał sobie, że tak czasem mówiono na jej podobne. Baba o żelaznych zębach. Uniósł dłoń, by ją uspokoić.

- Potrzebuję stosownych zeznań złożonych na policji przez małoletniego świadka. Mógłbym to zrobić sam, ale raz, że i tak potrzebowałbym matki...

- Mogę być twoją matką - zaproponowała ochoczo.

Roześmiał się.

- Jesteś ode mnie młodsza, Swietka. Dużo młodsza. Poza tym, żebym to

mógł być ja, musiałbym skorzystać z iluzji, a tę skrzydlaci, czy też, jak na nich mówisz, szarzy, przejrzą raz- dwa. Potrzeba mi kogoś, kto ma duszę. Nawet jeśli to zbląkana, wiecznie potępiona dusza. Oboje, ty i twoje małe i duże zdobycze, spełniacie warunek.

Barmanka podrapała się za uchem. Ktoś zawołał ją z drugiego końca baru, ale dała gestem znać, by poczekał.

- Zastanowię się - powiedziała w końcu.

- Nie, Swietka - Loki przepił do niej filiżanką. - Po prostu to zrobisz. Najdalej za godzinę poleziesz do swojego Siedliszcza, wygrzebiesz zeń najbardziej podobne do siebie dziecko, skoczycie taksówką do H&M- u i na Centralny. Starczy ci na pociąg tam i z powrotem do Wrocławia. Weź sobie pierwszą klasę. Po drodze opowiesz dzieciakowi, co widział. Masz to... o tutaj, proszę bardzo, zapisałem wszystko w samolocie. A, i najlepiej będzie, jeśli według wersji dzieciaka ci ruscy mafiozi będą mieli twarze chłopów, których kiedyś zabrałaś. Dasz sobie z tym radę, prawda?

Zmrużyła oczy i ściągnęła usta.

- Jesteś gnojem, Loki - warknęła w końcu.

Zgodził się skinieniem, po czym dopił kawę i wskazał palcem wnętrze pustego kubka.

- Jeszcze jedną, przede mną długi dzień.

Wzięła od niego filiżankę i już się miała odwrócić, gdy nagle przyszło jej do głowy coś jeszcze.

- Nie mamy dokumentów.

- Zgadza się. Udawaj, że jesteście Ukraińcami. Wszystko masz zapisane w tym, co dostałaś, całą historię.

- Zatrzymają nas.

Loki wzruszył ramionami.

- Oczywiście, a potem albo się wami zajmą, albo wezwą kogoś od emigrantów, kto zabierze was do ośrodka. I jak myślisz, czym szczególnym będzie się ten ktoś wyróżniał?

Nie musiała długo się zastanawiać.

- Wykałaczką w gębie?

- Brawo, Swietka.- Puścił do niej oko.- To, co mówią o inteligencji południc, jest dla was mocno krzywdzące.

Bilet na samolot do Wrocławia kupił już na jeden ze swoich własnych, choć jeszcze niespranych aliasów. Spośród trzech dostępnych opcji wybrał tę, która dawała mu kilka godzin w Warszawie; wyszedł z założenia, że powinien się przebrać i może zjeść coś na mieście.

Do Galerii Mokotów dojechał taksówką, mając dziecinną frajdę z tego, jak udało mu się wkręcić taryfiarza na starą sztuczkę z wydawaniem reszty. Miał zapłacić trzydzieści pięć złotych, wyszedł z dwudziestką do przodu i podziękowaniami za uczciwość, na którą mało kto się dziś zdobywał.

Na mapce galerii wyszukał salony mody męskiej i wytypował jeden, którego nazwa nic mu nie mówiła. Udał się do niego, budując w głowie wytłumaczenie, dlaczego, skoro miał na sobie dzieło włoskiego mistrza, zdecydował się na zakupy w podrzędnym salonie dla mas. Wątpił, by ktokolwiek miał go o to zapytać, ale szanse, że ktoś zwróci uwagę i się zaciekawia, były całkiem spore. A skoro zaciekawia się sprzedawca, to i jego potencjalny Stróż. Ten co prawda raczej Lokiego nie pozna, ale będzie mógł czytać wierzchnią warstwę jego myśli. Jeśli którakolwiek wzbudzi wątpliwości, w anielski świątek pójdą plotki, że jest w kraju. To zawsze utrudniało mu pracę.

Ostatecznie wymyślił sobie, że jest księdzem z Włoch, wysoko postawionym urzędnikiem Watykanu, który właśnie przyleciał do Warszawy i kupuje coś na szybko w galerii, gdyż nie chce się obnosić z bogactwem. To powinno być względnie proste, wystarczyło tylko przez jakiś czas myśleć po włosku o wszystkim związanym z Kościołem poza, rzecz jasna, aspektami duchowymi. Brakiem Stróża też się nie martwił. Słyszał, że w Watykanie godnymi boskich ochroniarzy byli tylko papież, kilku szeregowców z jego szwajcarskiej gwardii i matka Joanna, która to podobno skrzydlatych nawet czasem widywała i przeganiała z grządek watykańskiego ogródka.

Już na miejscu okazało się, że martwił się niepotrzebnie. Sprzedawca, młody chłopak z brodą sięgającą węzła krawata i włosami spiętymi w samurajski kucyk, nie miał anielskiego towarzystwa. Sądząc po zde gustowanej minie, z jaką zmierzył Kłamcę, gdy ten wszedł do salonu, na eleganckiej modzie męskiej też znał się o tyle o ile.

- W czymś pomóc? - zapytał, nawet nie podnosząc się z krzesła.

- Znajdę sobie - odparł Loki.

Wybrał klasyczny krój, stonowany błękit, do tego czarna koszula i srebrne spinki ze znaczkami dolarów. Przebrał się od razu, kołnierzyk koszuli wyłożył na kołnierz marynarki, a włosy spiął w kucyk. Zapłacił

kartą Włocha, do której nie znał PIN- u, ale powtórzył numer z restauracji - wykreował zgodność i akceptację transakcji na terminalu. Za paragon podziękował.

- Reklamacja nie będzie możliwa - zauważył sprzedawca.
- Ufam ludziom - odparł Loki.

Powłóczył się jeszcze po galerii, kupił kilka rzeczy, a potem na kolejnej tego dnia kawie przeczytał jeszcze raz wszystkie notatki, jakie stworzył pod tę robotę od chwili, gdy anioł Rizel zapłacił mu pudełko piór. Nie było tego dużo, ale zawsze uważał, że dobre kłamstwo to delikatna sugestia, a nie zawracanie rzeki kijem. Im mniej będzie w tym wszystkim jego, tym lepiej. Swietka z dzieciakiem i to, co zamierzał uzyskać od wrocławskiego biznesmena Krzysztofa Fikała, powinno załatwić sprawę. No i jeszcze teatr. Bez teatru przecież nic nie byłoby kompletne.

Godzinę później wrócił na lotnisko, upewnił się, że południca skończyła służbę i grzecznie ustawił się do kolejki odprawy. O tej porze Stróżów na lotnisku było więcej, ale żaden nie zwrócił na Kłamcę uwagi.

DZIELNICA KRZYKI, WROCŁAW, POLSKA

Patrzyli na siebie niczym rewolwerowcy w starym westernie, brakowało tylko świstanego przez zęby, znanego na cały świat motywu. Ryjek wiedział, że to on powinien się odezwać pierwszy, skorzystać z autorytetu, jaki dawała mu służba w policji i to, że stojący naprzeciw niego mężczyzna znał go nie jako sąsiada Jakuba z góry, a jako komisarza Ryjka. Powinien z tego skorzystać, zaatakować słownie, przejąć kontrolę. Tego uczono go na zajęciach z komunikacji kryzysowej jeszcze w Szczytnie.

W głowie miał jednak kompletną pustkę, a wszystkie rozwiązania wydawały mu się na dłuższą metę nieodpowiednie. Powie, że zobaczył uchylone drzwi i wszedł? Kupi mu to może kilka sekund, zanim gospodarz zapyta, czemu w takim razie się zamknął.

Powiedzieć, że ma nakaz i jest tu służbowo? To samo pytanie co wcześniej, a dodatkowo Kozłowski z pewnością zadzwoni do adwokata, ten sprawdzi blef i Ryjek będzie ugotowany.

„Myśl, cholera, myśl”, nakazywał sobie w głowie komisarz, jednocześnie

obserwując, jak z twarzy gospodarza znika powoli bezbrzeżne zdumienie, ustępując miejsca gniewowi. Szeroko otwarte oczy zwęziły się do małych szparek, nozdrza drgały jak u nerwowego konia, napięły się ścięgna na szyi.

- Co ty tu, kurwa mać, robisz?!- wydyszał w końcu przez zaciśnięte zęby, a jego dłonie zacisnęły się w pięści; lewa na uchwycie siatki z zakupami, prawa na kluczach. - Co robisz w moim, kurwa, domu?!

I wtedy, jakby te właśnie słowa stanowiły hasło do sejfów ze wszystkimi rozwiązaniami, Ryjek uzmysłowił sobie, że wie, co powinien odpowiedzieć. Pociągnął nosem, potarł kantem dłoni szczękę, jak to zauważył u Butcha, i wyszczerzył się w drapieżnym, choć również w jakiś sposób rozbawionym grymasie.

- Ratuję ci dupę, sąsiedzie- odparł. - Wystarczy, że jeden z nas okazał się w życiu idiotą i za to zapłacił.

Powiedział to pewnie i gładko, z zadowoleniem dostrzegając, jak gniew gospodarza wycofuje się, ustępując miejsca skonsternowaniu. Tym razem komisarz nie zamierzał oddawać inicjatywy. Szybkim krokiem udał się do łazienki, skąd wyszedł z białą koszulą, na której mokrym kołnierzyku widniał niesprany do końca ślad szminki. Ryjek podsunął go Kozłowskiemu pod nos jak dowód największej zbrodni.

- Wiesz, ile to jest warte? - zapytał. - Wiesz ile?!

- Ile? - Zezujący na kołnierzyku Kozłowski słusznie uznał, że to nie było pytanie retoryczne.

- Tyle.- Ryjek cofnął się o krok, by ręką z koszulą zatoczyć w powietrzu koło. - To mieszkanie, twój samochód i alimenty tak wysokie, że się, chłopie, posrasz. Wszystko dlatego, że twoja głupia niunia, jednorazowa zabaweczka, jest na tyle głupia, że nie wie, czym się kończy odwalanie glonojada na kołnierzyku żonatego faceta. Może jeszcze malinkę ci zrobiła, co?

Rozbłysk czerwieni na policzkach Kozłowskiego uświadomił komisarzowi, że trafił. Ryjek pokręcił głową.

- Masz szczęście, chłopie, że mój kapuś cię przyuważył i skojarzył ze mną. Cholerne szczęście. Zwłaszcza że to już nie pierwszy raz, nie? Co ty myślisz, że stara cię nie podejrze? Że tępą jest?

Kozłowski milczał, drapiąc się kluczami po guziku koszulki polo.

- Jak tu wszedłeś? - zapytał w końcu.

- Drzwiami, a jak niby?- Ryjek wzruszył ramionami. - Otwarte było.

Prostota i bezczelność tej odpowiedzi były dla Kozłowskiego niczym kolejny cios w miękki. Spojrzał na trzymane w dłoni klucze, zupełnie jakby widział je po raz pierwszy, i pewnym było, że usilnie się zastanawia, czy faktycznie przed chwilą otwierał nimi drzwi, czy nie.

- Do obcego domu? - zapytał w końcu. - Przecież tak nie wolno.

- A ruchać wyszminkowane małolaty to wolno? - Ryjek jeszcze raz zamachał koszulą. Zablefował z tą małolatą; nie wiedział, ile lat miała kochanka sąsiada. Wyglądało jednak na to, że albo znowu trafił, albo Kozłowski na to akurat słowo nie zwrócił uwagi. Wyglądał na przybitego i pokonanego. Zgodnie z lekcją ze Szczytna należało teraz wyciągnąć do niego rękę i okazać zrozumienie.

- Słuchaj pan, Kozłowski - powiedział komisarz stonowanym, pełnym współczucia głosem. - Byłem tu, gdzie ty jesteś teraz, i wiele bym dał za kogoś, kto by mi w porę przypomniał o tych cholernych majteczkach w kieszeni marynarki. Za każdym razem, jak ślę pół wypłaty tej cholery, mojej byłej, zastanawiam się, na cholere ja je w ogóle zabierałem. No ale stało się, jak się stało, i od tamtej pory jestem w takiej dupie, że wrogowi nie życzę. A my przecież nie jesteśmy wrogami, nie, panie sąsiedzie?

Kozłowski milczał dobrą minutę. Z zewnątrz dobiegł ich dźwięk windy, a następnie odgłos kroków niosący się echem po korytarzu.

- Nie jesteśmy - stwierdził w końcu gospodarz.

- Co nie jesteśmy? - rozległ się niemal natychmiast ciepły, kobiecy głos za jego plecami.

Kozłowski obrócił się tak gwałtownie, że niemal wytrącił z rąk żony papierową torbę.

- Już wróciłaś? - wyskrzeczwał piskliwym, łamiącym się głosem. Odchrząknął zaraz nerwowo, a klucze w jego ręce rozdzwoniły się w takt drżenia.

- Dobrze się czujesz, Krzysiu?—Gospodyni, niewysoka kobieta po trzydziestce o ładnej, pucułowatej twarzy zmarszczyła czoło zaniepokojona.

- Wyglądasz, jakbyś miał... O, panie komisarzu, nie zauważyłam pana. Coś się stało?

Ryjek mimowolnie uśmiechnął się smutno, jak to robił zawsze, gdy ludziom zdarzyło się tak właśnie reagować na jego obecność. Jakby był heroldem złych nowin, forpocztą nadchodzących kłopotów.

- Nic się nie stało, sąsiadko - odparł, siląc się na spokój. Zdał sobie

sprawę, że w ręce wciąż trzyma koszulę Kozłowskiego, więc teraz uniósł ją, pokazując kobiecie ślad szminki.- Ja właściwie do pani, bo problem mam i nie wiem, jak się z nim uporać. Czym się spiera takie plamy?

- Szminka? - Z twarzy Kozłowskiej w mig zniknęła troska. - Och, panie komisarzu. Jaki facet spotyka się z kobietami, które nie odróżniają męskich ust od kołnierzyka? Pan to da, zaraz odplamiacza użyję.

Wzięła koszulę od Ryjka i przyjrzała się jej uważnie, a komisarz zdał sobie sprawę, że razem z Kozłowskim równocześnie wstrzymali oddech.

- Przynajmniej do koszul ma pan dobry gust, komisarzu - stwierdziła w końcu. - Taką samą kupiłam mężowi na ostatnią rocznicę.

Gdy wrócił do swojego mieszkania z cudzą koszulą zapakowaną do cienkiej reklamówki, Butch już tam na niego czekał. Jak poprzednio, stał przy oknie z rękami zaplecionymi z tyłu i wpatrywał się w horyzont.

- Święty nie powinien kłamać - zauważył, gdy tylko Ryjek stanął w progu pokoju.

- Anioł powinien się odpiardolić- odparował komisarz, rzucił torebkę na stół i ciężko opadł na fotel. - Ostatni raz zrobiłeś mi taki numer albo więcej się tu nie pojawiaj. Anioł nie anioł, oczami przed sąsiadami świecić nie będę. Mógł mnie oskarżyć o włamanie!

Butch odwrócił się bardzo powoli, uważnie przyjrzał się Ryjkowi i skinął głową. Była w tym geście majestatyczność uderzeń starego dzwonu i powaga oznajmianej przez niego uroczystości.

- Ostatni raz - zapewnił. - I przepraszam, czasem wychodzi ze mnie służbista. Zadra ciągle mi to wypomina.

- Zadra?

- Mój partner.

- Nazywa się Zadra i jest aniołem Winy? Ktoś tam u Was musi mieć niezły ubaw z tym nazewnictwem.

Butch usiadł na krześle, dłonie położył na kolanach.

- WINA, nie Winy. I wróćmy do sprawy, dobrze? - zaproponował.

- Jasne - zgodził się Ryjek. - Zaczniij od tego, skąd wiesz, że to...

- ...nadużycie pierwszego stopnia.

- No właśnie.

Butch zamyslił się.

- Chyba powinienem zacząć od wyjaśnienia ci modelu działania Stróżów - stwierdził. - Tych wspomnianych przeze mnie wcześniej zasad.

- Tak, to może być dobry początek. - Ryjek podniósł się z fotela. - Przejdziemy do kuchni? Kawy chcesz może?

- Przejdziemy. I nie piję. A zasady są następujące. - Butch również wstał. Idąc za Rykiem do kuchni, odliczał na palcach. - Po pierwsze, ze względu na deficyt aniołów wprowadzono ograniczenia w przyznawaniu opieki. Aniołów nie mają ateści i innowiercy, anioł przyznawany jest na komórkę rodzinną, nie osobę, anioł...

- Ale czekaj, jak? - przerwał mu Ryjek. - Klonuje się, żeby łączyć za każdym czy co?

- Nie, po prostu szacuje potencjalne ryzyko i wybiera jednostkę najbardziej zagrożoną. To jego odpowiedzialność, z której jest rozliczany.

- Rozliczany?

Butch potwierdził skinieniem.

- Zasadniczo dopuszcza się trzy błędy, po czym następuje pozbawienie funkcji i degradacja. Zwykle do Chórów.

Ryjek dał znak ręką, że na ten moment mu wystarczy. Nasypał do szklanki kawy i cukru, przypomniał sobie o włączeniu czajnika, a jednocześnie trawił to, co właśnie usłyszał. Gdy już uznał, że mniej więcej rozumie, zakręcił palcem młynka.

- Kontynuuj.

- Praca Stróża to praca podwyższonego ryzyka - podjął Butch - a do tego objęta szeregiem wewnętrznych ograniczeń. Możliwości Stróża zwiększa modlitwa podopiecznego, im gorliwsza i precyzyjniej ukierunkowana, tym lepiej. Anioł nie może celem przeprowadzenia swoich interwencji wpływać na osoby trzecie czy ingerować w naturalne skutki podjętych wolną wolą decyzji, czego byłś świadkiem, a wszelkie działania bezpośrednie są ścisłego rozrachunku i muszą zostać na wezwanie streszczone i uzasadnione w szczegółowym raporcie.

- Przerąbane - mruknął Ryjek. - Gorzej niż u nas.

- Rzecz w tym- mówił dalej Butch- że o ile anielska prawdomówność wpisana jest w akt stwórczy wszystkich aniołów powstałych po Lucyferze i jego zwolennikach, i wypełnia się sama z siebie, o tyle regulamin służby anielskiej został stworzony na mocy dekretu Tronów i Zwierzchności, a więc działa jak zwykły regulamin.

Ryjek wiedział, co to znaczy. Zwykły regulamin to taki, który można czy to nagiąć, czy po prostu zinterpretować na swoją korzyść. Czasem, wiedział to przecież z doświadczenia, nie tylko dla swojej wygody, ale dla dobra większej sprawy. Po prostu nie powstało jeszcze, i pewnie nie powstanie, żadne ludzkie prawo zdolne uporać się ze wszystkimi problemami i komplikacjami, jakie w każdej chwili mógł zgotować świat. I pewnym pocieszeniem dla komisarza była myśl, że ludzie w owej niedoskonałości legislacyjnej nie byli osamotnieni.

- Chyba rozumiem - powiedział w końcu. - Liczba aniołów jest ograniczona, są przepracowane, w dodatku angażują się osobiście jak ten na dole... Swoją drogą, co z nim?

- Tajne.

- A - westchnął Ryjek. - Więc tak się bawimy, dobra. W każdym razie rozumiem, że z różnych pobudek aniołowie naginają zasady regulaminu, a twoim zadaniem jest ich za to wyłapywać, tak?

- Zgadza się.

- No to teraz kilka pytań.

- To już było pytanie- doprecyzował Butch.- Przed chwilą zapytałeś mnie...

Czajnik kliknął, Ryjek podniósł go i zalał sobie kawę. Zwyczajowo zaciągnął się jej aromatem, odstawił czajnik, zamieszał zawartość kubka i postu kał łyżeczką o krawędź.

- Kilka dodatkowych pytań- doprecyzował.- Po pierwsze, dlaczego Bóg zwyczajnie nie dorobi więcej aniołów?

- Tajne - tym samym tonem odpowiedział Butch.

- Nawet dla świętego? - Ryjek uśmiechnął się z przekąsem.

- Szczególnie. Następne pytanie?

- Jeśli aniołowie nie mogą kłamać, nie wystarczy, że zapytasz, czy zrobił coś nie tak?

- Wystarczy - przyznał Butch.

- Więc czemu tego nie zrobisz?

- Bo nie wiem którego. A regulamin nakazuje nam, agentom WINA, podejmowanie czynności z uwzględnieniem pracy Stróżów i w taki sposób, by w miarę możliwości nie utrudniać im wykonywania obowiązków.

Ryjek pokiwał głową. Dmuchnął na powierzchnię kawy i upił łyk, czując, jak zmielone drobinki, które jeszcze nie zdążyły opaść na dno,

przyklejają mu się do górnej wargi. Słodko- gorzki napój sparzył mu język, znajome ciepło rozlało się po gardle i przełyku. Lubił ten stan. Kojarzył mu się z pracą. Zawsze, gdy potrzebował wbić w umyśle wyższy bieg, robił sobie taką zalewajkę.

- Mów o tej sprawie. Skąd wiesz, że w ogóle coś jest na rzeczy i ma związek z, jak to nazwałeś, nadużyciem?

- Plotki na mieście.

Rozbawiony komisarz parsknął lekko. Podobnie jak z podejściem do regulaminu, uznał, że miło było znaleźć z aniołem punkty wspólne. Dawało to w całym tym szaleństwie poczucie, że pewne rzeczy są jednak niezmiennie, jak chociażby to, że dziewięćdziesiąt procent roboty śledczej to słuchanie, co mówi ulica, i skrzętne kolekcjonowanie kapusiów.

- Jakiś czas temu - zaczął wyjaśniać Butch- decyzją archaniołów eksperymentalnie wprowadzono do specjalnej służby nordyckie bóstwo imieniem Lo...

Ryjek zakrztusił się kawą.

- Że kurwa co?! - wycharczał, odstawiając kubek. Zakaszła kilka razy, splunął do zlewu i otarł załzawione oczy. - Jak to nordyckie bóstwo?

- No normalne. - Butch, nieco zdziwiony, wzruszył ramionami.- Dwie ręce, dwie nogi, niewyparzony język. Bóstwo. Istota mityczna. Owoc wiary.

- To one też istnieją?

Z miny Butcha dało się wyczytać, że dopiero teraz załapał, z czym problem. Sapnął i przejechał dłonią po twarzy.

- Tak, istnieją, a właściwie istniały bóstwa wszelkich możliwych wierzeń i mitologii. Część z nich jest skutkiem ubocznym wolnej woli i siły ludzkiej wiary, część to przemianowane istoty wyższe, jak choćby anioły upadłe, które zatraciwszy tożsamość pierwotną, uwierzyły w wymyślone im przez ludzi role. Skomplikowane. Jak będziesz chciał, potem zabiorę cię do Zadry, który zna się na tym lepiej. To jego hobby.

Wyrecytował to wszystko jednym ciągiem, jakby na jednym tchu. Ryjek wysłuchał go uważnie, ale gdzieś przez głowę przemknęła mu myśl, a właściwie wątpliwość: czy anioł w ogóle oddychał? Pierś niby mu się poruszała, ale czy to faktycznie oddychanie, czy tylko, jak to wcześniej ujął, dając mu wizytówkę, wizualizacja?

- Większości mitycznych już zresztą nie ma. Dekretem archanielskim nowa interpretacja przykazań pańskich zabrania istnienia innych bogów niż

Stwórca, więc przeprowadzono masowe działania na rzecz...

- Masz na myśli anielskie krucjaty, tak?

Butch wyciągnął otwartą dłoń przed siebie i zakołysał nią. „Mniej więcej”, mówił ten gest.

- A to nordyckie bóstwo, o którym wspomniałeś?

- Loki - odparł Butch w taki sposób, że Ryjek aż się skrzywił. Wiedział, że można w pozornie niewinne słowa upakować niechęć czy wręcz nienawiść. Ale intonacja anioła była odpowiednikiem siadania na niedomykającej się z nadmiaru rzeczy walizce.

- Nie jest twoim faworytem, co?

- Nie jest. - Butch energicznie potrząsnął głową. - W ogóle nie pochwalam takich metod, ale nie jestem trepem. Rozumiem, że trudne czasy, potrzebna elastyczność. Z początku Loki był od takiej właśnie elastyczności. Zabijał zdeklarowanych samobójców tuż przed aktem, by uchronić ich od automatycznego potępienia.

- Cyniczne i wyrachowane - zauważył komisarz, a anioł gorliwie mu przytaknął.

- Taki właśnie jest Loki. To bóstwo kłamstwa i oszustw. Potrafi zmienić wygląd, stać się, kim chce, i wyglądać zupełnie tak jak on. Oczywiście przed ludźmi, bo my potrafimy przejrzeć jego iluzje. Niemoralna, rozpuszczona menda o nieokiełznanej chuci i skłonności do paskudnych żartów, z rodzaju tych, jakie powinniśmy tępić w pierwszej kolejności. Ale w jakiś sposób archaniołowie uznali, że najpierw pomoże im obchodzić boskie przepisy, a następnie tropić sobie podobnych mitycznych, wciąż poukrywanych na świecie.

Ryjek upił kolejny łyk kawy. I te problemy rozumiał. Cynizm i hipokryzja przełożonych, frustracja wynikająca ze współpracy, a tak naprawdę wchodzenie w układziki z przestępczą drobnicą, byle tylko dorwać za jej pomocą wielką rybę. Jakkolwiek mu tłumaczono, że to niezbędne, jakkolwiek wspierano się wykresami wyników, uważał to za działania niegodne i zwyczajne draństwo. A widząc teraz gniew na kanciastej, poznaczonej delikatnymi liniami blizn twarzy anioła, czuł do niego coraz większą zawodową sympatię.

- Wróćmy do sprawy. Co ten Loki ma wspólnego ze Stróżami?

- Miesza im w głowach. Wymyśla, jak mogą kreatywnie obchodzić regulamin albo go nie łamiąc, albo łamiąc tak, byśmy nie mieli się do czego

przyczepić.

- Na przykład?

- Na przykład, bo to, jak zakładam, jest przypadek z Michaelo Cielo, anioł mający wyjątkowo krnąbrnego podopiecznego wynajmuje za pieniądze ludzkich podwykonawców, by go chronili.

- Czekaj. - Ryjek uniósł rękę. - Czy ja dobrze rozumiem? Sugerujesz, że jakiś anioł wynajął organizację przestępczą, żeby chronić swojego...

- ...podopiecznego - podpowiedział Butch. - I tak, to właśnie sugeruję, bo to byłoby totalnie w stylu Lokiego. On tak właśnie myśli, zadaniowo. Dostał zlecenie, to je opracował, nie patrząc na inne ofiary. Chaos wojny gangów i krew na ulicach to dla niego żaden problem.

Ryjek znowu się zamyślił. Podniósł łyżeczkę, zastukał nią kilka razy o blat, odłożył. Upił kawy i wypluł drobinki do zlewu. W końcu raz jeszcze skupił wzrok na aniele.

- Jeżeli dojdziemy, przeciwko komu spiskowali zebrani w Michaelo Cielo albo kto mógłby być wspólnym mianownikiem dla całej tej szemranej ekipy...

- ...znajdziemy podopiecznego, tak. - Butch potarł podbródek kantem dłoni.- lotym samym właśnie pomyślałem. To jak, pomożesz mi z tą sprawą?

- Tak - odparł bez wahania Ryjek. - To w końcu też moja sprawa, ale niech mnie szlag, jeśli w aktach choć spróbuję podać prawdziwy motyw tej rzezi.

Butch uśmiechnął się gorzko, cynicznie. Jak na prawdziwego glinę przystało.

- Trochę nagniesz regulamin i dopasujesz.

Ryjek znowu parsknął śmiechem.

- Jak zawsze.

OPOLE,
POLSKA

Powinien go stąd zabrać. Nie tylko z tego hotelu, ale w ogóle z miasta, kraju, może nawet kontynentu. Teraz, gdy pomógł z tym przekrętem w aptece i jeszcze dokonał kradzieży leków niemal na oczach innego Stróża,

nie był już tutaj bezpieczny. Do tej pory poziom ryzyka zależał od tego, czy Loki wyczyści sprawę, czy nie, a teraz wzrósł o czynnik dodatkowy. Jeśli WINA wpadnie na trop Kiresa, co może się przecież stać przypadkiem, ten nie tylko przyzna się do winy, lecz także odpowiednio pociągnięty za język opowie wszystko, co się wydarzyło. Tym samym wyda Rizela.

Wtedy nie będzie mógł się ukryć. To znaczy słyszał, że to teoretycznie możliwe, ale nie wiedział, jak to zrobić. A to znaczyło, że znajdą go raz-dwa i zapytają, po co kradł leki. Wtedy powie prawdę, a ta pociągnie za sobą kolejną i to pograży go już na zawsze, a jego podopiecznego zostawi bez opieki po kres żywota. Zapewne wyjątkowo krótkiego, bo Piotrek, choć nie był złym dzieciakiem, wyjątkowo łatwo pakował się w kłopoty największego kalibru.

Anioł Rizel westchnął i pogładził śpiącego chłopaka po policzku. Wyglądał teraz tak niewinnie, nawet mimo podgolonego łba i krzywego nosa z bulwą po złamaniu u nasady. Tyle wspólnych przygód, tyle sytuacji, z których udało im się jakimś cudem wyjść bez jednego przewinienia za nadużycie. Gdyby to, co teraz się stało, pasowało do tej kategorii czynu, Rizel, a więc i Piotrek, wciąż mieliby jeszcze dwa ostrzeżenia do rozłąki.

„Tyle że to, co się stało, nie było zwykłym nadużyciem, nagięciem regulaminu”, pomyślał Rizel. To było coś o wiele gorszego.

Otumaniony psychotropami chłopak poruszył się na łóżku, a z jego rozchylonych ust wylała się lepka strużka śliny.

Rizel wstał i podszedł do okna. Miał stąd widok na opolski dworzec kolejowy, na ludzi spieszących na pociąg, anioły pilnujące ich kroków, sprawdzających wysokość krawężników i kłócących się między sobą w przejściu nad głowami dwójki podróżnych, którzy zderzyli się w drzwiach.

- Zrobiłem, co zrobiłem, w imię miłości- szepnął w końcu, by zaraz potrząsnąć głową. Bo czy Upadły nie powiedział kiedyś podobno tego samego?

ŚRÓDMIEŚCIE, WROCŁAW,
POLSKA

- Pan Krzysiu musiał pilnie wyjść- powiedziała cycata dwudziestolatka do swoich wściekle różowych tipsów. - Kazał pana przeprosić i przełożyć

spotkanie na najbliższy możliwy termin.

- To znaczy?

Sekretarka uniosła wzrok i skrzywiła się z niechęcią, upewniając się, że jej rozmówca to zauważył. Następnie ostrożnie, by nie uszkodzić paznokcia, stuknęła jakiś klawisz palcem wskazującym, musnęła bezprzewodową myszkę i kliknęła jej lewy przycisk.

- To znaczy w październiku - odpowiedziała, nie patrząc na monitor. - Dwudziesty siódmy o trzynastej dwadzieścia panu odpowiada?

Kłamca udał, że sprawdza kalendarz w swoim telefonie.

- Tak, odpowiada, proszę zapisać — stwierdził w końcu.

Tym ją zdziwił. Ponownie mu się przyjrzała, tym razem uważniej, lekko przekrzywiając głowę.

- Naprawdę?

- Tak- odparł z uśmiechem. - Materiały, które mam, raczej nie powinny się przedawnić, o ile pan Krzysztof sam z siebie nie planuje w międzyczasie rozwoju. Bo nie planuje, prawda?

Zobaczył, jak pod warstwą kremów, podkładów i pudrów krew odpływa jej z twarzy. Miała ładne, zielone oczy- mógł to docenić dopiero teraz, gdy zrobiły się naprawdę wielkie.

- Ja... ja nie wiem... To znaczy...

Loki sięgnął ręką przez stół i ujął delikatnie jej dłoń. Opuszkami kciuka powiódł po paznokciu i zacamokał z udawanym przejęciem.

- Wiem, że pewnie nie zna pani wszystkich faktów i planów szefa, ale proszę odpowiedzieć tak, jak pani podpowiada serce... Czy co tam jeszcze w pani pulsowało i pęczyło od krwi w ciągu ostatnich tygodni? Dni? - Nachylił się nad blatem. - Godzin?

Zacisnął dłoń na jej dłoni i długie sekundy wpatrywał się w oczy sekretarki z powagą, by w jednej chwili wyszczerzyć się i odchylić do tyłu. Przywarł plecami do oparcia, ręce zaplótł na karku.

- Na biurowej skrzynce ma pani mail z filmowym załącznikiem. Radziłbym wyciszyć głośniki przed odtworzeniem. A już najszczerzej doradzam ponowne sprawdzenie kalendarza pana Krzysztofa. Nie zajmę mu dużo czasu. Jedna, góra dwie zmiany pozycji.

Widział, że ją kusi. Lewa ręka drgnęła, prawa przesunęła się w stronę myszki. Zamiast jednak sprawdzić pocztę, dziewczyna sięgnęła po telefon i połączyła się z numerem wewnętrznym.

Loki słuchał, jak przedstawia go jako wyjątkowo ważną i pilną sprawę, jak przeprasza i tłumaczy się z tego, że tym telefonem łamie wcześniej zawarte ustalenia. Wraz z kolejnymi odpowiedziami szefa, dla Lokiego brzmiącymi z tej odległości jak pobrząkiwanie wyjątkowo wkurzonego bąka, dziewczyna denerwowała się coraz bardziej. Paznokcie wolnej ręki wystukiwały rytm pod *pasodoble*, na przygryzanej wardze pojawiła się krew. Gdy w końcu odłożyła słuchawkę, wyglądała na naprawdę wykończoną.

- Może pan wejść— powiedziała, wycierając krew z wargi koniuszkiem chusteczki. - On to z panem załatwi.

- Co takiego? - zdziwił się Loki.

- No kwestię tego maila i filmu.

- Jeśli tylko będzie chciał, to oczywiście może- odparł Loki, wstając i zapinając górny guzik marynarki. - Ale nie mam pojęcia, dlaczego mielibyśmy omawiać akurat chór małych kotków miauczących *Yesterday*. Liczyłem, że to zostanie jednak między nami.

Mrugnął do zdezorientowanej dziewczyny i podszedł do ciemnych drzwi. Zapukał dwa razy i wszedł do środka bez czekania na zaproszenie.

Siedzący za wielkim biurkiem Krzysztof Fikał był średniego wzrostu mężczyzną o szerokim czole i pociągłej szczęce zakończonej szpiczastym podbródkiem, przez co wyglądał trochę jak kosmita ze Strefy 51, a trochę jak znak „ustęp pierwszeństwa”. Ostrzyżony był na krótko, boki niemal do skóry, na górze równy, zadbany trawniczek gęstych rudawożółtych włosów. Nos szeroki, płaski jak u boksera, któremu usunięto chrząstkę.

- To ty mnie próbujesz szantażować, chuju?- zapytał Kłamcę, ledwie ten zamknął za sobą drzwi. Głos miał wysoki, nieprzyjemny, trochę jak żabi skrzek.

Loki przeszedł przez przestronne biuro, oglądając je jak potencjalny najemca. Wszystko tu było drogie, nic do siebie nie pasowało. Ani prosta lampa do obitego skórą kompletu wypoczynkowego na lwich nóżkach, ani designerska szafka do biurka, ani wreszcie artystyczne zdjęcia w antyramach do... czegokolwiek. Na jednym murzyńskie dziecko próbowało nakarmić hipopotama stokrotką. Na drugim znajdował się jaskrawy bohomas mogący być próbą odtworzenia *Rytmu Jesieni* Pollocka w wersji na keczup, musztardę i majonez, ale równie dobrze dziekiem z pierwszego zdjęcia, gdy już hipcio pokazał, co sądzi o białożółtym symbolu przyjaźni.

Obejrawszy wszystko starannie, Loki stanął na środku pokoju i wsadził

ręce w kieszenie spodni.

- Nie próbuję, panie Fikał — odparł. - Uroczą dziewczyna z tej pana sekretarki. Broni pana jak lwica.

Pierwsze słowa, które przysły do głowy biznesmena, nie zostały wypowiedziane na głos. Fikał zmełł je, jakby żuł gumę, odchrząknął i dopiero wtedy się odezwał:

- Czego chcesz? I kim ty w ogóle, kurwa, jesteś?!

- Mogę usiąść? - Loki wskazał krzesło po swojej stronie biurka.

- Nie, nie możesz.

Kłamacza usiadł. Założył nogę na nogę, dłonie zaplótł na kolanie.

- Straszne zamieszanie z tą włoską knajpką, prawda? - zapytał. - Taka paskudna strzelanina.

- Nie mam z tym nic wspólnego - warknął biznesmen.

- Znaczy ze strzelaniną czy lokalem? Bo ten ostatni, o ile zdążyłem się zorientować, należy do pana.

Fikał zabębnił palcami o blat.

- Jak jedna piąta tego miasta. Co z tego? I ponawiam pytanie: kim ty, kurwa, jesteś?!

Loki roześmiał się, jakby usłyszał najlepszy wżyciu żart. Odrzucił głowę do tyłu, kilka razy klepnął się w udo, a potem w jednej chwili spowaźniał, zmrużył oczy i spojrzał na biznesmena lodowato. Uwielbiał tę zagrywkę i samą minę. Ćwiczył ją długo przed łazienkowym lustrem, korzystając z GIF- u z Eastwoodem jako Harrym Callahanem.

- Kim jestem, śmieciu? - zapytał, modulując głos, by nadać mu chłodny, stalowy ton. - Jestem kimś, kto przyjechał posprzątać ten pierdolnik, zanim rozleje się na całe to miasto, a może i resztę kraju. Wydaje ci się, że jesteś groźny, bo imponujesz smarkatej sekretarce i wygoniłeś z kilku kamienic parę cygańskich rodzin? Bo raz czy drugi postawiłeś flaszkę paru zbirom za połamanie komuś nóg? W ciągu godziny mógłbym, nie wychodząc z tego pomieszczenia, zredukować cię do woreczka zębów i nikt by więcej o ciebie nie zapytał. Ani ta twoja laseczka, ani rodzina, ani nawet pan Józiu, który podnosi ci szlaban, gdy jeździsz do swojego ruchaj- hausu na Psim Polu. Taki właśnie jesteś wielki, dupku. Tak bardzo ważny.

Mówił cicho. Nie akcentował żadnego ze słów i nie robił żadnej miny prócz tej Clintowej. Widział, że i bez tego jego mowa zrobiła należyte wrażenie, umieściła Fikała w punkcie, w którym chciał go teraz mieć. I

pomyśleć, że wszystko, czego się dowiedział, znalazł wyłącznie w sieci, snując się po wrocławskich forach i przeglądając lokalne ploteczki. Tylko tego Józia zmyślił, ale szedł o zakład, że biznesmen też nie zna imienia byle osiedlowego stróża.

Czując na sobie wzrok Fikała, Loki wstał, podszedł do barku i nalał sobie i gospodarzowi bourbona na dwa palce. Wrócił na swoje miejsce, pchnął szklankę przez blat. Biznesmen jeszcze tego nie wiedział, ale ten gest oznaczał zmianę w kursie rozmowy.

- Właściwie nie wiem, czemu ta rozmowa musiała mieć do tej pory taki przebieg, panie Fikał - podjął Loki tym samym co wcześniej tonem. - Pan zaczął ostro, mnie poniosło. A właściwie to, po co przyszedłem, nie powinno stanowić dla pana żadnego problemu. Potrzebne mi nagranie z lokalu...

- Nie ma, już mówiłem policji, że dla komfortu klientów na czas każdego spotkania biznesowego we wszystkich moich restauracjach może być na życzenie... - Loki uciszył go gestem.

- Ależ ja nie mówię o oficjalnej kamerze - wyjaśnił. - Z tej będę potrzebował tylko z pół godzinki nagrania pustego lokalu. Na pewno macie coś takiego, nie? Na podmiarki chociażby, gdyby policja bardzo się upierała.

Dostrzegł, że biznesmen nabiera powietrza, więc rozbawiony pogroził mu palcem. Fikał zamknął usta.

- Krzysiu, no przecież nie zaprzeczysz.- Loki nie krył rozbawienia. - Oczywiście, że masz nagranie do podkładek i programy do jego postdatowania, bo o ile tu mogłeś się wytłumaczyć, że wyłączyłeś kamery na czas spotkania, o tyle gdyby coś się stało w normalnych godzinach funkcjonowania lokalu... No przecież sam wiesz, Krzysiu, nie jesteś amatorem. Z tego samego powodu masz też drugi monitoring na własny użytek. Co ty myślisz, że ja nie wiem, co masz na prezydenta miasta? Co masz na arcybiskupa? Krzysiu...

- Wolałbym... - Fikał przełknął ślinę, chrząknął nerwowo i uderzył się pięścią w pierś. - Wolałbym, żebyśmy wrócili do bardziej oficjalnej formy.

Loki uniósł szklankę, jakby przepijał do tej propozycji.

- Oczywiście, panie Krzysztofie - powiedział. - Widzi pan? Oto rozsądna prośba i właściwa na nią reakcja. Moja prośba też była rozsądna, więc jak rozumiem, mogę liczyć na...

- Pijany Gryzoń - wszedł mu w zdanie Fikał.

Loki uniósł brew.

- Czy pan mnie właśnie obraził?

- Nic z tych rzeczy - zaprzeczył energicznie gospodarz. - To nazwa innego mojego lokalu. Na Ostatnim Groszu. Mordownia, ale to przykrywka dla serwerowni. Tam dadzą panu wszystko.

Kłamca przyjrzał się uważnie rozmówcy. Dopił bourbona na jeden łyk, odstawił szklanekę i otarł wąsy wierzchem dłoni.

- Jeśli przez wszystko rozumie pan to, o co poprosiłem, panie Krzysztofie - powiedział, wstając - to nie mogę być bardziej wdzięczny. Jeśli jednak wgratisie postanowiłby pan na przykład doliczyć kosę pod zebro, zapewniam, że takich prezentów nie przyjmuję i może się pan spodziewać natychmiastowego ich zwrotu. Rozumiemy się, prawda?

- Tak, panie... - spróbował Fikał, ale Loki nie zamierzał się w to bawić.

- Panie w zupełności wystarczy. Dziękuję.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi gabinetu. Zrobił to na tyle cicho, że siedząca przy biurku dziewczyna nawet się nie odwróciła. Kłamca upewnił się, że nikt go nie widzi, cicho westchnął i nałożył na siebie pełną iluzję Krzysztofa Fikała. Odtworzył sobie w głowie jego głos i cichutko powiedział na próbę kilka słów, by się upewnić, że umie się nim posłużyć. Dopiero wtedy podszedł bezszelestnie do dziewczyny i położył jej ręce na ramionach.

Spięła się i odwróciła gwałtownie, a dostrzegłszy minę szefa, uniosła brwi.

- A jak nas ktoś zobaczy? Ten klient na przykład?

Loki uśmiechnął się, boleśnie świadom, że grymas, który ona widzi, zdecydowanie nie jest tym, który zwykł i lubił pokazywać światu.

- Posiedzi sobie u mnie, ma dupek parę rzeczy do przemyślenia.

W jej oczach pojawił się błysk złośliwej satysfakcji.

- Uderzyłeś go?

- Powiem tylko, że nie chciałbym być w jego skórze - odpowiedział, po czym cofnął się, odciągając do tyłu jej krzesło. - Chodź, potrzebuję się trochę rozluźnić. Pomożesz mi.

- Jak zawsze - odparła.

Pokręcił głową z rozbawieniem.

- Tym razem będzie na swój sposób wyjątkowo.

WROCLAW,
POLSKA

- Nie rozumiem, dlaczego upierasz się na samochód - powiedział Butch, gdy już opuścili mieszkanie i szli koślawym chodnikiem o popękanych płytach w stronę wykupionego przez komisarza miejsca parkingowego.- Przecież mogę nas tam przenieść w moment, a tu naprawdę liczy się czas.

- Więc możesz się przenieść i tam na mnie zaczekać- odparł Ryjek. By mówić swobodnie i nie budzić zdziwienia sąsiadów, zdecydował się na słuchawki z mikrofonem do telefonu. Kiedyś dawno temu uznał je za idealny kamuflaż dla wszelkiej maści wariatów, ludzi gadających do siebie lub konwersujących z Bogiem. Dziś ta ironia losu nawet go trochę rozbawiła.- Ja nie będę się z tobą teleportował, bo to nie jest pieprzony *Star Trek*. No i jak się nagle potem rozmyślisz i znikniesz, to będę co, tramwajem jeździł jak zwykły... Ej, co jest, kurwa?!

Wyszli właśnie zza rogu i Ryjek dostrzegł, że na jego miejscu stoi nieznany mu samochód. Kierowcy wielkiego srebrnego SUV- a najwyraźniej nie przeszkadzał namalowany na kawałku betonu numer rejestracyjny samochodu komisarza i napis „Nie zastawiać”, przymocowany do siatki znaczek grożący odholowaniem uznał za nieistotny, a składany słupek okazał się dlań tak kłopotliwy, jak mocny był pałak małej kłódki z Tesco, czyli niezbyt. Gdy komisarz podszedł bliżej, dostrzegł w pobliskiej trawie resztki tandetnego zabezpieczenia.

- Gdzie jest mój samochód, do cholery?!

Stojący niedaleko dwaj magazynierzy z osiedlowego Carrefoura Express, lokalny żulek i kierowca, który przywiózł późną dostawę napojów, przerwali rozmowę nad papierosem i zaczęli mu się uważnie przyglądać, wietrząc dramę. Butch założył ręce na wielkiej piersi niczym Chandlerowska wersja dżina z baśni o Alladynie.

- To może jednak się przeniesiemy? - zapytał.

Ryjek łypnął na niego spođe łba. Przyklęknął, by podnieść uszkodzony kawałek kłódki, i przyjrzał się pękniętej czerwonej obudowie. Wstał, po czym wyjął telefon, zrobił zdjęcie zniszczonemu mieniu i kilka zdjęć SUV-owi. Wysłał je gdzieś i wybrał numer.

- Grzesiek? Cześć, to ja... Tak, pamiętam o wizycie, ale mogę nie zdążyć... Grzesiu, Grzesiek... poczekaj... Stój, kurwa! Potrzebuję wiedzieć, gdzie jest mój wóz... Tak, zamierzam prowadzić i naprawdę nie interesuje mnie, co masz do powiedzenia na ten temat!... - Zerknął na Butcha i przewrócił oczami. - Nie, czekaj, to nie tak. Po prostu... Dobra, i tyle chciałem wiedzieć. Dobra, dzięki... No? Jak ze sprawą, to mów...

Minęły kolejne dwie minuty, podczas których Ryjek przechadzał się nerwowo po parkingu, zadawał pytania i potakiwał. Butch przyglądał mu się z oddalenia z narastającym zniecierpliwieniem. Kilka razy miał już coś wtrącić, ale ledwie otwierał usta, Ryjek dawał mu znak, że jeszcze nie teraz. W końcu komisarz rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

- To tak- zaczął.- Z postępów w sprawie mamy świadka wydarzeń.

- To chyba dobrze? - upewnił się Butch. - Bo twoja mina...

- Średnio dobrze - wyjaśnił Ryjek. - To dzieciak, w dodatku mały Ukrainiec. Jest tam z matką, nie mają papierów, domagają się ochrony i obywatelstwa w zamian za informację. Do gadki z nim potrzebny nam i prokurator, i psycholog, i pewnie jeszcze tuzin ludzi, więc szybko go nie przesłuchamy.

- Ja mógłbym od razu- zaproponował Butch.- Wniknę mu w myśli i...

Ryjek pokręcił głową.

- Później. Jeśli możesz, wyślij tam kogoś. Może tego swojego partnera, co mówiłeś, albo coś. Myjedziemy gdzie indziej.

Butch zmarszczył czoło.

- Dlaczego gdzie indziej, skoro mamy świadka?

- Bo mamy też właściciela lokalu, o którym, tak się składa, sporo wiem, i mogę podejrzewać go o najgorsze. Pewnie ma sekretne nagranie spotkania i masę innych ciekawych rzeczy, których mi nie da, ale o których pomyśli, gdy go odpowiednio zapytam. A skoro ty czytasz w myślach, to...

- Nie mogę zdradzać ludziom myśli innych ludzi - stwierdził Butch.

- A ja w swojej pracy śledczej pomagać aniołom- odparował Ryjek.

Zmierzyli się na spojrzenia i stali tak wpatrzeni w siebie długie sekundy, aż w pewnej chwili zjawił się przy nich radiowóz. Młody okularnik w mundurze, który wyskoczył zza kierownicy, zsalutował niedbale Ryjkowi.

- Dostaliśmy zdjęcia od pana, komisarzu, i mam się zająć tematem. To pana miejsce parkingowe? Chce pan, żeby go odholować?- Wskazał na przestrzeń zajętą przez SUV- a.

Ryjek nie odpowiedział, wciąż wpatrzony w oczy Butcha. Wreszcie anioł skapitulował.

- Wyślę Zadrę do tego dzieciaka, a sam zabiorę się z tobą do tego człowieka, o którym mówisz. Ale po pierwsze, teleportuję cię tam, a po drugie, udzielenie ci odpowiedzi tylko na te pytania, które wiążą się z tym śledztwem, jasne?

- Tak- odparł Ryjek hurtem na wszystkie pytania obu swoich rozmówców. I nagle zdał sobie sprawę, że choć wzorem swoich idoli książkowych i filmowych ze starych kryminałów zawsze starał się oszczędzać słowa, to właśnie osiągnął na tym polu mistrzostwo.

Dotarcie na miejsce zajęło im niecały kwadrans. Byliby szybciej, ale Ryjek uparł się, by zmaterializować się w podziemnym garażu, w punkcie bez działających kamer, więc Butch musiał najpierw takiego poszukać. Potem, w holu, długo czekali na windę, bo jedną ktoś blokował na szóstym piętrze, a druga nie działała. Gdy w końcu dotarli na górę, pokonali korytarz i rozsuwane drzwi z mlecznego szkła, znaleźli się w przestronnej recepcji biura wrocławskiego biznesmena Krzysztofa Fikała. Tyle było na drzwiach, w logotypie i tyle wystarczało. Jeśli ktoś już tu trafiał, wiedział, czym biznesmen się zajmował. I albo chciał mieć w tym swój udział, albo chciał go za to aresztować.

Ryjek wiedział, że wojewódzka kilka razy była całkiem blisko złapania Fikała, ale zawsze jakoś się im wymykał. Przypisywano to kontaktom w Warszawie, sympatyzowaniu z obozem władzy, koneksjom rodzinnym. Zdaniem komisarza kluczowe było to, że facet był wyjściowo bogaty i z natury śliski. Tacy nigdy nie rządzą światem, ale zawsze wchodzą gładko, gdzie chcą, i w razie czego wyślizgują się niezauważeni. Ryjek miał wielką ochotę rzucić teraz filmowym „nie tym razem”, ale przypuszczał, że ta sprawa też raczej nie zmieni wyniku starcia Fikał kontra policja. Choć na ciekawe informacje i materiały szansa była spora.

Powitała ich młoda, dobrze wyglądająca sekretarka. Była nieco rozkojarzona, ale widok legitymacji Ryjka przywrócił ostrość jej spojrzeniu. Skrzywiła się lekko, uniosła słuchawkę i połączyła się z biurem za swoimi plecami. Zaanonsowała komisarza ogólnie jako policję, odpowiedziała twierdząco na zadane jej pytanie i odłożyła słuchawkę.

- Może pan wejść - powiedziała. - Kawy?

- Poproszę.

Gdy komisarz wszedł do gabinetu Fikała, ten stał już na środku pokoju, a Butch, który zniknął gdzieś w trakcie rozmowy Ryjka z sekretarką, zmaterializował się przy oknie i swoim zwyczajem zaplótł ręce z tyłu.

- Komisarz Jakub Ryjek, wydział... - zaczął Ryjek, ale szeroko uśmiechnięty Fikał machnął ręką na znak, że to zbędne.

- Znamy się, panie komisarzu- stwierdził, by zaraz doprecyzować. - To znaczy nigdy się nie spotkaliśmy, ale ja znam pana, bo tak się składa, znam wszystkich policjantów w moim mieście, a pan zna mnie, bo to... no cóż, moje miasto.

Przy ostatnich słowach rozłożył ręce, jakby pytał, co może na to poradzić. Stało się i już.

Ryjek nie dał się sprowokować. Opuścił sobie wszystkie cisnące mu się na usta słowa i skinął tylko lekko głową na znak, że gotów jest zgodzić się na pominięcie formalności.

- Przyjechałem do pana w sprawie... - przerwał, bo właśnie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszła sekretarka. Bez słowa przeszła przez gabinet i wypięła się, stawiając tacę na niskim stolyczku zestawu wypoczynkowego. Gdy wychodziła, Ryjek słyszał szelest jej trących o siebie nylonowych pończoch. Uśmiechnął się do Fikała, który odpowiedział podobnym grymasem, choć zrodzonym ze zdecydowanie innych pobudek. Biznesmen był przekonany, że to spojrzenie i te uśmiechy to wynik męskiego porozumienia ponad podziałami. Samczego instynktu, który pomaga mężczyznom znaleźć miejsce, w którym się spotykają, nawet gdy na wszystkich innych polach panuje u nich niezgodność. Ryjek z kolei uśmiechnął się, bo nagle wiedział, jak powinien zacząć rozpoczętą chwilę wcześniej zdanie. Zanim to jednak nastąpiło, musiał się co do czegoś upewnić.

- Butch, słyszysz mnie? - zapytał się w myślach. - Butch, wiem, że nie możesz po prostu czytać moich myśli, ale teraz chcę, byś je poznał. Czy może...

- Słyszę - odparł anioł wciąż wpatrzony w okno.

- Powiedz mi, bo nie jestem pewien, czy wcześniej dobrze cię rozumiałem. Czy ten Loki, o którym mówiłeś, potrafi... zmieniać wygląd? Stać się każdym? Dobrze zapamiętałem twoje słowa?

Butch odwrócił się powoli, by spojrzeć na policjanta z zainteresowaniem.

- Tak... - odparł.

- Czy mówiąc, że ma on skłonność do paskudnych żartów i nieokiełznaną chuc, miałeś na myśli to, co to słowo znaczy wśród ludzi, czyli wielki apetyt na seks?

- Czemu pytasz?

- ...komisarzu?- Ryjek dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że Fikał coś do niego mówi. Dał mu znak, żeby poczekał.

- Ci dwoje mają ze sobą romans. Dość wczesny, sądząc po tym, jak na siebie reagują. Ta dziewczyna chwilę temu uprawiała seks- pomyślał Ryjek.

- Jest rozanielona, trochę zmęczona, wyraźnie usatysfakcjonowana, wdzięczna i trochę zaskoczona, a w dodatku... no, pachnie seksem. Facet na przymusowym urlopie potrafi to wyczuć. Jednocześnie jej szef jest podniecony, zdecydowanie nie jak ktoś, kto przed chwilą przeleciał seksowną sekretarkę, czyli to nie z nim się właśnie pieprzyła. Więc albo miała przerwę i sekretnego kochanka w garażu, albo ktoś wyglądający jak jej szef zrobił jej zaskakująco dobrze.

Ledwie Ryjek skończył ten wywód, zdał sobie sprawę jak absurdalnie musi on brzmieć. Absurdalnie, ale jednocześnie prawdziwie. To było niesamowite, jak jego umysł szybko się zaadaptował. Jak nie tylko zaakceptował istnienie i obecność aniołów czy istot mitycznych, ale nawet zasłyszane informacje o nich, nawet jeśli nieprawdopodobne, zaczął wplatać w warkocz śledztwa. Czy to kwestia tej rzekomej, omyłkowej świętości? Czy może jednak starego psa można nauczyć nowych sztuczek?

Butch stał przez chwilę w bezruchu, by po kilku sekundach zniknąć.

- Komisarzu? Wszystko w porządku?

- Tak, tak, już wyjaśniam, po co tu... No co znowu, do cholery?- odparł policjant, udając poirytowanie i wydobyl telefon z kieszeni. Wpatrywał się przez chwilę w zgaszony ekran, udając, że czyta, a potem westchnął, pokręcił głową i schował telefon. Podniósł wzrok na Fikała. - Otóż sprawa...

Anioł zmaterializował się ponownie, dysząc gniewem.

- Miałeś rację - wysapał. - Właśnie spała ze swoim szefem i ciągle o tym myśli. A on myśli tylko o tym, po co tu jesteśmy i że jak tylko wyjdziemy, musi się z nią zamknąć, bo...

- ...nie uprawiali seksu od kilku dni - dokończył w myślach Ryjek.

Wtedy stało się coś, czego się nie spodziewał. Dziwny dźwięk, jakby pyknięcie towarzyszące odtykającym się w samolocie uszom, a potem nagle

gwałtowny powiew, rozmyty ruch i łoskot towarzyszący przesuwałemu się biurku. Wszystko to nie zdążyło jeszcze dobrze do komisarza dotrzeć, a już zobaczył przypartego do ściany, uniesionego kilka centymetrów nad ziemię, przerażonego Fikała, oraz trzymającego go za gardło Butcha.

- Mów - cedził anioł. - Mów, gdzie jest i czego od ciebie chciał. Zanim zatrze ślady.

W Ryjku, choć to całe zmaterializowanie i anielska agresja mocno go zaniepokoiły, szybko odezwał się kolejny gliniarski instynkt. Przeanalizował sytuację i określił zaistniały problem.

- Trzymasz go za szyję. Udusisz go, a nic ci nie powie.

Butch pokręcił głową.

- Może myśleć - odparł. - Nawet lepiej, bo wtedy przekaże mi wszystko obrazami.

- I co? Myśli o tym?

- Nie, nie myśli - przyznał anioł.

- A co myśli?

- „O kurwa, skąd on się tu wziął, o kurwa, zaraz umrę, o kurwa...” Ryjek uznał, że uśmiech wystarczy tu jako puenta. Butch powoli opuścił biznesmena, a potem machnięciem ręki zatrzaskał otwierające się drzwi.

- Uspokoisz sekretarkę, że nic się nie dzieje? - zapytał komisarza. - Anie dzieje się? - upewnił się Ryjek. - Muszę to wiedzieć, bo wiesz, święci nie powinni kłamać.

- Kim... kim wy... - Opuszczony Fikał zgiął się wpół i próbował jednocześnie złapać oddech i się wysławić. Jedno i drugie nie szło mu najlepiej.

- Kontroluję sytuację- wyjaśnił Butch.- W nadzwyczajnych przypadkach mogę objawić się ludziom, a następnie zaingerować w ich pamięć celem uporządkowania ich wiedzy.

Ryjek poskubał się w podbródek.

- Znaczący usuniesz mu pamięć?

Butch uśmiechnął się i kolejne słowa wymyślał, zamiast wypowiedzieć.

- Pozwolę mu sobie wszystko zracjonalizować. Zajmij się sekretarką, a ja dowiem się, gdzie jest ten drań Loki i ile ma nad nami przewagi.

Policjant, którego imienia nie pamiętała, był miły i bardzo taktowny. Świetlana dopuszczała do siebie oczywiście myśl, że mógł się tak zachowywać wobec wszystkich potencjalnie ważnych świadków, ale coś mówiło jej, że dużo większe znaczenie miała tu krótką sukienka z golfem, ciasno opinająca jej wspaniałe kształty. Widziała nagłe rozbłyski pożądania w jego oczach, słyszała jak przelykał ślinę, a to gdy przypadkiem upuściła i podniosła pusty kubeczek po wodzie, a to gdy uniosła ręce, by się przeciągnąć. Pragnął jej jak ci wszyscy parobkowie i panowie przez dekady lepszych czasów. Chciał tak, że wystarczyłaby chwila, a mogłaby go mieć tu i teraz, może w łazience, może nawet w tej sali przesłuchań, do której zaraz mieli się udać.

Dać mu chwilę, może dwie, by wziął się za zaspokajanie żądz, a następnie wgrzyźć się weń i pić ciepłe, pulsujące życie. Jak oni wszyscy, tak i on zostałby z nią już na zawsze, byłby na każde wezwanie swej pani o żelaznych zębach. Te, które obecnie miała, obleczone w aparat, całkiem nieźle radziły sobie ze skórą i ścięgnami. Jedynym problemem było to, że czasem przycinała sobie w tym cholerstwie język.

- Pani Swietłano, Oleg, pozwólcie ze mną. - Jej policjant wskazał drzwi na końcu korytarza, a potem przyglądał się z koniuszkiem języka między suchymi wargami, jak Swietka wstaje i bez pośpiechu obciąża sukienkę. Tym razem pamiętała, by odwrócić się do chłopca o pustych oczach i podać mu rękę; wcześniej na dyżurce musieli jej o tym przypomnieć, ale chyba wyłumaczyli to sobie szokiem.

- Chodź- powiedziała, lecz zaraz odkaszlnęła i powtórzyła łagodniej. - Chodź, kochanie.

Chłopiec o pustych oczach uniósł głowę niczym pies, który usłyszał swoje imię. Wstał, podał Swietce rękę i dał się poprowadzić.

- Za chwilę przyjdzie do was pani Gosia, jest psychologiem - mówił po drodze policjant. - Ona wyjaśni pani co i jak, i to ona zadecyduje, czy będzie pani mogła...

- Proszę mi mówić po imieniu - przerwała mu. - Swietłana.

Zawahał się. Przystanął, ukradkowo się rozejrzał, ale w końcu wyciągnął do niej rękę.

- Marcin - przedstawił się i zaraz pochylił się do niej. - Jadą tu też z

UDSC i nie wiem, jakie mają plany, ale jak nam pomożesz, znaczy Oleg pomoże...

- Pomoże - odparła Swietłana. - Prawda, synku?

Po twarzy chłopca przebiegł bolesny grymas świadomości. Może właśnie przypomniał sobie swoją prawdziwą matkę? Mogła nim rządzić, mogła używać go, jak i innych, do wabienia kolejnych ofiar albo znudzona sprawić, by zniknął i rozwiął się niczym mgła. Jedyne, czego nie była w stanie robić, to czytać w myślach tej małej zbłąkanej duszy. Wcześniej nie czuła takiej potrzeby czy nawet chęci. Teraz zaskoczyło ją to pragnienie.

- Da - odparł chłopiec i opuścił głowę. Policjant położył mu rękę na drobnym ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze- zapewnił, otwierając drzwi i wpuszczając ich do pokoju z numerem pięć. - Zadbamy o was i nic wam nie gro... Swietłana, coś się stało?

Pokręciła głową energicznie, niezdolna powiedzieć choćby słowa. Dłonie zacisnęła nagle tak mocno, że aż chłopiec, którego trzymała, mimo iż był tylko zbłąkaną duszą, syknął z bólu. Nie zwróciła na to uwagi, podobnie jak na ponowione przez policjanta pytanie, czy wszystko w porządku. Bo nic nie było w porządku. A już najmniej chudy wymoczek w grafitowych spodniach i koszuli, oparty pośladkami o blat przytwierdzonego do podłogi stołu.

- Nazywam się Zadra - powiedział wymoczek. - Wejdz, proszę.

Posłusznie zrobiła kilka sztywnych kroków i zajęła miejsce za jednym z krzesel.

- Myślę, że powinnaś puścić chłop... znaczy tę duszę zbłąkaną, niech sobie usiądzie.

Wykonała i to polecenie, a wtedy Oleg, zupełnie jakby był żywym, zwyczajnym dzieciakiem, wdrapał się na siedzisko i położył ręce na blacie.

Zadra przyjrzał się chłopcu uważnie i... czy on naprawdę puścił do niego oko, czy Swietłanie tylko się zdawało? Otworzyła usta, by zabrać głos, ale anioł, nie patrząc na nią, przyłożył palec do ust.

- Bardzo by teraz pomogło, gdybyś uśmiechnęła się do pana podkomisarza i powiedziała, że wszystko w porządku. O, i jeszcze poprosiła o herbatę - zaproponował. Usiadł na blacie. Machając nogami, czekał, aż policjant wyjdzie i zamknie za sobą drzwi. Dopiero wtedy zwrócił się ponownie do Swietki.

- Powiesz mi, kim jesteś?

- Naprawdę nazywam się Małgorzata... — zaczęła Swietka starą, wyuczoną formułką, ale Zadra powoli pokręcił głową, jednocześnie z przyganą i dezaprobatą.

- Nie chciałem tak formułkami, ale nie dajesz mi wyboru. - Chrząknął w pięść i zapytał, siląc się na powagę i groźność. - Kim jesteś, mityczna istoto? Określ swój rodzaj.

Swietka westchnęła. Nie przstraszył jej tym pohukiwaniem sowy w studni, ale wiedziała, że jak nie ten, to następny na pewno wszystko z niej wyciągnie. Nie było sensu zmyślać, a przynajmniej nie teraz.

- Świetlana. Południca.

Zadra sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej notes. Przypięty do niego długopis miał na końcu główkę psa Goofy'ego. Anioł zanotował kilka słów, po czym zamarł, gryząc psa w czapkę.

- Przysłał cię Loki, prawda?

Zawahała się, lecz zaraz skinęła głową. Zadra znowu coś zanotował.

- Powiesz mi, proszę, co kazał ci tutaj zrobić? Znaczący wiesz, nie konkretne czynności, jak wstawanie, siadanie i tak dalej, tylko...- Zakręcił długopisem młynek w powietrzu. - No wiesz, rozumiesz. Jaki chciał zasiać ferment. Powiesz mi, proszę?

Milczała, wpatrując się w niego.

- Powiem - powiedziała w końcu. - Wszystko powiem, jeśli tylko obiecasz, że nie dacie mu mnie skrzywdzić.

- Obiecuję. - Anioł uniósł do góry dwa palce. - Solennie.

Odetchnęła z ulgą i odgięła się na krześle. Zaraz jednak przypomniała sobie, że przecież nie ma nieograniczonego czasu, zanim wróci ten jej policjant. Cokolwiek chciała powiedzieć aniołowi, musiała to zrobić teraz, szybko. Pochyliła się więc do przodu, splotła ręce na blacie i zaczęła mówić.

W kilku zwięzłych zdaniach przytoczyła wszystkie słowa, jakie Loki kazał powiedzieć policji jej rzekomemu dziecku, jak również wszystkie instrukcje odnośnie do rzeczy, jakie miała zrobić później, łącznie z tą, by czekała na niego jako agenta UDSC czy w kogo się tam wcieli. Zadra przerwał jej tylko dwa razy. Raz, by rozpisać zbuntowany długopis, i drugi, by wyjaśniła mu przytoczony skrót. Gdy skończyła, zamknął notes i umieścił go w kieszeni.

- No ¡świetnie! - powiedział z satysfakcją, zeskakując ze stołu. -

Dziękuję za pomoc. Nie bolało, prawda?

Świetłana odruchowo przygryzła wargę w ten zmysłowy, uwielbiany przez facetów sposób. Wiedziała, że na nic się to teraz nie zda, że ten drobiazg przed nią nie jest tak naprawdę facetem i jej sztuczki na niego nie zadziałają, ale to było silniejsze od niej.

- Pomożecie mi teraz, prawda? - zapytała. - Nie dacie mu mnie skrzywdzić?

Zadra pogładził się po policzku wyraźnie zakłopotany.

- To są dwa różne pytania, południco- stwierdził.- Masz oczywiście moje słowo co do tego, że Kłamca cię nie skrzywdzi, a jako anioł nie mogę i nawet nie chcę kłamać. Ale co do pomagania ci, to nie wiem, co przez to rozumiesz. Jesteś istotą mityczną, a przepisy wobec takich są jasne. Nie możecie istnieć.

Jakby uderzył ją w twarz. Poczowała falę gorąca, zimna i znowu gorąca, a serce zakuło ją tak, jak wtedy, gdy wikary Jędrrek chlapał na nią wodą święconą, głosząc żarliwy egzorcyzm. Wtedy uratowało ją odsłonięcie poślodka i jego moment zwątpienia. Teraz, wiedziała to już w tym momencie, nikt jej nie da takiej szansy. Mimo to spróbowała.

- A Loki? Nie mogłabym być jak Kłamca?

Zadra zamyślił się przez chwilę, a potem z wyraźną radością i uśmiechem wskazał ją palcem.

- A widzisz, to jest myśl! Archaniołowie mogą podjąć taką decyzję! Jesteś sprytna, to mogłoby zadziałać!

- Naprawdę?! Zapytasz ich?!

Zadra się roześmiał.

- Wiesz, jak rzadko zwykły anioł jak ja widuje archanioła?- wyjaśnił przyczynę swojego rozbawienia. - No i do tego oni nie lubią, jak im doradzać. Ale jeśli zapytają, na pewno im cię doradzę. To też mogę ci obiecać.

Nie odpowiedziała. Bez sił opadła na krzesło, przywarła łopatkami do oparcia i opuściła ręce wzdłuż ciała. Patrzyła, jak uśmiechnięty anioł rozwiewa się w powietrzu i w tym samym momencie otwierają się drzwi do pokoju przesłuchań.

Jej policjant uśmiechnął się do niej i przepuścił w progu kobietę pod pięćdziesiątkę w bordowej garsonce z wielką broszką w kształcie kwiatu na piersi. Kobiecie towarzyszył Stróż, który na widok Świetłany odruchowo

wysunął się przed swoją podopieczną, by zasłonić ją własną pierśią.

Swietka prychnęła cicho, z rezygnacją.

- Spokojnie, kobiety mnie nie interesują - powiedziała.

NA OSTATNIM GROSZU, WROCŁAW, POLSKA

Loki miał nadzieję, że to będzie właśnie taki lokal. Obiecujący był już szyld - niegdyś kolorowy, dziś wyblakły, odrapany i upstrzony wlepkami klubów sportowych. Obok na murze ktoś - sądząc po charakterze pisma, doktor medycyny - przysięgał wierność Śląskowi „aż po grub”. Na pierwszym z ośmiu schodków wiodących w dół do lokalu zdradziecko obluzowała się popękana płytką.

Ledwie Kłamca pchnął obite blachą drzwi, uderzył go znajomy i obiecujący zapach. Woń kurzu, dawno niepranych, ciężkich kotar i zwietrzałego piwa mieszały się z potem starym i nowym, papierosowym dymem i słodkim żółtym serem, zapewne z tych tostów serwowanych na barze, według kartki po „dwa za piątkę dla stałych klientów”.

Tylko barman zerknął na niego znad rozwiązywanej krzyżówki. Cała reszta obecnych w barze typów, czterech mężczyzn grających w karty przy stole obciążonym starą ceratą i dwóch sączących piwo pod starym pudłem telewizora, nie zareagowała ani na światło, które niechcący wpuścił, ani zaduch, który niczym złośliwy, ciekawy świata kot czaił się przy progu, by zwać, ledwie dostrzeże szczelinę.

Loki podszedł do baru i zamówił piwo z kija. Nie pytał, jakie mają, bo jeśli czegoś się nauczył po tych wszystkich podróżach po świecie, to tego, że w Polsce o to pytać nie musisz. Co najwyżej czasem trzeba się było upewnić, czy jak to w katolickim kraju, barman aby za dużo nie chrzci. Ten na takiego nie wyglądał. Masywny koleś, ostrzyżony kiedyś po żołniersku, dziś zarośnięty jak ktoś, komu w cywilu do fryzjera nigdy nie jest po drodze. Gęsta broda kołtuniła się i kręciła, wąsy wyrastające jakby prosto ze spłaszczonego, krzywego nosa niemal zasłaniały mięsistą wargę. Na potężnym lewym przedramieniu barman miał gotykiem napisane „Pierdol się”, a na prawym, w razie czyichś wątpliwości „Tak, do Ciebie, chuju”. Piwo nalewał z nonszalancką wprawą. Postawił je przed Lokim i wrócił do

krzyżówki.

- Dzięki- Kłamca podniósł wyszczerbiony kufel i przepił do barmana, a potem odwrócił się na hokerze, by zmierzyć wzrokiem salę. Nie miał za wiele czasu, ale wszystko powinno się udać, jeśli tylko wszystkimi tu obecnymi pokieruje w należyty sposób. Wystarczyło, że sprowokuje tych przy kartach do ostrzejszej wymiany zdań, a wtedy ci dwaj spod telewizora ochoczo dołączą. Wyglądali na taki... ej, zaraz!

Loki raz jeszcze spojrzął w stronę stolika z graczami i wtedy go dostrzegł. Krył się w zupełnie zaciemnionym rogu, w dodatku pochylał nisko nad jednym z graczy, więc trudno go było dostrzec w tym jego grafitowym wdzianku. Był chudy, drobny, wyglądał trochę jak jeden z tych patykowatych szczeniaków, co dopiero po czterdziestce przestają wyglądać jak designerski wieszak. Akurat w chwili, gdy Kłamca zwrócił na niego uwagę, anioł obchodził stół, sprawdzając wszystkim graczom karty. Teraz wrócił do swojego i zaczął mu coś szeptać.

- O skurwiel - mruknął Loki.

- Mówisz o szarym? - zapytał barman, nie podnosząc wzroku.

Loki spojrzął na niego zdziwiony.

- Widzisz go?

Dopiero wtedy mięśniak za barem spojrzął na Kłamcę i uśmiechnął się, prezentując wyszczerbioną jedynekę.

- Barmani widzą wszystko, nie słyszałeś? Zwłaszcza we Wrocławiu, gdzie haracz płacisz jebanym krasnoludkom.- Zmarszczył czoło i lekko przechylił głowę. - Ty też jesteś dziwny jakiś. Będą kłopoty?

Loki zakołysał otwartą dłońią.

- Trochę mogą być- przyznał.- Choć może obejdziesz się bez sprzątania. Kojarzysz lokal Michaelo Cielo?

Barman westchnął i wyraźnie widocznym ruchem sięgnął pod kontuar.

- Naprawdę, stary, nie każ mi tego robić - powiedział. - Idź sobie po prostu grzecznie i...

Umilkł w pół słowa, gdy nagle poczuł na szyi chłód ostrza. Loki nadal siedział przy barze, ale jednocześnie stał teraz za nim i przykładał mu do szyi nóż pachnący limonką.

- Nie jestem gliną, nie jestem z mafii, potrzebuję tylko nagrania z tej ostatniej akcji, by je zniszczyć. Dasz mi je, a nie narobię żadnych kłopotów. Słowo.

Barman powoli, ostrożnie pokiwał głową i na znak pojednania puścił zamocowany pod kontuarem pistolet. Loki cofnął ostrze i wrócił na swój stołek przy barze. Podniósł kufel i opróżnił na raz. Czknął, otarł usta rękawem i wstał.

- Jeszcze jedno - poprosił. - Jakbyś mógł dać mi kartkę i długopis.

Barman podsunął mu żółtą karteczkę i swój ołówek, a Loki zapisał coś szybko, wstał i ruszył w stronę stolika z graczami.

- Jak tam, panowie? - zapytał. - Pozwolicie, że dorzucę coś do puli?

Łysiejący mężczyzna o oczkach jak dwie jagódki i z nosem jak truskawa charknęła i splunęła do pustego pokala.

- Mamy komplet - stwierdził.

- Ale ja nie chcę grać - zapewnił Loki. - Chciałem tylko dołożyć do puli to.

Na niewielką kupkę złożoną przede wszystkim z dwu i pięciozłotówek rzucił karteczkę, na której drukowanymi literami napisał wcześniej: KTO WYPINA TEGO (ZGARNIE) WINA.

- Co to, kurwa, ma być? - zapytał owocowy.

Loki wzruszył ramionami.

- Kto ma wiedzieć, ten wie.

Puścił oko do wystraszonego anioła i wrócił do barmana. Nie zdążył usiąść, nim minęli go Stróż ze swoim mocno zdezorientowanym podopiecznym. Błysk światła, słodkie tchnienie świeżego powietrza i wnętrze baru znowu było jak wcześniej. Z radia poleciało *Roundabout* grupy Yes. Loki upił świeżego piwa.

- Dzięki - zwrócił się do barmana - To gdzie to nagranie?

Mężczyzna wahał się jeszcze przez moment, ale w końcu wzruszył masywnymi ramionami.

- I tak miałem rzucać tę robotę, ileż się można użerać z mafiozami wielkości pięści - stwierdził i głową wskazał Kłamcy zaplecze. - Ale wejdź tak, by cię nikt nie widział, i jak możesz, zostań jednocześnie tak za barem, jak wcześniej. W kiblu, jak wciśniesz ogonek w haśle ŚLĄSK RZONDZI, odsłoni się panel. Kod 2714.

Loki dokonał w głowie szybkich obliczeń.

- „Fuck” na starych klawiaturach? Ktoś tu jest sentymentalny.

Zostawił iluzję przy kontuarze i przeszedł na niewielkie zaplecze. Toaleta wyglądała, jakby ktoś wypowiadał wojnę sanepidowi, i to, sądząc

po smrodzie, biologiczną. Mimo to Loki wszedł do kabiny, wcisnął ogonek, wklepał kod na panelu i pchnął ściankę. Akurat było dość miejsca, by się zmieścić. Pokonał niewielki korytarzyk i wszedł do chłodnej, wentylowanej serwerowni, w której jedynym źródłem światła były niewygaszone, świecące na niebiesko monitory.

Wybrał jeden, szybko odnalazł właściwy folder i plik. Odpalił i już po kilkunastu sekundach oglądania zaklął siarczyście. Zdecydowanie nie tego się spodziewał.

- W czym mogę panom pomóc? - zapytał barman.

Zaskoczony Ryjek obejrzał się za siebie.

- Panom? - upewnił się.

Barman rozłożył wielkie ręce i uśmiechnął się przepaszająco.

- Musicie mi wybaczyć. Nie nadążam za tym całym „płec to kwestia umysłu”. Więc które z Was to pani? A może jeszcze inaczej...

Komisarz rzucił ukradkowe spojrzenie na Butcha. Ten wydawał się równie mocno zaskoczony. Przyglądał się barmanowi z uwagą, jakby oceniał jego siłę i stopień zagrożenia. Właściwie, gdy się zastanowić, postury byli dość podobnej. Obaj wyglądali jak zaprawieni w boju byli żołnierze.

- Nie wiem, o czym... - zaczął Ryjek, ale Butch położył mu rękę na ramieniu i lekko ścisnął.

- Szukamy takiego jednego faceta- powiedział anioł.- Najprawdopodobniej blondyn, choć może wyglądać, jak chce, mógł mieć długie włosy, wykałaczkę w zębach. Właściwie to wygląda niemal identycznie jak ta iluzja tutaj, tylko wiesz, realny.

- Cóż za wysublimowany żart, nie spodziewałem się po anielskim trepie - rozległo się nagle od zaplecza.

Wszyscy trzech rozmówcy odwrócili się nagle, równie zaskoczeni.

- Zmiana planów, koleżko - zwrócił się do barmana Loki. - Dzięki za chęć pomocy, ale już nie będzie trzeba. Aniele Kafarze, panie... zaraz, czy ty jesteś tym rzekomo półświętym?

- Rzekomo? - zapytał Ryjek.

- Świętym? - zdziwił się barman.

- No takie ploty krążą po świecie. - Loki podrapał się po karku, udając

zawstydzienie. - Normalnie nie słucham, co tam szepcą te skrzydlate plotkary, ale kolega barman potwierdzi, że czasem się słyszy coś, czego wcale się nie chce...

- Do rzeczy. Loki. Masz nagranie? - Butch potarł szczękę kantem dłoni. Druga dłoń zacisnęła się w pięść wielką jak bochen.

Kłamca skinął głową i puścił po blacie pendrive tak, że ten zatrzymał się przy samym Ryjku.

- Proszę, możesz mnie przeszukać, możesz sprawdzać, jak chcesz, Butch. Miałem to przed tobą ukrywać, ale to zbyt poważna sprawa i nawet ja uważam, że ten koleś przegiął.

- Jeden koleś?- nie zrozumiał Ryjek. - Chcesz powiedzieć, że jeden koleś zabił tyle osób?! W jaki niby sposób mógłby...

- Opętanie- wyjaśnił Butch.- Anioł opętał swojego podopiecznego. Wstąpił w niego, dzieląc się swoją mocą.

Loki wycelował w niego z palca.

- Jakbyś tam był, Butch. Zresztą wszystko masz na nagraniu, za które, zauważ, nie oczekuję żadnej nagrody... prócz przyznania, że pomogłem, rzecz jasna.

Ryjek nie musiał patrzeć na anioła, by zdać sobie sprawę, że to była najgorsza z rzeczy, jakich ten fircykowaty cwaniaczek naprzeciwno mógł sobie zażyczyć. Wystarczyło zgrzytnięcie zębów, trzask anielskich stawów. Wystarczyło, że barman, wpatrzony do tej pory w Butcha, z lękiem odwrócił wzrok.

- Jeśli to rzeczywiście jest to, czego szukam, Kłamc...

- Ej, mam imię! Ja do ciebie nie mówię aniele dupku z wydziału wewnętrznego, nie?

To powiedziawszy, Loki minął barmana. Klepnął go przy tym w ramię, a w rękę wcisnął mu dwa banknoty dwustuzłotowe.

- Dzięki, stary, za chęć pomocy. Klientom postaw ze dwie kolejki, będą mieli do tego przedstawienia jako gratis. Nie sypniecie, chłopaki, nie?

Klienci baru wydawali się poruszeni samą sugestią.

- Kurwa, honor, panie! - zawołał jeden.

- Jebać psy i konfidentów! - gorliwie zakrzyknął drugi.

- Słyszałeś, Butch, twój kolega też słyszał- Loki na wszelki wypadek wyminął anioła większym łukiem. - Jakby co, wiecie, gdzie wpadać, jak wam się, wiecie... zachce. Uszanowanie.

Ruszył do drzwi, gdy nagle poczuł na ramieniu ciężką dłoń.

- Tak, Butch?

- Jeśli to nie będzie to...

- Tak wiem, dupa, jesień średniowiecza. Oglądam filmy.

Wyszedł, wpuszczając w zamian odrobinę światła, które natychmiast zagubiło się w powszechnym zaduchu. Ryjek jeszcze kilka sekund wpatrywał się w drzwi, aż w końcu westchnął.

- Więc to był ten cały Loki? - zapytał. - Mam wrażenie, że gdzieś już go spotkałem.

- Pewnie częściej, niż możesz sobie wyobrazić. W tej czy innej twarzy - odparł Butch.

- Kojarzy mi się jakoś, nie wiem. Zimowo. W przebraniu może, chyba widziałem jakieś zdjęcia... Nieważne. - Wziął do ręki pendrive i obejrzał go uważnie. - Rozumiem, że ty potrzebujesz tylko wiedzieć kto to? To nagranie nie będzie ci później potrzebne? Bo wiesz, dla mnie to może być dowód w sprawie.

- Będziesz mógł je zatrzymać - stwierdził Butch.

Usatysfakcjonowany Ryjek wyjął telefon.

- Pierdolet? Gdzie jesteście? Potrzebny mi będziesz z komputerem... Tak, pilne... Dobra, to za piętnaście minut... Świetnie.

Barman patrzył za nimi, gdy wychodzili, a potem zabrał się za nalewanie postawionej przez Lokiego kolejki.

Nalewał właśnie trzecie piwo, gdy drzwi wejściowe uchyliły się lekko i zaraz zamknęły. Jeden z hokerów poruszył się, jakby ktoś się po nim wspinał, a kilka sekund później na kontuar weszło dwóch brodatych jegomości niewiele większych od butelek whisky zdobiących ścianę za plecami barmana. Jeden zfacecików miał na nosie przyciemniane okulary, drugi nosił czarną, hipsterską czapkę. Obaj byli dobrze umięśnieni, groźni i w żaden sposób nie przypominali tych pociesznych ludzików, którymi upstrzono całe miasto.

- Jest trzeci piątek miesiąca, chuju - powiedział ten w okularach. - Gdzie nasza kasa?

Chłopak powoli się wybudzał i tym razem Rizel nie zamierzał szprycować go kolejną porcją leków. Przebywanie tak długo w jednym miejscu robiło się niebezpieczne, już i tak musiał się więcej niż raz objawić sprzątaczkom chcącym ogarnąć pokój. Mówił, że nie trzeba, że wszystko mają, a potem słyszał na korytarzach, jak szepczą, że w pokoju zabarykadowały się pedały i sobie używają. Jedna mówiła, że trzeba będzie spalić prześcieradła. Druga chciała nawet ściągać księdza egzorcystę.

„Jeszcze tego by brakowało”, pomyślał wtedy Rizel. Egzorcyści plus obstawa to często z pięciu Stróżów na raz. Gdyby tylko zbliżyli się na odległość mniejszą niż dwa metry, anioł nie ukryłby swojej bezsprzecznej winy.

Jego podopieczny przekręcił się na bok i zwymiotował do podstawionej miski. Anioł powstrzymał odruch pogłaskania go po głowie.

- Lepiej by ci było beze mnie, przyjacielu - powiedział. - Zdecydowanie lepiej, gdyby...

Zamarł, słysząc ciche pukanie. Jeśli to znowu sprzątaczką, zaraz zapuka znowu, a potem złapie za klamkę. Wtedy się odezwie, powie, że nie trzeba im więcej ręczników i że dziękują za sprzątanie i mydełko.

- To ja, Loki - rozległo się zza drzwi. - Liczę do trzech, a potem sobie idę.

Rizel rzucił się do drzwi i wpuścił Kłamcę do środka. Ten wszedł i odruchowo złapał się za nos.

- Rany, chłopie. To nazywasz dbaniem o kogoś?

Rizel puścił tę uwagę mimo uszu.

- Załatwiłeś?

Loki skinął głową.

- Tak, choć gdybym od początku wiedział, że pakujesz mnie w takie gówno, nigdy bym się nie zgodził. Opętanie podopiecznego? Nie wiesz, że to grozi unicestwieniem? Gdyby był jeszcze ten wasz Bóg, mógłby cię po prostu uczynić upadłym, ale teraz... Kurwa, czy tylko ja przeczytałem te wasze regulaminy?

Rizel jakby się skurczył. Wbił głowę w ramiona, ręce splótł jak do modlitwy.

- Chcieli go wyrzucić z kamienicy, zrobili mu fikcyjne długi. Chciał się przez nich zabić. Więc kiedy się dowiedziałem, że wszyscy zbierają się w

jednym miejscu...

Loki machnął ręką. Z małego pojemniczka na biurku wyjął wykałaczkę, rozpakował i wsunął do ust.

- W sumie mam w dupie twoje powody. Na razie masz spokój, ale takiej sprawie nie odpuszczą. To jednak nie jakaś tam błahostka, a Butch to prawdziwy ogar niebios. Ale zrobiłem, co mogłem.

- Dziękuję - szczerze powiedział Rizel.

Loki się uśmiechnął.

- Nie dziękuj, bo taka akcja wymaga większej zapłaty.

Anioł westchnął, spojrzął na swojego podopiecznego podnoszącego się niemrawo i patrzącego tępo przed siebie. Nagle wokół Rizela zmaterializowały się otulające go szare skrzydła.

- Ile chcesz, Loki? Pięć? Dziesięć?

Kłamca pokręcił głową.

- Nie chcę piór. Jeśli zostaniesz skazany za opętanie, zrobią się gównem. Ale skoro już masz wprawę w takim włożeniu w ludzi, to... zrobisz coś dla mnie.

Rizel zacisnął zęby.

- Nie ma mowy.

Loki zmrużył oczy. Wykałaczką przewędrowała mu z jednego kącika ust do drugiego.

- A założysz się? - wycedził.

KOMENDA WOJEWÓDZKA POLICJI, WROCŁAW

Świetlana z Olegiem wciąż siedzieli w pokoju przesłuchań. Pani psycholog rozmawiała z chłopcem ponad dwie godziny, w końcu wyszła, wyraźnie rozczarowana. Od tamtej pory w sali zjawiało się kilka osób, z czego tylko jedna funkcjonariuszka była miła i przyniosła jej obiad. Nawet Marcin, jej policjant, jakoś spochmurniał i jego podejście do niej wyraźnie się ochłodziło.

Dała chłopcu trochę więcej swobody i wolnej woli, czego dość szybko pożałowała, bo zaczął marudzić i pytać, kiedy wróci na swoje pole, kiedy znowu trafi pod ziemię i będzie się mógł bawić kośćmi. Jeśli ją teraz nagrywali, można się było spodziewać, że do korowodu odwiedzających ją

ludzi dołączy ktoś z opieki społecznej.

Ale oczywiście oni wszyscy nie byli ważni. Jedyne, czego się obawiała, to nieunikniona wizyta aniołów. Pewnie zjawią się pod bronią, w dodatku przeszkoleni przez Kłamcę, jak mają sobie z nią poradzić. Jak mogła być tak głupia, by go posłuchać?!

- A mogłam nie? - zapytała samą siebie.

Oleg spojrział na nią z ukosa.

- Kiedy pójdziemy? - zapytał.

- Daj mi spokój - warknęła i obiecała sobie, że jeśli uda jej się stąd wydostać i wrócić na Okęcie, zaszyje chłopcu usta.

Wtedy właśnie uchyliły się drzwi i do pokoju wszedł Marcin. Coś jednak było z nim nie tak. Żrenice miał rozszerzone tak, że całe oczy zdawały się czarne. Marynarka, do tej pory wisząca na nim dość luźno, teraz ciasno opinała mięśnie. Ruchy miał sprężyste, pełne energii, ale jednocześnie w jakiś sposób nienaturalne, jakby mechaniczne. Stał w progu, powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, a gdy jego spojrzenie zatrzymało się na Swietłanie, wyciągnął w jej stronę rękę.

- Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć.

Bez wahania poderwała się z krzesła i podbiegła do policjanta.

NADODRZE, WROCŁAW,
POLSKA

Z Grześkiem Pierdoletem spotkali się w Michaelo Cielo. Gdy Ryjek i Butch dotarli na miejsce, technicy kłócili się zajadle, czyja to wina, że musieli się wrócić po zostawiony tu wcześniej sprzęt, i który z nich jest tak bardzo nieodpowiedzialny.

Jeszcze zanim weszli do lokalu, komisarz dla wygody poprosił Butcha o zmaterializowanie się, by mógł go przedstawić technikom jako agenta CBS z Warszawy. Wcześniej zapewnił anioła, że ten nie będzie musiał kłamać, bo agenci, a w dodatku z Warszawy, wzbudzają w technicznych obrzydzenie większe niż polana obciętych kutasów.

Butch nie miał z tym problemu.

- Nienawidzą mnie nawet istoty stworzone wyłącznie do bezwarunkowej miłości - powiedział. - Przywykłem.

Gdy się spotkali we czwórkę, Ryjek bez gadania przekazał technicznym pendrive, a ci bez słowa przepuścili go najpierw przez skan antywirusowy, a następnie odpalili zawartość w odtwarzaczu. Ze skupieniem oglądali może dziesięć sekund, aż w końcu Pierdolet zaśmiał się sztucznie.

- No piękny żart, kochanieńki. HI- LA- RYCZ- NY normalnie - powiedział, choć jego głos sugerował coś zupełnie przeciwnego. - A gdzie oryginalny plik?

- Oryginalny? - zapytał Butch.

Ryjek pochylił się, by przyjrzeć się uważniej szaremu, rozpixselowanemu filmowi. Starał się nie zwracać uwagi na dziką akcję rodem z taniego filmu sensacyjnego, choć w dzieciństwie uwielbiał oglądać takie rzeczy na ekranie. Posyłanie kogoś kopniakiem na drugi kąt sali i strzelanie do niego, gdy leci, wywracanie stołu barkiem i chowanie się za nim na czas przeładowania, rzucanie się szczupakiem przed siebie i jednocześnie strzelanie z dwóch pistoletów. Jeśli faktycznie stał za tym anioł stróż, jego poprzednim podopiecznym musiał być filmowy kaskader. I to dobry.

Swoją uwagę Ryjek skupił jednak nie na ruchach całego ciała, a na mocno rozedrganej twarzy egzekutora.

- Czy to jest Nicholas Cage? - zapytał w końcu.

Pierdolet smętnie pokiwał głową.

- Czyli to nie żart, tak? - upewnił się. - To nie wasza sprawka?

- Nawet nie wiem, jak mógłbym to zrobić - przyznał Ryjek.

- *Face swap*, zamiana twarzy - wyjaśnił Grzesiu. - Taka aplikacja. Te najlepsze robią prawdziwe cuda, ale wymagają czasu, sprzętu i umiejętności. To tutaj to prosta apka kosztująca grosze i do ściągnięcia skądkolwiek. Pięć minut, komputer lub nawet telefon i masz sprasowanego gotowca. Ludzie używają ich w sieci do podmieniania twarzy aktorkom i aktorom porno. Na koleżankę z pracy, filmową gwiazdę... listonosza.

To powiedziawszy, spojrzał wymownie na partnera, który z miejsca spłonął się jak kwitnący mak.

- Mówiłem ci, że to przez przypadek. Tak mi się klikło tylko.

- Nie rozumiem w ogóle, po co ci było zdjęcie listonosza? Je też zrobiłeś przypadkiem?!

Ryjek odsunął się od ekranu, by dać im trochę przestrzeni.

- Zrobił nas w wała- zwrócił się do Butcha. - Zawsze jeszcze zostaje nam

ta dziewczyna z dzieckiem...

Butch pokręcił głową i znowu energicznie potarł podbródek.

- Loki nie dba o tych, których wykorzystuje. Chce tylko przetrwać - odparł. - I co gorsza, uda mu się, bo wystarczy, że powie, że oddał mi to, co faktycznie sam znalazł, i mu uwierzą.

- Rozumiem. - Ryjek podrapał się po głowie. - No cóż, czyli wygląda na to, że obaj jesteśmy teraz trochę w dupie z tą sprawą, co?

- Niestety.

- Jakaś szansa, że to faktycznie Nicholas Cage?

Butch uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie, Cage stracił Stróża za przewinienia kilka lat temu.

Ryjek parsknął śmiechem.

- Patrząc na to, w czym ostatnio grał, nie dało się nie zauważyć. Spojrzał na zegarek, a potem na wciąż kłócących się techników i wreszcie raz jeszcze na Butcha. Przez głowę przemknęło mu, że gdyby opisał to jedno popołudnie w swojej książce, mógłby mieć bestseller. Oczywiście, o ile na świecie wciąż jest dość świrusów czytających fantastykę. *Pieskie popołudnie*- taki dałby jej tytuł. Jebać to, że ktoś już go kiedyś użył.

- Napijemy się? - zapytał. - Jak glina z gliną.

Anioł długo milczał. Komisarz już był skory uznać, że nie dosłyszał pytania. W końcu jednak potrząsnął wielką głową, jakby się przebudził, i powiedział:

- W sumie czemu nie?

<Klik>

WINA. Wydział Interwencyjny Nadzoru Anielskiego.

Tak wiele razy słyszałem tę nazwę od Zbłąkanych, wypowiadali ją z goryczą i gniewem. A dziś mieliśmy spotkanie z dwoma agentami i był to bardzo pouczający czas.

Okazuje się, że cały Wydział Interwencyjny składa się z tych dwóch aniołów. Jeden z nich, Zadra, był kiedyś Stróżem. Ten wzbudził naszą sympatię i miał wiele ciekawych historii z praktyki stróżowania. Drugi z aniołów, potężny Butch, wywoływał raczej lęk, jak przystało na byłego żołnierza z jednostek specjalnych, ale on też bardzo pouczająco mówił o ważnych sprawach. O regulaminie, o karach za przewinienia, nadużycia i

zaniedbania, ale też o pozornie niewinnych, acz brzemiennych w skutkach kontaktach z istotami mitycznymi.

Te istoty, wołają Pana wyrażoną przez archanioła Michała... Ech, dobra, nie wychodzi mi taki niski głos, będę mówił normalnie. Te istoty, powstałe wynikiem wykorzystania potencjału ludzkich umysłów do tworzenia fałszywych bóstw, wołają Nieobecnego Pana są sukcesywnie zgładzane i należy unikać współpracy z nimi. Wyjątek stanowią te, które znajdują się na dostarczonej do Nadzoru liście.

Sprawdziłem. Obecnie lista zawiera wciąż tylko jedno imię.

<Klik>

W DRODZE

DROGA S3,
POLSKA

Z pięciu osób jadących dwunastoletnim seatem ibizą trasą Lubin-Zielona Góra tylko dwie, ściśnięte na tylnym siedzeniu obok fotelika ze znudzoną pięciolatką, zdawały sobie sprawę z panującego w pojeździe tłoku. Obaj wyglądali na mężczyzn przed trzydziestką, byli drobni, ubrani niemal identycznie w grafitowe koszule, spodnie i marynarki. Siedzieli ze ściśniętymi nogami, głowami wciśniętymi między ramiona, niezdolni się poruszyć, niczym skruszeni autostopowicze liczący, że jeśli będą cicho, kierowca zawiezie ich dalej, niż obiecał.

Ten bliżej dziewczynki w foteliku raz po raz uchylał się przed śmigającą w powietrzu rączką uzbrojoną w rozmemłanego twixa. Robił to z taką częstotliwością i tak płynnie, że wyglądało to niemal jak tik nerwowy.

- No to opowiadaj, Zadra, jak ci tam - odezwał się ten bliżej drzwi. - Bo u mnie, widzisz, stara bida. Ciągle Rudeccy i ich stary rupieć. Przynajmniej przegląd przeszedł tym razem bez łapówki, bo załatwiłem Krzysiovi stłuczkę i w ramach ubezpieczenia wymienili też...

Przerwał i niemal teatralnie zasłonił usta, choć przerażenie bynajmniej nie było udawane.

- Choinka pańska, nie powinienem ci teraz mówić takich rzeczy, nie? To na pewno jest jakieś przewinienie i nie powinienem, a już mam jedno ostrzeżenie i...

- Spokojnie, przecież to nie tak, że... auuul- Zadra poruszył się i odwrócił głowę, by uśmiechnąć się uspokajająco do kolegi, ale ledwie uniósł kąciuki ust, zarobił w ucho rozpaćkaną słodyczą.

Dziewczynka w foteliku zaskoczona tym, że jej rączka natrafiła na niewidzialny opór, zmarszczyła nosek i czoło, gapiąc się na puste - z jej perspektywy - siedzenia. Zadra posłał jej ten rodzący się już uśmiech i stał z siebie czekoladę.

- Nie musisz się martwić, Leasie- zwrócił się do kolegi. - To znaczy, oczywiście, zapytany będę musiał powiedzieć prawdę, a wtedy faktycznie to, co zrobiłeś, to nadużycie i WINA musiałaby się tobą zająć. Ale spokojnie, na razie mamy tyle spraw, że...

Nie dokończył, bo nagle w lusterku błysnęły migające światła samochodu dojeżdżającego z tyłu, a zaraz potem rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu i ryk silnika. Z prawej strony wyprzedzał ich wielki SUV BMW z otyłym czterdziestolatkiem za kierownicą i platynową dwudziestolatką na siedzeniu pasażera. Siedzący z tyłu anioł, nie wiadomo kierowcy czy dziewczyny, rozkładał przepaszająco ręce i robił smutną minę.

Moment wyprzedzania przypadł akurat na łuk drogi i olbrzymi wóz zbliżył się niebezpiecznie lusterkiem do samochodu Rudeckich. Seatem zakołysało, a kierowca zaklął szpetnie.

- Widziałaś?! Widziałaś... pierdolonego debila?- zapytał żonę drżącym głosem, a ona nakryła dłonią jego rękę spoczywającą na gałce zmiany biegów.

- Widziałam, kochanie, ale nie przeklinaj. Kasia słucha.

To akurat nie było prawdą, bo mała właśnie włączyła sobie tablet i smarowała czekoladą po Świnie Peppie ze swojej ulubionej aplikacji, ale na kierowcę podziałało. Wziął kilka głębszych oddechów i polecił sobie szeptem, by nie życzyć źle kierowcy oddalającego się szybko bmw.

- Przeniesiemy się na dach?- zaproponował Zadra. - Stamtąd będzie lepiej wszystko widać.

Drugi anioł gorliwie pokiwał głową.

- Oczywiście, Zadra. Oczywiście. Ale wiesz, to nie tak, że ja tutaj nie widziałem zagrożenia i...

Sporo wysiłku kosztowało Zadrę wyciągnięcie ręki tak, by położyć dłoń na ramieniu kolegi.

- Spokojnie, bracie. Jesteś świetnym Stróżem. Upewnij się, że wszystko u nich gra, a ja będę na dachu, dobrze?

- Jasne, Zadra. Dziękuję, jesteś naprawdę w porządku.

- Co mogę powiedzieć, przecież znasz motto mojego wydziału - odparł tamten ze szczerym uśmiechem. - Cokolwiek zrobisz, WINA...

- ...jest zawsze po mojej stronie - dokończył za niego Leas.- Tak, wiem. Zaraz dołączę.

Zadra zajął miejsce na dachu. Chwyciwszy się relingu, wystawił twarz na wiatr i słońce. Teraz, gdy nie był już Stróżem, mógł nareszcie docenić malowniczą okolicę, którą jechał. Krajobraz przechodził z jednego w drugi jak w kalejdoskopie: prowansalskie winnice po przejściu wojennego frontu, piaszczyste, nadmorskie wydmy, gęste lasy górzystego południa. Cała ta ziemia, tak zwana lubuska, wyglądała, jakby twórca zwyczajnie nie mógł się zdecydować, co chciałby tu mieć. Coś ładnego, to na pewno, więc region stał się jakby magazynem niedopracowanych pomysłów.

To wrażenie pogłębiała droga, którą właśnie jechali - trasa S3 wiecznie poszerzana, wiecznie w remoncie, przeładowana czopkami słupków i wyjątkowo niebezpieczna dla kierowców. Zadra pamiętał jeszcze, jak jeździł tędy ze swoją rodziną i jak wiele kosztowały go te podróże, zwłaszcza w nocy. Cały czas w napięciu, tuż przy uchu kierowcy, z oczami dookoła głowy. Rozluźniał się dopiero na wysokości Sulechowa, ale też nie całkowicie, by nie popełnić błędu wielu kolegów. Tyle razy słyszał, że moment, gdy kierowca po udręce drogowych robót widzi wreszcie dodatkowy pas i może nabrać prędkości, jest drugą najbardziej zdradliwą chwilą na trasie. Pierwsza to oczywiście rozluźnienie na ostatnich dziesięciu kilometrach.

- No ale w końcu nie powiedziałaś. Jak ci tam w ogóle? - zapytał Leas, jeszcze zanim w pełni się pojawił. - Nie żałujesz czasem?

Zadra przesunął się odrobinę, by zrobić miejsce dla kolegi. Wyminął ich właśnie bus oznaczony tabliczką „przewóz osób” i oklejony reklamami apartamentów do wynajęcia. Na jego dachu siedziało trzech Stróżów, jeden pozdrowił ich machnięciem ręki. Zadra odpowiedział podobnym gestem.

- Czasem żałuję - przyznał po chwili. - Wiesz, bycie Stróżem jest we mnie wpisane. Jak widzę ciebie i twoich, czy w ogóle kogoś z ekipy...No, bywa trudno.

Umilkł i skupił wzrok na obładowanym, matowo czarnym oplu kombi. Jadąca w nim rodzina nie miała Stróża, ale z pewnością nie brakowało im dobrych humorów. Dzieciaki z tyłu kołysały się równo, więc pewnie w takt

muzyki. Ich usta układały się w słowa, których aniołowi nie chciało się rozszyfrowywać, ale wiedział, że są tekstem piosenki. Siedzący za kółkiem wytatuowany mężczyzna prowadził pewnie, choć odrobinę za szybko, z tą niedbałością kogoś, kto ma prawo jazdy od zawsze i dawno nie miał choćby stłuczki. Ostrzejsze zakręty ścinał nieco za mocno, ledwo przed nimi zwalniając. Zadra złapał się na tym, że zastanawia się, dlaczego rodzina nie ma Stróża. Ateiści? A może po prostu czekają na przydział?

- Ale z drugiej strony sam wiesz, że WINA jest potrzebna - podjął przerwany wcześniej wątek. - Bo inaczej, któż strzeże Stróży, no nie? Namnożyło się szarej strefy, zbyt wielu spośród naszych nie wyczuwa już granic, intencje są może dobre, ale wiesz, co mówią o dobrych intencjach?

- Że Lucyfer wyklada nimi taras, tak słyszałem. - Leas zaśmiał się nieco nerwowo, po czym zanurzył głowę w dachu, by powiedzieć coś kierowcy. Samochód wyraźnie zwolnił i gładko wszedł w niebezpieczny zakręt. Stróż wyprostował się i otrząsnął, jakby wyciągnął głowę z wody. - A ten cały Butch? Jak ci się z nim pracuje? Bo wiesz, krążą o nim legendy, że... no wiesz.

Zadra potrząsnął głową.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparł. - Widzisz, pracuję z nim, więc nikt mi nic nie powie, jeśli nie zapytam wprost w ramach przesłuchania. A tego przecież nie zrobię.

Leas podniósł rękę do twarzy, skubnął nos opuszkami, po czym zdając sobie sprawę z tego tiku, natychmiast chwycił się za ucho, jak po poparzeniu. Wyraźnie krępowała go i stresowała ta rozmowa.

Widząc to, Zadra uznał, że najwyższa pora się zbierać i dać koledze spokojnie pracować, ale wtedy Leas odchrząknął i zaczął mówić:

- Nie chodzi tylko oto, że był w archanielskich oddziałach specjalnych, chociaż wiesz, co o nich mówią, o tym, że widzieli rzeczy, którym nawet my, aniołowie, nie dalibyśmy wiary...

Zadra pokiwał głową.

- Słyszałem kilka jego odtajnionych historii i zgadzam się. Trudno uwierzyć.

- No właśnie. - Leas uniósł w górę palec. - Ale to nawet nie o to chodzi, tylko... Byli tacy, co chcieli się czegoś o nim dowiedzieć i...

- Mówiąc, że byli tacy, masz na myśli...? Nieważne, kontynuuj, proszę.

- No chodzi o to, że jego nie było. A potem nagle był.

- No, to się zdarza. Był na misjach. Wiele z nich było naprawdę tajnych - wyjaśnił Zadra, ale Leas tylko potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz, Zadra. Nie chodzi oto, kiedy go nie było, tylko o to, jak jest, gdy już jest.

Zadra odgarnął grzywkę, którą wiatr wepchnął mu do oczu.

- Nie obraż się bracie, ale... to, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu.

- Chodzi oto, że on kiedy się pojawił, to tak, jakby był cały czas i od zawsze. - Leas, świadom wiszącej w powietrzu porażki, heroicznie podjął kolejną próbę wyjaśnienia, o co mu chodzi. - Z kimkolwiek rozmawiasz, nie potrafi wskazać początku, kiedy Butch się zjawił i został agentem Winy...

- WINA, tego się nie odmienia - odruchowo poprawił Zadra. - I nadal nie rozumiem...

- On jest jak dogmat, Zadra. Uchwalony działa wstecz, bo był od zawsze. Leas podrapał się po głowie. - Widzisz, wszyscy wiemy, kiedy ty zostałeś agentem, i po tym wnioskujemy, że wtedy się zaczęło. Ale jeśli chodzi o niego... No z wami to jest tak, jakby wejść do pokoju, który jest na pozór normalny, ale jedna ściana jest zwyczajna, a ta przeciwległa ciągnie się w nieskończoność, bez początku i końca. Butcha nie było, Zadra. A teraz jest, i kiedy już się zjawił, to jest bardziej, niż jesteśmy my. Teraz łapiesz, co ci próbuję przekazać?

Zadra miał właśnie zamiar odpowiedzieć, że ani trochę, ale w tym momencie gdzieś od strony lasu rozległ się huk i niemal w tym samym momencie opel kombi zatańczył na drodze, gwałtownie odbijając w prawo, ku krawędzi drogi i rozkopanemu rowowi.

Wyglądało na to, że wóz runie prosto w dół najeżony prętami zbrojeniowymi wystającymi z betonowego bloku, ale wtedy tuż przy oknie kierowcy zmaterializował się anioł, zanurzył ręce w szkle szyby i mocno, pewnie szarpnął kierownicę. Tylne koła zaboksowały na piachu, a oplem zarzuciło, tym razem w drugą stronę, tak że wóz stanął w poprzek jezdni. Ułamek sekundy później uderzył w niego hamujący renault.

Z obu samochodów natychmiast wyskoczyli kierowcy, choć trudno było jeszcze ocenić, z jakim nastawieniem. Kierowca renaulta nie miał Stróża. Ten, który zmaterializował się przy oplen, zajęty był sprawdzaniem, czy coś nie stało się reszcie rodziny.

- Widziałeś to?- Zadra obejrzał się na Leasa, ale ten był już w środku i powoli instruował swojego podopiecznego, jak powinien się zachować.

Przypomniał też o włączeniu awaryjnych jako ostrzeżenia o korku. Dopiero gdy pojazd się zatrzymał, a Rudecki bezpiecznie wysiadł, Leas znowu pojawił się na dachu.

- Ależ akcja, nie? - powiedział. - Dobrze, że tym razem się udało.

Zadra bardzo wolno skinął głową. Coś mu w tym wszystkim nie grało. Przed oczami wciąż miał anioła materializującego się przy wozie dopiero w momencie wypadku. Nikt, żaden Stróż nie był do tej pory tak szybki! To dlatego wszyscy większość czasu siedzą przy swoich i są tak czujni, zwłaszcza na drogach jak ta. Czyżby trafił się tutaj jakiś wyjątkowy talent?

- Coś mi tu nie gra, Leasie- powiedział w końcu, zsuwając się z dachu. - Muszę się temu przyjrzeć.

- Tak, jasne, oczywiście, brachu. - Stróż roześmiał się nerwowo. - Służba nie drużba, nie? Ale powiedz, ja wszystko dobrze, tak? Prawidłowo i bez tych, nadużyć?

Zadra odwrócił się i spojrzał na przyjaciela. Widząc jego pełną troski twarz, poczuł, że powinien go teraz pocieszyć. W końcu tyle dekad służyli razem, tyle wspólnych akcji, wspierania się wzajemnie. Ale to był Zadra Stróż, z dawnych dni. Teraz był Zadra z WINA, a ten nie był od pocieszania kogokolwiek.

- To się okaże, Leasie. Ale bez obaw. WINA jest zawsze po twojej stronie.

Anioł rodzinki z opla w pierwszej chwili zareagował na agenta z zaskoczeniem i przestrawieniem, ale zaraz się rozpoznał. Powiedział Zadrze, że nazywa się Setael, dla kumpli Seta, i zapytał, czy Zadra widział zdarzenie.

- No właśnie dlatego podszedłem- odparł agent.- To było niesamowite, jak pojawiłeś się dosłownie w ostatniej chwili. Nie widziałem jeszcze, żeby ktoś był tak szybki.

Seta wbił wzrok w ziemię.

- Byłem w pobliżu - powiedział skromnie. - Bardzo blisko. Tylko oni ostatnio nieustannie słuchają muzyki, której nie znoszę, i...

Urwał i przepaszająco spojrzał na Zadrę.

- Mogę tak, prawda? Nie muszę z nimi siedzieć cały czas?

Zadra roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie sędę, żebyś musiał - odparł. - Zwłaszcza jeśli reagujesz tak płynnie. Szarpnięcie kierownicy jest interwencją pierwszego stopnia, ale jeśli modlili się przed podróżą, jest uzasadnione. Modlili się?

- Tak, modlili — gorliwie zapewnił Seta. - To znaczy Mirek i Kaśka, rodzice, bo dziewczynki to niespecjalnie. Ale Mirek i Kasia *Ojciec nasz, Zdrowaś Mario*, polecenie się świętemu Krzysztofowi i do mnie też...

Zadra położył rękę na ramieniu Sety.

- Skoro tak, to WINA nie będzie cię dręczyć - zapewnił, po czym się obejrzał. - A przy okazji, co to było? Co się stało?

- Opona - odparł Stróż, wskazując na strzępy gumy oplatające felgę.

- No tak, to by tłumaczyło huk- stwierdził Zadra, ale ledwie wypowiedział te słowa, zmarszczył czoło. Uświadomił sobie, że coś mu nie gra, ale nie potrafił dojść do tego co. To było jak słowo na końcu języka, jak wrażenie *déjà vu*. Ledwie o krok, ale jednak poza zasięgiem i zupełnie w tym momencie nieuchwytnie. W końcu zrezygnowany potrząsnął głową i podał Secie dłoń. - No nic, oby teraz wszystko poszło gładko z resztą spraw. Nie przeszkadzam.

- Dziękuję, aniele...

- Zadra.

Tym razem to Seta się uśmiechnęła.

- Ciekawe imię dla agenta Winy.

Chciał go poprawić, ale uznał, że to bez sensu. Cofnął się o krok i zniknął.

ZIELONA GÓRA,
POLSKA

Chudy komik na niedoświetlonej scenie radzi) sobie bardzo przeciętnie i na pierwszy rzut oka byto widać, że jest spięty. Ta nerwowość udzielała się siedzącej przy stolikach publice, przez co reakcje były umiarkowane i czasem nieco wymuszone.

- A wiecie, co zrobiła wtedy moja matka? Weszła do pokoju, wzięła się pod boki i powiedziała: „Przepróś na chwilę koleżanki, ale nie będzie żadnego ruchania, dopóki nie wyrzucisz śmieci!”.

Gruby facet przy barze parsknął, a czterech pijanych krawaciarzy

roześmiało się w głos. Komik przyjął to za dobrą monetę, bo wyszczerzył się, potarł pryszczate czoło mikrofonem i przestępując z nogi na nogę, gładko przeszedł do opowieści o tym, jak poszedł się zatrudnić w banku. Ten kawałek szedł mu sprawnie i w rytmie, dużo lepiej niż poprzedni, ale stojący przy wejściu Zadra znał przyczynę takiego stanu rzeczy. Teraz przy komiku stał bowiem Stróż i szeptał mu żart wprost do ucha, czytając go z niewielkiej książeczki. Co oczywiście wywołało reakcję kilku innych aniołów obecnych na sali.

- To jest konkurs, łachudro, oszukujesz! - zawołał anioł blondynki całującej się z łysym, wytatuowanym gościem między flipperami.

- Ten dowcip był już stary, kiedy gromiliśmy Filistynów! - krzyknął drugi, spod samej sceny. To z kolei wywołało parsknięcie opiekuna barmana.

- My gromiliśmy? My?! Bitwę to ty, Histearosie, widziałeś dopiero, jak ten twój sknerus kupił sobie Netfliksa!

Anioł z pierwszego rzędu poderwał się z miejsca, przewracając stojący na stoliku kufel.

- Co do kur...!- krzyknął jego podopieczny, ale uspokojony dotknięciem anioła usiadł i zaczął ścierać resztkę piwa serwetkami.

Anioł Histearos przeszedł pomiędzy ludźmi z wyzywającą miną, kołysząc biodrami.

- Nie wiesz, z kim zadarłeś, koleś- powiedział donośnym szeptem. - Ale nie po to byłem swego czasu aniołem stróżem legendarnego Doca Hollidaya, by puszczać takie rzeczy płazem. Wyjdziemy na zewnątrz i...

- Ej, a może się zamkniecie?! - ryknął anioł ze sceny. Stojący obok niego komik, mimo iż nie widział całej tej sceny, z jakiegoś powodu zmieszał się i zaciął. - Próbuujemy tu rozśmieszać ludzi! Stand- up to sztuka!

Histearos wziął się pod boki.

- Tak, sztuka. Powiedz to Peloesowi! - rzucił wyzywająco, ale brak reakcji pobratymców wyraźnie go zmieszał, bo zaraz rozejrzał się nerwowo. - No co wy, nie łapiecie? Peloes obsługiwał siostry Red, aktorki porno, które...

- Łapią, łapią - mruknął ten przy barze.- Tylko nie uważają za śmieszne. Może po prostu przestreliliś jak ten twój Doc Holli...

Umilkł, bo właśnie w tym momencie dostrzegł Zadrę. Ten przyłożył palec do ust i pokazał, by Stróż wrócił do sprzeczki, ale było już za późno.

Wszystkie anielskie oczy skupiły się w jednej chwili na agencie. Zapanowała grobowa cisza.

- ...i ten dyrektor mnie pyta, dlaczego chcę pracować właśnie w ich banku. No to mówię: „Weź się, wujek, nie wygłupiaj”- dokończył swój żart stand- uper i tym razem nagrodzono go jedynie cichym pomrukiem wesołości. Było to otyłe smutne, że ten żart wieńczył całość występu i wyraźnie nie zostawił najlepszego wrażenia. Komik zdawał sobie z tego sprawę, bo choć próbował utrzymać na twarzy uśmiech, schodził ze sceny jak zbity pies.

Jego anioł pozostał na miejscu, wpatrzony w Zadrę, który wyłonił się z półmroku.

- Nie ma powodu robić zamieszania, panowie- powiedział.- Jestem tu tylko po jednego z was, i to w sprawie wykroczenia drugiego stopnia. Skończy się na ostrzeżeniu, nic spektakularnego.

Mówiąc to, szedł w stronę sceny, a ci, których wymijał, oddychali z wyraźną ulgą. W końcu, gdy nie było już wątpliwości, że zmierza do Stróża komika, anioł sufler zwiesił głowę i wlepił wzrok w deski podłogi. Przesunął się tylko o krok, by ustąpić miejsca gospodarzowi sceny, który poinformował publiczność, że to był ostatni z dzisiejszych, konkursowych występów i teraz jury będzie obradowało, a tymczasem wszyscy są zaproszeni do baru na piwo ze specjalną zniżką. Tę ostatnią informację nagrodzono gorętszą owacją niż wszystkich komików razem wziętych.

Zadra podszedł do Stróża na podeście.

- Anioł Zadra, Wydział Interwencyjny Nadzoru Anielskiego- przedstawił się. - Przeczytam ci teraz listę przewinień, których się dopuścił...

- Wiem, co zrobiłem, Zadra - warknął Stróż. - Darujmy sobie te formalności.

- Jesteśmy aniołami Pana, Stróżu. Nasze zasady to wszystko, czym... - umilkł, bo właśnie barman włączył umieszczone nad barem telewizory. Z odbiorników padła wiadomość o wyjątkowo krwawym karambolu na trasie pod Gorzowem. - Hej ty, przy barze, możesz zasugerować barmanowi, by dał głośniej?

- Jasne, agencie Zadra- odparł tamten i przechylił się przez kontuar. Barman za anielskim podszeptem podkręcił głośność.

- Obecnie jest sześć ofiar śmiertelnych i co najmniej siedemnaście w stanie ciężkim - mówił z przejęciem reporter obecny na miejscu kraksy. -

Przedstawiciele służb ratowniczych mówią zgodnie, że to najtragiczniejsze zdarzenie drogowe w ciągu ostatnich lat na polskich drogach.

Zadra zdążył właśnie pomyśleć o Leasie, gdy zobaczył na ekranie seata, na którego dachu niedawno jechał, wbitego w bok nowiutkiego passata. Drzwi samochodu Rudeckich były pootwierane, przy tych od strony kierowcy znajdowały się wgniecenia i nacięcia po strażackich szczypcach.

- Na Trony- westchnął, kręcąc głową.- Przecież ledwie przed chwilą...

- Wszystko w porządku, agencie?

Zadra odwrócił głowę i spojrział na zaniepokojoną twarz czekającego na pouczenie Stróża.

- Nie, przyjacielu- powiedział ze smutkiem.- Nic nie jest w porządku i chyba rzeczywiście darujemy sobie formalności. Wiesz, co zrobiłeś, zostajesz pouczony i nie czyni tak więcej. A teraz wybac

Zanim Stróż zdążył zareagować, Zadry już nie było.

Jak na kraj zdeklarowanych katolików, Stróżów na miejscu karambolu było stosunkowo niewielu. Większość stała teraz na poboczach obok karetek, radiowozów i wozów straży pożarnej, doglądając udzielania ich podopiecznym pierwszej pomocy. Kilku, podobnie jak Zadra, przyglądało się apokaliptycznemu pejzażowi przedstawiającemu kłębowisko pogiętej blachy, popękanych szyb i odłamków nadtopionego plastiku, zabarwionemu kłębami czarnego, gryzącego dymu i migoczącymi światłami kogutów.

Jeden z aniołów zawodził nad wrakiem niemal całkowicie spalonego autokaru. Drugi próbował go pocieszać, ale raz po raz zerkał przez ramię na owiniętego kocem ratunkowym młodego chłopaka mechanicznie unoszącego i opuszczającego dłoń z papierosem.

- Wszyscy, cała rodzina - powtarzał Stróż. - Byli w autobusie, co ja mogłem? W autobusie byli. Nawet modlitwa...

Po raz kolejny ukrył twarz w dłoniach. Czuwający nad nim kolega poklepał go po plecach i powiedział parę słów, po czym odszedł, dając mu chwilę sam na sam z sytuacją.

- Dopiero się zacznie.

Zadra drgnął zaskoczony i obejrzał się. Stojący obok niego anioł miał na sobie grafitowy płaszcz do połowy uda, a w zębach trzymał wykalaczkę. Wielu Stróżów, zwłaszcza tych towarzyszących stróżom prawa, przyjęło ten

głupi zwyczaj, naśladować w ten sposób pracującego dla archaniołów boga kłamstwa Lokiego. Trudno powiedzieć, czy myśleli, że to dodaje im powagi czy luzu, ale zdaniem Zadry wszyscy z patyczkami w zębach, niezależnie od gatunku, wyglądali jednakowo głupio.

- Co się zacznie? - zapytał agent.

- No zadyma. - Stróż zatoczył ręką koło. - Gdy wyjdzie, że sprawcą zdarzenia jest muzułmanin.

- To był zamach? - zdziwił się Zadra.

- Skąd! Kierowca tamtej ciężarówki, o tej, która się zapaliła, to Walid Czakov, z pochodzenia Czeczen. Mieszka... znaczy mieszkał pod Olsztynem, ojciec czwórki dzieciaków. Gdy ostatnio stracił pracę jako kierowca miejskiego autobusu, poszedł do kolegi szwagra na spedycję. Mieli z żoną kłopoty finansowe, więc Walid naginał trochę zasady i się przepracowywał. Usnął za kółkiem, walnął w cysternę i się zaczęło. Resztę zrobiła słaba widoczność, dym i fakt, że zdarzenie miało miejsce za łukiem. Do tego ekrany wygłuszające...

- Dużo wiesz - stwierdził Zadra, na co Stróż wzruszył ramionami.

- Mój dowodzi akcją z ramienia policji- wyjaśnił, po czym westchnął. - Cholera, przecież tu będzie zaraz jakaś masakra. Muszę podmienić Leszkowi kawę na bezkofeinową, bo mi się zajędzie.

Wypluł przeżutą wykałaczkę.

- A wybaczone, bo nie zapytałem. Twój to który? Coś poważnego?

- Och, ja nie jestem Stróżem. Zadra, Wydział Interwencyjny

Nadzoru Anielskiego. - Wyciągnął rękę i dał rozmówcy chwilę na wyjście z szoku. - Jestem ci wdzięczny za informację i odwzajemnię się poradą. Nie podmieniaj kawy, bo to bezpośrednia interwencja bez znamion konieczności i zdecydowanie może ci być poczytana za nadużycie. Uważaj też z tą wykałaczką, bo jak spotkasz mojego partnera...

- Bu... Butcha?- Stróż przełknął nerwowo ślinę i odruchowo wykonał gest, z którego sływał większy z agentów WINA, czyli potarł dłonią o podbródek.

Zadra pokiwał głową.

- Widzę, że o nim słyszałeś. No to wiedz, że nikt nie irytuje go tak jak Loki. No, może oprócz Stróżów, którzy próbują go naśladować.

- Ja... jasne - Anioł z miejsca stracił rezon. Ostrożnie zrobił krok do tyłu, potknął się o kawałek zderzaka, zatoczył się, ale złapał równowagę. - To

wiesz, wracam do obowiązków, i rozumiesz... dzięki za poradę.

- Nie ma sprawy. - Zadra zasalutował mu niedbale, jednocześnie rozbawiony i trochę zdumiony reakcjami, jakie wywoływał w aniołach Butch. Pomyślał o tym, co powiedział mu wcześniej Leas. O tym, że Butcha kiedyś nie było, ale od kiedy jest, to jakby był zawsze.

Rzecz jasna, Zadra widział to inaczej, on pamiętał moment, kiedy się poznali. Wtedy Butch miał być zwyczajnym Stróżem wdrożonym w program w ramach reorganizacji i aktywizacji wojskowych weteranów, a zadaniem Zadry było wprowadzić go w tajniki zawodu. To, co się wydarzyło później, co doprowadziło do powstania WINA, stanowiło dla Zadry... jak to mówią ludzie? Przygodę życia? W każdym razie dla niego wszystko to miało swój wyraźny początek, był czas przed Butchem i już z nim. Ale może faktycznie jest coś w tym, że w oku cyklonu pewne rzeczy postrzega się inaczej? Tylko które spojrzenie jest w takiej sytuacji prawdziwsze?

Przerwał te rozważania, gdy dostrzegł Leasa. Anioł stał przy barierce z rękami zaplecionymi na piersi i przyglądał się sanitariuszowi świecącemu w źrenice pani Rudeckiej. Pan Rudecki, trzymając na ręku córkę, rozmawiał z lekarzem i raz po raz zerkał na żonę.

- Co z nimi? Coś poważnego? - zapytał Zadra, materializując się przy Stróżu.

Leas w pierwszej chwili nie zareagował, dopiero po kilku długich sekundach potrząsnął głową, jakby się dopiero obudził.

- A, to ty, Zadra. Dobrze, że jesteś. Masakra, co nie?

- No nie da się ukryć. Nawet dosłownie.

- Pamiętasz tego gościa w bmw? Też się władował w ten karambol. Musiał gdzieś przystanąć albo co i teraz wóz sprasowało mu w kostkę i jest gdzieś... - Leas obejrzał się i chwilę szukał wzrokiem resztek SUV- a, ale w końcu machnął ręką. - No w każdym razie oboje śmierć na miejscu. Facet dupek, ale jego Stróża mi szkoda. Będzie miał teraz kłopoty? O niedopełnienie?

Zadra nie wiedział, choć przypuszczał, że to możliwe.

- Góra chwilę trawi takie rzeczy, jeszcze nie dostałem zlecenia. Ale widzę, tobie się udało?

- Powiem ci, bracie, że czyste szczęście. - Leas przeczesał włosy. - Wiem, nie powinienem tak mówić, ale sam zobacz. Gdyby nie ten wypadek

z oponą, gdybyśmy tam wtedy nie stanęli, Krzysiu byłby w samym środku tego kłębawiska. A już w ogóle pomyśl, jak się poczuje tamten facet z opła. Kto by pomyślał, że eksplodująca opona może być prawdziwym wybawieniem, nie?

- No, w sumie racja - przyznał Zadra. - Kto by...

Urwał, bo nagle dotarło do niego to, co wcześniej gryzło go przy tamtej sprawie, ta jedna myśl wyslizgująca się niczym spienione mydło z mokrych dłoni. Dźwiękiem, na który Zadra zareagował, wcale nie był huk wybuchającej opony.

WYDZIAŁ DS. STRÓŻÓW, NADZÓR ANIELSKI, ZAŚWIATY

Cherubin Henael niewiele mlał sobie do zarzucenia. Kiedyś być może byto tego więcej, ale odkąd wołą archaniołów przypadło mu stanowisko starszego archonta Nadzoru Anielskiego nie tylko czuł, że jest w miejscu, do którego wyśpiewał go swego czasu Głos Boga, lecz także że sam Nadzór uczynił placówką, jaka ucieszyłaby Pana, gdyby któregoś dnia ten zdecydował się powrócić.

Największą dumą napawał go oczywiście program *Restitutio* polegający na odwróceniu do tej pory jednostronnego procesu przepływu aniołów ze Stróżów do Chórów. Przed jego kadencją każdy Stróż po określonej liczbie przewinień wędrował do i tak już przeludnionych Chórów, by uczyć się śpiewać na chwałę nieobecnego Pana i ku ucieście jego mniej lub bardziej zasłużonych świętych. Oczywiście taki skompromitowany Stróż nie dostawał już szansy na powrót do zawodu - na to nigdy nie zgodziłby się zasadniczy archanioł Michał- ale przecież tak wielu było skrzydlatych, którzy eony spędzili właśnie w Chórach, podczas gdy mogliby się przysłużyć działaniom bardziej przyziemnym. Ten prosty zabieg pozwolił Henaelowi na rozbudowanie sekcji Stróżów o trzydzieści procent. Było to wynikiem imponującym w dokumentacji i wypadło dobrze także w praktyce, gdzie zdarzały się przecież komplikacje i wpadki.

Jeśli już Cherubin Henael miałby wskazać jedną rzecz, o którą miał do siebie żal i której nie umiał ze sobą przepracować, to była nią jego niechęć do anioła Butcha. Niechęć, co teraz przyznawał, zupełnie bezpodstawna, bo

choć początek ich współpracy rzeczywiście był niezwykle trudny i obfitował w nieprzyjemne epizody, to jednak od tamtego czasu agent WINA spisywał się absolutnie bez zarzutu, a swoje obowiązki wykonywał karnie i posłusznie, z prostą skutecznością, do której nawykł w wojsku. W dodatku obu skrzydlatych łączyła niechęć do mitycznego sługusa archaniołów, Lokiego zwanego Kłamcą, który zdaniem Henaela więcej przynosił szkody niż pożytku, grał na swoją własną korzyść i podsuwał aniołom różne dziwaczne pomysły.

Ileż to spraw o naruszenia regulaminu czy nadużycia mieli tu przez tego drania! Ileż sytuacji, gdy Henael musiał zacisnąć zęby i zmilczeć, bo skubany mityk rozegrał wszystko z przebiegłością i bezwzględnością Lucyfera, bez naruszenia choćby jednego przepisu. Mówił aniołom, co mają powiedzieć, by nie skłamać, ale przekierować pytania na właściwy tor, jak postępować, by osiągnąć, co trzeba, ale nie zarobić ostrzeżenia. A czasem już wszystko szło naprawdę źle, jak choćby w tej sprawie z zeszłego miesiąca, gdzie Kłamca wcześniej dotarł do dowodu rzeczowego w postaci nagrania i podmienił je na przerobiony film pornograficzny. Henael nie bez uczucia wstydu musiał przed sobą przyznać, że z jednej strony mocno go rozwścieczyła zagrywka Kłamcy, ale z drugiej, czuł radość, że utarł on wtedy nosa właśnie Butchowi.

- Powinieneś mu trochę odpuścić- powiedział mu po tamtej sprawie jego podwładny i jedyny przyjaciel, kadrowiec Darnaus. - Pamiętasz, że to dla niego sprawa osobista? Gdyby Butch nie stał się zThorem pod Valhallą, pewnie nadal byłby w wojskowej służbie czynnej. Ze wszystkich mitycznych, tych nordyckich ma prawo nie cierpieć najbardziej.

- Tym bardziej powinien się starać - powiedział wtedy Henael. - Gniew powinien być dla niego paliwem.

Czy naprawdę tak uważał? Wtedy pewnie tak, inaczej nie byłby wstanie tego powiedzieć - nie był wszak zdolny do kłamstwa. Ale czy po zastanowieniu powtórzyłby te słowa z pełnym przekonaniem?

Czy chciałby tu mieć tego olbrzyma o bardzo mrocznej przeszłości, której Cherubin znał tylko mały wycinek, w jego wścieklej, wiecznie nabuzowanej wersji? Czy taką bestię dałoby się w ogóle okiełznać?

Henael wzdrygnął się na wspomnienie agenta pocierającego kantem dłoni kanciastą szczękę. Na szczęście zawziętość Butcha sprawiła, że od tamtej akcji w zasadzie tu nie by...

Myśl w głowie anioła urwała się jak cięta płonącym, archanielskim

mieczem z chwilą, gdy Cherubin wyszedł zza rogu i nieomal zderzył się z... agentem Butchem. Olbrzym skłonił się karnie, ale w zacienionych kąciach ust czał się drwiący półuśmieszek.

- Cherubinie - powiedział.

- Agencie Butch, właśnie o tobie myślałem I - zawołał Henael, siląc się na uśmiech. Zawsze go to zaskakiwało, że choć nie mógł oficjalnie kłamać, był w stanie uśmiechnąć się jak teraz, z fałszywą sympatią. Czy to również nie było kłamstwo? - Cóż cię sprowadza do wydziału? Jakies postępy w... - zawahał się i zatoczył ręką koło - sprawach?

- Jedne większe, inne mniejsze- odparł olbrzym.- Ale do wydziału ściągnął mnie Zadra, bo ma jakąś nietypową sprawę i chciał, bym mu pomógł w przesłuchaniu. Mówi, że ponoć sama moja obecność zmienia nastawienie przesłuchiwanego i większość rezygnuje z Kłamcowych sztuczek.

Henael skinął głową na znak, że rozumie. Rzeczywiście nieraz słyszał, jak aniołowie mówili sobie, że Butcha boją się bardziej niż archanioła Michała, który był Ogniem Pana. I choć to porównanie miał za mocno przestrzelone, wiedział, skąd się bierze. Większość Stróżów widywała najgroźniejszego z archaniołów tylko od wielkiego dzwonu. Butch natomiast mógł zjawić się przy nich w każdej chwili i raczej nie zwiastował podczas tych wizyt niczego miłego.

- Ten podejrzany jest już tutaj? - zapytał.

Butch pokręcił głową.

- Zadra dopiero przed chwilą znalazł go w aktach, bo nie pamiętał imienia. Teraz po niego poleciał, a ja - wskazał ręką na najbliższe drzwi - rezerwuję salę przesłuchań.

- Jasne. - Henael już miał ruszyć, ale nagle zmarszczył czoło.- A właściwie czego dotyczy ta nietypowa sprawa?

- Dokładnie nie wiem- przyznał Butch.- Na ile zrozumiałem, Zadra podejrzewa, że Stróż sam doprowadził do wypadku, by następnie w ostatniej chwili zainterweniować. Ponoć miał, i tu właśnie nie wiadomo, albo samemu strzelić w koto jadącego pojazdu, albo nakłonić do tego kogoś innego.

Henael podrapał się po głowie.

- I po co miałby to zrobić, bo nie rozumiem? Przecież nie nagradzamy za interwencje.

- My nie - wzruszył ramionami Butch. - Ale może istnieje jakiś wewnętrzny ranking Stróżów, zakłady, w których stawką są pióra...

- Są ku temu jakieś przesłanki? Podstawy, by przypuszczać, że taki proceder istnieje?

Górna warga Butcha uniosła się, odsłaniając zęby.

- Prócz oczywistej, Cherubinie?

Henael cofnął się odruchowo i natychmiast poczuł do siebie niechęć z tego powodu. To on tu był przełożonym. To jego powinni się bać. Nawet Butch. Odchrząknął w zaciśniętą pięść i odpowiedział stanowczo:

- Gdy pytam, nie życzę sobie odpowiedzi pytaniami. Jakie przesłanki każą Zadrze sądzić...

- Ja tu jestem tylko słupem do straszenia, Cherubinie - wszedł mu w zdanie Butch. - Proszę zapytać Zadrę. To jego sprawa... O, właśnie zjawił się w sali.

Wskazał brodą okienko w drzwiach do pokoju, w którym przed momentem rozbłysnęło białe światelko, po czym złapał za klamkę, otworzył drzwi i zaprosił Henaela gestem.

Cherubin nie miał na to czasu, lada chwila spodziewał się wizytacji Gabriela. Ale coś w minie Butcha nie pozwoliło mu dać agentowi tej satysfakcji. Gdyby modlitwy anielskie miały jakikolwiek sens, pewnie poprosiłby teraz Boga, by zabrał od niego ten upór i zaciętość. Zamiast tego westchnął tylko, zacisnąwszy dłoń na trzymanej przy piersi teczce z dokumentacją, wszedł do sali przesłuchań i skręcił w lewo, do wyciemnionego pomieszczenia dla obserwatorów.

- Imię?

- Setael.

- Posługa?

- Anioł stróż.

- Liczba podopiecznych?

- Czworó.

- Czas służby z aktualnym podopiecznym lub podopiecznymi?

- Trzydzieści pięć lat.

- A wcześniej?

- Dziedziczony ze strony matki, tam łącznie siedemdziesiąt sześć lat, z

czego łączonych dwadzieścia dziewięć, wcześniej...

- Wystarczy. - Zadra przerwał notowanie, odchylił się na krześle i uśmiechnął się do siedzącego naprzeciwko anioła. Ten odpowiedział nieco zmieszonym, nerwowym uśmiechem.

Byli sami w szaro- białym pomieszczeniu, przedzieleni stołem o metalowym blacie. Za plecami Zadry znajdowało się lustro, o którym obaj aniołowie wiedzieli, że jest jedynie zmyłką. Ludzie na zwierciadła takiego typu mówili „weneckie”, mając na myśli fenickie, ale tu zwykle się je nazywać po cichu lucyferskim, bo to właśnie Gwiazda Zaranna, jak głosiła powtarzana w Zaświatach plotka, powiedział kiedyś do archanioła Michała pamiętne słowa: „Jeśli spojrzysz w twarz człowieka, który przekonany, że nikt go nie widzi, przygląda się samemu sobie, szybko dojdiesz do wniosku, że pogłoski, iż jest koroną stworzenia, były mocno przesadzone”.

Oczywiście ów rzekomy cytat zupełnie nie pasował do Setaela, który po pierwsze, był aniołem, po drugie, wiedział, że za ścianą ktoś stoi, i wreszcie po trzecie, nie był tu przecież sam. Zadra jednak, biorąc Stróża do pokoju przesłuchań, miał w pamięci inną, dawno temu powiedzianą mądrość: „Niebezpieczeństwo, które sobie wyobrażasz, jest zawsze większe, niż to, które się na ciebie czai”. I to już była prawda dotycząca wszystkich bez względu na gatunek.

- No dobrze, Setaelu... czy wolisz Seta? Jak mam do ciebie mówić?

Stróż wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jak będzie lepiej wyglądało w protokole - odparł.- Mogę się dowiedzieć, o co właściwie chodzi? Czy o tamtą sprawę na drodze? Mam jednak kłopoty za nadużycie i szarpnięcie kierownicy?

Zadra, milcząc, przełożył kartki w dokumentacji. Jedna z pierwszych zasad dotyczących anielskich przesłuchań, jakie spisali sobie wraz z Butchem, dotyczyła właśnie niebezpieczeństw związanych z tym, że ani przesłuchujący, ani przesłuchiwany nie mogą kłamać. To znaczyło, że ten, kto otrzyma więcej odpowiedzi, nieważne, po której stronie biurka siedzi, zyskuje przewagę nad rozmówcą i może tak formułować swoje wypowiedzi ogólne, by bez jednego kłamstwa skierować swego rozmówcę na zupełnie inne tory. Butch twierdził, choć udowodnić nie potrafił, że ta metoda kontrowania przesłuchań to sztuczka Lokiego, bo aniołowie nie byliby zdolni do wymyślenia takiego mechanizmu. To wymagało złej intencji, a przede wszystkim pomysłu i zdolności długofalowego myślenia strategicznego, o które Butch skrzydlatych nie posadzał. Zadra był skłonny

się z nim w tej kwestii zgodzić. Stróż, w tym niedysiejszy on sam, lepiej radzili sobie z wprowadzaniem w życie gotowców niż z tworzeniem planów.

- Czy mógłbyś mi opowiedzieć swoimi słowami, co wydarzyło się dzisiaj około godziny osiemnastej trzydzieści na drodze S3 na odcinku...

- Chodzi o zdarzenie z pękniętą oponą? - Seta spróbował skrócić pytanie i Zadra przystał na to skinieniem głowy.

- Tak.

Setael westchnął ciężko.

- Zainterweniowałem fizycznie poprzez złapanie i skrócenie kierownicy samochodu marki Opel należącego do mojego podopiecznego Mirosława Krzemińskiego i przez niego prowadzonego, tak by pojazd, nad którym kierowca utracił kontrolę, nie wpadł do rowu i tym samym nie uległ poważnemu lub całkowitemu zniszczeniu. Przyczyną wydarzenia była przednia prawa opona, która eksplodowała i...

- Czy to na pewno była przyczyna? - przerwał mu Zadra.

Setael zamrugał wybity z rytmu.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Pytam, czy od tego się zaczęło - doprecyzował Zadra. - Czy w całym tym ciągu zdarzeń, który doprowadził do twojej interwencji, uznałbyś, że eksplozja opony była tym pierwszym?

Anioł Setael zmarszczył czoło, a następnie na ułamek sekundy spojrzał nieco wyżej, ponad głowę Zadry, na lustro.

- Ponieważ pytanie jest mocno złożone i trudne do zrozumienia, odpowiem tak: eksplozja opony była bezpośrednią przyczyną, dla której dokonałem interwencji i złapałem za kierownicę.

Zadra pokiwał głową, zanotował coś, odłożył pióro i odchylił się na krześle, zaplatając ręce na piersi.

- Chcesz powiedzieć, Seta, że złożoność pytania sprawiła, że go nie zrozumiałeś? - upewnił się.

Seta znowu ukradkowo zerknął na lustro.

- Mówię tylko, że jest trudne do zrozumienia i...

- Więc zapytam prościej. - Agent nie dał mu dokończyć. - Czy wiesz, co było przyczyną eksplozji opony w samochodzie twojego podopiecznego?

Tym razem Seta się nie wahał.

- Tak.

- I co to było?

- Pocisk ze strzelby myśliwskiej wystrzelony przez myśliwego polującego w pobliżu.

Zadra powoli pokiwa! głową, po czym wstał i z wciąż zaplecionymi na piersi rękami zaczął przechadzać się po pokoju.

- Zaobserwowałem, że w chwili zdarzenia, to jest w momencie gdy, jak mówisz, kula myśliwego sięgała koła samochodu, ciebie nie było przy twoich podopiecznych. Czy to prawda?

- Czy to prawda, że zaobserwowałeś, czy że mnie nie było? - Seta teraz już bez skrępowania wpatrywał się w lustro, wodząc wzrokiem za odbiciem Zadry. Agent przystanął i ujął brodę w dłoń, jednocześnie mrużąc oczy.

- Masz rację, źle sformułowałem pytanie - przyznał. - Pozwól więc jeszcze raz. Gdzie byłeś w chwili, gdy pocisk przebijał oponę?

- Przy pojeździe Krzemińskich.

- A sekundę wcześniej?

Seta spojrział w dół, gwałtownie w górę i gdy tylko oczy jego i Zadry spotkały się w odbiciu, uciekł wzrokiem w bok.

- Byłem w lesie, obok myśliwego, który strzelał – odparł.

- I co tam robiłeś?

- Za pomocą spłoszonego zająca wpłynąłem pośrednio na to, by skierował lufę niżej, bo inaczej, wedle mojego przeświadczenia, oddałby strzał zagrażający życiu moich podopiecznych.

Zadra usiadł na krawędzi blatu. Potrząsnął głową.

- Pytam, co robiłeś w lesie i dlaczego byłeś tam, a nie z podopiecznymi.

- Rozmawiałem ze Stróżem myśliwego. To mój kolega, ostatnio trochę w kłopotach.

Zadra obszedł biurko, wrócił na miejsce i ponownie otworzył notatnik.

- Imię kolegi.

- Będzie miał kłopoty?

- Imię kolegi, Strózu!

- Easaam. - Skapitulował Seta. Opuścił głowę i zaczął oglądać własne dłonie. - Gadaliśmy i nie zauważył, co się święci, więc zareagowałem ja. To nie tak, że cokolwiek zaniedbał, ja, on...

- W porządku, tu zrobimy przerwę. - Zadra ponownie wstał i tym razem schował notes do tylnej kieszeni spodni.- Gdy wrócę, zaczniemy od początku i będę miał kilka dodatkowych pytań.

- Rozumiem. - Seta skinął głową. - A co z Easaamem? Narobiłem mu

kłopotów?

Zadra wyszedł, nie udzieliwszy odpowiedzi.

- Nie rozumiem potrzeby tego przesłuchania, agencie - powiedział Henael, gdy Zadra znalazł się w drugim pokoju. Widząc, że anioł jest zaskoczony jego obecnością, a na jego usta ciśnie się pytanie, co Cherubin tu właściwie robi, szybko rozwinął swoją wypowiedź. - To znaczy oczywiście widzę tu niedopatrzenie, zaniedbanie obowiązków, ale to się nawet nie kwalifikuje pod ostrzeżenie, zwłaszcza że wszystko zakończyło się, jak rozumiem, dobrze? Żaden podopieczny nie zginął?

- Nie zginął - zgodził się Zadra. - Ale...

- A to nadużycie, o którym wspomniał przesłuchiwany Stróż? Czy miało uzasadnienie w udzielonych mu modlitwami pełnomocnictwach?

- Tak, miało, ale...

- W takim razie zupełnie nie rozumiem, dlaczego akurat w dniu wizytacji archanielskiej urządzasz nam tutaj...

- Ciszej!- wtrącił się Butch. Jedno słowo wypowiedziane nieznoszącym sprzeciwu tonem sprawiło, że Henael w jednej chwili przeszedł z nieomal krzyku w szept. Gdy zdał sobie z tego sprawę, próbował zaraz wrócić do właściwego natężenia, lecz nie był w stanie kontynuować choćby o decybel głośniejsz. Poczuł, jak z tego powodu wypełnia go wewnętrzna niechęć do samego siebie.

- Co jest w tym aniele takiego, że musiałeś go ściągnąć aż tutaj, Zadra? - zapytał. - Odpowiedz zaraz albo zabieraj go stąd.

Zadra zwlekał z odpowiedzią, uciekając wzrokiem, jak jeszcze parę minut wcześniej robił to Seta w pomieszczeniu obok. Patrzył to na ścianę, to na Butcha, to znowu na przyciemnioną szybę, za którą niecierpliwiał się przesłuchiwany Stróż. W końcu westchnął i wyjął z kieszeni notes. Przekartkował go, by znaleźć szereg chaotycznych, matematycznych wyliczeń, które pokazał partnerowi i przełożonemu.

- Nazwijmy to przecuciem, Cherubinie- zaczął i zaraz uniósł palec na znak, że prosi, by mu nie przerywać.

Henael zamknął usta.

- Chodzi o to - kontynuował Zadra - że byłem tam wtedy, w momencie zdarzenia. Słyszałem huk, a potem byłem świadkiem zmaterializowania się

anioła Setaela. Zdziwiło mnie, że na tak trudnym odcinku nie towarzyszył swoim podopiecznym cały czas i że tak doskonale wyczuł moment eksplozji opony. Zwłaszcza że pytany na miejscu, odpowiadał bardzo krótko, konkretnie i...

- Wąsko, aby odpowiedzieć na pytanie, na które ma się wygodną odpowiedź, ale za żadne skarby nie dać poszerzyć kontekstu — dopowiedział Butch. - Szkoła Lokiego, za opłatą uczy ich takich sztuczek. Podobnie jak odpowiadania pytaniem na pytanie albo snucia opowieści tak, by...

- Czytałem wasz raport - przerwał mu Henael. - Stanowi cenną lekcję dla nas wszystkich i jest używany podczas szkoleń dla kadetów z programu, więc dziękuję. Ale w tej sprawie - zwrócił się ponownie do Zadry- jak rozumiem, twoje wcześniejsze wątpliwości zostały właśnie wyjaśnione? Możemy zamknąć tę sprawę?

Zadra z wyraźną niechęcią powoli pokiwał głową.

- Tak, to znaczy nie, bo miałem jeszcze jedną wątpliwość, ale ta usłyszana odpowiedź zdaje się wykluczać to, co mi się wydawało.

- Zdaje się czy wyklucza? - zapytał Butch. W jego oczach błysnęło światełko zaciekawienia.

- Nie no, raczej... raczej wyklucza.

Henael przeniósł wzrok z jednego anioła na drugiego. Nie miał najmniejszej ochoty zadawać teraz tego pytania, ale wiedział też, że wisi ono w powietrzu. Lepiej niech padnie, nim zjawi się Gabriel. Może jeszcze zdążą przed jego wizytą?

- Co to była za wątpliwość, Zadra?

Agent podrapał się notesem po potylicy.

- No, to dość daleki strzał i trochę mi głupio tak, ale te wyliczenia, które sobie przeprowadziłem... Chodzi o to, że ten kolega, z którym jechałem, jego rodzina, która przejeżdżała obok miejsca zdarzenia, zatrzymała się tam na chwilę i to uratowało ich od tragicznych skutków tego wielkiego karambolu. Znaczący wzięli w nim udział, ale dzięki temu, że przystanęli...

Wnioskując po minie Henaela nie musiał kończyć wywodu, więc umilkł. Cherubin zmrużył oczy, postukał palcem w tekturę trzymanej teczki, odchrząknął i zerknął przez szybę.

- Niech cię dobrze zrozumiem - powiedział w końcu. - Chcesz powiedzieć, że uznałeś zdarzenie za akt sabotażu przeprowadzony po to, aby

uchronić podopiecznych przed większym złem?

- Tak.

- Ale w chwili zdarzenia ten karambol...

- Jeszcze nie miał miejsca, o to mi właśnie chodzi - wyjaśnił Zadra.

Henael znowu umilkł na czas potrzebny, by uważnie przyjrzeć się

Secie za szybą. Szukał w nim wszelkich oznak, jakie wyczytał w raporcie Butcha na temat szkoły Lokiego i sugerowanych przez Kłamcę metod. „Pamiętaj, że nie możesz kłamać, ale też, że nie ma jednej prawdy. Jeśli jesteś wystarczająco sprytny, to ty wybierasz, która z prawd nakryje pozostałe”.

- Uważam, że powinieneś dalej iść za przeczuciem, Zadra- powiedział w końcu. - Zbiegi okoliczności mogą się zdarzać, ale to przecież nie tak, że powinniśmy je zakładać z góry, zwłaszcza jeśli instynkt mówi nam coś innego, prawda, agencie?

Spojrzał na Butcha, a ten skinął delikatnie głową. Jednocześnie, co trudno było przeoczyć, uniósł dłoń do twarzy i potarł szczękę kantem dłoni.

Zadra przekartkował notes.

- Tak myślicie? Obaj? Że powinienem pójść dalej w tym temacie? Zapytać go wprost, czy wiedział o mającym się wydarzyć karambolu, a jeśli tak, to skąd?

- Loki - warknął Butch, ale Henael pokręcił głową.

- Kłamca nie ma zdolności przewidywania przyszłości — zauważył. - Można oczywiście zapytać, czy nie dostał skądś cynku i go nie sprzedał, ale jednak, zważywszy na moje i wasze z nim doświadczenie, musicie przyznać, że on, za stosowną opłatą, przygotowałby to jednak lepiej. Nie dopuściłby, by prowadziły do niego tak proste ślady.

- Może chcieć, byśmy właśnie tak myśleli - stwierdził Butch, z czym Cherubin nie zgodził się po raz wtóry.

- Metoda „ja wiem, że on wie, że ja wiem, że on wie” nie sprawdza się, jeśli możesz zapytać wprost tego tam. - Wskazał Setę brodą. - Wystarczy, że zadasz mu pytanie, czy wedle jego wiedzy Kłamca jest bezpośrednio zaplątany w to zdarzenie, i już, wszystko się sypie. A to nie tak, że Loki pracujący dla Michała ma *carte blanche*. Jeśli suma zysków i strat wskaże archaniołom, że jednak bardziej szkodzi, niż pomaga...

Urwał, widząc, jak pięści Butcha coraz szybciej to zaciskają się, to znowu rozluźniają. Wyraźnie puszczały mu nerwy. Jeszcze chwila i gotów

był potrzebne mu odpowiedzi wyrwać prosto z gardła siedzącego za szybą Stróża. Zadra też to zauważył; uderzył notesem o otwartą dłoń.

- No dobra, to idę go o to wszystko zapytać - powiedział.

- Ja to zrobię - rozległ się głęboki, niski głos, a następnie w pokoju pociemniało, a czerń rozlała się po ścianach niczym smoła, by zaraz zbiec się w jednym miejscu i uformować postać- mężczyznę o niemal kobiecych rysach, długich, czarnych włosach i z trzema parami skrzydeł, z których jedne wznosiły się ku niebu, drugie sterczały na całą rozpiętość, a trzecie osłaniały postać niczym zbroja. Cała trójka zebranych w pomieszczeniu aniołów wiedziała, że ten zaawansowany i raczej rzadko widywany sposób materializacji znaczył, że objawiający im się archanioł przybywa z naprawdę daleka, z miejsca i czasu, gdzie przyszło mu przyjmować zupełnie inną formę, niepodobną ludzkiej.

- Gabrielu - powiedział Henael, a następnie cała trójka skłoniła się z szacunkiem.

- Ja go przesłucham - powtórzył archanioł, strzepując z białego T- shirta niewidzialny pyłek i jednocześnie chowając skrzydła. Gdy już ostatecznie przybrał cielesną formę, jego głos przestał brzmieć tak złowieszczo i mrocznie, a rysy twarzy, wcześniej surowe, nabrały łagodności. Zwrócił się w stronę Zadry i uśmiechnął się szeroko. - Dobra robota, agencie. Widać powołanie was było jednak dobrym pomysłem.

- Dziękuję, archaniele - odparł Zadra. Dumny z siebie spojrzał na Butcha, ale ten tylko prychnął i potarł szczękę. - Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Rzeczywiście pomogłeś - odparł archanioł i wyszedł.

Patrzyli, jak pojawia się w sali przesłuchań, jak Seta tężeje na jego widok, a jego oczy stają się wielkie jak spodki. Archanioł podszedł blisko i pochylił się tak, że od przerażonego oblicza Stróża dzieliło go może kilka centymetrów.

- Gdzie twoi podopieczni byli ostatnio na wakacjach? Pytam o kraj.

- Gre... Gre... Grecja - odpowiedział Setael i zerknął ukradkiem w stronę szyby. Zadrze wydało się przez moment, że Stróż patrzy na niego z wyrzutem, jakby ten, napuszczając nań archanioła, dopuścił się zdrady. Było to oczywiście irracjonalne, pozbawione podstaw uczucie, ale mimo to nieprzyjemne, aby więc się go pozbyć, Zadra sam spojrzał z wyrzutem na Butcha.

- Co miało oznaczać to prychnięcie, hę? - zapytał. - To przed chwilą, gdy

Gabriel powiedział, że pomogłem?

- Bo pomogłeś- odparł Butch, nie odrywając wzroku od archanioła za szybą. - Lokiemu pomogłeś.

- Lokiemu??? W jaki niby sposób... - Urwał, gdy Butch najpierw przyłożył palec do ust, a następnie tym samym palcem dotknął szyby.

- Słuchaj - polecił olbrzym.

Gabriel, który właśnie uzyskał odpowiedź na pytanie o dokładną miejscowość, odsunął się od Setaela i obszedł stół. Zaplótłszy, jak wcześniej Zadra, ręce na piersi, oparł się pośladkami o krawędź blatu.

- Czy podczas tych wakacji spotkałeś może trzy stare kobiety zawodowo lub hobbystycznie zajmujące się przędzeniem nici?

Seta potwierdził.

- Czy rozmawiałeś z nimi na temat wydarzeń przyszłych, szczególnie tych dotyczących twoich podopiecznych?

Kolejne skinienie głowy, na widok którego Zadra jednocześnie poczuł dumę i żal. To wrażenie towarzyszyło zwykle sprawom, które zamykał z werdyktem na niekorzyść anioła. Prawda została odkryta, ale zło się dokonało. A świadoma współpraca z mitycznymi - innymi niż wskazani przez archaniołów, co *de facto* sprowadzało wyjątki do Lokiego- była przewinieniem karanym z dużo większą surowością niż zwykle nadużycia czy zaniedbania. Seta musiał być tego świadom, a teraz, sądząc po minie, właśnie stracił resztki nadziei na to, że mu się upiecze.

- Parki - powiedział Henael. - Podobno próbowali je namierzyć od lat, odkąd Loki uświadomił ich, że wciąż są na wolności i działają. To gruba sprawa, Zadra. Będą pochwały.

Butch raz jeszcze prychnął, po czym odsunął się od szyby. Trąciwszy Zadrę barkiem, tak że ten mało nie upadł, wyszedł, trzaskając drzwiami.

Za przeszkloną ścianą Gabriel zapytał o coś jeszcze, po czym wyszedł z sali przesłuchań, by zaraz zjawić się w progu drugiego pomieszczenia.

- Henaelu, każ wezwać Kłamcę - polecił. - Będę w twoim biurze.

- Oczywiście, archaniele. - Henael ruszył w stronę drzwi, ale po dwóch krokach obrócił się. - A ty nie idziesz, bohaterze?

Zadra zawahał się. Spojrzał na złamanego Setaela wpatzonego teraz w swoje dłonie i powoli potrząsnął głową.

- Jeszcze chwilę tu zostanę - odparł.

- Jak sobie chcesz. Ale przyjdź później do mnie.

- Oczywiście, Cherubinie.

Gdy już został sam, podszedł do szyby i przywarł do niej rękami, nosem i czołem. Szkoła Lokiego. Zestaw sztuczek, jak kłamać, nie kłamiąc. Jak zwodzić pytającego iluzjami prawdy, skłaniać do zadawania nie tych pytań, które należy, i jak odrzucać odpowiedzialność jak najdalej od siebie samego. Wiele było zasad tej szkoły, które z Butchem zaobserwowali i spisali w swoim raporcie, ale było też kilka takich porad i sugestii, których nie umieli odpowiednio ująć, więc na razie odpuścili. Na przykład: kiedy należy skończyć pytać?

- Setaelu, słyszysz mnie? - zapytał przez szybę.

Stróż zadarł głowę.

- Słyszę - powiedział cicho.

Zadra wziął głęboki oddech. „Za tym, co uważasz za rozwiązanie”, napisał sobie kiedyś w notesie, który teraz tkwił w tylnej kieszeni jego spodni, „zawsze jest jeszcze przynajmniej jedno ważne pytanie”. Teraz było ich nawet kilka.

- Te wakacje w Grecji, na których byli twoi i gdzie spotkałeś Parki... Nie trafiliście tam przypadkiem, nie? Zapłaciłeś ekstra za wiedzę, gdzie konkretnie jechać. Powiesz mi komu?

Setael nie odpowiedział, ale to i tak nie miało znaczenia. To jeszcze nie był ten moment i Zadra dobrze o tym wiedział. Nic, co dałoby się udowodnić.

Odbił się rękami od szyby i wyszedł na korytarz. Idąc z rękami w kieszeniach, myślał o szalach wagi, sumie zysków i strat, lotym, że każdy w końcu popełnia głupie błędy.

<Klik>

Dziś krótko, bo zaraz zajęcia terenowe. Na tych lekcjach teoretycznych oglądaliśmy nagrania z szeregu opęttań. Uczyliśmy się rozróżniać diabelskie od mitycznych, przedstawiono nam metody postępowania i zgłaszania oraz pokazywano interesujące przypadki. Na ostatnim z filmów po raz pierwszy widziałem archaniola Michała, jak również mitycznego Lokiego zwanego Kłamcą. Metody działania mieli dość... nieortodoksyjne.

Ponoć Kłamca wiele ze swoich zachowań czerpie z filmów i tak zwanej popkultury, ale tu jeszcze nie wiem nic więcej, bo zajęcia z niej mamy mieć

dopiero wkrótce. Jestem ich bardzo ciekaw.

<Klik>

WŚCIEKŁOŚĆ I WRZASK

ROOSTER TOWN, GEORGIA,
USA

Spotkał ją prawie przypadkiem, bo tak właśnie było najlepiej. Nieplanowane sytuacje, o których szczerze mógł potem powiedzieć ojcu, że po prostu się zdarzyły. Nie musiał przy tym kłamać, że nie miał na to spotkanie ochoty- w to ani ojciec, ani tym bardziej wujaszek Zeb by nie uwierzyli - ale przecież spotkać kogoś przypadkiem to nic zdrożnego. Takie rzeczy zdarzały się codziennie, zwłaszcza w małych społecznościach.

Przypadkowi pomógł tylko tak, że na temat drogi, którą zamierza wracać, wygadał się chłopakom, akurat gdy w pobliżu była Lizzy. Stali we trzech przy szkolnych szafkach, on, Chris Chendriks i Hap Stevens. Chudzina Lizzy, niemal uginająca się pod ciężarem swych okularów w rogowych oprawkach, stała przy kranie ledwie kilka jardów dalej.

- Będę dziś wracał do domu drogą za ranczem Elicksów- zakomunikował nagle Samuel. - Pomyślałem, że może się przejdę, pomyślę trochę nad tym nowym opowiadaniem, które od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie.

Chris i Hap spojrzeli najpierw po sobie, a potem na niego tak, jak spoglądać mogą wyłącznie dwunastolatki z amerykańskiego Południa. To były spojrzenia ludzi, którzy potrafili pogardę wyrazić, a nawet uczynić motorem własnego postępowania, ale już nie przeliterować.

- Kogo obchodzi, którądy będziesz wracał do domu?- burknął Hap.

- Albo twoje durne opowiadania? - dodał Chris.

Samuel wzruszył ramionami.

- Tak tylko pomyślałem na głos - odparł, wiedząc, że wiadomość dotarła tam, gdzie miała dotrzeć.

Oczy Lizzy zaświeciły się tak mocno, że biorąc pod uwagę grubość i kształt szkieł jej okularów, mogłaby pewnie na podobieństwo Supermana zogniskować ten błysk w laserową wiązkę i wypalić mu dziurę w spodniach czy bucie. Na szczęście patrzyła na szafkę. Oddychając płytko, czekała, aż odejdą, by pobiec z tą wieścią do Carli Watts, szkolnej piękności chodzącej z Mitchem Murduckiem, kapitanem drużyny i szefem szkolnej bandy osiłków. Mitch miał z Samuelem na pieńku, odkąd ten ostatni pokonał go w wyścigu rowerowym z okazji Dnia Niepodległości. Było to kilka miesięcy temu i zdążyli już o tym zapomnieć wszyscy, ale nie Mitch, trwająca przy nim Carla i Lizzy, upatrująca w swym donosicielstwie szansy na zaistnienie w czyichkolwiek oczach.

Samuel nie wiedział, jak ta informacja docierała potem dalej, ale dotychczasowe doświadczenie podpowiadało mu, że gdy puszczał wieść przez Lizzy, ona zawsze się jakoś dowiadywała i potem znajdowała sposób, by się z nim spotkać lub chociaż mu się pokazać.

Tym razem Samuel po raz pierwszy pomyślał, że system przestał działać. Zdążył już obejść farmę, wejść na ścieżkę idącą wzdłuż jeziora i niemal stracić nadzieję, gdy dostrzegł ją na początku Pomostu Topielców. Stała wsparta plecami o pal z przybitą do niego tabliczką, na której widniał dawno zatarty regulamin dotyczący połowów. Teraz na drewnianej desce widać było tylko cztery kreski pionowe i przecinającą ją jedną ukośną. Liczba osób, które zabiły się, czy to na własne życzenie, czy po pijaku, skacząc z tego właśnie pomostu.

- Musimy porozmawiać - powiedziała, gdy wszedł w zasięg jej jak zwykle cichutkiego, ledwie słyszalnego głosu.

Przystanął i zrobił daszek z dłoni. Dopiero teraz mógł się przyjrzeć jej rudozłocistym włosom opadającym na piegowate ramiona, lekko zadartemu noskowi, oczom zielonym i wielkim prawie jak u postaci z japońskiej kreskówki.

- Nie wolno mi z tobą rozmawiać - powiedział, nie kryjąc żalu. - Gdyby tata się dowiedział...

- Nie dowie się - zapewniła.

Postąpiła krok w jego stronę. Jak zwykle nie miała na sobie nic prócz dwóch szmatek. Szerszą się przepasała, a drugą zasłoniła pączkujące piersi. Biały, cienki materiał przypominał trochę pajęczynę, a trochę zwiewne obłoczki bawełny. Prześwitywał i snił się Samuelowi po nocach.

- On może nie, ale wujaszek Zeb...

- On nie jest twoim wujkiem! - przerwała mu ostro, szczerząc przy tym idealnie białe zęby na podobieństwo wiecznie wkurzonego dobermana Griswaldów. Takiej jej nie lubił, a wręcz trochę się obawiał.

Natychmiast przeprosił, a ona wzruszyła ramionami i wyciągnęła do niego rękę. Nigdy nie wiedział, jak to się dzieje, że zbliżała się do niego tak szybko. Zupełnie jakby pokonywała cały dystans w chwili, gdy on akurat mrugał. Teraz w dłoni trzymała pasek gumy i ćwiartkę pomarańczy.

- Mogę to i to? - zapytał.

- Pewnie, to dla ciebie.

- Dzięki.- Wziął i zjadł od razu pomarańczę, gumę wsadził do kieszeni. Musiał pamiętać, by wyzuć ją przed dotarciem do domu, ale czekał go jeszcze kawałek spaceru, więc powinien zdążyć. - Odprowadzisz mnie kawałek? Nie mogę stać w miejscu, bo wiesz, Mitch.

Figlarnie przechyliła głowę, a w jej zielonych oczach zapłonęły rozbawione ogniki.

- Mogę się nim dla ciebie zająć, wiesz przecież.

- Wiem - odparł — ale nie chcę.

Tak naprawdę, to trochę chciał, ale nie był pewien, co to dla niej znaczy. Kiedyś, był tego niemal pewien, widział, jak zjadła na surowo schwyconego w locie ptaka. Akurat przyszedł, gdy siedziała na drzewie i jeszcze nie mogła go zobaczyć. Patrzyła na ptaki, a potem skoczyła zwinna jak kot, złapała ptaka w locie i wylądowała na ziemi, przetaczając się zgrabnie. Odgryzła ptaku głowę, a potem rozerwała tułów i wyjadła wnętrze, jakby to była paczka M&M's. Potem wmawiał sobie, że mu się to przyśniło, ale w głębi serca wiedział, że jednak nie, i bał się, że jakoś się z tym wszystkim zdradzi przed wujaszkiem, a ten zamknie go w domu.

To wtedy Samuel wymyślił sobie wierszyk o Hucku. Czytał go właśnie i tak mu samo przyszło, a potem przydawało się tyle razy, że nie umiał zliczyć.

- Jak uważasz, to twój łomot- znowu wzruszyła piegowatymi ramionami, sprawiając wrażenie trochę urażonej. - Ale twoim tatą i wujaszkiem się zajmujemy, prawda? Bo już nas umówiłam.

Przystanął i przyjrzał jej się zaniepokojony.

- Co znaczy: umówiłaś? Z kim niby?

- Az takim jednym- machnęła ręką.- Rozwiązujemy problemów.

- Chcesz zabić mojego tatę?! - krzyknął.

Wiedział, że nie powinien tak mówić, ani tym bardziej tak się ekscytować. Czasem, gdy tak robił, w okolicy ni stąd, ni zowąd pojawiał się wujaszek i potem robiło się nieprzyjemnie. Ale teraz wyraźnie go zaskoczyła. Bo owszem, rozmawiali czasem, co by tu zrobić, żeby ojciec i wujek dali Samuelowi spokój, ale przecież to nie było tak na poważnie. Takie gadanie jak „kiedy będę milionerem” albo „jak już wyruszę na podróż dookoła świata”.

- Kto to jest? I na kiedy nas... no wiesz, umówiłaś?

- Na dziś wieczór, pod trzema więzami.

Samuel odetchnął. Żartowała.

- Dziś wieczorem, bardzo śmieszne. Już myślałem, że mówisz poważnie.

- Bo mówię - potwierdziła. - Dziś wieczorem widzimy się pod...

- Przecież ja nie mogę wychodzić wieczorem! Nie mogę nawet myśleć o tym, że chciałbym wyjść wieczorem! Jak tylko przemknie mi to przez głowę...

Dziewczynka wzięła się pod boki.

- No i tak mi się odpłacasz? To jest twoja wdzięczność? - oburzała się. - Organizuję wszystko, załatwiam, chcę ci pomóc, a ty nie możesz mi nic a nic zaufać?! Bo jestem dziewczyną, tak? Powiedz to: bo jestem dziewczyną.

Samuel pokręcił głową.

- Nie wiem, czym jesteś, As. Ty sama nie do końca wiesz. Twoja mama zmienia się w wodę pod wpływem słońca, a twój tata...

Widział, jak zaciskają się jej małe piąstki, a górna warga idzie w górę. Nie chciał znowu zaczynać tej rozmowy, nie teraz, gdy o spotkania z nią było coraz trudniej.

- Sama wiesz, co mówią o twoim tacie. I najlepiej wiesz, że...

- Leprechaun - wycedziła. - Możesz to powiedzieć. Podobnie, jak możesz mnie nazywać pełnym imieniem mojej mamy. Nie wstydzę się go. Nie wstydzę się ich. To ty powinienes...

- Wiem, Asrai - przerwał jej. - Wiem, że powinienem.

Ruszyli. Długo szli w milczeniu. Polna droga odbiła od jeziora i między polami biegła teraz prosto do miasteczka. Za dwieście, może trzysta jardów dojdą do asfaltu.

- Przepraszam - mruknęła ledwie słyszalnie Asrai.

- W porządku- odparł Samuel. - Ja też przepraszam. A co do wieczora, to wiesz, że nie mogę...

- A gdybyś mógł?

Gdyby. Samuel nie lubił tego słowa. Kojarzyło mu się ze złudną nadzieją. Z wolnością. A najbardziej z mamą. Gdyby wtedy... Nie, dość, nie myśl o tym!

Ukradkiem przetarł oczy, wziął głębszy oddech i upewnił się, że tego nie widziała.

- To wtedy bym był - zapewnił.

A co to za mina u Hucka Finna?

Przecież z tej miny aż kapie wina!

Ten grymas niecnoty zwiastuje kłopoty!

Któż chciałby takiego syna?!

Samuel zaczął powtarzać wierszyk już na początku ulicy, by rymy dobrze weszły mu w głowę. Zawsze dla pewności podkładał pod niego prostą melodyjkę, którą ułożyła mu As. Matka dziewczyny usłyszała ją kiedyś od najprawdziwszej syreny, twierdzącej, że ta melodia wwierca w głowę cokolwiek pod nią wyśpiewasz, czasem nawet na tygodnie. Kiedyś w ten właśnie sposób syreny wabiły marynarzy, zaprzatając im myśli. Potem któraś z rybioogoniastych dziewczyn sprzedała patent specem od reklamy. Teraz podobne wstawki nazywano earwormami. Robakami penetrującymi uszy i wgryzającymi się w mózg.

(A co to za mina u Flucka Finna?)

Wyobrażał sobie te robaki jak z tego dziwnego filmu *Diuna*, który oglądali jeszcze z mamą. Wielkie, obłe robale o tysiącu zębów, wkręcające się w woskwinę niczym świder. Brrr! Nadal jednak wołał od myśli, co zrobiłby mu tata, gdyby się dowiedział, że Samuel znowu rozmawiał z As. Co zrobiłby wujaszek Zeb.

(Przecież z tej miny aż kapie wina!)

Mijając podjazd Waltonów, ich najbliższych sąsiadów, chłopiec zwolnił. Na schodku wiodącym na ich ganek wciąż leżała zawinięta w folię gazeta. Pomyślał, że to nietypowe, bo przecież pan Walton był rannym ptaszkiem, ale zaraz sobie przypomniał, że przecież sąsiedzi mieli wyjechać na miesiąc na Florydę za jakieś pieniądze z wygranej w loterii stanowej. Wujaszek był

wtedy bardzo zły, bo uważał, że tacy bezbożnicy nie powinni dostawać nagród za swoje plugawe życie. Samuel pomyślał wówczas, że on tam się cieszy, bo lubi pana Waltona. Ojciec sprzął go za to swoim skórzanym pasem.

(Ten grymas niecnoty zwiastuje kłopoty!

Któż chciałby takiego syna?!)

Rzecz w tym jednak, że ojciec go kochał i potrzebował. Czasem, gdy wujaszek był w dobrym humorze, zjawiał się w nocy w pokoju Samuela, budził go i prowadził do sypialni ojca, by pokazać mu jego sny. Były piękne i pełne miłości, wspólnych przygód i zabaw. Czasem pojawiała się w nich mama, ale wtedy wujaszek krzywił się nagle i kazał Samuelowi wracać do łóżka. Gdy chłopiec nie chciał, musiał się liczyć z kolejną karą. Czasem było warto, ale zwykle nie. Sny zwiększały tylko tęsknotę za mamą.

Przed chodnikiem wiodącym na ganek Samuel przystanął, pochylił głowę i wziął kilka głębokich oddechów, pozbywając się wszystkich zbędnych myśli. W ich miejsce przywołał piątkę z angielskiego, referat z historii, który wedle pani Tillbury udał mu się fantastycznie, i kilka neutralnych obrazków z międzylekcyjnych przerw. Przeplótł je kilkoma słabostkami, do których ojciec i wujaszek mogli się przyczepić, i zrobił kolejny od początku spaceru rachunek sumienia odnośnie do rzeczy, którymi mogliby go dziś chcieć zaskoczyć. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że ten dzień na lodówkowym grafiku zakreślony był na żółto. To znaczyło, że taty nie będzie do siedemnastej, bo zaczął później. Wujaszek z pewnością będzie mu towarzyszył.

- A co to za mina u Hucka Finna?- zapytał się na głos, w ten sposób dodając sobie otuchy. - Przecież z tej miny aż kapie wina!

Raz- dwa pokonał chodnik, wstąpił na ganek i odciągnął moskitierę. Otworzył drzwi kluczami wiszącymi mu na szyi i jeszcze przed przekroczeniem progu rozsznurował i zdjął buty. Położył je na półeczce za drzwiami i dopiero wtedy wszedł w głąb domu.

- Tato?- zapytał na wszelki wypadek, zaglądając do salonu skąpanego w półmroku zaciągniętych ciężkich kotar. Nikt nie odpowiedział.

(Ten grymas niecnoty zwiastuje kłopoty).

Przeszedł do kuchni, zajrzał do piekarnika i wyjął zapiekankę z ziemniakami. Ze stojaka wyjął nóż, długi, ząbkowany...

- Ten jest do chleba! - zagrzmiał tuż za jego plecami głos wujaszka. -

Nigdy się nie nauczysz?

Przez głowę chłopca niczym błyskawica przetoczyła się myśl, że mógłby się teraz odwrócić i po prostu dźgnąć. Jedno szybkie pchnięcie, nawet nie po to, by zabić, ale by się przekonać, czy wujaszek krwawi. W panice spróbował natychmiast przykryć tę myśl puentą wierszyka, ale było już za późno.

Nóż wysliznął się z ręki, poszybował w dół i wbił się w stopę Samuela. Chłopiec wrzasnął.

- Nie krzycz, nic ci nie będzie - warknął wujaszek i oparł się o zlew. Był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną o kształtnej czaszce pokrytej ledwie kilkoma milimetrami jasnego zarostu. Jego stalowobłękitne oczy sprawiały wrażenie martwych. - I możesz być pewien, że twoja myśl zraniła mnie bardziej niż ciebie ten nóż. No już, wyjmij go sobie, nie chcemy przecież zakażenia.

Chłopiec zacisnął zęby i przetarł oczy rękawem. Ostrożnie, by nie ruszyć zranioną stopą, kucnął i położył dłoń na rękojeści noża.

- Ruch w górę i w dół, tak jak pokazywał ci tata, pamiętasz?- Teraz dla odmiany głos wujaszka brzmiał prawie miło. - Wtedy przy jeziorze, jak rzucaliście do drzewa...

- Pamiętam!

Twarz mężczyzny ponownie stężała.

- Nie tym tonem, chłopcze. Trochę szacunku.

- Przepraszam. - Samuel spał mięśnie, zamknął oczy i szarpnął za rękojeść. Ból był jeszcze większy, niż kiedy nóż się wbijał, zapewne przez te ząbki; dłuższą chwilę chłopiec czuł tylko pulsujący ogień rozlewający się po stopie i niosący się w górę po łydce. Słyszał syk dobywający się spomiędzy swoich zaciśniętych zębów i śmiech wujaszka Zęba.

- Opatrz to sobie, w łazience jest apteczka. I zostaw trochę zapiekanki dla taty, bo wróci zmęczony.

Samuel otworzył oczy i przyjrzał się nożowi. Czubek miał umoczony we krwi, a na jednym z ząbków wisiał maleńki kawałek skóry. Widok tego ostatniego sprawił, że chłopcu zakotłowało się w żołądku i w ogóle odechciało mu się jeść.

(A co to za mina u Hucka Finna?)

- Na Trony, skończ z tym wierszykiem! - huknął wujaszek i uniósł rękę, jakby chciał Samuela uderzyć. Powstrzymał się jednak, jak zawsze w

ostatniej chwili.

Przez te wszystkie lata, gdy zostali z tatą sami, bez mamy, a on pojawił się w ich domu, robił chłopcu krzywdę na wiele sposobów albo namawiał tatę do sięgnięcia po pas czy kabeł, ale nigdy go sam nie walnął. Świadom tego Samuel nawet nie zmrużył oczu, czym jeszcze mocniej rozeźlił wujaszka.

- Wszzechmogący wie, że któregoś dnia wybiję z ciebie wszystko, co wzięło swój początek z tej ladacznicy, twojej matki. I wtedy staniesz się wreszcie dobrym człowiekiem, Samuelu Greenie. Któregoś dnia...

Chłopiec otarł ręką oczy i przełknął łzy. Drżała mu broda, pięści zaciskały się i rozluźniały, zaciskały i rozluźniały. Stopa pulsowała bólem.

- A co to za mina u Hucka Finna?- wycedził przez zaciśnięte zęby. - Przecież z tej miny aż kapie wina!

- Zamknij się.

- Ten grymas niecnoty zwiastuje kłopoty! Któż chciałby takiego syna?! Któż chciałby takiego syna?! Któż chciałby takiego...

Wujaszek zamachnął się i tym razem uderzył, w dodatku z taką siłą, że twarz chłopca odskoczyła na bok, a na policzku błyskawicznie pojawił się czerwony dowód zbrodni. Samuel zatoczył się, syknął, przenosząc ciężar na zranioną nogę, stracił równowagę i poleciał w bok. Jego skroń zmierzała prosto w róg stołka.

Wujaszek poruszył się błyskawicznie. Rozmył się w powietrzu, odkopując taboret na bok i wsuwając ręce pod głowę Samuela. Podtrzymał go przed upadkiem, a potem podniósł lekko i zaniósł do salonu. Położył na kanapie.

- Przepraszam, Samuelu. Przepraszam - powtarzał. Wydawał się autentycznie przejęty. - Przekroczyłem granicę, przepraszam cię. Nie powinienem był i... poczekaj, opatrzę twoją stopę.

- Nie chcę - zaprotestował chłopiec, ale bez przekonania. Chciał teraz jedynie zasnąć. I może jeszcze, żeby wrócił tata, zobaczył, co się stało, i pogonił wujaszka daleko stąd. A najlepiej, żeby udało się dziś wieczorem...

- Co wieczorem, Samuelu? - zapytał wujaszek Zeb. - Co masz na myśli, mój chłopcze?

„A co to za mina u Hucka Finna?” - pomyślał w odpowiedzi.

Gdy się ocknął, za oknem zaczynało już zmierzchać. Wciąż był w salonie, na kanapie, z ławą dosuniętą blisko do krawędzi, by nie spadł. Na ławie stała szklanka z wodą i cytryną, kilka ciastek owsianych z kleksami czekolady i pomarańcza obrana i podzielona na ćwiartki.

Samuel podniósł się na łokciach, oceniając swój stan. Nie było źle. Starannie opatrzona stopa co prawda pulsowała mu tępo, za to twarz nie bolała już ani trochę. Jeśli taka miała być cena za to, że dziś do wieczora wujaszek będzie miły i zakłopotany, to może warto ją było zapłacić?

Szlag, wieczór, przypomniał sobie. Umówił się przecież z As! Nie miało przecież znaczenia, że już wtedy powiedział jej, że to nierealne i że nie ma jak. Oboje zdawali sobie sprawę, że spróbują skorzystać z tej okazji, nawet jeśli mieli to okupić późniejszymi kłopotami. Co prawda teraz wyjście mogło być utrudnione jeszcze bardziej za sprawą kontuzji oraz troski, jaką ojciec i wujaszek będą mu okazywać, ale przecież nie niemożliwe! Trzeba było tylko ukryć myśli głębiej niż za wierszykiem i...

W przedpokoju usłyszał głosy. Rozpoznał oba, ale zdziwił go podniesiony ton ojca. Rzadko kiedy kłócili się zwujaszkiem, a jeśli już, to robili to w milczeniu. Stali wtedy w kuchni, patrzyli na siebie, a ojciec czerwieniał i pykała mu żyłka. W pierwszej chwili Samuel pomyślał z nadzieją, że poszło o niego i ten nóż, ale zaraz, wsłuchawszy się uważniej w słowa, zrozumiał, że tata dostał wezwanie do akcji.

Musiało to być coś poważnego, bo nie dość, że ojciec miał na sobie mundur, to jeszcze wujaszek wyjął z szafy dawno nienoszone grafitowe spodnie, koszulę i kamizelkę. Po domu chodził zwykle w płócienną, białą koszulę i takich spodniach. Wszedł teraz za ojcem do salonu, wciąż wyraźnie podenerwowany.

- Fred, ja nie mówię, żebyś nie jechał wcale, a tylko żebyśmy pojechali okrężną drogą. Jesteś po służbie, mogłeś być przecież z dzieciakiem na rybach, nie?

Ojciec Sama zatrzymał się w pół kroku i spojrzał najpierw na syna, na jego zabandażowaną stopę, a potem, obróciwszy się przez ramię, na stojącego za nim wujaszka. Frederick Green był chudym, żyłastym mężczyzną o zawziętej twarzy z gęstym wąsem, wciąż pożółkłym od papierosów, mimo iż już od lat nie palił. Gdy się uśmiechał, wyglądał jak wesóły kowboj z rodzinnej produkcji Disneya. Za to gdy patrzył tak jak teraz, przywodził na myśl bezimiennego mściciela granego przez Eastwooda, podejmującego właśnie decyzję, że to miasteczko nie zasłużyło,

by dalej istnieć.

- Nie mogłem być na rybach z synem, Zeb - stwierdził ojciec - bo Samuel, jak pewnie wiesz, miał wypadek w pierdolonej kuchni!

Wujaszek cofnął się, jakby tym razem to on dostał w twarz.

- Fred, nie knij - poprosił, wyciągając przed siebie pojednawczo rękę. - Nie knij i się uspokój. Faktycznie mogłem ukarać chłopca subtelniej, ale umówiliśmy się, że dla jego dobra i...

Ojciec poruszył wąsem i zmełł w ustach cisnące się słowa tak, jak kiedyś zuł tytoń. Wyglądał dostojnie w tym mundurze zastępcy szeryfa i w takich momentach Samuel nie tylko go kochał, lecz także podziwiał. Jak bohatera.

- Umawiać to ja się mogłem z jego matką - powiedział w końcu Fred Green i odwrócił się do chłopca. - Dasz sobie radę, niezdaro?

Samuel rzucił ukradkowe spojrzenie na wujaszka. Zdawał sobie sprawę, że jeśli powie, że nie, jeśli da to ojcu do zrozumienia, ten powie Zębowi, by tu został. I zrobi to tak, że wujaszek zostanie, wściekły jak pszczoła, wredny jak użądłony przez nią niedźwiedz.

- Już wszystko w porządku tato, naprawdę- powiedział.- Odrobię lekcje i mogę wtedy pooglądać telewizję?

- Byle nie do późna- odparł ojciec. Skubnął nos, trącił rondo kapelusza i rozejrzał się, próbując sobie przypomnieć, po co tu w ogóle przyszedł.

- Amunicja- niechętnie podpowiedział Zeb. - Miałeś wziąć dodatkową amunicję do rewolweru.

- A tak, dzięki.

Samuel patrzył, jak ojciec podchodzi do szafki na broń, otwiera ją kluczem zawieszonym na piersi, tak jak on nosił klucz do mieszkania.

- Będę tu wpadał co jakiś czas sprawdzić, jak się masz - szepnął wujaszek.

- Jasne - pokiwa) głową chłopiec.

Było dla niego jasne, że nawet jeśli nie jest to kłamstwo, to nie jest też prawdą. W końcu wujaszek nie dbał o chłopca. Zebediusz, bo tak brzmiało jego pełne imię, był nade wszystko aniołem stróżem taty, odziedziczonym po bogobojnych dziadkach Greenach. A Samuel, co wujaszek wytykał mu wiele razy, miał w sobie zbyt wiele ze swojej hippisowskiej matki.

Chłopiec spojrział za okno, pomyślał o trzech więzach i zaraz ukrył to pod wierszykiem.

Mężczyzna miał na sobie dżinsy i znoszony T- shirt, na który narzucił wytartą ramoneskę i skórzaną kamizelkę z frędzlami. Niewielkie dziurki w skórze oraz ciemniejsze ślady na piersi i plecach świadczyły o niedawno odprutych naszywkach, a kilka niechlujnych maźnięć na baku motocykla zamazywało namalowany tam emblemat.

Mężczyzna był przystojny tendencyjną urodą gwiazdy serialu sensacyjnego z wczesnowieczornego pasma ogólnokrajowej telewizji. Niby zadziorny, ale bardziej jednak wymuskany model pilnujący nakładania kremu z filtrem. Niby brutal, ale wrażliwy. Długie blond włosy spięte miał w kucyk, brodę starannie przystrzyżoną. Nawet wykałaczką między równymi zębami sprawiała wrażenie filmowego rekwizytu.

Wyglądał na zmęczonego, a w dodatku rozdrażnionego. Nie zsiadł z motocykla i co chwila zerkał to na zegarek, to na trzymaną w dłoni monetę, to znowu na stojącą przed nim dziewczynkę.

- Jeszcze trzy minuty i jadę - warknął. - Ta moneta nie jest więcej warta.

As nie wyglądała na przejętą jego słowami. Ręce zaplotła na piersi, głowę opuściła akurat na tyle, by móc na mężczyznę patrzeć bykiem. Raz po raz dmuchnięciem przesuwiała opadający jej na oczy kosmyk włosów.

- To szczerze złoto, Kłamco - powiedziała. - Nawet dla kogoś, kto kilka dni temu nie obudził się nago w polu kukurydzy, ta moneta byłaby warta więcej niż to, co do tej pory zrobiłeś.

Loki obrócił w ustach wykałaczkę.

- To po starym jesteś taka pyskata? Czy znowu któraś fabryka dolewa czegoś do rzeki? Cholera, powinni wypłacać odszkodowania za skwaśniałe Rusalki.

- Nie jestem... - zaczęła, ale uciszył ją gestem, po czym odwrócił się nagle, unosząc przed siebie prawą rękę ze zmaterializowanym nie wiedzieć kiedy obrzynem.

Kuśtykający chłopiec, który znalazł się na linii strzału, zamarł niczym sarna w świetle reflektorów. Wymamrotał coś pod nosem o tym, że nie może się bać, że wtedy zobaczy, po czym drgnął lekko i odkaszlnął.

- As? - zapytał.

Loki opuścił broń.

- As? No tak, kiedyś byłem, żadna chwała. Trochę jak klub czytelniczy, tylko wiecie, bez książek. Za to z walką, żarciem i ruchaniem.

- On mówił do mnie. - Dziewczynka wyłoniła się zza motocykla i pomachała do Samuela. - Inie powinienes wyrażać się przy nas w ten sposób, Loki. Jesteśmy dziećmi.

- Technicznie rzecz biorąc... - zaczął Kłamca, ale skapitulował pod jej spojrzeniem. Podrzucił trzymaną w lewej ręce monetę, uchwycił ją między dwa palce i uniósł ku górze, jakby chciał zamocować na nieboskłonie. - No dobra, kochani, fajnie, że jesteście już razem, ale wasz czas mija. Chcecie kontynuować rozmowę, czas dorzucić monetę.

As sapnęła głośno, ale sięgnęła do przytroczonej do pasa nerki i już miała z niej dobyć kolejny złoty krążek, gdy nagle zauważyła bandaż na nodze Samuela. Dzwoniąc złotem, podbiegła do niego i przyklęknęła, jakby składała mu pokłon. Opuszkami palców musnęła bandaż.

- Co ci się stało?

- Upuściłem nóż - odparł chłopiec mechanicznie, wciąż wpatrując się w siedzącego na motocyklu mężczyznę. - W kuchni.

- Sam?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nigdy nie wiem. Ale w kuchni sam nie byłem.

Dziewczynka klęczała przy nim jeszcze prawie minutę, wodząc palcami po bandażu, po czym podniosła się, odwróciła i spojrzała hardo na Kłamcę.

- Dziesięć monet za pozbycie się wujaszka Zęba - powiedziała.

Kłamca pstryknął w trzymaną w ustach wykałaczkę.

- Skoro zaczynasz od dziesięciu, to znaczy, że dostanę piętnaście - stwierdził. - Ale zanim ustalimy cenę, potrzebuję wiedzieć czegoś o tym wujaszku. To naprawdę twój wujek, chłopcze? I wybaczone pytanie, ale raz, że jesteśmy w zapyziałej Georgii, a dwa, że w dupie mam bycie grzecznym, to na pewno tylko twój wujek? Nie na przykład ojciec, brat i kuzyn jednocześnie?

- Właściwie to w ogóle nie jest moja rodzina. — Chłopiec opuścił głowę i resztę wyjaśnień złożył już płaskiemu kamieniowi u swoich stóp. - On przyszedł z moim tatą, opiekuje się nim, a potem miał się opiekować naszą rodziną, ale nie lubił bardzo mamy i mnie też nie lubi i...

- Czeka! - Loki ostro wszedł mu w słowo. - Chcesz mi powiedzieć, że to anioł? Anioł stróż?!

Chłopiec skinął głową.

- Chyba tak - odparł. - Choć nie wygląda jak takie z obrazka. Nie ma

skrzydeł i w ogóle... - Wzruszył ramionami i spojrzął na As, jakby w niej szukał oparcia. Dziewczyna uśmiechnęła się uspokajająco.

- Piętnaście, Loki? Piętnaście monet i adres tej nimfy, o którą pytałeś?

Kłamca nie odpowiedział. Milczał długo, patrząc to na chłopca, to na dziewczynkę, a w końcu potrząsnął głową i odpalił silnik.

- Nie mogę wam pomóc, dzieciaki - stwierdził. - Nie przeciwko Stróżowi. Przykro mi.

Wycofał maszynę. Wyjął z ust wykałaczkę i pstryknął nią tak, że wylądowała tuż obok chłopca.

- Jedyne, co ci mogę doradzić, to żyj tak, jakby Bóg cię ostro wkurwił, chłopie. Wtedy, gdy twój stary umrze, może ten dupek za tobą nie pójdzie. Życzę ci tego, stary. Trzymaj się.

Ruszył ostro, spod tylnego koła bryznął piasek. Skręcił na drogę i po chwili był już tylko oddalającym się rykiem maszyny ze źle wyregulowanym tłumikiem.

As popatrzyła na Samuela ze smutkiem.

- Przykro mi - powiedziała.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Mówiąc szczerze, nie spodziewałem się więcej - odparł. - Facet ze spluwą przeciwko wujaszкови? Wiesz, ilu takich on już załatwił?

- To nie był zwykły facet. Loki to...

- To gość, który nie umiał nam pomóc- wszedł jej w zdanie chłopiec. - Słuchaj, As, dzięki, że spróbowałaś, ale nie powinnaś dla mnie podkraść złota swojemu ojcu. Nie chcę, żebyś i ty miała kłopoty.

Dziewczynka prychnęła i kopnęła leżący przed nią kamień.

- Pfff, tata miałby zauważyć? On te monety robi ot tak, z powietrza. - Pstryknęła palcami. - Zresztą, jakie to kłopoty... Ej, czy to misiek?

Samuel powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Jedynym źródłem światła był dla nich teraz księżyc i żółtawy blask latarni z ganku ostatniego domu po lewej, ale i tak, gdy chłopiec wyteżył wzrok, udało mu się dostrzec rozpoznawalny kształt.

- Tak, to misiek- stwierdziła dziewczynka. Podniosła z ziemi pluszaka, przejechała mu palcem po pyszczku, paciorkowatych oczkach, wreszcie po wystrzępionej łacie na brzuchu. - Chcesz? Bo ja nie mogę go zatrzymać.

Nie chciał, bo przecież po co mu pluszowy misiek, skoro miał już dwanaście lat. Chociaż... czy to nie była aby pierwsza rzecz, jaką As mu

kiedykolwiek zaoferowała poza jedzeniem?

Wyciągnął rękę i zdziwił się ciężarem i twardością zabawki.

- Muszę wracać - powiedziała As. - I ty pewnie też, nie?

- No- mruknął niechętnie, wodząc kciukiem po filcu krzywo przyszytej łatki. - Dzięki, że próbowałaś.

- I jeszcze spróbuję.- Dziewczynka zrobiła krok w jego stronę i wyciągnęła rękę, ale rozmyśliła się w pół ruchu. - Do skutku, Sam. - Jasne.

Gdy wrócił do domu, ojca jeszcze nie było. W lokalnej telewizji ładna reporterka o nieco azjatyckiej urodzie, panna Glover, z przejęciem opowiadała o strzelaninie na parkingu pod Wallmartem, która zakończyła trwającą przeszło trzy godziny sytuację z udziałem zakładników. Wszędzie krzżeli się ludzie z różnych służb, migały koguty radiowozów i karettek, za żółto- czarną taśmą cisnęli się gapie i reporterzy, którzy mieli mniej szczęścia lub znajomości niż długonoga reporterka.

Gdzieś w tle, za plecami panny Glover, mignął chłopcu ojciec. Nie wyglądał, jakby coś mu się stało, za co chłopiec odruchowo podziękował Bogu, był za to bardzo podenerwowany. Palił, czego nie robił od dawna, i wydawało się, że kłóci się z powietrzem.

- Będzie zły, gdy wróci - powiedział Samuel do leżącego na ławie miśka. - Obaj będą. Lepiej jutro schodzić im z drogi i nie myśleć o... no wiesz.

Misiek wyglądał, jakby wiedział, ale było mu to zupełnie obojętne. Paciorkowatymi oczkami wpatrywał się w telewizor. Samuel zabrał go na górę i postawił na szafce przy łóżku, by po namyśle schować go jednak do szuflady. Właściwie nie wiedział, czemu to zrobił, ale czuł, że tak właśnie powinien. Dopił z kubka resztkę zimnej herbaty, która musiała tu stać od wczoraj wieczorem, bo nie pamiętał, by ją sobie robił, a następnie wziął szybki prysznic i zawiął się w koce.

Przed zaśnięciem spróbował jeszcze wymyślić nowy wierszyk do ukrywania myśli. Nie szło mu to wyjątkowo, bo wciąż przed oczami miał tego faceta z wykałaczką w zębach mówiącego, że nie jest w stanie mu pomóc. A potem jeszcze pełna rezygnacji mina As. Wiedział, że nie może usnąć z takimi obrazkami pod powiekami, bo co będzie, jeśli to przejdzie potem w sny, które zobaczy wujaszek? Przecież gdyby się dowiedział... nie, o tym Samuel nie chciał nawet myśleć.

Teraz jednak, im bardziej odganiał te wizje, tym natarczywiej do niego przychodziły, a gdy się w końcu poddał, na samej granicy snu, przyszedł mu do głowy taki wierszyk:

*Święty boże nie pomoże,
Ani facet na motorze.
Będzie teraz coraz gorzej,
Aż to wszystko trafi szlag.*

Obudziło go skrzypnięcie drzwi i bladożółte światło lampy w przedpokoju przebijające się przez cienką skórę powiek. Samuel nie otworzył oczu od razu, by nie dać po sobie poznać, że się obudził. Stęknął coś, mruknął, jak wydawało mu się, mruczą czasem śpiący ludzie i przewrócił się na drugi bok, by twarz mieć skierowaną do okna. Dopiero wtedy zdecydował się delikatnie rozchylić powieki.

Światło padało na kotary zasłaniające okno. Gdy w końcu ów ktoś stojący w progu się poruszył- chłopiec podejrzewał, że to ojciec, wszak wujaszek nie potrzebował drzwi, by się gdziekolwiek dostać- zasłonił światło w taki sposób, że jego cień na kotarze przybrał kształt barczystego potwora ze starych bajek. Może trolla spod mostu? Albo Toksycznego Mściciela? Samuel nie widział filmu o tym ostatnim, słyszał tylko, jak rozmawiali o nim Hap i Chris. Mówili, że choć wyglądał paskudnie, Mściciel był pozytywną postacią. Samuelowi jednak wystarczyło jedno spojrzenie na zdeformowaną, zieloną twarz Toxiego, by wiedzieć, że to raczej nie będzie jego ulubiony bohater.

Cień zniknął, a ojciec usiadł na krawędzi łóżka, które skrzypnęło pod jego ciężarem. Teraz już Samuel był pewien, że to on. Czuć było od niego tą dziwną wonią, jaką wydzielał jego mundur zastępcy szeryfa, pomieszana z potem. Tak mogłaby pachnieć siłownia w starym warsztacie samochodowym przerobiona w końcu na sieciową pralnię chemiczną.

Był zmęczony, dało się to usłyszeć w jego płytkim, chrapliwym oddechu niegdysiejszego palacza, który niedawno zmuszony był do wysiłku fizycznego. Stopniowo jednak uspokajał się, zwiększały się pauzy między coraz dłuższymi wdechami i wydechami, rozluźniały się napięte, drgające mięśnie, od których drżało też całe łóżko. Fred Green położył dłoń na

głowie syna i pogładził go po włosach.

- Będziesz musiał zareagować, Fred - odezwał się nagle wujaszek Zeb. Jego cichy głos, na granicy szeptu doszedł gdzieś z kąta pokoju i sprawił, że Samuel mimowolnie się wyprężył. - To już nie są przelewki. To bóg kłamstwa. On rozmawiał z bogiem kłamstwa! Czy chcesz, żeby twój syn...

- Dość- odpowiedział ojciec, jakby strzelił z bicia. - Jutro. Porozmawiamy jutro...

Cofnął rękę, wstał, cienisty potwór ponownie zdominował firankę.

- Czemu nie teraz, Fred?- dopytywał się wujaszek.- Mogę sprawdzić, czy śpi, czy tylko udaje. Albo po prostu go obudzimy i...

- Powiedziałem jutro - odparł ojciec chłopca, tym razem nie siląc się na szept. W jego głosie oprócz zmęczenia słychać było stanowczość. Brzmiał jak stary szeryf z klasycznego westernu na koniec dnia pełnego strzelanin.

Gdy zamknął za sobą drzwi, Samuel jeszcze długie minuty leżał w zupełnym bezruchu. Mimo iż ścierpła mu ręka, na której trzymał głowę, swędziało go bok, a pęcherz coraz śmielej przypominał o wypitej przed snem resztkie herbaty, chłopiec nie odważył się drgnąć, mając mocne przeczucie, że wciąż nie jest w pokoju sam. Na szczęście przynajmniej wierszyka nie musiał powtarzać w głowie, bo raz- dwa myśl osikaniu, morzu i jego szumie, wodospadach i leśnych strumieniach zawładnęła nim na tyle, że wypełniła jego głowę podobnie jak mocz uczynił to z pęcherzem.

W końcu cierpliwość się opłaciła. Samuel poczuł na policzku delikatny słodki powiew kojarzący się z wiosennymi kwiatami, a zaraz potem usłyszał wyszeptane cicho słowa:

- Zajmę się tym, chłopcze. Zajmę się, bo od tego jestem. A zacznę od tej małej więdźmy, którą nazywasz Asrai.

Samuela zapiekło pod powiekami. Usta nieomal same się otworzyły, by coś odpowiedzieć, wrzasnąć, zawołać ojca, który może tym razem stanie po stronie jego, a nie wujaszka, może tym razem zrozumie. Chciał tego, pragnął z całego serca, ale też wiedział, jak małe są na to szanse. Ojciec był zbyt mocno pod wpływem swojego anioła stróża i wiele razy udowodnił, że potrafi być także bardzo przeciw swojemu synowi, nawet jeśli nie do końca świadomie. Samuel kochał tatę, ale nie był już naiwny. Dlatego teraz zacisnął zęby tak mocno, że aż zazgrzytały, i zrobił coś, co nie zdarzyło mu się od lat. Zsikał się w łóżko.

- Jesteś obrzydliwy - mruknął anioł. - Zupełnie jak twoja matka.

Rano, gdyby nie mokra, śmierdząca plama na prześcieradle, Samuel byłby skłonny przyznać, że wszystko, co wydarzyło się w nocy, tylko mu się przyśniło.

Zebrał się z łóżka, nieco zawstydzony zdjął piżamę i pościel, po czym nago, z zawiniątkiem w rękach udał się do łazienki, gdzie wziął prysznic. Ubrany zszedł na dół, spodziewając się najgorszego, ale zamiast tego usłyszał wujaszka pogwizdującego do lecącej w radiu piosenki Williego Nelsona. Tata w szlafroku narzuconym na podkoszulek jadł śniadanie, czytając poranną gazetę. Gdy zobaczył syna, skinął mu głową.

- W samą porę, naleśniki zaraz byłyby zimne - powiedział, wskazując palcem na piętrzący się przed nim stosik pulchnych, idealnie okrągłych placków. - Syrop jagodowy się skończył. Czy...

- Zjem z klonowym - wszedł mu w zdanie Samuel. Zajął miejsce, sięgnął po talerz i za pomocą widelca zrzucił na niego cztery piętra naleśnikowej wieży. Na samej górze, niczym wisienkę, położył sześcian masła i obficie polał danie syropem.

Odciął pierwszy kawałek i już miał go włożyć do ust, gdy stojący przy kuchence anioł chrząknął głośno.

- Nie zapomniałeś aby o czymś, młody człowieku?

Samuel pospiesznie odłożył widelec i zaplótł dłonie.

- To też. - Anioł znad kuchenki uśmiechnął się prawie miło. - Ale przede wszystkim wymyć ręce.

- Dopiero brałem prysznic - zdziwił się Samuel.

Wujaszek Zeb wymierzył w chłopca łopatką do obracania naleśników.

- Właśnie dlatego- powiedział. Wydawał się szczerze rozbawiony. - Czy mam zajrzeć w twoje myśli, by upewnić się, że nie masz po czym myć rąk?

Chłopiec zerknął ukradkiem na ojca, ale ten tylko poruszył wąsem i przewrócił stronę w gazecie. Na ostatnim kęsie naleśnika na jego talerzu właśnie przysiadła dorodna, tłusta mucha o zielonkawym odwłoku.

Samuel wiedział już, o jakim rodzaju nieczystości mówi wujaszek Zeb. Mieli na ten temat rozmowę, gdy anioł podejrzwał myśli chłopca w dniu, w którym Hap Stevens wyjaśnił kolegom co, jak i po co. Nikt wtedy nie podjął żadnej rozmowy, ojciec po prostu wziął pas i go sprzął. Na koniec, na sugestię wujaszka, ścisnął w dłoni jądra chłopca, cedząc, że to, co w nich

jest, należy do Boga, a nie spuszcza się bożych darów w kiblu na chusteczce.

Pozostawało teraz pytanie, czy wstając od stołu, chłopiec nie podpisze na siebie wyroku? Może to test, jaki wujaszek z ojcem mu serwowali? Sprawdzian, czy czegoś się wtedy nauczył? Jeśli jednak anioł zerknie mu w myśli, to na pewno zobaczy zawstydzenie prześcieradłem, sprawdzi sen z zeszłej nocy i krok po kroku dojdzie do wszystkiego, co chłopiec wie, czego się domyśla i co zamierza.

- Samuelu, zadałem ci pytanie- napomknął chłopca wciąż uprzejmie i luźnym tonem, ale też z wyraźnym drganiem zniecierpliwienia anioł. - Mam zajrzeć w twoje myśli, żeby...

- Możesz wujku - zdecydował chłopiec, wzruszając ramionami. - Moje ręce są czyste jak moje myśli.

To zdanie zabrzmiało tak ładnie, zostało wypowiedziane z taką nonszalancją, a jednocześnie przekonaniem, że nawet ojciec na chwilę przerwał lekturę. Spojrzał na syna, pokiwał głową z uznaniem i dopiero wtedy wrócił do rubryki sportowej.

- Jedz - powiedział już znad niej. - Spóźnisz się do szkoły.

Samuel pochylił głowę do modlitwy. Klepiąc w myślach zgrane formułki, bardzo się pilnował, by za nic nie poprosić Boga o to, czego naprawdę teraz chciał. Podziękował za dary i tych, którym je zawdzięczał, przeprosił, że bywał niewdzięczny, i poprosił o siły na dobry dzień dla siebie, małego sługi bożego. Dopiero wtedy ponownie złapał za widelec. Nim się zorientował, spałaszował wszystko, co miał na talerzu, i jeszcze dokładkę.

- Dziękuję, wujaszku. Było pyszne - powiedział, odkładając talerz do zmywarki.

- Proszę - odparł anioł. - Dziś będzie długi dzień, więc na pewno ci się przyda.

Samuel przyjrzał się mężczyźnie w spranej bieli. Czy było coś w tych słowach i tonie, w jakim je wypowiedział, czy też chłopiec po prostu był już przewrażliwiony? Mógłby przysiąc, że za anielskimi słowami coś się kryło, uśmiech zwiastował jakieś paskudności. I co niby znaczyło, że dziś będzie długi dzień?

Nagle Samuel poczuł, że musi się pilnie zobaczyć z As. Im szybciej, tym lepiej.

W szkole ledwie mógł usiedzieć na kolejnych lekcjach. Wiercił się, gapił w okno, zarobił kilka upomnień, którymi normalnie pewnie by się przejął, ale tego dnia spłynęły po nim ot tak. Miał ważniejsze sprawy, miał swoje przeczucie, które koniecznie musiał obgadać z przyjaciółką. Już nie raz pokazywała, że umie odczytywać wiadomości dla niego niedostępne. Może ta nerwowość była właśnie takim komunikatem? Albo to, albo wujaszek ostatecznie wpędził go w szaleństwo.

Wieści o konieczności spotkania puścił normalnym, plotkarskim kanałem przez nieświadomą swą roli Lizzy. Tym razem nawet przelotnie się nie zastanawiał, jak dokładnie wygląda ścieżka wędrującej informacji, wystarczyło mu, że system jest niezawodny. Choć zastanawiał się też, gdy pan Richards dokonywał odpytkowej rzezi, czy choć raz wcześniej zdarzyło mu się z niego korzystać dzień po dniu?

- Samuel Green, do tablicy.- Głos nauczyciela był wysoki i nieprzyjemnie wibrujący.

Chłopiec uniósł głowę.

- Nie umiem - powiedział. - Na dziś nie umiem.

Spodziewał się złośliwości, krzywego uśmiechu spod cienkiego nauczycielskiego wąsa, ale zamiast tego pan Richards podszedł do niego, marszcząc czoło.

- Wszystko w porządku?- zapytał.- Przepraszam, nie skojarzyłem, że twój tata miał wczoraj ciężką noc. Źle spałeś, co?

Samuel potrzebował kilku sekund, by pokoiarzyć fakty. Rzeczywiście widział w telewizji zamieszanie, widział ojca w tle, no i raczej nie wezwaliby go do błahostki po całym dniu służby. Ale dziś rano tata wcale nie wyglądał, jakby działo się coś strasznego. Może faktycznie nic mu wtedy nie groziło? Może wujaszek, mimo iż często wredny i złośliwy dla Sama, był jednocześnie tak dobrym Stróżem, że tata przestał się czegokolwiek obawiać? Trudno o większy komfort dla zastępcy szeryfa od pewności, że w czasie interwencji nie trafi cię żadna zbłąkana kula, bo masz coś lepszego niż tysiąc kamizelek. Może tak naprawdę Samuel powinien przestać patrzeć na koniuszek własnego nosa i zastanowić się nad tym, jakby się czuł bez tych dwóch, bez ojca i jego Stróża?

Zdał sobie sprawę, że pan Richards wpatruje się w niego i że musi coś odpowiedzieć.

- Właściwie to bardzo - odparł, udając, że tłumii ziewnięcie. - Nie spałem pół nocy z nerwów i właściwie jeszcze mnie trzyma.

Ktoś z drugiego końca sali, pewnie Reed Mocks, wykaształ głośno słowo „bzdura”. Kilka osób zaśmiało się niepewnie, ale zaraz umilkli, gdy nauczyciel wyprostował się nagle i powiódł wzrokiem po klasie. Gdy to robił, zawsze dociągał łokcie do ciała, przez co przypominał trochę nastroszoną surykatkę, z czego uczniowie często się nabijali, zawsze jednak upewniwszy się uprzednio, że drobnego nauczyciela nie ma w pobliżu.

- Chcesz iść do pielęgniarki, by dała ci coś na uspokojenie?- zapytał pan Richards i tymi słowami wymazał w umyśle Samuela wszystkie swoje przewiny jako surowego, złośliwego belfra. Teraz był anioł... nie, właśnie przeciwnie! Był dobrym człowiekiem.

- Tak, proszę pana. Chciałbym.

- To idź.

Samuel wyszedł z klasy odprowadzany zazdrosnymi spojrzeniami koleżanek i kolegów. W pierwszym odruchu faktycznie skierował się w stronę gabinetu pielęgniarki, ale na wysokości łazienek przystanął. Od momentu, kiedy rzucił luźną uwagę przy Lizzy, minęły dwie lekcje. Czy to możliwe, że wiadomość już dotarła? Albo może As sama z siebie będzie się z nim chciała zobaczyć po wczoraj? Może miała jakiś nowy plan, który on tym razem odrzuci i powie jej, żeby uciekała stąd jak najdalej. Bo z wujaszkiem się nie zadzierało. On zakrzywił lot kul i potrafił powstrzymać wypadek samochodowy... oczywiście, jeśli zechciał.

Chłopiec pomyślał o mamie i poczuł, jak oczy wypełniają mu się gorącymi łzami. Zacisnął pięści, zawrócił i pognął w stronę wyjścia. Przemknął obok stanowiska uzbrojonego ochroniarza, uruchamiając bramkę alarmową w wejściu.

- Ej, stój! - zawołał za nim strażnik, podrywając się ze stołka, ale nie miał szans dogonić chłopca, który wypadł już na chodnik i pędził w górę ulicy.

Biegł jak na filmach, wyprostowany, łokcie blisko ciała trące o koszulkę - Chris powiedział mu kiedyś, że tak jest najszybciej - i choć rana na nodze piekła go niemiłosiernie, z każdym kolejnym krokiem jego ruchy nabierały coraz większej sprężystości i płynności. W końcu pędził tak, że prawie nie dotykał ziemi, muskał ją tylko raz po raz podszwami, jakby jego stopy

chciały się upewnić, czy wciąż jeszcze biegnie spękanym chodnikiem, poboczem asfaltówki, czy może już piaszczystą ścieżką między polami prowadzącą prosto do jeziora.

Kłuło go w piersi i w stopie, ale miał to w dupie. Tak właśnie, w dupie! Nie zamierzał się już dobrze wyrażać, nie zamierzał tłumaczyć tego, że uciekł ze szkoły, koniec z tym! Wujaszek nie był jego aniołem stróżem, nie miał do niego żadnego prawa. Nawet gdyby się tu teraz zjawił...

- Tak, zjaw się - wydyszał chłopiec, nie zwalnając. - Zjaw się, ty... ty... opierzony gównojadzie! Ty chuju w piórach! Aniele stróżu mój..., z Ciebie jest taki straszny chuj. Rano... rano... - Czuł, że traci oddech, a z nim rytm, więc przestał krzyczeć, ale w jego myślach ten wierszyk tworzył się i rozwijał dalej:

*Rano, wieczór, we dnie w nocy
Strzelałbym Ci w dupę z procy,
Aż by dotarło do łba tępego,
Że nie masz tu gnoju żadnych kolegów!*

Anioł jednak nie zamierzał się zjawić ani na środku pola, ani w zagajniku wiodącym do drogi przy jeziorze. Dopiero za zakrętem, kolejnych dwieście jardów dalej, zdyszany biegiem chłopiec dostrzegł pierwsze znaki, że zaraz się ze skrzydlatym zobaczy. Były to migające na czerwono- niebiesko światła radiowozu ojca.

Samuel zatrzymał się gwałtownie, czując jak śniadanie podchodzi mu do gardła z wysiłku, ale i strachu. Samochód taty stał obok drugiego, niemal identycznego. Ustawione były na kształt grotu strzały wycelowanego w... pomost, na którym tyle razy siedziała As. Chłopiec zobaczył drzewo, przy którym wczoraj stała. Teraz na wysokości może czterech stóp oplatała je żółto- czarna taśma.

Wujaszek też tam był, a jakże. Stał nieopodal taty i rozglądał się jak filmowy ochroniarz. Trudno stąd było dostrzec jego twarz, ale Samuel nabrał nagle graniczącego z pewnością przeczucia, że anioł się uśmiecha. Że jest tam nie tylko po to, by bronić ojca, lecz także by pochwalić się swoim dziełem. Bo kto leży na podeście, kogo oddzielono od świata taśmą, było dla chłopca oczywiste. As, Asrai, jego jedyna prawdziwa przyjaciółka. Kiedyś myślał, że się z nią ożeni, a potem ona postanowiła mu pomóc i ściągnęła tu

nawet boga kłamstwa. Teraz zginęła przez niego. Zginęła, bo postanowiła mu pomóc.

- To niesprawiedliwe - jęknął chłopiec tak żałośnie, że sam się na siebie zdenerwował. Nie to sobie obiecywał, gdy tu biegł. Nie będzie już żaloszny, nigdy, przenigdy!

Schylił się i podniósł z ziemi sękaty kij. Uderzył nim kilka razy o lewą dłoń i ruszył do przodu z zawziętą miną.

- Aniele Boży, Strózu taty. Poczujesz na dupie ten kij sękaty.- Słowa same układały mu się w głowie i płynęły z myśli prosto na język. - Za mamę, za mnie, teraz za As, zapłacić głową najwyższy CZAS!

Ostatnie słowo wyrzeszczał najgłośniejszym i najgroźniejszym, jak potrafił. Pradziadek Green, który dożył prawie stu dwudziestu lat, powiedział kiedyś chłopcu, że jego ojciec umiał wydobyć z siebie jeszcze ów rebeliancki wrzask, który mroził wrogów podczas wojny secesyjnej.

- W naszej rodzinie z tym krzykiem w sercu się rodzisz i idziesz przez życie. Wściekłość i wrzask, to właśnie my, Samuelu - mówił starzec do ledwie pięcioletniego chłopca, a ten jakimś cudem zapamiętał te słowa co do jednego.

Teraz biegł, wznosząc kij, a jego krzyk zmieniał się, przeobrażał, aż w końcu przeszedł we wrzask, jakiego Georgia nie słyszała od przeszło stu pięćdziesięciu lat. To była dzika, pierwotna siła przywieziona tu z daleka, obudzona teraz, gdy nie zostało już nic innego, by wyrazić bezbrzeżny gniew. Falą rozedrganego powietrza grzmotnęła w bok radiowozu ojca z impetem rozpedzonej ciężarówki. Blacha drzwi i dachu wygięła się jak nadtopiony plastik, a sam pojazd uniósł się w górę, przekoziołkował i wylądował na drugim samochodzie.

Szeryfem Dobkinsem, szefem Freda Greena, podmuch zakręcił jak wielkim bączkiem, by następnie cisnąć nim o pień rozłożystego jesionu, jedyne w okolicy. Drugi zastępca Tylor wzleciał ku niebu jak suchy badył niesiony gniewem huraganu. Zaczepiając o cienkie gałązki w koronach drzew, poszybował prosto do jeziora.

Na nogach utrzymali się tylko Fred Green i stojący przed nim wujaszek Zeb. Zastępca szeryfa w zdumieniu patrzył na syna, na jego wykrzywioną z wściekłości twarz, nienaturalnie rozdziawione usta i fale rozedrganego powietrza wydobywające się pomiędzy napęczniałych warg. Krzyknął coś do chłopca, ale przeraźliwy wrzask przekroczył już wszystkie naturalne granice i teraz stał się antydzwiękiem, czarną dziurą zasysającą szum,

szelest, słowo, krzyk.

- Zabije nas- pomyślał mu w głowie Zeb. - Nie dam mu rady, zaraz...

Fred nagle wystąpił przed anioła i wyciągnął rękę. Poczłł gorący podmuch fali uderzeniowej, która mało nie zdarła z niego skóry, ale nim wrzask zdołał zrobić mu realną krzywdę, Samuel zatrzymał się i opuścił kij. Zamknął usta, a z chwilą, gdy on umilkł, wszystkie dźwięki magicznie wróciły na swoje miejsce. Bez brzęczenia czy dzwonienia w uszach, bez śladu przytępienia jak po głośnym koncercie. Wrzask był i go nie było. Została wściekłość dyszącego dziko chłopca wspierającego dłonie na kolanach. W jednej ręce chłopiec wciąż trzymał kijek.

- Co robisz, Fred? - zapytał anioł, gdy zastępca szeryfa zrobił pierwszy niepewny krok w stronę syna. - On chciał nas zabić. Chciał...

Chłopiec uniósł wzrok i wskazał na anioła kijkiem.

- Ciebie! - wycharczał. - Tylko ciebie! Zabiłeś mi mamę...

Na te słowa Fred Green zamarł w pół ruchu. Powoli przyjrzał się najpierw synowi, a potem odwrócił głowę, by spojrzeć na anioła.

- O czym on mówi? - zapytał. - O czym on, kurwa...

- Nie klnij, Fred. - W głosie anioła zabrzmiała nagle ostrzejsza nuta. - Nie waz się kłąć i krzyceć na mnie po wszystkim, co dla ciebie robię. Wszystko dla twojego dobra, Fred. Mimo głupot, jakie popełniłeś.

Fred Green nerwowo poruszył wąsem i wolnym gestem oparł dłoń na służbowym rewolwerze. Anioł się roześmiał.

- Chcesz mnie skrzywdzić tym? - zakpił. - Wiesz, ile kul dla ciebie wylapałem? Ile zepchnąłem z twojej drogi? Jestem Aniołem Pana i...

- Na twoim miejscu nie chwaliłbym się tym za głośno, stary- dobiegło ich nagle od strony strzaskanych radiowozów. - Chyba że bardzo chcesz ściągnąć na siebie Winę.

Samuel, który zdołał już jako tako uspokoić oddech i się wyprostować, zobaczył wczorajszego motocyklistę siedzącego na sterczącym ku niebu podwoziu radiowozu ojca. Mężczyzna nie miał na sobie ciężkiej skórzanej kurtki, a włosy skrócił do postawionego na sztorc jeża, ale brodę i resztę ubioru miał takie same jak zeszłego wieczoru, podobnie jak wtedy żuł też wykałaczkę.

Palcem lewej ręki wygrzebywał coś spod łąty pluszaka, którego... Zaraz, czy on go aby nie zgubił? Samuel był niemal pewien, że podniósł go wczoraj i zabrał ze sobą, wsunął nawet do szuflady i...

Blondyn jakby czytał w jego myślach. Pomachał chłopcu misiem.

- Dzięki, że go dla mnie przetrzymałeś, mały. I wybacz za to przedstawienie wczoraj w nocy.

- Przedstawienie? - zapytał chłopiec.

Blondyn zeskoczył z wraku i ruszył w ich stronę, wciąż grzebiąc palcem w misiu. Chłopiec dostrzegł, że z tylnej kieszeni dżinsów sterczało mu długie, czerwone zawiniątko ze znaczkiem Marlboro.

- No tak, nocna wizyta twojego starego i jego rozmowa z tym tu - wskazał brodą na skonfundowanego anioła- były moim przedstawieniem. Sztuczka, iluzja. Chciałem cię trochę wkurzyć.

- Wkurzyć? - zapytał Fred Green. - Kim ty w ogóle jesteś?

- Wkurzyć, panie szeryfie. Wkurzyć i obudzić inność, którą pana wspaniały anioł zobaczył kiedyś w jego matce i która tak go zaniepokoiła. Tylko że widzi pan, panie szeryfie...

- Zastępczo - odruchowo poprawił Fred.

Blondyn uśmiechnął się i wypluł wykałaczkę.

- Dobrze, skromny zastępczo. Rzecz w tym, że choć pana anioł stróż intuicyjnie wykrył potencjalne zagrożenie, to nie umiał go ani nazwać, ani określić. Trudno się dziwić, bo to tępy wsiok i prostak.

- Dość, Loki! - huknął nagle anioł. Widząc, że skupił na sobie uwagę, wyprostował się, a z ramion wystrzeliły mu złociste skrzydła.- Dość już, kłamliwa przechero, zdrajco ¡abominacjo! Jesteś obrazą dla oblicza Pana i jako jego anioł...

- ...gównu zrobisz. - Loki sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął zawiniątko. Zamachał nim najpierw aniołowi, a potem pokazał Fredowi. - Pamiętasz, jak sześć lat temu byliście z żoną i tym tu małym krzykaczem - wskazał na Samuela - w Luizjanie i ukąsił cię wąż? Wydawało się, że już po tobie, ale wtedy pojawiła się stara kapłanka voodoo i dokonała cudu.

Fred bardzo powoli pokiwał głową. Samuel również, bo choć jak przez mgłę, też pamiętał starą jak świat mulatkę, zgarbioną i pomarszczoną tak, że bardziej niż człowieka przypominała pancernika postawionego na tylnych łapkach. Kobieta mówiła tylko szeptem i miała kijek z piórami, który okazał się starą parasolką. Miała też sukienkę z prześwitujących koronek z wzorem czaszek i jedno kompletnie żółte oko. Kazała na siebie mówić madame Laveau, ale towarzyszący jej biały wesolek w fioletowym fraku tytułował ją królową.

Zaraz, dotarło do chłopca, czy on też nie żuł ciągle wykałaczek?

- Pamiętasz, ile za to zapłaciłeś, prawda, Zeb? - Loki ponownie zwrócił się do anioła. - Pozbyłeś się piórek bez wahania i zapytałeś, dlaczego tak tanio. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, ale wyszło, że zapłacisz drożej, niż ci się wydaje.

Raz jeszcze potrząsnął zawiniątkiem i cisnął je na ziemię. Rozwinięta bandana Marlboro odsłoniła afrykańską figurkę przedstawiającą anioła z jednym skrzydłem zrobionym z pojedynczego pióra.

Zeb spojrział najpierw na ziemię, potem na Lokiego, po czym odrzucił głowę i parsknął śmiechem.

- Voodoo, Kłamco? Naprawdę? Przeciwno Aniołowi Pańskiemu?

Kłamca wzruszył ramionami. Poruszył palcami, jakby szykował się do sztuczki z monetą, i nagle miał pomiędzy nimi wykałaczkę. Wsunął ją do ust i zwrócił się do Freda Greena.

- Twoja żona była potomkinią irlandzkich Banshee, Fred. Nie wiedziała o tym, a moc w niej była w zasadzie nieaktywna. Obudziła się, jak widzisz, w twoim synu. Zauważyła to jego koleżanka, sama będąca wielorasowym bóstwkiem. Swoją drogą, Samuelu, As nic nie jest. Prawda, koleżanko?

- Prawda - rozległo się od strony pomostu.

Samuel spojrział w tamtą stronę i tak jak widział to wcześniej oczyma wyobraźni, na deskach leżało zakrwawione ciało jego przyjaciółki. Teraz jednak zwłoki zaczęły się topić, rozpuszczać i przeciekać między deskami, aż zostały po nich tylko zachlapanie krwią ubrania. Sama dziewczynka natomiast wyłoniła się spomiędzy osadzonych w wodzie pali, mokra, naga, owinięta tylko czymś na kształt mgiełki zasłaniającej piersi i krocze. Uśmiechnęła się przepaszająco.

- To było konieczne, Sam - powiedziała. - Inaczej...

- Daruj sobie - burknął Samuel, czując, że palą go czerwieniejące uszy. Nie był pewien, czy to z gniewu, czy z podniecenia, które wywołał w nim widok niemal nagiego ciała dziewczynki. Nie chcąc tego roztrząsać, zwrócił się do Kłamcy. - Panie Loki, czy wujasz... znaczy ten anioł. Czy on zabił mamę?

- Jego zapytaj. - Blondyn wzruszył ramionami. - Mnie nazywają kłamcą, a on nie może kłamać.

Jego palec ponownie powędrował do brzucha misia, skąd wreszcie odpruł łatę. Wyciągnął coś ze środka i zamknął w zaciśniętej pięści.

- To co, Zeb?- zwrócił się do anioła.- Powiesz im, zanim zabawimy się z tą małą voodoo zabaweczką i dostaniesz, na co zasłużyłeś?

Ukradkiem zerknął na Freda i dostrzegł, że ten zrozumiał, bo spojrzał na figurkę, nim powoli skupił wzrok na aniele. Dłoń zastępcy szeryfa wciąż znajdująca się na chwycie pistoletu teraz drgnęła. Cztery pary oczu wpatrywały się w wujaszka Zęba, czekając, co zrobi.

- Więc? - zachęcił Loki. - Czekamy na prawdę.

- Nie zasługujecie na prawdę - warknął anioł. - Nie zasługujecie na nią. Ona by... - słowo przeszło w huk wystrzału i wrzask anioła.

Postrzelona figurka poruszyła się na piasku, odstrzelona dłoń odprysnęła na bok.

Samuel, który przyglądał się oczom anioła, dostrzegł w nich tę samą nienawiść, jaką wujaszek żywił do matki i niego, tylko tym razem skierowaną po raz pierwszy w stronę ojca.

- Ty niewdzięczny człowieku— wycodził anioł, zaciskając krwawiącą pięść. - Ty...

Kolejne zdanie urwane strzałem, kolejny anielski wrzask. Z figurki odprysnęła noga.

Zeb zachwiał się, ale odzyskał równowagę i rzucił się w stronę Freda Greena, ale choć był nieprawdopodobnie szybki, pokonał ledwie połowę dystansu, po czym zawisnął w powietrzu. Zaskoczony rozejrzał się na wszystkie strony.

- No, w samą porę - stwierdził Loki. - Panowie agenci...

Z niewielkiej szczeliny, która rozcięła rzeczywistość, wyłonili się ostrzyżony po wojskowemu, umięśniony olbrzym i chudy jak szkapa, ulizany piękniś, obaj ubrani w grafitowe garnitury bez marynarek i także koszule. Większy miał dodatkowo prochowiec sięgający połowy uda.

- Butch, Zadra, poznajcie osoby dramatu. - Loki wskazał ręką. - Biedne, biedne dzieciaczki, skrzywdzony szeryf i... tego już znacie.

Kłamca podszedł do większego z aniołów i podał mu to, co trzymał w dłoni - niewielką kamerę.

- Dacie sobie z tym radę, prawda? Tu macie wszystko, przykłady nadużyć. No i oczywiście atak na podopiecznego sprzed chwili. Nie dziękujcie.

- Spokojnie, Loki - odpowiedział ten mniejszy, który Samuelowi wydał się podobny do któregoś z popularnych stand-uperów. - Nie podziękujemy.

Anioł obszedł Lokiego łukiem szerszym niż to konieczne, stanął przy wiszącym w powietrzu Zebie i zaczął mówić do niego tak, jak tata czasem mówił do awanturników na mieście:

- Aniele Zebedeuszu, dokonałeś naruszenia następujących przepisów i wykroczeń wobec woli Pana...

- I jak tam, Butch - Loki, nie słuchając ciągnącej się listy przewinień, zwrócił się do większego z aniołów. - Powiedz, że to wyrównuje tę akcję w Polsce, j Jesteśmy już kwita. No weź, duży. Po co nam kosa?

Wielki anioł nie odpowiedział, tylko poruszył ustami, jakby coś żuł. Samuel pomyślał, że zrobił to niemal zupełnie jak jego tata. W ogóle w gestach byli tak podobni, jak różnili się posturami. Dwóch starych gliniarzy patrzących teraz, jak sprawiedliwości staje się zadość.

Samuel poczuł nagle koło siebie delikatny zapach wody z jeziora i pływającego w niej zielska. Dłoń As wsunęła się w jego i zacisnęła lekko.

- Musiałam - szepnęła.

Skinął głową i patrzył najpierw na ojca, jak siada na piasku i płacze, kryjąc twarz w dłoniach, a potem na aniołów zakuwających wujaszka w kajdany i zabierających go w wąską szczelinę w powietrzu, z której sami przyszli.

- Już nie wróci, prawda? - zapytał stojącego nieopodal Lokiego.

Kłamca wzruszył ramionami.

- Nie powinien - odparł bóg kłamstwa. - Ale nawet jeśli, to twój stary odstrzelił mu łeb, jak przystało na twardziela z Południa. A jeśli nie, ty też odkryłeś, że masz to i owo w zanadrzu, nie szczyłu?

- Tak - odparł chłopiec. - Wściekłość i wrzask.

- Nie chodziło mi o książkę z biblioteki, ale niech ci będzie. - Kłamca wepchnął misia pod pachę i wyczarował skądś kolejną wykałaczkę w miejsce przed chwilą wyplutej. Przepchnął ją językiem z jednego kącika ust do drugiego i mrugnął do As. - Pamiętaj, mała, że jeszcze musimy się za to wszystko rozliczyć. Mam nadzieję, że tatuś nasrał dość monet.

- On je bierze z powietrza! - zaprotestowała dziewczynka.

- Tak, mała. Jasne.

<Klik>

Właściwie nie wiem, co nagrywać, tyle się dzieje. Miałem pierwsze

zajęcia praktyczne, kazano nam się opiekować dziećmi w przedszkolu. Tak się złożyło, że mój podopieczny i podopieczny Gearosa, obaj lat cztery, mocno nie przypadli sobie do gustu i ich konflikt wymagał naszych działań. Nie spisaliśmy się. Gearos dostał minus za wsparcie podopiecznego w celowaniu drewnianym klockiem, ja za odbicie go w kluczowym momencie swoją ręką. Zostało to uznane za nadużycie i pouczono nas raz jeszcze o dopuszczalnej interwencji oraz zasadzie ograniczonej sympatii wobec podopiecznych. Ale widok rozdziawionych buzi dzieci, gdy klocek nagle skręcił w locie, z ich punktu widzenia bez powodu, był bardzo zabawny.

Ach, no i dowiedziałem się, że pochodzenie Butcha jest, jak to ujęto, „niechronologiczne”, co oznacza, że pojawił się któregoś dnia, najprawdopodobniej prawem dogmatu. Skomplikowane do wyjaśnienia, gdy dyktafon nie ma nieograniczonej pamięci, a język ludzki dość słów. No ale muszę ćwiczyć ziemskie wyrażanie myśli. Stróż myślący jak człowiek to Stróż skuteczniejszy.

O, jeszcze jedna ciekawostka! Lista mitycznych wydłużyła się o kolejne imiona. Pojawiły się na niej dwa greckie bóstwa: Bachus i Eros. Z nimi też wolno nam rozmawiać.

<Klik>

RAJ UTRACONY

ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI

Teraz, gdy lewitował centymetr nad parującym ręcznikiem, a na wyciągnięcie ręki miał zawartość hotelowego brodzika cudownie przemienioną w nierozgazowujący się, niezmiennie zimny browar, Janusz Kolanko musiał w końcu przyznać, że opłacało się wykosztować na ten cały urlop.

Wcześniej przez długi czas był przeciwny. Bo kto to wymyśla takie fanaberie jak wakacje w tropikach zimą? Kto sobie może na takie luksusy pozwolić? Chyba tylko te kurwy z rządu i inne złodzieje, co się wożą za podatki i bandycki haracz z autostrad. Normalny człowiek, a pan Kolanko swoją normalnością szczyił się równie mocno jak seatem w leasingu na firmę, to w styczniu jeszcze Święta splanca, oddech łapie po telewizorze na dziesięć rat zero procent i myśli, że może by tak coś odłożyć. Atu mu nagle Halinka z tym całym *all inclusive* na jakimś końcu świata: że świetne, że okazja, że może nie takie tanie, ale tańsze niż Egipt, gdzie się wybierali, no i mają polską strefę. Pan Kolanko polubił polskie strefy na wakacjach w Hiszpanii, bo było się i do kogo odezwać i z kim wódki napić jak człowiek, a nie tylko te wina, pomidory i senior, kurwa, senior.

Mimo to Janusz Kolanko nie ustępował.

- Może i tańsze niż Egipt, Halinka - mówił- ale czy mają tam piramidy? Czy mają tego, no, Cheopsa?

- Cheopsa?

- No, Cheopsa, tego bez nosa przecież, co jak pies wygląda - wyjaśnił pan Kolanko. Kochał tę swoją Halinkę, ale czasem jej nieoczytanie i

nieobeznanie w światowej kulturze doskwierało mu jak pisk klocków hamulcowych. - Mają tam na tej twojej wyspie Cheopsa? Mają? No nie mają! To muszą mieć taniej.

- *Allinclusive*, Janusz. Jesz, ile chcesz.

Kolanko prychnął.

- A co, to ja tego nie mam co sobotę w mlecznym u pana Kazia? Jeździć nie trzeba, żarcie dobre, bo sprawdzone, pan Kazio sam świnie bije, jego żona kiszoną nogami ugniata, to i...

- Marcin z Goską zrobili wczoraj rezerwację. - Halina Kolanko uderzyła argumentem ostatecznym. Teraz już było wiadomo, że albo na te wakacje zimą pojedą, albo i tak potem podczas niekończącego się wieczorku wspominkowego zobaczą każdy, nawet najnudniejszy skrawek wyspy na zdjęciach i roztrzęsionych, prześwieblonych filmikach robionych raz w pionie, raz w poziomie. To już lepiej tam być i móc potem odpowiadać ciosem za cios. Zdjęciem za zdjęcie, filmikiem za filmik.

Właśnie tak trafili na wyspę, której nazwy pan Kolanko wymówić ani nie potrafił, ani nie chciał, do hotelu tak ładnego, że ani chybi był pralnią mafijnych pieniędzy. Tylko patrzeć, jak spomiędzy tych wszystkich nierozróżnialnych Japońców, tłustych Niemców,

wychudłych, pomarszczonych Niemek i Polaków cebulaków, wychyną gdzieś ulizani Włosi albo Ruscy ze złotymi łańcuchami i w dresach. No ale przynajmniej Arabusów w turbanach nie było i nikt tu spod kapelusza pejsami nie świecił. I żywca mieli w barku, co wtedy, pierwszego dnia jeszcze się liczyło. Bo potem już zupełnie nie.

Pan Janusz obrócił się w powietrzu i wyciągnął rękę, a wtedy stojący na stole kufel z miejsca się oszronił, a następnie zanurzył w brodziku. Wypełniwszy się złotym płynem, naczynie otrzepało się jak mokry pies, wytwarzając wewnątrz grubą na dwa palce pianę, po czym poszybowało w stronę dłoni Kolanki.

Usiadł, wciąż centymetr nad ręcznikiem, chwycił piwo, upił łyk i zapatrzył się w widok na horyzoncie. Trochę go zmienili, odkąd ujawniono im ich moce, ale mimo wszystko starali się nie przesadzać. Janusz z Halinką ograniczyli się do dwóch piramid, Marcin do ośnieżonego stoku z wyciągiem, a jego Gośka stworzyła raptem kilometrową alejkę paryskich butików i dwie karty kredytowe bez limitu.

Niemcy w sumie też nie byli jakoś pazerni na cuda. Robili tam sobie jakieś styczniowe Oktoberfesty, wystawy samochodów w naprędcie

stworzonych halach Expo i oglądali w kinie plenerowym alternatywne wersje rzeczywistości, w której jednak rządili światem, odbiwszy go zawczasu bohatersko z rąk nazistów. Byli trochę głośni, ale - co pan Kolanko musiał przyznać z patriotycznym zażenowaniem - wcale nie głośniejsi niż jego rodacy. Niemcy też ani nie zmuszali nikogo do picia wódki, ani nie tłukli się dzwonami drugiej Jasnej Góry w niedzielny poranek. Nie spędzali też całych dni na kombinowaniu, jak te wszystkie naprodukowane tutaj cuda przywieźć sobie potem do kraju i sprzedać jak jacyś Cyganie.

Ale i tak najgorsi ze wszystkich byli Azjaci. Ci to codziennie wymyślali coś innego. A to robili na zachodnim krańcu wyspy wielką replikę miasta i puszczali na nią gigantyczną jaszczurkę stojącą dęba, a to tłukli się w olbrzymich robotach, a to przerabiali przypadkowo napotkane kobiety na dziwne stwory o dużych cyckach, nierealnie długich nogach i przerażająco wielkich oczach. I wszystkimu, absolutnie wszystkimu robili zdjęcia.

- Janusz, nasmarujesz mi plecy?- zapytała wylegująca się na basenowym leżaku Halina.

- Asama se nie możesz?- burknął, ocierając usta owłosionym przedramieniem.

- No jak, debilu, sam... A, no tak, w sumie faktycznie. Kogoś se wyczaruję, nie będę się prosiła.

Rzeczywiście zaraz zjawił się koło niej umięśniony łysy Mulat podobny do takiego, co grywa w filmach akcji. Facet miał śnieżnobiałe zęby, tatuaże w dziwne wzorki, a za jedyne ubiór - przepaskę na biodra rozmiarów ręczniczka do twarzy. Kolanko upił piwa i ze złością poklepał się po brzuchu. On to nie mógł sobie tak po prostu, na widoku panienki wyczarować. Wiezorami musiał albo w łazience. A i tak był strach, bo Halina w każdej chwili mogła przez ścianę przeniknąć albo uczynić je wszystkie przezroczystymi tylko po to, żeby potem zrobić scenę. Tak, to by) minus tego całego *all inclusive*.

- No ale przynajmniej wygrałem bitwę o basen - mruknął z satysfakcją Kolanko.

Faktycznie miał powód do dumy. Cztery dni spierał się o ten basen z jakimś nowobogackim Ukraińcem. Cztery dni rzucania plag gorszych niż egipskie, przemieniania się nawzajem w ropuchy, zakładów, wyzwania i dosłownego ciskania gromami. W końcu jednak Ukrainiec skapitulował i poszedł sobie stworzyć aquapark na skarpie, a hotelowy basen zostawił w

całości do wyłącznej dyspozycji Kolanków i ich gości. Na myśl o tym pan Janusz samym spojrzeniem uzupełnił piwo w kuflu i wzniosłszy toast za samego siebie, wypił wszystko trzema dużymi łykami. Na koniec mlasnął głośno, uderzył się pięścią w pierś i beknął, przekonany, że tak właśnie wygląda i smakuje raj.

- Janusz! Janusz!!! - szeptał Haliny z każdym powtórzeniem imienia męża coraz głębiej wdzierał się do głowy, rozbijając bramę snu. Był niczym taran z tłumikiem. - Janusz, budźże się, do cholery!

Pan Kolanko otworzył jedno oko. Na wyspie nie potrzebował okularów, wzrok miał ostry jak za szkolnych czasów, a oczy błyskawicznie przyzwyczajały się do ciemności.

- Co jest, kobieto? - stęknął niechętnie, drapiąc się po brzuchu.

- Zobacz za okno.

- I po to mnie, kurwa, budzisz?!- zaczął Kolanko, ale w tym momencie zobaczył twarz żony. Natychmiast odrzucił kołdrę. - Halinka, co ci? Co się stało?

- Za okno zobacz!

Opuścił nogi, a puszyste kaptcie natychmiast wsunęły się na stopy. Rozświetlił się też na złoto długowłose dywan, a stojące na drodze przedmioty i porzucone ciuchy rozstały się niczym Morze Czerwone przed laską Mojżesza. Pan Kolanko, nie zważając na to wszystko, czy też raczej traktując każdy z tych małych cudów jak najzwyczajszą rzecz na świecie, poczłapał do okna.

Na zewnątrz lało jak z cebra. Było to trochę dziwne, bo niby kto z wczasowiczów mógł sobie zażyczyć akurat ulewy. Kolanko wiedział jednak, że jedni lubią Górnika Zabrze, inni jak im nogi capią - czasem trzeba było po prostu przyjąć, że ludzie bywają pojebani. Może się kto chciał całować w deszczu? A może któryś z Niemców świeżo wymyślił jedno z tych aut z wystawy? Powodów mogło być tysiąc.

- Przy basenie zobacz- powiedziała Helenka, wyrastając tuż za nim.

Aż się wzdrygnął, ale posłusznie spojrział w zasugerowanym kierunku. I nagle przez moment miał wrażenie, że hotel w jednej chwili zniknął, a oni, Janusz Kolanko i jego żona Halinka, unosili się w powietrzu mokrzy od deszczu i smagani lodowatym wiatrem. Już nie bogowie na wakacjach życia,

ale deski z wraku rozbitego o skały żaglowca, wyrwane ku niebu huraganowym podmuchem i wirujące w powietrzu nad dziewiczą wyspą.

Przy basenie stał potężnie zbudowany mężczyzna w przezroczystym przeciwdeszczowym płaszczu, pod którym nie miał na sobie zupełnie nic prócz lśniących złotem tatuaży. Były trochę jak ta taśma ledowa, z której pan Kolanko zrobił sobie światła do jazdy dziennej, tylko świeciły zdecydowanie mocniej. Mężczyzna trzymał w ręku potężny hak świecący jak całe jego ciało i, co dotarło do Kolanki dopiero po kilku sekundach, wpatrywał się właśnie w ich okno.

- Myślisz, że to jakiś nowy? I będzie chciał przejąć jutro basen? - zapytała Halinka.

Na te słowa pan Janusz otrzepał się jak mokry pies i prychnął pogardliwie.

- Jeśli tak, będzie potrzebował czegoś więcej niż parę żarówek i gipsowy haczyk - stwierdził hardo. - Chce tego basenu? Po moim, kurwa, trupie.

Ostatnie słowa powiedział, patrząc na mężczyznę w płaszczu. Ten sam chłód, który czuł wcześniej, teraz wlał się w głąb duszy Kolanki i wypełnił ją lodem, gdy tamten wyszczerzył się nagle i skinął głową, po czym zniknął w rozbłysku błyskawicy.

WROCLAW,
POLSKA

Komisarz Jakub Ryjek wyszedł spod prysznicza akurat w samą porę, by uratować swoje śniadanie. Za sprawą pary z czajnika powietrze w kuchni było równie wilgotne jak w łazience, szklane powierzchnie zaparowały, a po okapie i szafkach sunęły wielkie, tłuste krople.

Jak zawsze dla oszczędności naczyń i czasu Ryjek gotował jajka na twardo i parówki w jednym garnku. Teraz, gdy zajrzał pod podskakującą pokrywkę, zobaczył trzy krzyżyki rozpękniętych kielbasek i dwa popękane jajka w resztkie nieodparowanej wody. Widok skojarzył się komisarzowi z grą w kółko i krzyżyk kamieniami i dorodnymi dżdżownicami. Skąposzczety ewidentnie wygrały.

- No pięknie - westchnął Ryjek, ale bez specjalnego gniewu. Wyjął z szafki talerz, popękane parówki wyłowił widelcem, a następnie tym samym

widelcem zepchnął garnek z kuchenki do zlewu, gdzie zalał go zimną wodą. Oczekał, aż jajka się wystudzą, obrał je i przekroił na połowy, dodał na talerz musztardy, keczupu, majonezu oraz dwie kromki posmarowane masłem. W szafce znalazł ostatnią torebkę czarnej herbaty, więc wrzucił ją do kubka, zasypał cukrem i zalał wodą. Wreszcie uzbrojony w talerz i kubek przeszedł do pokoju stołowego, by zjeść przed telewizorem.

Widok Butcha stojącego tyłem do niego przy szafce z książkami nawet go szczególnie nie zaskoczył. Owszem, komisarz spiął się nieco, drgnął, a kilka kropli gorącej herbaty skapnęło mu na rękę.

Zważywszy jednak na okoliczności, Ryjek był dumny ze swojego opanowania.

- Myślę, że powinieneś się jakoś zapowiadać- powiedział, stawiając naczynia na stole i wycierając rękę o bokserki.

- Pomyliłeś się, Jakubie. Aniołowie zwiastują, nie są zwiastowani. - Butch odłożył trzymaną książkę w miejsce, które odpowiadałoby którejś z części mafijnej sagi Puzo, i odwrócił się powoli. - Smacznego.

- Dziękuję. - Ryjek zasiadł do stołu. Oceniał zawartość talerza i westchnął ciężko. - Czy...

- Nie, nie chcę twojego śniadania, dziękuję - odparł Butch.

- Czyli jednak czytasz mi w myślach?

- Nie, po prostu myślę i oceniam sytuację, tak jak w tych twoich książkach. Swoją drogą dziękuję, dużo się nauczyłem.

- Bardzo proszę. - Ryjek odkroił kawałek parówki i zamoczył ją najpierw w musztardzie, następnie w keczupie. Przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu i dołożył jeszcze maczanie w majonezie. - A jak idzie ci odróżnianie fabularnej fikcji od książek popularnonaukowych?

Butch potarł szczękę kantem dłoni.

- Będziesz mi to wypominał, co?

Ryjek wycelował w niego widelcem.

- To ty pierwszy zarzucałeś nam brak skuteczności książkowych gliniarzy, czyż nie? Dlaczego nie możecie tak? Czemu nie zrobiliście tego...

Butch wyciągnął ręce przed siebie w pojednawczym geście.

- Dobra, dobra. Rozumiem, masz rację. Ale to o profilach psychologicznych było prawdziwe, prawda? - Wskazał na leżącą na stole książkę z białą okładką i nieco napuchniętymi od wilgoci stronami.

Komisarz miał akurat pełne usta, więc mógł jedynie przytaknąć

skinieniem.

- Przyszedłeś tylko oddać i pożyczyć książki? - zapytał, gdy już przełknął. - Czy ściąga cię jakiś temat? Bo wyglądasz, jakby...

- Zgubiliśmy anioła.

- Po pierwsze- Ryjek uniósł widelec- musisz oduczyć się wchodzenia mi w środek zdania. Po drugie, co, kurwa?! Jak to: zgubiliście anioła? Przecież mówiłeś, że to niemożliwe!

Butch przymknął oczy. Wyglądał, jakby zasnął na stojąco, ale po kilku sekundach energicznie potrząsnął głową.

- Nie, na pewno nie użyłem słowa „niemożliwe” - stwierdził. - Bo to się zdarza, choć ekstremalnie rzadko. Zazwyczaj wiąże się to albo ze śmiercią anioła, albo...

- Możecie umrzeć?!

- I kto tu teraz komu wchodzi w zdanie?

Ryjek pokazał, że zamyka usta na kłódkę, co jednak nie przeszkodziło mu niemal natychmiast po tym geście napakować do nich parówek i jajka.

Butch uniósł rękę, by ponownie potrząść szczęką, ale złapał się w połowie tego gestu, posłał wznoszącej się dłoni pełne wyrzutu spojrzenie i opuścił ją.

- Anioł Hizael zniknął nam z radarów, a ponieważ był Stróżem dość przykładowym i regulaminowym, obstawiamy z Zadrą raczej wypadek niż samodzielną próbę ukrycia. Obstawiam, że stała mu się jakaś krzywda, i nawet na podstawie tej książki o profilowaniu zbudowałem sobie obraz sprawcy.

- Niech zgadnę. - Ryjek wyjął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych i jedną z nich otarł usta z resztek musztardy i keczupu. - Loki?

- Tak by wychodziło - przytaknął Butch.

Ryjek wstał.

- Tobie zawsze tak wyjdzie, bo nienawidzisz go jak psa i uważasz za odpowiedzialnego za większość zła, jakie się ostatnio dzieje... Nie, nie przerywaj mi. Nie twierdzę, że nie masz racji, ale jeśli masz być naprawdę dobrym śledczym, Butch, potrzeba ci jednak odrobiny dystansu. Tylko z odległości, bez gniewu widzisz, czy zadałeś wszystkie właściwe pytania.

- A jakie tobie pytania przychodzą, Jakubie?

Komisarz starł chlebem to, co zostało na talerzu.

- Pierwsze to takie: skąd dowiedzieliście się o nieobecności Haza?

- Hizaela.

- No właśnie. Skoro się zorientowaliście, że go nie ma, to był albo ważny, albo z jakiegoś powodu potrzebny. Ewentualnie ktoś wam powiedział, że zaginął, prawda?

Butch zastanawiał się przez chwilę.

- Mieliśmy jego teczkę z adnotacją do sprawdzenia w biurze- powiedział w końcu. - Normalna rzecz, zwłaszcza teraz, gdy wszędzie jest sporo kadetów z Chórów; co chwila nam podrzucają albo bardzo niepewnych, albo podejrzanie krystalicznych. Hizael był w tej drugiej grupie.

- Aha, czyli pudło. - Ryjek odgryzł i przeżuł kawałek chleba. - Ale oczywiście i tak powinienś zapytać w kadrach, czy to na pewno oni. Tak na wszelki wypadek.

- Jasne - zgodził się anioł. - Tak zrobię.

- Drugie pytanie, jakie mi się nasuwa: skoro Hizael jest Stróżem, to gdzie jest jego podopieczny lub podopieczni?

- O właśnie!- ucieszył się Butch.- Cieszę się, że zadałeś to właśnie pytanie, bo odpowiedź tłumaczy, dlaczego tu jestem.

Ryjek westchnął. Upił herbaty, spojrział na zegarek, wziął kolejny duży łyk.

- Dajesz, co masz, wrzucę gościa na bęben, jak tylko dojadę do biura.

- Nie trzeba. On, a właściwie oni, bo to małżeństwo, też zaginęli - odparł Butch. - Nazywają się Marcin i Małgorzata Malikowscy. Ich mieszkanie stoi teraz puste. Chcę, byś pomógł mi je przeszukać.

Ryjek raz jeszcze spojrział na zegarek. Z jednej strony powinien się już zbierać, ale z drugiej, nie miał przecież w robocie nic pilnego. Da znać, że trochę się spóźni, a może faktycznie uda mu się pomóc?

- Dobra, zgoda, tylko...

Poczuł, jak powietrze wokół niego faluje i rozrzedza się, po czym nagle z cichym plop! przeniósł się ze swojego mieszkania do innego wnętrza. W momencie teleportacji siedział na krześle, więc wylądował w kucki i natychmiast przewrócił się na wyfroterowaną podłogę.

Butch zmaterializował się obok niego i pomógł mu wstać.

- Tak, wiem - powiedział ze skruchą- powinienem pozwolić ci kończyć zdania. Przepraszam.

Ryjek ujął jego rękę i podciągnął się. Obliznął usta, na których wciąż jeszcze czuł smak parówek, i powiódł wzrokiem po mieszkaniu.

- Zadbane - zauważył. Dotknął komody, na której zebrała się drobinka kurzu. - Znaczący zadbany na co dzień, ale tu nie było nikogo już od jakiegoś czasu. Tydzień, może dwa? Dziwne, że nikt tu nie zagląda do kwiatków. Chociaż nie, to w zasadzie same kaktusy, poradzą sobie. Byłeś tu już wcześniej, Butch?

- Tak- odparł anioł- ale niczego nie dotykałem, niczego nie przestawiałem. Jest, jak było.

Ryjek uśmiechnął się. Rozejrzył się po pokoju, ale nie dostrzegł niczego szczególnego. Wysoki sufit kamienicy. Kanapa przed dużym telewizorem, w kącie stół ustawiony tak, by dwie osoby mogły albo patrzeć sobie w oczy albo równie wygodnie gapić się w ekran. Na ścianie akwarelki z kwiatami i zdjęcia z wakacji przedstawiające zwykle albo parę typowych czterdziestolatków, albo dwie takie pary. Sądząc po fotografiach, gospodarze nie byli podróżnikami, ale czuli potrzebę odhaczenia najśłynniejszych miast Europy.

W kredensie znajdowała się ładna i zapewne kosztowna zastawa z Bolesławca, kilka zestawów kieliszków i lampek- zawsze po cztery - oraz jeden specjalny talerz z wizerunkiem papieża, kupiony podczas ostatniej wizyty Jana Pawła II w kraju. Na półce kilka książek, wśród których królowały poradniki odchudzania znanych celebrytek, książki Lee Childa i kioskowa kolekcja polskiej klasyki. Były też dwa tomy wypuszczanych w serii dzieł znanych filozofów, ale najwyraźniej Malikowskim zapal skończył się na Arystotelesie.

Ryjek przeszedł do sypialni. Przyjrzał się starannie zaścielonemu łóżku, zerknął pod nie i między poduszki. Otworzył szufladę, łapiąc uchwyt przez chusteczkę, sprawdził zawartość szafki nocnej, ale nie znalazł tam niczego, co wzbudziłoby choćby cień zainteresowania. Za to w szafie z lustrzanymi drzwiami dostrzegł wyraźne luki i puste wieszaki, świadczące o tym, że jakaś odzież - zarówno męska, jak i damska - została stąd zabrana. Potwierdził to jeszcze, zerkając na najwyższą półkę, gdzie zwykle w domach jak ten trzyma się walizki. Odkrył puste miejsce.

- Masz coś? - zapytał go Butch.

- Chyba tak, ale jeszcze chwilę - odparł Ryjek.

Sprawdził komodę i szuflady z bielizną, by tylko upewnić się w swoim przekonaniu, że gospodarze wyjechali i że zrobili to na własne życzenie, bez pośpiechu. Gdyby uciekali, w domu byłby większy bałagan. Gdyby porzucali to miejsce, pewnie zabraliby trochę sentymentalnych bzdur, jak

zdjęcia czy choćby jeden egzemplarz z parapetowej kolekcji posklejanych modeli.

Opuściwszy sypialnię, komisarz zdecydował, że następną będzie kuchnia. Bez większych nadziei sprawdził kosz pod zlewem. Normalnych śmieci rzeczywiście nie było, ale ku Ryjkowej radości obok leżała zawiązana reklamówka wypełniona pociętym papierem. Sięgnął po nią, rozwiązał, trącił palcami kilka świstków, paragonów i gazetę, w której tematem dnia był zeszlotygodniowy, ale wciąż ekscytujący za sprawą nowych szczegółów atak terrorystyczny wymierzony w potomków rodzin królewskich. W końcu wyjął ścinki z lakierowanych stron folderu biura podróży. Zestawił dwa z nich tak, by uformowała się nazwa biura wpisana w tęczę.

- Butch? - zawołał. - Czy nazwa „Bifrost” powinna coś nam mówić? Bifrost Tour?

Widząc, jak lewa pięść anioła się zaciska, a prawa ręka wędruje ku twarzy, Ryjek już wiedział, że trafili. Uśmiechnął się krzywo.

- Twój profil się sprawdził, co? To coś z Lokim?

- Tęczowy most. Bifrost to tęczowy most, którym Asowie podróżowali między światami - odparł anioł. Pochylił się i uważnie przyjrzał ścinkom. - Gdzie to jest? To miejsce?

- Jeśli pytasz o mityczny most, to nie pomogę.- Komisarz ponownie zanurzył rękę w worku. - Ale adres biura podróży zaraz znajdziemy.

ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI

Marcin Malikowski ćwiczył przez całe życie. Nie za dużo, nawet w najlepszych latach nikt nie nazwałby go sportowcem z prawdziwego zdarzenia, ale jeszcze w podstawówce nie odpuszczał żadnych SKS-ów, jeździł na zawody, ćwiczył karate i judo, a wieczorami grywał z kolegami w nogę lub koszykówkę.

W ogólniaku zaczął biegać, by przypodobać się jednej koleżance, i choć z dziewczyną nie wyszło- zaciążyła z kumplem Marcina w maturalnej - to nawyk biegania pozostał. Pięciokilometrowe przebieżki jeszcze przed śniadaniem czy nawet poranną kawą robiły mu naprawdę dobrze, a

dodatkowe ćwiczenia na siłowni trzy razy w tygodniu i piątkowy squash z kumplami pozwalały Malikowskiemu określać się mianem aktywnego fizycznie. Gdyby tylko nie był tak wielkim fanem piwa i śmieciowego żarcia, które w dole umięśnionego brzucha i nad biodrami formowały mu tę nieznośną oponkę...

Co zaskakujące, choć w domu myślał często o tym zniechęconym zapasie tłuszczu, to gdy zjawili się z Goską na wyspie i odkryli niezwykle zdolności, jakimi ich tu obdarzono, nie przyszło mu do głowy, by się tego dziadostwa za ich sprawą pozbyć. Wpadło mu to do głowy dopiero teraz, gdy oponka była najmniejszym z jego zmartwień.

Marcin Malikowski biegł przez wyspę. Biegł, jak nie pędził jeszcze nigdy w życiu ani on, ani z pewnością żaden inny człowiek na ziemi. Rzeczywistość wokół rozmywała się i zlewała w jedną plamę, krzaki, palmy, a nawet kamienie uciekały na bok, robiąc mu miejsce, by zasunąć się ponownie tuż za jego plecami. Od dłuższej chwili nie słyszał już biadolącej Gośki, ale nie był pewien, czy tylko przestała jęczeć, czy odpadła gdzieś po drodze. Mogło tak być, bo ostatnimi czasy jedynym ćwiczeniem jego żony było oglądanie Chodakowskiej do porannej kawy z sernikiem lub szarlotką.

„Stań i walcz!”

Malikowski nie zwolnił, kolejny raz niepewny, czy ta powracająca myśl jest jego własną, czy pochodzi od faceta z hakiem. Nie miał zamiaru skończyć jak Jasiak Kolanko, który mimo trzęsącego się głosu stanął naprzeciwko gościa i powiedział, że nie będzie mu tu, kurwa, żaden wyspiarski bambus, jego, potomka tych, no... uskrzydłych huzarów po nocy w hotelu wkurwiał i żony straszył. Rzucił tamtemu wyzwanie i cisnął w niego gromem. Przeciwnik z gracją odbił pocisk, po czym zawiesił Kolankę za żebro na haku jak pierdolonego Janosika!

A potem, jak już się ten facet z hakiem rzucił do robienia czystek, to w pięć minut wykosił połowę turnusu! Nieważne, czy ludzie próbowali zamieniać się w ptaki i uciekać w niebo - wtedy łapał je w siatki - czy stawiali mu opór, wyczarowując sobie karabiny, a nawet armię uzbrojonych po zęby samurajów - wtedy otoczył się murami wyrwanymi wprost z głębi ziemi, odbijającymi pociski i ostrza katan. Każdemu dawał radę, na każdego miał pomysł i sposób. Bo może tutaj wszyscy byli bogami, ale wyglądało na to, że facet ma w tym zdecydowanie dłuższe doświadczenie.

Marcinowi i Goście udało się, przynajmniej na razie, uciec spod haka z dwóch powodów. Po pierwsze, pognali w stronę ćwiartki wyspy porośniętej

dżunglą, gdzie według wiecznie zachlanego rezydenta moce albo nie działają, albo mogą robić to w sposób całkowicie nieprzewidywalny i prawdziwie niebezpieczny. Po drugie, nie kombinowali, nie przemieniali się i nie czarowali, tylko biegli. Jak ludzie, nie bogowie. Ale teraz, nie mając już żadnych nowych bóstw do zaszlachtowania, mężczyzna z hakiem ruszył za nimi. I z każdą chwilą coraz bardziej ich doganiał.

„Zatrzymaj się i walcz!”

- Pierdol się- wydyszał Malikowski i przeskoczył nad wielkim, grubym konarem, który błyszczał w blasku księżyca i sprawiał wrażenie, jakby się poruszał. Czyżby wielka anakonda? Boa? Czy co tam może tu pęłać? Uniósł wzrok i pomiędzy gałęziami dostrzegł maleńkie sylwetki małych zasłaniających sobie uszy, nieco dalej złotymi ślepiami przyglądała mu się pantera, a jeszcze dalej... Czy to byli tubylcy? Ukryte pomiędzy krzakami postacie przypominały ludzi, ale w półmroku trudno to było jednoznacznie określić. Jeśli byli ludźmi, nosili mnóstwo prymitywnych, kościanych ozdób i mieli broń; jeśli byli po prostu drzewami, to albo natura, albo wyobraźnia robiły sobie z Malikowskiego jaja.

- Za chwilę skończy ci się droga - odezwał się głos za jego plecami. Blisko, o wiele za blisko i ani trochę niezziąjany. - Żaden honor stawać do walki, gdy się nie ma innego wyjścia, prawda?

Zwierzęta i ludzie ukryci w krzakach wyglądali, jakby czekali w napięciu na odpowiedź. Malikowski tylko przyspieszył.

Rzeczywiście po kilkudziesięciu metrach dżungla kończyła się niewielką, rozświetloną prymitywnymi pochodniami polaną, za którą wyrastała sięgająca nieba skała. Wzdłuż jej podnóża ustawiono posągi przedstawiające typowych turystów z różnych regionów. Był więc Azjata z aparatem, Bawarczyk w kapelusiku i ze skarpetami do sandałów, a nawet oddany idealnie Janusz Kolanko z wąsem, rozpiętą koszulą i kałdunem wylewającym się zza przyciasnych bermudów. Malikowski nie zdołał przyjrzeć się stojącym dalej figurom kobiecym, bo ktoś za jego plecami chrząknął.

Pomiędzy drzewami stat facet nagi facet z hakiem w dłoni. Świecił rozlicznymi tatuażami, a z jego oczu i rozchylnych ust bił pomarańczowy żar roztopionej lawy. Wielki hak skrzył od elektrycznych wyładowań, z ostrego czubka kapła krew.

- Mówilem - powiedział, szczerząc się w uśmiechu. - Teraz to żadna odwaga.

Z dżungli za nim wyłonili się pospołu ludzie i zwierzęta. Korony drzew wypełniły się papugami i małpami, nieco niżej z gracją rozsiadły się dzikie koty. Węże owinięły się wokół pni i konarów, a pomiędzy honorowo udekorowanymi ludźmi barwy miedzi pojawiły się porośnięte szczecina świnię i nieznanę Malikowskiemu zwierzęta przypominające trochę rosomaki, ale zdecydowanie większe.

- Gdzie moja żona?

Mężczyzna uniósł broń, przyjrzał się wiszącej na ostrzu kropli i zlizął ją.

- We mnie - odparł. - Jak i oni wszyscy. Zostałeś mi już tylko ty.

- Czego ode mnie chcesz?! - Malikowski zdał sobie sprawę, że jego głos brzmi histerycznie.

- Tylko ciebie!- zawył facet z hakiem na melodię znanej pościelowy. Ktoś za nim zarechotał, jakiś rytualnie ubrany tubylec, ale śmiech niemal natychmiast przeszedł w syk, gdy współplemieniec dźgnął śmieszka łokciem pod żebro.

Wytatuowany mężczyzna tymczasem uniósł broń i zaczął nią wywijać. W lewo, w prawo, nad głową, za plecami. Już miał postąpić krok do przodu i zaatakować, już wznosił swój hak niczym wielki, rzeźbiony pazur, gdy nagle... dostał prosto w czoło wielkim kamieniem.

Zaskoczony warknął, otrząsnął się niczym zwierzę i gniewnie łypnął w kierunku, z którego nadleciał pocisk. Na widok rzucającego znowu się jednak rozpogodził.

- Proszę, proszę- powiedział, szczerząc śnieżnobiałe zęby- Czyżby ktoś tutaj mimo wszystko miał swojego anioła?

Malikowski również się obejrzał. Dostrzegł chudego, żyłastego facecika siedzącego na jednym z posągów, ubranego w szary garnitur bez marynarki, świecącego białym, wyblakłym światłem i wyglądającego na skrajnie wykończonego. Mimo to, gdy spojrzenie jego i Malikowskiego spotkały się, uśmiechnął się słabo.

- Cześć, Marcinie. Nareszcie mamy okazję się poznać.

- Cz... cześć?

- Dać wam chwilę? - zaproponował facet z hakiem. - Oczywiście nie za długą, bo licznik bije, a ja niestety wciąż nie mam dla siebie całej wieczności, ale myślę, że kilka minut mnie nie zbawi.

- Nic cię nie zbawi, pogański pomocie! Nie zasługujesz na zbawienie. - Anioł zeskoczył na ziemię, podszedł do Malikowskiego i ustawił się przed

nim. Z jego łopatek wystrzeliły srebrnobiałe skrzydła, którymi owinał się jak płaszczem. - A teraz, gdy już się ujawniłem...

- Niejako podpisałeś na siebie wyrok, przyjacielu - uśmiechnął się facet z hakiem. - Naprawdę pomyślałeś, że nie przygotowałem się na tę okoliczność?

Gdy to mówił, Malikowski, korzystając z okazji, cofnął się najpierw o pięć kroków, potem o kolejne trzy, aż ku własnemu zaskoczeniu dotarł do posągów i minął ich linię. Teraz od wolności dzieliła go tylko niebosiężna ściana, ale przecież nie ma czegoś takiego jak skała faktycznie sięgająca nieba, a poza tym ta potencjalna wspinaczka była dla niego jedynym wyjściem. Gdy zadarł głowę, dostrzegł kilka półek skalnych, na których być może udałoby mu się odpocząć. A kto wie, może zostało w nim jeszcze trochę mocy, by w ogóle nie musieć...

Wtedy dostrzegł malunki na skale. Prymitywne obrazki przypominające wiele spośród internetowych komiksów, z jakich czasem rechotał w biurze. Postaci zrobione z kółek i kresek, płaskie, dwuwymiarowe, dynamika oddana z typowo dziecięcym podejściem do tematu. A mimo to przekaz był czytelny. Większość z tych obrazkowych historii - bo natychmiast dostrzegł, że jest ich tu naprawdę wiele - przedstawiała mężczyznę z hakiem radzącego sobie z różnymi przeciwnościami. Wspinał się na szczyt góry, walczył z rekinami czy morskim smokiem, wreszcie...

- Kurwa, nie... - stęknął Malikowski, który właśnie zrozumiał, co znaczyły słowa o wyroku skierowane do jego anioła stróża.

Na ostatnim z obrazków facet z hakiem wznosił tryumfalnie swą broń, stojąc na stosie uskrzydionych trupów.

WROCŁAW,
POLSKA

- To tutaj - powiedział Ryjek stanowczo za głośno, zważywszy, że dla większości klientów Pasażu Grunwaldzkiego stał teraz zupełnie sam. - To biuro powinno być właśnie tutaj.

- Ale nie ma - odparł wyraźnie zawiedziony Butch. Potarł ręką szczękę wpatrzony w kobietę stojącą za ladą pralni chemicznej, która teraz znajdowała się pod znalezionym w folderze adresem. Kobieta wpatrywała

się w ekran leżącego na blacie smartfona i raz po raz stukała w niego najpierw tipsem, a następnie opuszką palca.- Masz jakiś pomysł, co teraz, Jakubie?

Ryjek przejechał dłonią po twarzy.

- W takich sytuacjach zwykle najlepiej sprawdza się łażenie od sklepu do sklepu i pytanie, co ludzie pamiętają. Kwestia tego, jak wielkie chcemy robić zamieszanie.

Podszedł do zainstalowanej na stałe sceny i usiadł na podeście. Cztery metry od niego piękna dziewczyna, zapewne wynajęta opiekunka, strofowała dwójkę dzieci bawiących się w dużym kojcu ze zmutowanym, przerośniętym Lego. Mijająca policjanta para rozmawiała głośno o jakimś filmie, w którym zdaniem faceta nic nie trzymało się kupy. Partnerka tylko przytakiwała cicho.

- Butch? Pytałem o coś. Gdzie jesteś?

- Już. - Aniot zmaterializował się obok niego. - Sprawdzalem, ilu tu jest Stróży i czy któryś coś pamięta.

- I co?

- Pamiętają biuro, ale nie pamiętają nikogo, kto tam pracował.

- W sumie czemu by mieli?- mruknął Ryjek i wyjął telefon.

Obrócił go w dłoniach. - No dobra, wezmę się do roboty, tylko dam znać, komu trzeba, że robię tu małe rozpoznanie, żeby afery nie było.

Jeszcze raz obrócił w dłoniach telefon, po czym pod wpływem nagłej myśli odblokował aparat i zamiast listy kontaktów włączył przeglądarkę internetową. Wpisał „Pasaż Grunwaldzki”, wszedł na stronę z pierwszego miejsca listy wyników, wybrał dział „Wydarzenia”.

- Co robisz? - zapytał Butch.

- Albo robię, albo odpowiadam- odparł komisarz. Przejechał palcem po ostatnich imprezach, jakie działy się w pasażu, i zdecydował się na taką sprzed trzech tygodni. Powinna się dziać na scenie. Wrócił zatem do wyszukiwarki, wpisał nazwę i datę imprezy, przełączył na grafikę i...

- Mamy to!- zawołał, otwierając jedno ze zdjęć. Kilka przechodzących osób i ładna opiekunka obejrżeli się na niego, ale na to nie zważał. Na jednej z fotografii, przedstawiającej na pierwszym planie iluzjonistę w cylindrze i fraku pokazującego dzieciom sztuczki, tło wypełniała obklejona plakatami szklana ściana biura podróży Bifrost.

- Możemy zobaczyć, co mieli w ofercie, a nawet, jak się przyjrzyysz, jest

widoczny trochę rozmyty profil pracownika przy biurku. Gdybyś go rozpoznał...

- Jeśli to Loki, to nie ma szans- przypomniał Butch. - Kłamca może przybrać dowolną postać. Jestem w stanie przejrzeć jego iluzję, jeśli mam go przed sobą, ale to już nagranie, zdjęcie. Dla wielu z nas to wciąż magia. Ostatnio mieliśmy anioła, który zabronił swojemu jeździć samochodem, bo zobaczył któreś Transformersy.

Ryjek parsknął. Zorientowawszy się, że to nie był żart, zakasłał w pięść.

- Tak czy owak- spróbował wrócić do tematu - dysponujemy czymś takim. Rzucę to technikom, może coś wyostrzą, choć szczerze wątpię. Ostatnim razem, jak im powiedziałem, że potrzebuję lepszej fotki, to rozmytemu podejrzanemu dorysowali okulary i wąsy.

- Śmieszki takie?

- Nawet sobie nie wyobrażasz - odparł Ryjek i zmarszczył czoło. Zerknął na zdjęcie, datę na swoim zegarku i znowu na zdjęcie. - Ej, zobacz. Tu jest oferta, która by się zgrywała z zaginięciem. Wylot na wyspę uciech, „Raj nigdy nieutracony!”. Cena bardzo atrakcyjna. I jeszcze ten dopisek: „Tu *all inclusive* naprawdę znaczy, że możesz wszystko!”. Myślę, że powinniśmy to sprawdzić, zwłaszcza że to ogłoszenie jest wyjątkowo nietypowe.

- To znaczy?

- To znaczy, że nigdzie nie jest napisane, jak nazywa się ta wyspa i dokąd właściwie miałbyś lecieć na te wakacje.

- Co w takim razie chcesz sprawdzać?

- Szczegóły wyprawy i właśnie tę cholerną nazwę- wyjaśnił Ryjek. - Musimy sprawdzić czarterowane loty, a potem, jak już zidentyfikujemy pilota, zapytać jego Stróża, czy pamięta...

Butch potrząsnął głową.

- Piloci nie mają Stróżów.

- Jak to? - Komisarz zrobił zdziwioną minę. - Żaden pilot nie ma Stróża?

- Z tego, co wiem, żaden - odparł Butch. - Było kiedyś ze trzech, ale jeden namawiał swojego podopiecznego na narkotyki i potem obchodzenie testów, by mógł latać pod wpływem i zarabiać na wysokie alimenty. Jeszcze inny podpowiedział swojemu patent na walizkę na kółkach i zbili miliony, a trzeci... nie pamiętam, ale też coś było.

Ryjek przyglądał się aniołowi uważnie, co dla postronnego widza wyglądać mogło, jakby gapił się w wystawę sklepu bielizniarskiego

znajdującego się za Butchem.

- No a ten cały amerykański pilot, co posadził maszynę na rzece? Albo kapitan Wrona, co lądował bez podwozia?

Butch wzruszył ramionami.

- Nie wiem, może mają jakieś umiejętności?

Ryjek wstał i schował telefon.

- Piloci nie mają Stróżów, a anioły używają sarkazmu. Jeszcze jakieś zaskoczenia?

Butch rozejrzał się na boki i wziął komisarza za rękę. Ryjek zobaczył jego minę i pomyślał, że mógł nie pytać.

- Nie będziemy musieli tak kombinować, rozwiążemy tę sprawę szybciej - powiedział anioł. - Wykorzystamy do tego mój profil sprawy.

ZAŚWIATY

Cherubin Henael potrzebował przerwy. Ostatnio, co odkrywał z pewnym niepokojem, zdarzało mu się to coraz częściej. W dodatku, nawet jeśli pozwalał sobie na tę upragnioną i w pełni zasłużoną chwilę wytchnienia, ta wcale nie pomagała, a bywało, że wręcz pogarszała jego stan.

Powodem były oczywiście nowe obowiązki. Henael nigdy nie unikał pracy, ale też był świadom, że nie do każdej roboty się nadawał. Rozliczanie ostatnich ziemskich zakupów robionych na wydział z całą pewnością nie zgrywało się z jego powołaniem. Ktoś to jednak zrobić musiał, a Cherubin wiedział dobrze, jaki jest w wydziale poziom wiedzy o księgowości. Nawet gdyby to zlecił, i tak musiałby następnie wszystko sprawdzić z obawy przed pomyłkami. Zaświaty może i miały wielkie możliwości, ale tyle było w przeszłości przypadków podbierania pieniędzy dla podopiecznych, że trzeba byto liczyć każdego centa.

Henael miał też świadomość, że mógłby tu ściągnąć na wieczór lub dwa kilku Stróżów zajmujących się bankierami, ale już kiedyś raz to zrobił z Loiselem, opiekunem niejakiego Madoffa, a potem wyniknęło z tego wielkie zamieszanie. Akurat wtedy wyszło to wszystkim na dobre, bo tamten anioł i jego podopieczny oszukiwali ludzi, ale kto wie, co by było, gdyby Henael podebrał opiekuna komuś dobremu? Chociaż w sumie - dobry bankier?

Teraz do rozliczenia była przede wszystkim elektronika i abonamenty na

Netflix dla Stróżów adaptowanych. Pierwotni Chórzyści musieli przecież wiedzieć, na jaki świat zostaną wypuszczeni jako Stróże. Musieli znać różnice między filmem a rzeczywistością, znać się na sprzęcie elektronicznym, wiedzieć, jak go użyć, jak wyłączyć. Inaczej nie tylko byliby podatni na sztuczki diablów i mitycznych, lecz także po prostu nieużyteczni dla swoich podopiecznych. Jak powstrzymają nastolatkę przed wysłaniem nudaska facetowi poznanemu w sieci, skoro nie wiedzą, co to nudasek? Jak spłoszą złodzieja migającą diodą kamery, skoro nie będą wiedzieli o takiej możliwości?

Rzecz w tym, że to wszystko generowało koszty. Sprzęt, kupiony czy wypożyczony, lekcje, zniszczenia, których było niemało. A przecież nie mogli sobie tego wszystkiego, co potrzebne, po prostu wziąć z zakładów czy ze sklepów. Już i tak Henael miał sobie za złe, że czasem kupował coś na boku od Lokiego i jego nowych mitycznych współpracowników. Wtedy zasada była taka, że im mniej wiesz, tym spokojniej żyjesz.

Teraz Henael potrzebował przerwy. Czuł, że musi wstać, wygrzebać się z papierzysk i zwyczajnie wyjść choćby na biały korytarz, pomiędzy zniecierpliwionych skrzydlatych petentów, swoich zasadniczych podwładnych z Nadzoru i zabłąkanych między nimi kadetów ze Szkoły Stróżów.

Z wahaniem odłożył trzymany właśnie w ręku dokument, po czym gwałtownie wstał, by stanowczością tego ruchu umocnić podjętą już decyzję. Przeciągnął się, rozmasował nasadę nosa, otworzył drzwi biura i zamarł.

Butch ze wciąż wzniesioną do pukania pięścią cofnął się o krok.

- Cherubinie- skłonił się.- Pamiętasz Jakuba Ryjka z Polski? Pisałem o nim w raporcie. Mianowany święty, co prawda wynikiem nieporozumienia, ale mimo to bez możliwości do skutecznego odwoławczej. Pomaga mi teraz.

Henael przełknął ślinę, mając nadzieję, że gdy już się odezwie, jego głos się nie załamie. Butch nie tylko go irytował, lecz także dość poważnie onieśmiał.

- Czy... - zaczął, ale odchrząknął i spróbował jeszcze raz - Czy ta pomoc naprawdę wymagała przytransportowania go tutaj? Bez urazy.

Ostatnie słowa Cherubin skierował do mężczyzny stojącego za Butchem, który w odpowiedzi machnął ręką, że nie czuje się urażony, i dalej z umiarkowanym zainteresowaniem rozglądał się po korytarzu.

- Z całym szacunkiem, Cherubinie, moje metody na działania spoza podręcznika zostały zaakceptowane przez archaniołów, otrzymałem zgodę i...

- Tak, wiem - przerwał mu Henael. Brakowało jeszcze tylko, by Butch przypomniał, że jest on współtwórcą wspomnianego podręcznika w jego najaktualniejszej wersji. - Chodzi mi tylko o jego samopoczucie, żeby nie doznał szoku.

- Jest świętym - powiedział Butch.

- I glina na ziemi - dodał Ryjek. - Trudno mnie zszokować.

„Zdziwiłbyś się”, pomyślał Henael, ale na głos zapytał tylko:

- Jak zatem Nadzór może wam pomóc? Czego potrzebujecie?

- Lokiego - odparł Butch.

Henael pokręcił głową.

- Nie ma go tutaj i dawno nie było. Ale jak tylko się zjawi...

- Potrzebny jest natychmiast, przywołany.

Cherubin uśmiechnął się, pozorem sympatii i zrozumienia delikatnie maskując protekcyjność. Czyżby złapał agenta na nieznamości regulaminu?

- Butch, w tym jednym muszę ci odmówić, bo jak pewnie wiesz, tylko zapomniałeś, Kłamca i jego nowi współpracownicy są jednostką autonomiczną odpowiadającą jedynie przed archaniołami. I tylko oni mogą...

Urwał, gdy z miny stojącego przed nim anioła wyczytał, że ten nie zapomniał o regulaminowym zapisie.

- Chcesz, żebym wezwał archanioła, Butch?! Zwariowałeś?!

Barczysty Agent WINA westchnął cicho.

- Regulamin mówi, że w stosunku do archanioła nikt niższy od niego szarżą czy funkcją nie może używać słowa „wezwanie”. Dopuszczalne określenia to „zaprosić”, „uprosić”, „zwrócić się”...

Henael przewrócił oczami i raz jeszcze rozmasował nasadę nosa. Na co mu to było? Co złego było w tych wszystkich papierzyskach, co mu przeszkadzało? Mógł sobie siedzieć, wypisać parę kwitów, może nawet udawać, że go nie ma, do czego na swoim stanowisku miał prawo... W końcu westchnął ciężko, wolno pokręcił głową i zapytał cicho.

- Może być Gabriel?

- Może- odparł Butch.- Zaczekamy w piątce. Dziękuję, Cherubinie.

„A idź do piekła”, pomyślał Henael, lecz zaraz sobie przypomniał, że przecież dla Butcha to żadne przekleństwo. On już tam kiedyś był.

Może to była kwestia świętości, może gliniarskie obycie, ale komisarz Jakub Ryjek całkiem łatwo zaadaptował się do nowej sytuacji. Od czasu pierwszego spotkania z Butchem przywykł już do obecności aniołów stróżów i tego, że czasem ich widzi, a czasem nie. Obecnie przyjmował już bez zdziwienia istnienie mitycznych postaci- w tym choćby prawdziwych wrocławskich krasnali - czy nawet bogów. Ba, jeden zdołał go już nawet solidnie wkurwić!

Mimo to, gdy do pokoju przesłuchań, gdzie siedzieli wraz z Butchem, wszedł archanioł, Ryjek poczuł, jak uginają się pod nim kolana, a powietrze ulatuje z niego jak po ciosie w przeponę.

Gdyby drzwi, przez które przechodził archanioł, miały normalne wymiary, z pewnością by się w nich nie zmieścił. Rudowłosa, ostrzyżony po wojskowemu gigant już sam w sobie był wyższy i szerszy w barkach niż Butch, a trzy pary skrzydeł dodatkowo powiększały go optycznie. Na kanciastej, choć w jakiś sposób po kobiecemu pięknej twarzy, odznaczał się płaski, boksinos, ani chybi wielokrotnie złamany, kilka bladnoróżowych blizn. Nade wszystko wyróżniał się otaczający oko tatuaż przedstawiający płomień i, co w pierwszej chwili Ryjkowi nie mieściło się w głowie, rzeczywiście będący płomieniem. Zupełnie jakby najprawdziwszy ogień zamknął w dwóch wymiarach i wkomponował w twarz wojownika.

- To jest Gabriel? - zapytał cicho Ryjek.

- Michał- odparł półgębkiem Butch, a gdy tylko archanioł na niego spojrzał, wyprostował się do pozycji baczność, strzelając obcasami. - Archaniele Michale, Wodzu Zastępów, melduję...

- Spocznij, Butch- polecił archanioł. Powiódł wzrokiem po pokoju, jakby widział go po raz pierwszy w życiu, i zatrzymał spojrzenie na Ryjku. - Kim jesteś?

- Wygląda na to, że świętym- odparł komisarz. Chciał lekko, swobodnie i nieco żartobliwie, ale głos mu zadrżał i niczym spłoszony kot na widok zagrożenia odruchowo wskoczył wyżej. - Nazywam się Jakub Ryjek i...

- I wystarczy- odparł Wódz Zastępów. Teraz uważnie obejrzał drugą połowę sali, każdy kąt i róg, każdą skazę na ścianie. - Chcieliście wezwać

Kłamcę. Dlaczego?

Ryjek ukradkiem zerknął na Butcha i ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że ten się waha. Zupełnie jakby agent nie chciał odpowiedzieć na to pytanie albo jakby szukał właściwych słów, by jednocześnie powiedzieć prawdę, do której był zobligowany, i ukryć swoje prawdziwe intencje.

- Butch?- ponaglił go archanioł, a tatuaż wokół jego oka rozgorzał.

- Archaniele, mam podstawy przypuszczać, że, jak zakładam, nieautoryzowane działania Kłamcy doprowadziły do zaginięcia przynajmniej jednego anioła stróża. Dlatego chciałbym uzyskać twoją zgodę i pomoc w sprowadzeniu tu Lokiego i przesłuchaniu go na okoliczność...

Michał uciszył go gestem i przymknął oczy. Środkowe i dolne skrzydła owinęły się wokół niego ciasno, górne uniosły wyżej. Archanioł trwał tak kilka sekund, aż Ryjkowi zaczęło się wydawać, że może zasnął na stojąco, ale po chwili Wódz Zastępów drgnął i gniewnie potrząsnął głową.

- Coś się stało?- zapytał komisarz i natychmiast umilkł spiorunowany wzrokiem przez Butcha.

Płomień na twarzy archanioła poczerwieniał, przez co Michał sprawiał teraz wrażenie zawstydzonego.

- Nie jestem w stanie go znaleźć. Nie wiem, gdzie Kłamca teraz jest.

Butch i Ryjek wymienili spojrzenia. Tym razem to anioł wyglądał na bardziej zaskoczonego. Policjant, nawykły do wpadek przełożonych, wyjął z kieszeni komórkę.

- Spokojnie, pozostają jeszcze metody ziemskie- powiedział, kciukiem przeskakując kolejne kontakty. - Mamy pewien trop z tą dziwną wycieczką, tak? No to zaraz sprawdzimy czartery, kto i gdzie poleciał. Wiecie, jak to mówią: gdzie anioł nie może, tam psa pośle.

- Kto tak mówi? - zdziwił się archanioł.

Ryjek wzruszył ramionami.

- Nikt. Ja. Tak sobie pierdolę, jak zawsze gdy się denerwuję... Czy tu naprawdę nie może być nawet kreski cholernego zasięgu?!

Tym razem to skrzydlaci spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

ISLA DE MARTILLO,
OCEAN ATLANTYCKI

Wciąż żył, co stanowiło dla niego niezrozumiałą zagadkę.

Pamiętał walkę. Jego, tak to rozumiał, anioł stróż stawał naprzeciwko wytatuowanego na świecąco wielkiego gościa z hakiem, sam uzbrojony ledwie w kamień, niczym biblijny Dawid przeciwko Goliatowi. Pamiętał tubylców w plemiennych strojach ustawionych w półokrąg na krawędzi polany i zwierzęce ślepia tuż za linią pierwszych drzew. Nawet posągi turystów za jego plecami, wyglądające jak najmniej godni czci bogowie, sprawiały wrażenie czekających na rozstrzygnięcie starcia.

Poszło szybko. Anioł zrobił zwód i unik, zamarkował skok w lewo i rzucił się w prawo, w locie próbując trafić gościa z hakiem. Udało się połowicznie. Kamień wprawdzie sięgnął czoła bóstwa, ale przeniknął przez nie i trafił w pierś jednego z wymalowanych wojowników z taką siłą, że ten bezwładnie poleciał do tyłu.

Anioł upadł na ziemię, przetoczył się i oberwał pięścią w skroń od wytatuowanego, który zmaterializował się tuż przy nim. Zatoczył się, wsparł na ręce i już miał się podnieść, gdy poczuł, że błyskawicznie rosnąca trawa owija się wokół jego dłoni. Szarpnął się raz, przypadkiem uniknął kolejnego ciosu i złapał drugą ręką za uwięziony nadgarstek. Tym razem szarpnięcie przyniosło skutek, bo wyrwał się z pułapki, ale stracił przy tym równowagę i wylądował na plecach. Poczul na piersi bosą stopę przeciwnika. Usłyszał rytmiczne pohukiwanie zebranych wokoło wojowników i dostrzegł elektryczne wiązki przemykające po zdobieniach wzniesionego w górę haka.

- Walczyłem w imieniu Marcina Malikowskiego! - zawołał nagle anioł. - W jego imieniu i za niego. Jak syn za niedołęznego ojca.

Wskazał ręką, a wtedy po twarzy mężczyzny z hakiem przemknął wyraz niezadowolenia.

- To niczego nie zmieni- warknął tamten, upuszczając hak.

Wtedy właśnie Marcin zemdłał.

A teraz ocknął się zdezorientowany, przemarznięty, obolały i głodny. Znajdował się we wnęce korytarza jaskini, w klatce z bambusowych prętów ciasno związanych rzemieniami. Naprzeciwko niego znajdowała się identyczna klatka i w niej również ktoś siedział, ale wyglądał, jakby spał. A może nie żył?

Na środku przejścia w ułożonym z kamieni palenisku płonęły resztki mebli i stos turystycznych folderów.

- O, obudziłeś się.

Marcin odwrócił się nerwowo i natychmiast tego pożałował, bo zeszywniały kark chrupnął jak zeschnięta gałązka, a od szyi w obie strony rozlał się przeszywający ból.

W kącie jego więzienia siedział Janusz Kolanko. A właściwie, co dotarło do Marcina z pewnym opóźnieniem, jego duch, bo kolega był półprzezroczysty niczym hologram i otaczała go srebrzystobiała poświata. Niematerialność nie przeszkodziła jednak wąsaczowi w zachowywaniu się jak zwykle. Drapał się więc po brzuchu, górną wargą dopychał wąs do nosa i uśmiechał się głupkowato, jakby właśnie teraz zrozumiał prostacką dwuznaczność w kawałku disco polo.

„Za co ja go właściwie tyle czasu lubiłem?”- zastanowił się Marcin. „Przecież to zwykły cebulak”.

- Gdzie on jest? Ten z hakiem? - zapytał, a duch Janusza Kolanki wzruszył ramionami i maznął łapą po rozoranym hakiem boku.

- A chuj tam panie wie tych kolorowych, gdzie oni po wyspie łążą. Był tu wcześniej, teraz poszedł, ale mi kazał do rozumu ci przemówić.

- Do rozumu?

- No a do, kurwa, czego? Do dupy mam ci gadać? - zarechotał Kolanko, a jego widmowy brzuch zatrzęsł się jak galareta.- No pewnie, że do rozumu. Żebyś go na pojedynek wyzwiał.

Marcin kątem oka dostrzegł, że osoba w drugiej klatce się poruszyła. A może to tylko cień rzucany przez roztańczony na folderach ogień?

- Jaki pojedynek?

Kolanko westchnął ciężko.

- No jaki, normalny. Na śmierć i życie. Wcześniej żeś się schował za Stróżem jak jakaś pizda w rurkach, to teraz powinieneś honorowo jak facet. Jak...

- Ty?

Duch kolegi pogroził mu tłustym palcem.

- No, ale bez osobistych przytyków, co? Ja rozumiem, że jesteś wzburzony, bo kto by nie był, ale sytuacja się zmieniła i teraz nie możesz już być tak po prostu bogiem. Duszą w zaświatach możesz być na przykład, jak ja. Nie jest źle, jeść nie musisz i go- go mają. No i wiesz, całe to „do śmierci” już nie obowiązuje, bo wypełniłeś kontrakt. Wiesz, o czym mówię, nie? Wiesz?

Mrugnął porozumiewawczo.

- Tak, wiem- odparł Marcin, zerkając w stronę drugiej klatki. Teraz już był pewien, że ktokolwiek tam siedział, nie śpi. Widział światło odbijające się od przymrużonych oczu.

- To co? - Janusz Kolanko sprawiał wrażenie, jakby wstał, ale w rzeczywistości uniósł się, lewitując, i dopiero wtedy wyprostował nogi. - Mogę mu powiedzieć, że się dogadaliśmy?

- Co? E tak, jasne... Albo inaczej, daj mi czas do jutra, co? Pomyślę nad tym.

Kolanko wzruszył ramionami.

- Myśl, ile chcesz, Marcin, ale powiem ci, że jakbym ja się tyle z Halinką na promocjach w Biedrze zastanawiał, to byś tej dobrej kawy z aeropresu za chuja u mnie nie pil. A dobra była, nie?

- Dobra - przyznał Malikowski.

- No właśnie- duch kolegi wyciągnął w jego kierunku palec wskazujący. - To idę załatwiać duchowe sprawy, a ty jak będziesz chciał, to wiesz. Zakrzyknij tylko w noc!

„To jaskinia, debilu”, pomyślał Marcin. „Skąd będę wiedział, czy jest noc czy dzień?” Ale głośno powiedział tylko:

- Pewnie, stary. Dam znać od razu. Halinkę pozdra... a nie, nieważne już.

- No właśnie! Nieważne! - zarechotał Kolanko, a jego śmiech niósł się korytarzami jaskini jeszcze długo po tym, gdy duch wąsacza rozwiął się w powietrzu.

Marcin poczekał, aż ucichnie, a potem wcisnął twarz między bambusowe kraty i spróbował się rozejrzeć. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku, już otwierał usta, by się odezwać, gdy nagle z klatki po drugiej stronie ogniska dobiegło go zmarnowane:

- Tylko nie szepcz. Szept niesie się dwa razy głośniej.

Marcin, który miał właśnie szepnąć, przełknął ślinę nerwowo.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Więc przywiozłeś tu ze sobą Stróża, he? - Gość z drugiej klatki albo nie dosłyszał, albo zupełnie zlekceważył pytanie.- To, że ci się udało, napawa nadzieją.

- Niewielką - odparł Malikowski. - Mój anioł nie żyje.

- No tak, ale w ogóle nie powinno go tu być. Ciebie nie powinno tu być. Skurwiel popełnił błąd. Ciekawe, czego jeszcze nie dopatrył.

- Kto?

Coś trzasnęło w ognisku, płonący stos osunął się i na moment jaskinia wypełniła się mocniejszym światłem. W tym blasku Malikowski był w stanie dostrzec twarz swojego rozmówcy, ogorzałe od słońca oblicze filmowego amanta, pokryte niemal białym, gęstym zarostem. Z ust sterczała mu bambusowa drzazga, a oczy miał niemal całkowicie czarne.

„Jest bogiem”, pomyślał Marcin. „Ale takim prawdziwym, jak tamten gość z hakiem. Albo diabłem czy czymś takim. Czy to możliwe, że ten koleś tu to przeciwieństwo tamtego? Taki tubylczy anioł?”

- Skąd jesteś? - zapyta) brodacz.

- Z Polski.

- Patrz, jaki zbieg okoliczności, że właśnie rozmawiamy w twoim języku. Wiem, że z Polski, durniu. Pytam o miasto, region.

- Wrocław.

- O, byłem tam całkiem niedawno w interesach...- Brodacz poruszył się, poprawiając ułożenie ciała w niewielkiej klatce. - No ale dobra, nie czas na wspominki. Trzeba by się stąd zbierać, nie?

- Masz na to jakiś pomysł eee... Jak ty się w ogóle nazywasz?

Brodacz docisnął twarz do krat, jak wcześniej zrobił to Malikowski, i wypluł drzazgę w ogień.

- Możesz mi mówić Loki. Mam chyba pomysł, jak możemy obaj uratować skórę. Wszystko zależy od tego, czy wyzwiesz Mauiego na pojedynek i czy w tym całym pragnieniu zemsty skurwiel przeoczył jeszcze jeden drobiazg.

- Kto to jest Maui?

- No ten wielki gość z hakiem tak się nazywa. To polinezyjskie bóstwo, z którym miałem kiedyś spinę, bo z natury jesteśmy zbyt podobni. Ostatnio zauważyłem, że ten fiut bez honoru podpierdolił mi pomysł na biznes i mnie wrąbił przed aniołami, więc się tu zebrałem, żeby... - Przerwał i machnął ręką. - Nie, nieważne, długa historia, na pewno nie na teraz. Umiesz grać w noża?

- W noża?

- Co ty, dorabiasz tu jako echo? - zniecierpliwiał się Kłamca. - Tak, w noża. Umiesz grać?

Malikowski musiał się zastanowić.

- Za dzieciaka grałem.

- I?

- Jakoś mi szło, ale to było, nie wiem, trzydzieści lat temu...
- Loki znów zmienił pozycję, by mocniej docisnąć się do krat.
- Na pewno wystarczy - zapewnił. - A teraz słuchaj, zrobimy tak...

LIZBONA, PORTUGALIA

Zmaterializowali się w pustej kabinie lotniskowej toalety akurat w chwili, gdy ktoś łapał za jej klamkę.

- O, przepraszam - powiedział szczupły jegomość w wyglądającym na przykrótce garniturze.

- W porządku - odparł Ryjek. - Właśnie wychodziłem.

Minął jegomościa, podszedł do umywalki i umył ręce.

- Zabawne, że trafiłem akurat na Polaka - szepnął do Butcha.

Anioł obejrzał się.

- To Francuz - odparł.

- I tak dobrze mówi po polsku?

Butch przewrócił oczami.

- Nie, Jakubie Ryjku. To ty mówisz wszystkimi językami. Jesteś świętym, pamiętasz? - Rozejrzał się i potarł szczękę kantem dłoni. - To co teraz? Gdy zjawi się Michał, chciałbym już mieć jakiś konkret.

- Musimy przejść do prywatnych hangarów i tam zapytać o Aldo... jakiegoś tam- wyjaśnił Ryjek. Wyszli z łazienki i ruszyli wzdłuż wypełnionej ludźmi hali odlotów. - Ten znajomy mojego znajomego pracuje w Interpolu i sprawdzili mi całą tę wycieczkę w jakiejś bazie. Mocno się nią zresztą zainteresowali, bo temat śmierdział na kilometr. Samo wyczarowanie samolotu stąd na tę wyspę kosztowało dwa razy więcej niż maksymalna suma wpłat. Uważają, że to może mafia.

- To Loki - z przekonaniem powiedział Butch. - I co ważniejsze, podłożył się w idealnym momencie. Widziałeś Michała.

Ryjek posłał mu spojrzenie.

- Masz na myśli pana wielkoluda Płonącą Gębę wyglądającego, jakby miody Rutger Hauer przypakował na siłce świętej pamięci Leona Negerblacka?

Butch potrząsnął głową.

- Negerblack nie był świętym. Właściwie, to tak naprawdę był...

- To teraz nieważne - przerwał mu komisarz na tyle głośno, że dwie zegnające się ze sobą otyłe kobiety spojrzały na niego z wyrzutem. Uśmiechnął się do nich przepraszająco. - Co takiego szczególnego jest w tej sytuacji - dodał już ciszej - że uważasz ją za idealną?

- Loki umawia się z Jenny! - Po raz pierwszy głos Butcha nie brzmiał jak nawoływanie Clinta Eastwooda z dna studni. W tym momencie anioł ekscytował się nieomal jak pensjonarka.

Ryjek przystanął i przyjrzał mu się uważnie, blokując przy okazji drogę staruszkowi z walizką na kółkach. Dziadek ominął komisarza tukiem, złorzeczając pod nosem.

- Powinienem zapytać, kim jest Jenny, czy wystarczy, jak wpiszę imiona tej dwójki na drzwiach toalety w równaniu z serduszkiem?

To rozbawiło Butcha, bo parsknął cicho i wskazał na Ryjka palcem.

- Faktycznie, możesz nie wiedzieć. Jenny to córka Michała.

- Że kurwa co?!

Tym razem obejrzeni się już wszyscy, łącznie z policjantami uzbrojonymi w pistolety maszynowe. Ci będący najbliżej powoli ruszyli w stronę Ryjka, więc anioł pchnął go lekko, zmuszając do skrętu w zaułek między stoiskami do samodzielnych odpraw.

- Przybrana córka, jej rodzice zginęli, a ona widzi anioły - wyjaśnił Butch, trzymając Ryjka za ramię i zmuszając do skrętów to w lewo, to w prawo. - Straciła oko w starciu z Samaelem, a Michał, który mało wtedy nie zginął, zlecił Kłamcy zadbanie o dziewczynę. No i tak o nią zadbał, że...

Przerwał, bo znaleźli się akurat w miejscu, gdzie nie mogły ich widzieć ani kamery, ani niczyje oczy. Butch ścisnął ramię policjanta, ten zamknął oczy i po ułamku sekundy znajdowali się już w hangarze z czarterowanymi samolotami. Przyjemny, wilgotny wiatr od oceanu powiał im w twarz.

- Rozumiem, że archanioł nie pochwała ich związku? - upewnił się Ryjek.

- Nie pochwała- Butch parsknął.- To jakby nazwać Jeffa Dahmera kulinarnym ekscentrykiem!

- Stanowczo nie pożyczę ci w najbliższym czasie więcej książek, kolego. I stanowczo... przepraszam, nie wie pan, który to Aldo?

Zaczepony drobny facecik w za dużym, poplamionym smarem

kombinezonie poruszył nozdrzami jak gryzoń i wskazał trzymanym w rękę kluczem jakiegoś gościa nieopodal lśniącego luksusem samolotu.

- Jest tam, ale nie powinniście teraz podchodzić, bo obstawa tego gościa z samolotu to nie są przyjemniaczki.

- O, a czyj to samolot? - zaciekawił się komisarz.

- Tego cudownego amerykańskiego dzieciaka, wiecie - wyjaśnił szczerowaty technik. - Po prostu Billy na niego mówią? Po prostu Matti?

- Po prostu Teddy - odpowiedział Ryjek, który wielokrotnie spotkał się z tą zbitką w gazetach i internecie. Nieodmiennie uważał ją jednocześnie za infantylną i pretensjonalną. - I dzięki za pomoc, przyjacielu.

- Nie ma sprawy.

Ryjek poczekał, aż tamten się oddali, i spojrzał na Butcha.

- I co teraz? Czekamy?

- A mamy inne wyjście?- odpowiedział z rezygnacją anioł. Wskazał Aldo brodą. - Znaczy wiesz, mogę mu przeczytać myśli, ale sam nie sprawię, by pomyślał o konkretnym czarterze, nie? A Stróza jakoś u niego nie widzę. Zresztą... - rozejrzał się - w ogóle mało tu Stróżów jak na tak katolicki kraj. To miejsce też Kłamca musiał wybrać bardzo uważnie.

Komisarz musiał mu przyznać rację. Zabębnił palcami o udo, rozglądając się wokoło. Patrzył na inne samoloty, na stojące w kącie części, ludzi uwijających się przy pracy, podnośniki hydrauliczne, rusztowania na kółkach, węże zwinięte i poplątane, kłębowiska kabli. Wreszcie zatrzymał wzrok na oknach pomieszczeń biurowych w głębi hangaru.

- Może Aldo ma to wszystko w kwitach? - rzucił. - Wiesz, jeśli to był legalny czarter, to może...

Nie zdążył skończyć, gdy znowu poczuł ucisk anielskiej ręki i z cichym plop! rozpękła się rzeczywistość.

ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI

- Gra w noża? - zdziwił się Maui. Rozpostarty na kamiennym, ozdobionym czaszkami tronie, przechylony w lewo i z brodą wspartą na dłoni, przypominał Majkowskiemu Conana z którejś okładki komiksu. - A cóż to jest gra w noża? I dlaczego miałbym na to przystać, he?

To powiedziawszy, powiódł wzrokiem po zebranych w jaskini ludziach. Majkowski wnioskował po różnicach w ubiorze, że znajdowali się tu przedstawiciele czterech okolicznych plemion. Wypełniający podziemną komnatę tłum stanowili w większości mężczyźni, ale było też kilka kobiet o obwieszonych wisiorami pełnych piersiach oraz dzieci uczepionych a to drewnianych tarcz ojców, a to trawiastych spódnic matek. Na czele każdego z plemion stali wodzowie i kapłani, wszyscy dojrzały, a jeden nawet stary, ale emanujący energią, siłą i pewnością siebie, co wcale nie musiało być łatwe obliczu boga.

A teraz on, Marcin Majkowski z Polski, musiał pokazać im wszystkim, ba, musiał ich przekonać, że wyzywając siedzącego na tronie, robi to jako ktoś mu równy.

- Chciałeś pojedynku - odparł, usilnie starając się zapanować nad drżeniem głosu. - Nie wiem, do czego ci on, bo mój Stróż stanął do walki w moim imieniu i przegrał, więc w zasadzie w dowolnym prowadzonym przez ciebie rankingu jestem już wyeliminowany.

Maui uśmiechnął się i wskazał ręką Malikowskiego, jakby chciał powiedzieć „no właśnie”.

- Ale wiem też, że wojownikowi takiemu jak ty to nie wystarcza. Dlatego przysłałeś do mnie Janusza, by mnie namówił. Chcesz starcia ze mną, a nie z moim czempionem.

To powiedziawszy, Malikowski sam powiódł wzrokiem po mieszkańcach wyspy. Z radością i ulgą zauważył na niektórych twarzach konsternację. To wszystko, co powiedział mu brodac, najwyraźniej działało, i ta uzbrojona w hak rybka faktycznie mogła już lada chwila dać się złapać na inny haczyk.

- Pfff, starcia - zakpił Maui, ale wyprostował się, pochylił do przodu i położył dłoń na haku. - Nie będzie żadnego starcia, marny bożku. Nie ma boga nad Mauiego.

- Maui nie jest bogiem - odparł Malikowski przygotowany przez brodacza i na te słowa. — Czy to nie ty sam powiedziałeś, że nie masz jeszcze wieczności? Wtedy, na polanie? A co to za bóg, który nie jest nieśmier...

Nie dokończył, bo Maui zerwał się nagle i niczym błyskawica przemknął przez salę, a zaostriżony koniec jego broni zatrzymał się tuż przy oku Polaka.

- Mógłbym cię zabić tu i teraz- wycedził.- Nie potrzeba mi wyzwania, nie potrzeba...

- ...ich wiary? - drżącym głosem zapytał Malikowski. Czuł lodowatą stróżkę potu płynącą mu wzdłuż kręgosłupa i zdawał sobie sprawę, że jest o włos od tego, by po udzie pociekła mu inna, cieplejsza. Wiedział jednak, jak wiele zależy teraz od tego, czy będzie się trzymał skryptu brodacza. Dlatego walcząc z zaciskającym się ze strachu gardłem, kontynuował. - Myślałeś, że się nie domyślę, po co są te wszystkie posągi? Czytałem o kulcie cargo i o tym, jak wielu ludzi wykorzystywało fakt, że są przez pierwotnych ludzi czczeni jak bogowie. Nie wiem, jak sprawiłeś, Maui, że ci wszyscy tutaj rzeczywiście potrafią swoją wiarą nadawać moce, ale to ty stworzyłeś bogów z nas, turystów. Tylko po to, by stać się naszym pogromcą. Naszym zmierzchem.

Maui cofnął się o krok, ściągając wielkie, krzaczaste brwi. Przechylił głowę i cmoknął z uznaniem.

- Jesteś mądrzejszy, niż myślałem, człowieczku- przyznał. - Rzadko zdarza się pośród ludzi ktoś z tak otwartym umysłem. Sam go sobie stworzyłeś czy ktoś ci pomógł, he? Może ten twój aniołek, zanim go wypatroszyłem?

Malikowski przymknął oczy i powoli policzył do trzech, by nie dać po sobie poznać, jak wielką poczuł teraz ulgę. Plan działał, brodacze dokładnie przewidział taką właśnie reakcję.

- Chcę zagrać z tobą w noża, Maui — powiedział. - To gra z mojego dzieciństwa i jedyna forma pojedynku, w której mogę mieć realne szanse. Chcę zagrać o moje życie, tę wyspę i... i wypuszczenie kilku dusz z twojego haka. Tylko tyle.

Maui przyglądał mu się przez chwilę, aż w końcu odchylił głowę i wybuchnął gromkim, nieomal serdecznym śmiechem, od którego zadrżały stalaktyty na stropie jaskini.

- Tylko tyle, powiedział. Tylko tyle! Słyszeliście? - drwił. - Wyspa, jego życie i dusze przyjaciół to tylko tyle!

Pierwsi wesołość podchwycili stojący na czele wodzowie i szamani, najpierw prychnąwszy niepewnie, potem terkocząc krótkimi seriami rechotu, by wreszcie wybuchnąć już czystym, nieskrępowanym śmiechem. Za ich przykładem rozbawieniu dali wyraz wojownicy, ich kobiety, dzieci. Po minucie w całej sali nie śmiał się już tylko Malikowski. Stał sztywno, próbując opanować drżenie rąk i nóg; usilnie walczył z odruchem, który towarzyszył mu w latach szkolnych - łapaniem między palce zewnętrznych szwów nogawek.

- To jak, Maui? Podejmujesz wyzwanie? - zapytał, gdy uznał, że może uda mu się przebić przez cichnący w końcu śmiech.

Na te słowa wytatuowany olbrzym machnął swoim hakiem i w jednej chwili w całej komnacie zapanowała cisza, mimo iż zebrani ludzie nadal drżeli i kołysali się, jakby wciąż się śmiali. Potrzebowali dwóch, trzech sekund, by zdać sobie sprawę, że odebrano im głos i dostosować się do nowej sytuacji.

Maui tymczasem oparł hak o udo, uderzył się kilka razy w pierś, w brzuch i po twarzy. Krzyknął coś groźnie, wznosząc pięści ku sklepieniu, a potem ponownie ujął hak w dłoń.

- Niech będzie, ludziku - powiedział. - Zagrajmy w tego twojego noża. Tylko dokładnie wyjaśnij zasady.

Malikowski skinął głową z udawanym spokojem, chcąc dać do zrozumienia, iż od początku wiedział, że Maui podejmie taką właśnie decyzję.

- Po pierwsze, gramy na powierzchni. Po drugie, obaj musimy wtedy zrezygnować z naszych mocy, i po trzecie, potrzebuję noża.

- Tylko ty? - Maui skrzywił się podejrzliwie.

- Nie, Maui. Ty również. Potrzebne będą dwa noże.

LIZBONA, PORTUGALIA

Nazwa Isla de Martillo, choć nic Ryjkowi nie mówiła - oprócz tego, że jego świętość przetłumaczyła mu ją dosłownie na „wyspę młotek” - pojawiała się w rubryce „lotnisko docelowe” wystarczająco często, by wzbudzić zainteresowanie komisarza. Zapisał ją sobie w notesie z zamiarem sprawdzenia w mapach Google'a lokalizacji, gdy tylko złapie jakieś wi-fi. Może i był świętym, ale to przecież nie zmniejszało mu kosztów roamingu.

Butch gdzieś zniknął, uznając, że tu i tak się nie przyda, a może gdzie indziej uda mu się zdobyć jakieś informacje. Obiecał też, że przyśle do pomocy Zadrę, swojego anielskiego partnera, o którym na razie Ryjek tylko słyszał. Ponoć Zadra też był kiedyś Stróżem i do tego bardziej nadawał się na policjanta, bo rodzina, którą się opiekował, lubiła seriale kryminalne i siłą rzeczy się ich naoglądał.

Na razie jednak Ryjek musiał radzić sobie sam w ciasnym, niewentylowanym pomieszczeniu śmierdzącym starym potem, smarem i kurzem. W kącie na maleńkim, zawalonym biurku był wentylator przegrzanego komputera, na pudełkowatym monitorze cycata dziewczyna z wygaszacza śmigła od jednego rogu ekranu do drugiego. Stojący obok telefon zadzwonił trzy razy, odkąd Ryjek tu był, to jest od około kwadransa. W tym czasie nikt tu nawet nie zajrzał.

Jak na takie warunki i podejście do prowadzenia biura, dokumentacja była uporządkowana naprawdę dobrze. Żadnych luk w formularzach, nazwiska pilotów, typy maszyn, dokładna liczba pasażerów. Ryjek nie znał się na prowadzeniu takich rejestrów, ale bardzo mu się podobało to, co tu widział.

Gdy zabrał się za wynotowywanie nazwisk pilotów, wrócił Butch.

- Już wiem wszystko, czego nam trzeba - powiedział z wyraźną dumą. - Zmaterializowałem się na chwilę i po prostu poszedłem popytać. Wyspa nazywa się Isla de Martillo, czyli wyspa młotek, co podobnie jak tęczowy most można skojarzyć z wierzeniami nordyckimi.

- W jaki sposób?

- Mjölmir, młot Thora. Miałem nieprzyjemność, cholernie mocna zabawka. - Anioł zamyślił się, ale zaraz potrząsnął głową. - No ale do tematu, bo czas nagli. Pilot, który lata tam najczęściej, to Joao Nuno. Jest tam. - Butch pokazał palcem w stronę zakurzonej szyby, przez którą chyba tylko on coś w tym momencie widział. - Powiedział, że nie zamierza zadawać żadnych pytań, może tam z nami polecieć swoim samolotem, bo to niedaleko, ale formalności bierzemy na siebie i chce za to dziesięć tysięcy euro.

Ryjek milczał. Długo wpatrywał się w anioła, dumając, które z cisnących mu się do głowy pytań zadać jako pierwsze.

- Dlaczego musimy tam lecieć samolotem?- zdecydował w końcu, że ta kwestia interesuje go najbardziej.

Butch potarł szczękę, wyraźnie zakłopotany odpowiedzią, której musiał udzielić.

- Bo nie jestem w stanie dostać się tam inaczej - powiedział. - Nie widzę tej wyspy umysłem. Czy też inaczej, widzę ją, ale jakby była w tysiącu miejsc na raz, jakby znajdowała się jednocześnie w dziesiątkach lokacji. I przez to nie mogę się na nią przenieść tak po prostu jak wszędzie indziej.

Ryjek bardzo wolno skinął głową.

- Zdarzało się to już wcześniej?

- Tak- odparł anioł.- Kilka razy, ale nigdy nie zwiastowało niczego dobrego. Silna magia, pradawne rytuały, mocna, choć rozbieżna wiara wielu ludzi. Michał się wkurzy.

Komisarz w zamyśleniu skubnął palcem opuszek nosa.

- Ale damy radę tam trafić po współrzędnych, prawda? - upewnił się.

- No tak...

Ryjek skinął głową raz jeszcze, po czym uniósł trzymaną w ręku teczkę i wskazał nią na ramię anioła.

- Ato nie tak, że masz tam gdzieś magicznie ukryte pierdolone skrzydła? - zapytał. - W sensie jak to anioł?

Butch obejrzał się przez ramię, jakby chciał to sprawdzić, i wtedy rzeczywiście z jego łopatek wystrzeliły dwa potężne, grafitowoszare skrzydła. Spróbował je rozłożyć, ale przeszkadzały mu w tym rozstawione wszędzie szafki.

- Właśnie zaoszczędziliśmy kupę forsy, której żaden z nas nie miał - powiedział komisarz.

Butch zgodził się, acz wyraźnie niechętnie i z ociąganiem. Odwrócił głowę, by spojrzeć najpierw na jedno, potem na drugie skrzydło i westchnął.

- Coś nie tak? - zapytał Ryjek.

- Kojarzą mi się z dawną służbą. Ilekroć musiałem je rozłożyć poza salą treningową, kończyło się przelewem krwi.

- No cóż. - Komisarz odłożył teczkę i podszedł do anioła. - Przynajmniej już wiemy, jak się to potoczy. I nie dramatyzuj, przed chwilą młotek kojarzył ci się z wojną. To jak mam stanąć: przodem, tyłem? Ach, i jeszcze na przyszłość prośba, Butch. Jak masz jeszcze inne takie rzeczy typu: jak zrobić coś, to się stanie coś innego, to jednak uprzedzaj zawczasu, co?

- Dobrze - odparł Butch. - Tyłem. Będiesz miał lepszy widok na ocean.

- Nie posiadam się z pierdolonej radości.

ISLA DE MARTILLO,
OCEAN ATLANTYCKI

Na starannie wymierzonym środku polany- którego jako miejsca starcia zażyczył sobie Malikowski, a Maui na to przystał - tubylcy najpierw wycięli w trawie wielki okrąg, a potem nanieśli do niego grubą na dłoń warstwę gliny. Następnie dwóch uczniów szamańskich z dwóch różnych plemion pokłóciło się o to, jaki kształt ma wyspa i czy obrys wykonany przez trzeciego z nich rzeczywiście odpowiada mu w należyтым stopniu. Byliby się pozabijali, ale Maui ostrzegł ich, że ten fragment polany wyjąłowany został z magii na rzecz uczciwego pojedynku i jeśli któryś z nich umrze na tym kawałku, skaże swojego ducha na rozpuszczenie się w nicości.

Gdy wreszcie stworzono obrys wyspy, najstarszy z wodzów przedzielił rysunek na idealne połówki jednym ruchem laski. Pochwalony posłał Mauiemu bezzębny uśmiech i cofnął się, aż zrównał z resztą swoich współplemieńców.

- Powiem ci, Marcin, że nie wiem, co jadłeś, ale opchać to się musiałeś w opór, a jak to wszystko przetrawiłeś, to tak ci się to w środku ułożyło, że teraz masz zwyczajnie nasrane we łbie - powiedział duch Janusza, który pojawił się nagle koło Malikowskiego. - W noża będziesz grał? W noża?! A może jeszcze w gumę albo kręconkę?

Malikowski machnął otrzymanym nożem, przecinając powietrze.

- Czy to jakaś próba zdekoncentrowania mnie, Maui?- zapytał, wskazując ostrzem Janusza. - Tak chcesz wygrać?

Wielkolud z hakiem roześmiał się i również zamachał swoją bronią.

- Myślałem, że potrzebny ci sojusznik - odparł. - Jakieś wsparcie, byś nie miał wrażeń, że jesteś tu sam. Źle zrobiłem?

Ostatnie pytanie zadał, robiąc uroczo zawstydzoną minę, która rozbawiła najmłodszych. Jednocześnie wielki hak w jego dłoni skurczył się i rozprostował, z każdym kolejnym machnięciem upodabiając się coraz bardziej do kamiennego rytualnego noża.

- To co? Zaczynamy? - zapytał.

Malikowski postąpił krok do przodu, ale się zawahał.

- Mam uwierzyć, że ten nóż z haka jest tak samo zwyczajny jak mój?

Maui potrząsnął głową.

- Nie, mój jest ładniejszy - odparł. - Ale jeśli chodzi o moce, na tym konkretnym kawałku ziemi nóż to tylko nóż.

Marcin Malikowski zmrużył oczy, jakby w jakiś magiczny sposób mógł w ten sposób przejrzeć słowa bóstwa i przekonać się, czy tamten kłamie, czy

nie. Postąpił do przodu kolejny krok i kolejny, aż wreszcie zatrzymał się przy samym obrysie wyspy.

- Ja wybieram połowę, ty rzucasz pierwszy - powiedział, po czym zmusił kącki swych ust do uśmiechu. - Niech będzie, że dam ci fory.

- Dzięki, łaskawco. - Maui puścił do niego oko, po czym podrzucił trzymany w dłoni nóż, pozwolił mu wykonać w powietrzu dwa i pół obrotu i złapał go, gdy ten leciał ostrzem w dół.

- I rzucam tak długo, aż się nie wbije albo nie trafię? - upewnił się. - Bo jeśli tak, to sobie raczej nie porzucasz.

Malikowski nie odpowiedział, tylko stopą wskazał połówkę bliżej siebie.

- Ta jest moja - zdecydował i ledwie powiedział te słowa, w sam środek jego terytorium wbił się pięknie ozdobiony nóż.

Zgromadzony wokoło tłum krzyknął z uznaniem, a Maui krzyknął, wzniciając tuman kurzu, podbiegł do pierwszego z brzegu wojownika i bez skrupowania pocałował go w usta. Następnie odskoczył, uderzył się w piersi jak goryl i podbiegł do obrysu wyspy. Tam, ledwie przekroczył narysowaną linię, jego złociste tatuaże wyblakły, a on sam skurczył się nieco i zbrzydł. Musiał dostrzec, że Marcin to zauważył, ale nie dotknęło go to. Przeciwnie, szczerząc zęby, sięgnął do rękojeści białego noża.

- Mówiłem, że nie porzu... - zaczął, ale właśnie wtedy spod ziemi wystrzeliła biała ręka, która złapała go za nadgarstek i mocno przyciągnęła do ziemi. Gdy zaskoczone bóstwo znalazło się już niemal przy samym gruncie, wyłoniła się druga ręka, uzbrojona w nóż myśliwski typu Bowie o długim, szerokim ostrzu.

- Stara zasada, Maui- rozległo się spod ziemi do wtóru przepełnionego bólem syku, gdy ostrze gładko wsunęło się między fale tatuażu i skryte pod skórą żebra. - Zwykle ten, kto wybiera teren, wygrywa.

Maui szarpnął się jeszcze, próbował wyrwać, oglądał się z wyrazem niemego przerażenia na zgromadzonych wokół ludzi. Ale ręce spod ziemi były od niego silniejsze, a lojalność plemion wyraźnie niewystarczająca. Pozbawiony zarówno mocy, jak i sojuszników, za to dźgnięty solidnie szereg razy, w końcu osunął się na glinę, rozmazując kolanem linię obrysu.

Marcin Malikowski przyglądał się temu z jednakowym zdumieniem, co cała reszta. Mimo iż uczestniczył w tym przygotowanym przez Lokiego przedstawieniu, znał tylko swoją rolę i nie miał pojęcia, co planuje jego sojusznik. Pewnych rzeczy mógł się przynajmniej częściowo domyślać, ale

to? Przecież ten plan to było szaleństwo! Tyle rzeczy mogło się nie udać! Loki musiał leżeć tam już od jakiegoś czasu, w dodatku pozbawiony swoich mocy, jeśli jakieś miał. Mniejsza już oto, jak się tam zakopał, ale mógł źle wymierzyć środek polany albo tubylcy mogli zrobić to inną metodą. Usuwając trawę, kopać za głęboko, nanosząc glinę, zwyczajnie go zadusić. No i nóż rzucony przez Mauiego w ziemię mógł wejść przecież głębiej i trafić...

„Właśnie dlatego nic ci nie powiedział”, przemknęło mu przez głowę. „Przez to, że myślisz jak cholerny pesymista!”

Tymczasem martwe ciało Mauiego drgnęło. Zastygli dotąd w bezruchu tubylcy poruszyli się wraz z nim, a kilkoro wydało stłumione westchnienia. Ciało zaś podskoczyło jeszcze raz, machnęło ręką, przetaczając się na bok i uwolniło skrytego pod ziemią Lokiego. Ten wygrzebał się do końca, wytarł ręce o przepaskę biodrową trupa i starł błoto z oczu. Poza dłońmi i twarzą cały był pokryty na wpół zaschniętą jasnobrązową mazią.

Wyswobodził nóż z ciała Mauiego, a w drugą rękę wziął ten, w który polinezyjski bóg przemienił swój hak. Wzniósł oba ku górze i skrzyżował je, po czym zawołał coś, czego w pierwszej chwili Marcin nie zrozumiał. Dopiero po chwili jego boskie moce, nieco zaskoczone przebiegiem wypadków i przez to trochę opóźnione, dokonały tłumaczenia.

- Umarło bóstewko - powiedział Loki. - Niech żyje bóg.

W pierwszej chwili mało kto zareagował. Kilku tubylców z drugich i trzecich rzędów popatrzyło po sobie, któryś coś szepnął. A potem ktoś zaczął klaskać. Głośnym, rytmicznym klap, klap, oddzielonym długimi pauzami.

- Brawo, Kłamco - powiedział wojownik, którego tuż po rzucie pocałował Maui. Teraz wystąpił przed linię kapłanów, a jego ręce, klatka piersiowa i barki puchły i przybierały właściwe, godne boga kształty. W dłoni zmaterializował się hak. - Gdyby to był nasz pierwszy raz, gdyby to od początku była twoja intryga albo gdyby to nie była wyspa, na której urzęduję już tyle czasu, pewnie by ci się udało. Ale w tej sytuacji...

Umilkł, nie przestając jednak rosnąć. Teraz był już dwa razy większy niż otaczający go ludzie, dwa razy wyższy, ale i roślejszy. Gdyby chciał, mógłby bez trudu dotykać czubków głów osadzonych na cokołach posągów. Jego hak emanujący złotym światłem ze zdobień rósł razem z nim.

Malikowski oderwał na moment wzrok od giganta i spojrzał na Lokiego. Robiąc to, miał nadzieję, że jego sojusznik był gotowy na to, co zaszło, i że

teraz on, Malikowski, zobaczy to w jego minie. Ale rozdziawiona gęba uwalanego w błocie boga nie wyrażała niczego prócz bezbrzeżnego zdumienia.

GDZIEŚ NAD ATLANTYKIEM

- Teraz odbij w lewo i... auuu, delikatniej, kurwa mać!

- Przepraszam.

Butch powoli, szerokim łukiem, zmienił kurs, a Ryjek mocniej zacisnął dłonie na parcianych paskach uprząży spadochronu. Uparł się na niego, choć anioł zapewniał go, że nie będzie potrzebny, on ich uniesie bez trudu i szkoda czasu. W odpowiedzi Ryjek stwierdził, że przecież lecą w miejsce, gdzie anielskie moce nie działają, jak powinny, więc niczego nie mogą być pewni.

- Równie dobrze może się okazać, że stracisz je zupełnie i obaj runiemy do oceanu - wyjaśnił. - Im więcej opcji zabezpieczymy, tym dla nas lepiej.

- Zapewniam cię, że jeśli działa tam coś, co może zupełnie zniwelować moje moce, upadek z wysokości okaże się dla nas najlepszą opcją- odparł wtedy Butch, ale pozwolił policjantowi założyć spadochron.

Ostatecznie okazało się to wygodniejsze, bo trzymało się go lepiej niż samego wiercącego się komisarza.

Lecieli już dobre półtorej godziny i ich obecny świat składał się jedynie z dwóch odcieni niebieskiego doprawionych dla efektu skrzącymi rozbłyskami słońca na falach i kłębamii białych chmur wysoko nad ich głowami.

- Ten anioł, który się pojawił, nim ruszyliśmy - zagadał Ryjek - to był Zadra?

- Tak - odparł Butch. - Poprosiłem go o pomoc.

Coś ukłuło Ryjka na wysokości piersi i nie wiedział, czy to jakaś zbłąkana szpilka w pasku spadochronu, czy może zazdrość. Ta druga była oczywiście niedorzeczna, ale w jakiś sposób jawiła się bardziej prawdopodobną.

- Do czego mielibyśmy go potrzebować? - Bardzo się starał, by w jego głosie nie zabrzmiała nadąsana pretensja, ale dopiero poniewczasie przypomniał sobie, że przecież jego kompan może czytać w myślach. Mógł

mieć tylko nadzieję, że tym razem anioł nie skorzystał z tej możliwości.

- Cały czas słę mu sygnały - wyjaśnił Butch.- Regularnie, co kilka sekund, ta sama myśl. Gdy tylko umilknę, Zadra przypomni sobie miejsce, gdzie byłem, gdy odebrał mnie po raz ostatni, i tam wysłę czekającego na sygnał Michała.

- Sprytne - stwierdził komisarz zapatrzony w rzucającego się na fale wieloryba. Wielki ssak przypominał mu teraz trochę grubego wujka Eustachego przechodzącego na grzbietowy w zawałonym ludźmi basenie miejskim. Za dzieciaka Ryjek lubił wujka, więc poczuł sympatię również do wieloryba.

- Jak myślisz, co nas czeka na miejscu? - zapytał po chwili.

- To Loki, więc wszystko, co głupie, niegodziwe i niezgodne z regułami - odparł Butch. Jego skrzydła unosiły się i opadały z hipnotyzującą regularnością kontrolującego oddech jogina. - Na wszelki wypadek trzymaj się z tyłu. Możesz pomóc turystom, jeśli chcesz.

- Dzięki, skrzydlaty laskawco- prychnął Ryjek i spojrzał na trzymany w dłoni telefon, na czerwony wskaźnik wbity w małą białą plamkę na błękitnym ekranie. W jego głowie zrodziło się absurdalne pytanie nawiązujące do starego kawału: „Co to jest, czerwone na białym, na oceanie błękitu”. Odpowiedź pojawiła się w jego głowie niemal natychmiast, a do tego brzmiała jak głos kogoś obcego: „Krew”.

Wzdrygnął się, a Butch odruchowo poprawił uchwyt.

- Oho - powiedział. - Chyba wyszedłem z zasięgu Zadry. A oto i nasza wyspa.

Ryjek uniósł dłoń z telefonem do czoła, robiąc z aparatu daszek. Mrużąc oczy, rzeczywiście dostrzegł na horyzoncie nieregularny, mglisty kształt, który w niczym nie przypominał młotka.

ISLA DE MARTILLO, OCEAN ATLANTYCKI

Maui miał teraz blisko pięć metrów wzrostu i olbrzymią głową sięgał ponad linię pobliskich drzew. Wsparty na haku szczyrzył się jak do zdjęć, choć w rzeczywistości wszystkie te uśmiechy zarezerwowane były dla dwóch siedzących do siebie plecami mężczyzn, ciasno związanych grubo

plecioną liną. Jeden z nich za całe odzienie miał obecnie zaschnięte błoto, a drugi zwieszał głowę zrezygnowany i wyglądał, jakby spał.

- Cieszę się, że podjąłeś moją grę, Loki, bez tego byłoby nudno - powiedział wyraźnie z siebie zadowolony Maui.- Jeśli mam być szczerzy, to nie wiem, czy ci twoi aniołowie są na tyle głupi, by nie zauważyć grubych szwów mojej intrygi. Birfost, nazwa tej wyspy, rzucone tu i tam wieści o kradzieży jabłek wiary. Pamiętasz jabłka wiary, prawda, Loki? Te same, którymi terroryści Anubisa chcieli kiedyś nakarmić pierworodnych królów tego świata, by przekonwertować ich na swoją...

- Już wiem, czemu jestem od ciebie lepszy, Maui- westchnął z rezygnacją Loki. - Ty po prostu przegadujesz swoje żarty.

Wielki Maui odchylił głowę do tyłu i wybuchnął perlistym śmiechem. Zgromadzeni wokół tubylcy zawtórowali mu niepewnie.

- No pewnie, że byłeś. Loki. To wszystko twoje akcje. Spektakularne akcje pierwszego pośród zdrajców.

Maui uniósł hak i machnął nim, jakby strzepywał zeń wodę, a wtedy elektryczna wiązka popędziła po ziemi niczym wąż i uderzyła w związanych.

- Ej, a ja za co?! - Ocknął się Malikowski.

- Bądź spokojny- wycodził Loki przez zaciśnięte zęby- a dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.

- Ale ja nie chcę być w raju - jęknął Malikowski. - To miał być raj i co, kurwa? Co?

- Wielkie gówno - zarechotał tuż obok jego ucha duch Janusza Kolanki.

„Pierdolony śmieszek, cebularz”, pomyślał Malikowski, mając szczerą ochotę kopnąć teraz Kolankę w te jego niematerialne jaja.

Maui tymczasem wznosił hak nad głowę, łapiąc drugą ręką za naostrzony koniec. W polu powstałego w ten sposób trójkąta strzeliło kilka błyskawic, a potem pojawił się obraz jak na słabej jakości holograficznym wyświetlaczu.

- Ten twój trik, Loki, by wykorzystać mechanizm kultów cargo do nadawania turystom tymczasowych boskich mocy, to przejaw sprytu, którego nie umiem nie podziwiać- powiedziało bóstwo dziwnie metalicznym głosem. - Skoro piloci mogli się stać bogami, a samoloty ich słonecznymi rydwanami, to dlaczego nie żółtek z aparatem czy tłuszczoch w skarpetkach do sandałów?

- Ej, licz się ze słowami ciapaty chujcwocie! - zawołał gniewnie

oburzony duch Janusza Kolanki. - Wypraszam so...

Maui mrugnął i duch grubasa rozwiął się niczym błękitna mgła.

- I dobrze - mruknął Malikowski z satysfakcją.

Loki tymczasem poruszył się, szukając wygodniejszej pozycji, i splunął na bok gęstą, białą śliną.

- Widzę, że ci się podobało- powiedział.- Plagiat najwyższą formą uznania?

Maui parsknął.

- To nie plagiat, Loki - odparł. - To ironia losu. Wpadłeś w ten sam wir, w który swoim trikiem wrzuciłeś swoje wyspy. Widzisz tych wszystkich ludzi wokół? Już za chwilę obdzielę ich zabraną turystom mocą. Widzieli, jak ją zdobyłem, wiedzą, że ją mam i że jako jedyny bóg na świecie mogę nią obdzielić. A wtedy każę im się na ciebie rzucić. Będziesz się bronił, a jakże, wielu spośród tych tutaj zginie z twojej ręki, ale w końcu ci ostatni ocalali rozerwą cię na strzępy i będzie to wyglądało, jakbyś zwyczajnie przedobrzył ze swoją starą sztuczką. Świadców nie będzie, bo niedobitkami zajmę się ja. Ostatecznie twoi mocodawcy, nawet jeśli głupi, dodadzą dwa do dwóch i wyjdzie, że przez własną pazerność i pewność siebie doprowadziłeś do tego, że cała wyspa wypełniła się prymitywnymi bogami, a wtedy...

- Tu ci przerwę - wtrącił się Loki. - Oto drugi powód, dla którego to ja jestem lepszy.

- Ty? Lepszy?! - zawołał Maui z mieszanką niedowierzania i złości.

- Tak. - Kłamca znowu splunął w bok, po czym brodą wskazał coś nad głową olbrzyma. - Ja nie walę monologów jak tani czarny charakter, by potem dać się tak podejść. Cześć Butch.

Maui się nie obejrzał, opuścił za to hak, by wycelować nim w Kłamcę.

- Jeśli myślisz, że nabiorę się na tę tanią sztuczkę z oglądaniem się za siebie... - zaczął i w tym samym momencie przed twarzą pojawił mu się mocno spięty, uczepiony parcianych pasków policjant, a ułamek sekundy później na wielką głowę bóstwa opadła czasza spadochronu.

Butch wylądował przy związanych mężczyznach i rozejrzał się uważnie. Wiedział, że ma ledwie kilka sekund, nim uzbrojony w hak gigant upora się z Ryjkiem i jego dywersją. Zamierzał wykorzystać ten czas na właściwą

ocenę sytuacji.

Zgromadzonego wokół tłumu nie uznał za zagrożenie. Wszyscy oni byli ludźmi, w dodatku dość oszołomionymi sytuacją. Zanotował jednak w pamięci, że widok wielkiego mięśniaka ze skrzydłami nikogo ani nie zdziwił, ani nie przstraszył. Czy to znaczyło, że widywali takich już wcześniej?

- Może byś mnie rozwiązał? - zapytał Loki.

- Zamknij się - warknął anioł.

Posągi przedstawiające turystów powiedziały Butchowi, co tu się właściwie wydarzyło. Wykorzystanie kultów cargo - Kłamca robił to już kiedyś w przeszłości, tłumacząc się potem tym, że w ten sposób udało mu się wytropić większość pomniejszych bóstw polinezyjskich. Czy ten wielki oznaczał, że jednak nie wszystkie? Kim on w zasadzie jest?

- To Maui- rzucił Kłamca, zupełnie jakby czytał aniołowi w myślach. - Heros z Polinezji, trickster jak ja. To jego sprawka. Jego moc kryje się w tym haku i...

- Kazałem ci się zamknąć.

- Jasne, jasne, panie wrażliwy. Dodam tylko, że on zabił podobno w cholerę aniołów, w tym jednego anioła całkiem niedawno, nie, polski kolego? Zabił Stróża tego tu i...

Butch doskoczył do Kłamcy i grzmotnął go pięścią w skroń na tyle mocno, że ten z miejsca zwiotczał i osunął się nieprzytomny na tyle, na ile pozwalała mu lina.

Niemal w tym samym momencie rozległ się krzyk Ryjka ciśniętego gdzieś wysoko ponad drzewami. Anioł powiódł za nim wzrokiem, próbując przewidzieć, gdzie tamten wylądował. Gdy ustalił, że będzie to woda poza wyspą, z miejsca stracił zainteresowanie świętym gliną. Teraz priorytetem był Maui, groźnie dyszący gigant.

„Broń, potrzebuję broni”, pomyślał anioł. Dostrzegł dwa białe w ziemię noże i skoczył ku nim. Wyrwał je z ziemi, robiąc fikołka, wybił się mocno ze zgiętych nóg. Wskoczywszy w górę, rozłożył szeroko skrzydła. Uskoczył w samą porę, bo Maui, zauważywszy ruch, machnął w jego stronę hakiem. Podmuchał Butcha w stronę drzew, ale anioł wyrównał lot i zatoczył łuk. Korzystając z tego, że hak bóstwa chwilowo znajdował się przy ziemi, zaatakował.

Wtedy właśnie zgromadzeni na dole ludzie rozpoczęli pieśń. Śpiewali

zgodnie, jakby ćwiczili to po wielokroć, używając słów, które brzmiały jak jednoczesny lament wszystkich zwierząt świata. Słyszając inkantację, małpy, wielkie koty, gryzonie i ptactwo zaczęły coraz wychodzić spośród drzew i stawać pomiędzy ludźmi. Niektóre dołączały swymi odgłosami do chóru. Większość patrzyła w milczeniu.

Maui i wyspa najwyraźniej kończyli z pozorami, stawiając teraz wszystko na jedną kartę.

*Oto Maui, co na hak chwycił słońce,
Dla ludzi ujarzmił fale, szczęki w pyski dał rekinom.
Oto Maui, który nieśmiertelnym
Niesie niczym herold wieść, że wkrótce zginę.*

Butch czuł moc tych słów. Czuł, jak niosły się rozedrganym powietrzem, jak osiadały na skórze olbrzyma, wsiąkały przez pory skóry, a potem rozjaśniały żyły, sprawiając, że z każdą chwilą stawał się silniejszy.

Bóstwo patrzyło teraz wyzywająco na nadlatującego Butcha.

- Aniołku, aniołku. Nie widzisz, z kim masz do czynienia? Jesteś niczym owad, który... - Zrobił błyskawiczny unik, a nóż, przy jego twarzy maleńki niczym złamana na pół igła, poszybował gdzieś w ciemną noc.

Butch wykorzystał tę chwilową dezorientację, zakręcił w powietrzu, składając lewe skrzydło, i ruchem wirowym poleciał w dół. Nie miał planu, nie wiedział, co zrobić, bo nigdy nie walczył w pojedynkę z gigantem, jeśli nie liczyć próby zamierzenia się na Thora, która wtedy nie skończyła się za dobrze. Mógł teraz jedynie jak za dawnych czasów, jeszcze w Zastępach, gdy zdarzało mu się lądować w poniekąd podobnych sytuacjach, kupować czas aż do nadejścia posiłków. Pozorować ataki na newralgiczne punkty, nie dając przeciwnikowi spokoju, i czekać. Więc czekał, jednocześnie kierując się w stronę monstrualnie wielkiego krocza bóstwa.

- Musisz mi pomóc - powiedział Loki.

Malikowski wyczuł już przed minutą, że jego towarzysz niedoli się ocknął, ale ponieważ wcześniej siedział cicho, to i Polak się nie odzywał. Zresztą co miałby mówić? Wszystko, co widział na tej wyspie, przekraczało jego najśmielsze nie tylko oczekiwania, lecz także wyobrażenia. Jeszcze

niedawno odpoczywał na wyspie, na której mógł westchnieniem wywołać deszcz, a pstryknięciem odblokować sobie kanały porno. Za to teraz siedział związany z kołosem, który podawał się za boga, i patrzył, jak inny bóg, ten, który zabił mu anioła stróża, opędza się od kolejnego skrzydlatego jak od natrętnej muchy. A wszystko to do wtóru chóru statystów złożonego z tubylców i dzikich zwierząt. Kurwa, świat przypominał mu teraz film Disneya zrealizowany przez przećpanego Tarantino!

- Ty, koleżko- znowu odezwał się Loki, tym razem trochę głośniej. - Przecież czuję, że nie śpisz, wierzysz się.

- No nie śpię.

- Więc musisz mi pomóc.

Malikowski wcale nie wiedział, czy musi. Co więcej, coś w jego głowie mówiło mu, że zdecydowanie, kurwa, nie! Przecież gdyby nie ten koleś Loki, gdyby nie jego plany, grzebanie się w ziemi i inne takie, pewnie nie byłoby teraz całej tej sytuacji. Owszem, Maui chciał z Marcinem walczyć, ale wyraźnie potrzebował na to jego zgody. Nie trzeba się było wrywać, grać w noża i inne takie.

Ale w sumie czy teraz każdy plan nie był jakby trochę... na wagę złota?

- No, dawaj - westchnął ciężko.

Loki wyprężył się nieco mocniej, boleśnie naprężając krępującą ich linę, po czym zaczął mówić szybkim, rytmicznym półszepem.

- Słyszałeś, co śpiewali tamci, nie? O tym prezencie, jaki dał Maui ludziom, a potem rekinom. Słyszałeś?

- Ludziom dał fale... - spróbował Marcin, po czym potrząsnął głową. - Nie, nie rozumiem.

- Chodzi o to, że ludzi nauczył surfować i żeglować - odparł Loki. - I wszyscy uznali, że to spoko, ale on to robił dla psikusa. Bo kiedy ludzie ośmielili się ruszyć do wody, on dał zęby rekinom.

- O skurwiel I - wyrwało się Malikowskiemu, na co Loki zaśmiał się cicho.

- Tak już czasem mamy... znaczy mają, tacy jak on. Nazywają ich tricksterami, przecherami, bogami oszustw.

Malikowski nie odpowiedział od razu. Patrzył, jak anioł fruujący wokół olbrzyma zwalnia, jakby się zmęczył, ale gwałtownie przyspiesza, gdy tamten próbuje go uderzyć otwartą dłonią. W tym momencie Maui nie wyglądał na specjalnie rozgarniętego. Przypominał bardziej dzieciaka na

kanapie odganiającego osę od trzymanego w drugiej dłoni lizaka.

- Ty też jesteś takim bogiem, Loki? - zapytał w końcu Malikowski. Jego towarzysz niedoli wyraźnie się zawahał, by w końcu stwierdzić z wyraźnym zalem:

- Nie będę ukrywał, jestem. A raczej byłem, bo teraz pracuję z tymi dobrymi. Widziałeś, znam tego tam, co fruwa.

- Słyszałem, że kazał ci się zamknąć, a potem cię walnął.

- Takie tam przekomarzanki dobrych kumpli. Od dawna pracuję z aniołami, a oni mi płacą w piórach.

- Piórach? - zdziwił się Malikowski.

- Tak, pióra anielskie mają ogromną moc. Maui coś o tym słyszał, dlatego zabija skrzydlatych, ale pióro musisz dostać, nie możesz go zabrać. Tylko wtedy jest naładowane. Ja dostałem ich bardzo dużo i właśnie wymyśliłem, co mogę z nimi zrobić.

Tuż obok stopy Malikowskiego przesunęła się wielka anakonda, na której siedział szereg popiskujących myszek. Widok był tak niezwykły, że Marcin odezwał się znowu dopiero, gdy odprowadził węża wzrokiem aż pod nogi tubylców.

- Z piórami? - zapytał. - Chcesz coś zrobić z anielskimi piórami?

- Tak, dać je komuś - wyjaśnił Loki akurat w momencie, gdy anioł Butch rozorał Mauiemu dolną wargę i cudem uniknął zgniecenia pod wielkim paluchem. - Rzecz w tym, że nie mogę się do nich dostać, bo leżą ukryte w magazynie, gdzie nie mam dostępu.

- A kto ma?

Loki poruszył się nerwowo.

- No ty! Jesteś tu bogiem, nawet jeśli niedoświadczonym. Więc ja ci oficjalnie przekazuję te pióra, ale musisz je sobie wyobrazić, podobnie jak miejsce, gdzie leżą, a następnie zabrać je wszystkie i przekazać, komu wskażę.

- To znaczy komu?

- Rekinom!

Komisarz Ryjek kołysał się na wodzie jak boja. Otaczała go świetlista plama wyglądająca, jakby opił się wyciągu ze świetlików, a potem zsikał. Naraz przypomniały mu się te wszystkie opowieści o ludziach sikających do

basenów, wokół których woda czerniała, jakby właśnie rozwierała się wokół nich otchłań wstydu i potępienia, w którą mieli się zapaść i utonąć.

Ryjek nie tonął. Mimo iż nie miał kapoka czy koła i nie ruszał rękami ani nogami, po prostu unosił się na wodzie. Zanurzył się tylko raz, gdy z krzykiem uderzył o taflę oceanu, ale i wtedy woda tylko zamortyzowała upadek, by zaraz wyrzucić go na powierzchnię. Nawet się nie zachłysnął.

Czuł się bezpiecznie. To znaczy teraz, bo jeszcze kilka minut wcześniej, gdy dostrzegł pierwsze krążące wokół niego trójkąty płetw, dołożył to i owo do świetlistej plamy wokół siebie. Wyglądało jednak na to, że rekiny, mimo prób, nie były w stanie wpłynąć w otaczającą go przestrzeń, więc przestał się nimi przejmować.

Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. W oddali majaczył mu zarys wyspy oddzielający się czernią na granatowym niebie. Raz po raz nad lądem pojawiała się srebrzyste drzewko błyskawicy, co oznaczało, że ten wielki jeszcze walczył. A przynajmniej komisarz nie podejrzewał, by to Butch dysponował taką umiejętnością. Chociaż w sumie, co on niby o nim wiedział?

„Powiniennem mu pomóc”, pomyślał teraz. „Powiniennem tam wrócić i mu pomóc”.

Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że przecież już raz próbował. Czy to cokolwiek dało? Bez jakiegoś wybitnego planu nie miał najmniejszych szans choćby zaistnieć w potencjalnym starciu. A umówmy się, taktyka w walce z kimś, kto wygląda jak polinezyjska odpowiedź na świebodzińskiego Jezusa, nie jest tym, czego uczą na zajęciach w szkole policyjnej w Szczytnie. Mimo to zdecydował, że popłynie. Upewnił się, że świecąca plama porusza się razem z nim, a gdy tak się stało, zaczął spokojnie najpierw żabką, a potem przeszedł w kraul. Szum rozchlapywanej wody i skupienie na wykonywanej czynności i ustalonym celu sprawiły, że kompletnie przegapił to, co stało się za nim.

Krążące rekiny wyłoniły się nagle spod wody niczym żywe i wkurwione okręty podwodne, a następnie, w niezwykłym rozbłysku obdarzone skrzydłami, pofrunęły w górę, dołączając do wielkiego klucza swoich pobratymców kierujących się w stronę wyspy.

- No i co?! Nic to nie dało, Lo... - zaczął Malikowski, ale wtedy właśnie dostrzegł ciemniejące od wschodu niebo. Wyglądało to, jakby sunęła ku nim

wielka deszczowa chmura, ale z każdą chwilą coraz głośniejszy był szum setek skrzydeł, a powietrze zrobiło się chłodne i wilgotne.

Tubylcze śpiewy nie urwały się, ale przycichły. Wszystkie dzieci i niektórzy wojownicy zaczęli oglądać się za siebie niepewnie, a gdy tylko nad linią lasu pojawiły się pierwsze uskrzydłone rekiny, rozległy się piski i wrzaski.

Maui skupiony na opędzaniu się od Butcha odwrócił się nagle, krzyknął coś ze zdumieniem, a potem znowu, tym razem z bólu, bo anioł, skorzystawszy z jego nieuwagi, zaatakował oko i wypalił bóstwu kopa w żrenicę.

- Loki! - wrzasnął Maui. - Przeklęty Loki!

Wzniósł swój hak i zatoczył nim koło nad głową. Kilka rekinów, które weszło w jego zasięg, odbiło się i poszybowało w noc jak wcześniej Ryjek, ale pozostałe - a przybywało ich nieustannie - napierały coraz szybciej.

- Bądź przeklęty, Kłamco! Nie dam ci tego wygrać! - darł się potężny Maui, a od jego wrzasków aż trzęsła się wyspa. Hak nad głową bóstwa kręcił się coraz szybciej, niemal się rozmywał, tworząc wir w powietrzu. Wpadające w niego rekiny obracały się wokół bóstwa niczym satelity wokół Ziemi.

- Jezu, co to jest?! - krzyknął Malikowski, próbując przekrzyczeć szum, ryki giganta i wrzaski biegających w panice ludzi. Aż cud, że żaden z tubylców jeszcze ich w tym zamieszaniu nie stratował.

- Jezusa to ty do tego nie mieszaj - odparł Loki. - Sam to zrobiłeś. Wyobraziłeś sobie i jest. Brawo, chłopie.

- Te latające rekiny? Ja?!

- No- zaśmiał się Loki- Przyznam ci, stary, masz posraną wyobraźnię. A teraz weź wyobraź sobie jeszcze jakieś pole siłowe wokół nas, bo zaraz to dopiero będzie.

Malikowski spróbował i już po kilku sekundach wytworzyło się wokół nich coś na kształt żółtawej, półprzezroczystej kapsuły, w którą raz po raz uderzał albo rozpędzony tubylec, albo oderwany, krwawiący kawałek ciała - ręka, noga, łapa, część poszarpanego korpusu czy ogon.

„Skąd to się bierze?” - pomyślał Malikowski, ale wtedy dostrzegł, że część zwierząt i ludzi uniosła się w powietrze i wirowała wraz z rekinami. Te zaś, szybko adaptując się do nowej sytuacji, zaczęły żer. Gdzieś między tym wszystkim wciąż krążył coraz bardziej bezradny anioł, a w samym

centrum miotał się wściekły, gigantyczny półbóg.

- No, to teraz możesz się troszkę zmniejszyć i nas z tego wypłatać - powiedział Loki. - I jakbyś jeszcze stworzył trochę popcornu.

Malikowski pomyślał o skurczeniu się i rzeczywiście w ciągu dwóch oddechów ich więzy luźno opadły. Loki oswobodził się z nich i z ubłoconych ramion strzepnął niewidzialny pyłek.

- Daj jeszcze ten popcorn - powiedział.

Malikowski przyjrzał się swoim małym dłoniom i myślą przywrócił je wraz z całą resztą siebie do poprzedniego rozmiaru.

- Dlaczego teraz mogę takie rzeczy, a wcześniej nie mogłem?

Loki się roześmiał.

- Zawsze mogłeś. Po prostu wcześniej nie było mi to do niczego potrzebne.

Jakby dla podkreślenia tych słów w kopułę walnęła oderwana głowa jednego z wodzów. Wyglądała na zdziwioną.

Ryjek dopływał właśnie do brzegu, gdy usłyszał najpierw ryk Mauiego, a potem wrzaski, od których cierpła skóra. Miał wrażenie, że ziemia się trzęsie, wzmógł się też wiatr.

Komisarz wyszedł z wody na czworaka, otrząsnął się jak pies i powoli podniósł z kłęczek. Zmęczył się, paliło go w piersi i dyszał, ale musiał przyznać, że zdecydowanie nie był to poziom wycieńczenia, jaki powinien mu towarzyszyć po przebyciu aż takiego dystansu. Wyraźnie i pod tym względem świętość ułatwiała mu życie i sprawiała, że czuł się trochę tak, jakby grał w grę na kodach.

Stanął prosto i wytarł ręce z piasku. Wciąż nie wiedział, co powinien zrobić, zwłaszcza w obliczu tych nasilających się, przerażających dźwięków. Czy mógł zrobić cokolwiek? Wątpił, ale i tak rozejrzał się za jakąś bronią, za czymś, co nie wyglądało jak spróchniały konar wyrzucony przez ocean, kamień albo...

Coś kazało mu spojrzeć w górę, więc zadarł głowę i wtedy ich dostrzegł. Lecieli w szyku, trzy szeregi po dwanaście plus dwie sylwetki wyraźnie z przodu. Jeden z tej dwójki miał sześć skrzydeł i coś, co wyglądało jak płonący patyk.

- Michał - powiedział Ryjek. A przynajmniej zdawało mu się, że

powiedział, bo w zgiełku i jazgocie nie usłyszał własnych słów. Może tylko tak sobie pomyślał?

Naraz zdał sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy. Choć aniołowie lecieli całkiem blisko, a hałas na wyspie był pewnie słyszany na mile w głąb oceanu, Michał i jego oddział sunęli przez niebo zupełnie tak, jakby zamierzali wyminąć Isla de Martillo.

„Może to manewr oskrzydający”, pomyślał komisarz, ale wtedy przypomniał sobie, że przecież z jakiegoś powodu aniołowie nie mogli widzieć wyspy i jej nie wyczuwali. Zadra, który pewnie znajdował się teraz tuż obok Michała, przyleciał po prostu w ostatnie miejsce, skąd doszedł go sygnał wysłany przez Butcha.

Ale przecież oni dostrzegli wyspę. Dlaczego więc im się udało, a Michałowi nie?

Odpowiedź przyszła wraz z kolejnym wrzaskiem, który brzmiał jak pełne wyrzutu „To tyyyyyyyyyy!”.

- No właśnie, ja - Ryjek klepnął się w udo. - Chodziło o mnie. To ja dostrzegłem wyspę.

Unióś ręce i zaczął nimi energicznie machać, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Wbrew rozsądkowi zaczął też krzyczeć, bardziej czując, niż słysząc, że właśnie zdziera gardło.

Naraz świetlista plama, która otaczała go w oceanie, a potem unosiła się na falach niczym wielka płachta brezentu, wypelzła z wody, dotarła do policjanta po piasku i oblazła go, wspinając się po nim aż do dłoni, które rozświetliły się niczym dwie lampy. Machając nimi, Ryjek widział, jak w powietrzu tworzą się smugi podobne to tych podczas pokazów teatrów ognia.

Zadziałało. Jeden z aniołów- ten, który powinien być Zadrą- wskazał coś Michałowi. Naraz cała kolumna skręciła gładko i pofrunęła w stronę wyspy, obniżając lot. Gdy przelecieli nad plażą, Ryjek mógł dostrzec ich zacięte twarze, zmrużone oczy, ich mundury przypominające skrzyżowanie rzymskich zbroi z wyposażeniem taktycznym współczesnych jednostek specjalnych. Lecący na ich czele Michał patrzył przed siebie gniewnie, dzierżąc w dłoni ognisty miecz. Tatuaż na jego twarzy płonął niemal na białą.

Zadra oderwał się od kolumny, zawinął w powietrzu niczym liść targany wiatrem i wylądował koło Ryjka. W porównaniu do aniołów, którym towarzyszył, był chudy i maleńki, trochę jak jeden z tych chłopców, którym

w szkole wszystkie koleżanki zwierają się tak długo, aż facet odkrywa w sobie powołanie do homoseksualizmu i kreowania mody.

- Gdzie Butch?- zapytał bez ogródek, co trochę wkurzyło komisarza. Żadnego dziękuję? Nic? Przecież właśnie dał im jakąkolwiek szansę na udział w tym wszystkim. Bez niego nic by się teraz nie wydarzyło!

W końcu Ryjek machnął tylko ręką w stronę drzew.

- Leć po wrzaskach - krzyknął. - Na pewno jest w centrum uwagi.

Zadra skinął głową i zaczesał do tyłu grzywkę.

- Tobie nic nie jest?

Komisarz pokręcił głową, po czym runął bez przytomności na piasek.

Gdy nad polaną pojawiły się oddziały Michała, niemal wszystkie żywe istoty - prócz Malikowskiego i Lokiego skrytych pod kopułą- unosiły się w powietrzu i tańczyły wokół Maui w obłąkańczym tańcu tornado. Ludzie wrzeszczeli, rekiny kłapały szczękami, wielkie koty próbowały rozczapierzać łapy niczym Puszek chcący się złapać krawędzi wanny, byleby go nikt nie zanurzył w kąpiel. Mały przeskakiwały od osoby do osoby, Maui machał wolną ręką, a Butch odbijał się od wszystkich i nieudolnie usiłował nadać swojemu lotowi jakiś indywidualny rys. Tylko węże sunęły majestatycznie po niebie, jakby były do tego stworzone.

Malikowski przyglądał się temu wszystkiemu z kubelkiem popcornu z masłem. Siedzący obok Kłamca siorbał colę i raz po raz pokazywał na coś palcem.

- Widziałeś to? - pytał. - Nie- sa- mo- wite!

Malikowski musiał przyznawać mu rację, bo wybierał same najlepsze momenty w tym i tak przecież niewiarygodnym zamieszaniu.

Gdy znad lasu wyłonili się aniołowie, przyjmując z miejsca formację bojową i dobywając mieczy, Malikowski pomyślał z ekscytacją, że teraz to się dopiero zacznie, ale dostrzegł zniesmaczoną minę Lokiego.

- Co się stało? - zapytał. - Nie będzie super?

Loki pokręcił głową.

- Oglądałeś *Władcę Pierścieni*, nie? Pamiętasz, jak w trzeciej części cała wcześniejsza bitwa o Gondor i wszystkie poświęcenia nie mają sensu, bo nagle pojawiają się umarli i koszą całą armię w kilka sekund?

Malikowski przypominał to sobie mglście, ale pokiwał głową.

- No to masz. - Loki wskazał palcem na archanioła Michała. - To są nasi umarli. Wszystko, co fajne, się skończyło, zaraz będzie szu, szu, szu i możemy się zbierać.

- Ale... - zaczął Malikowski, lecz zamilkł, bo aniołowie przystąpili do ataku, torując drogę największemu ze swoich, osiłkowi o sześciu skrzydłach i płonącej twarzy.

Ten opadł powoli na ziemię, wylądował u stóp Mauiego i zadarł głowę. Potem krzyknął coś, a gdy bóstwo na niego spojrzało, wystrzelił w górę niczym rakietą, wyciągając miecz przed siebie. Ciął od krocza po czubek głowy, a ciało olbrzyma nie stawiało mu żadnego oporu. Dopiero hak zazgrzytał, gdy starł się z płonąca głownią.

- I proszę- mruknął Loki.- To się nazywa złe wyważenie fabularne sceny batalistycznej. A mogło być tak dobrze...

Machnął ręką, a wtedy gigantyczne ciało Mauiego rozpadło się na połowy i runęło w dwóch kierunkach, kurcząc się wlocie. Hak również zmałał, zakręcił się w powietrzu kilka razy i poleciał w dół. Upadłby na ziemię, ale wykończony Butch przechwycił go w locie i uchwyciwszy mocno oburącz, poleciał w stronę Michała.

- Możesz wyłączyć tę kopułę, stary - powiedział Loki. - Tu się już nic więcej dzisiaj nie wydarzy.

Malikowski zdał sobie nagle sprawę, że przyjmuje te słowa ze smutkiem. Zdziwiło go to. Jeszcze kilka godzin temu dałby wiele za odzyskanie normalnego życia, ale teraz, gdy zdał sobie sprawę z mocy, jakie tu otrzymał, z nowych możliwości, już na samą myśl, że miałby je teraz stracić, czuł niemal fizyczny ból i mdłą falę przyszłej zwyczajnej, codziennej nudy. Gdzieś w głowie zamajaczył mu tytuł czytanej dawno temu, a może tylko widzianej na półce klasycznej książki science fiction *Trudno być Bogiem*. Nie pamiętał, o co w niej chodziło i skąd ten akurat tytuł, ale w myślach dopowiedział go sobie teraz słowami: „a jeszcze trudniej przestać”.

Gdy tylko ta myśl pojawiła się w jego głowie, na kopułę spadł deszcz ludzi, zwierząt z dżungli i skrzydlatych rekinów.

- Ups - mruknął Loki.

WROCLAW,

Ryjek siedział na ławeczce w Parku Południowym z kawałkiem chleba w dłoni i droczył się z gołębiami. Właściwie powinien być w pracy, ale wziął kilka dni wolnego, a Butch zadbał o to, by Stróż komendanta trochę zmiękczył swojemu podopiecznemu sumienie.

- To naruszenie regulaminu - przyznał anioł. - Ale po tym, czego byłeś uczestnikiem, musisz odpocząć.

Sam wyglądał przy tym tak, jakby pomóc mu mogło jedynie zgniecenie go w kulkę i ulepienie na nowo. Czy jak tam powstają aniołowie. Do kiepskiej formy fizycznej doszło jeszcze paskudne samopoczucie, gdy się okazało, że nawet mimo osobistej niechęci, jaką Loki wywoływał teraz w archaniele Michale, Kłamca znowu się ze wszystkiego wywinął. Wyglądało na to, że rzeczywiście kiedyś to on wymyślił numer z tym, by wyznawców kultów cargo używać jako przynęt, ale miał na to zgodę archanioła. Oficjalnie chodziło o wzbudzanie w nich wiary w ich bóstwa, aby te, rosnąc w siłę, nabierały złudnej pewności siebie i się ujawniały. To, że Loki dorabiał sobie przy tym, oferując wczasy, podczas których turyści literalnie stawali się bogami, nigdy nie zostało Kłamcy udowodnione.

Za to, co wydarzyło się na Isla de Martillo, w całości odpowiadał Maui. On stworzył biuro podróży, on rozsiał po świecie plotkę o niezwykłej „wyspie młotka” i utwierdził różnych ludzi w rozbieżnym, acz głębokim przekonaniu, gdzie ta wyspa się znajduje. Miało to konfundować anioły i sprawić, że same tam nie dotrą. Używając nazw związanych z mitologią nordycką, chciał ściągnąć Lokiego, a na miejscu zamierzał go ubić przy pomocy tubylców, których chciał obdarzyć mocą. Nie zależało mu na nich, to nie był jego lud. Polinezyjczycy stali się ofiarami dużo wcześniej, wynikiem tamtych właśnie knowań Lokiego.

„Gdyby Mauiemu wszystko się udało, wyglądałoby to na sztuczkę Lokiego, która wymknęła mu się spod kontroli”, pomyślał Ryjek, rzucając wreszcie kawałek chleba w stronę nastroszonych ptaków.

Sam Maui, jak komisarz rozumiał, wyszedłby z tego zwycięsko w dwójnasób, bo oprócz zemsty zdobyłby jeszcze moc, którą wedle legendy mógł zyskiwać, zabijając innych bogów. Nawet jeśli bogami stali się tylko na tydzień.

- Ciekawe, czy gdybyś wiedział o tym wszystkim od początku, zrobilibyśmy to samo, czy może dalibyśmy jednak najpierw umrzeć

Lokiemu?- zapytał teraz komisarz, wyczuwając, że obok niego zmaterializował się Butch. Ryjek przyzwyczajał się do anioła, nie musiał się już nawet oglądać, by wiedzieć, że ten zjawiał się w pobliżu.

Agent WINA usiadł obok komisarza i potarł poobijaną szczękę.

- Przyznam ci, Jakubie Ryjku, czasem tak sobie myślę, że tego drania zwyczajnie nie da się pozbyć- powiedział, wpatrując się w gołębia, który łypał na niego jednym gniewnym okiem. - Tak jakby we wszystkich ludziach wiara w to, że tacy jak on zawsze sobie poradzą, była na tyle silna, że jest w stanie przezwyciężyć nawet śmierć.

- Ten cały Maui też był podobno taki jak on. Też był oszustem.

Butch wzruszył ramionami, po czym wyciągnął nogę, jakby chciał kopnąć gniewnego gołębia. Ten cofnął się tylko o kilka kroczków i po raz kolejny łypnął na anioła z wyrzutem.

- Jedynym sztukmistrzem, Jakubie Ryjku, jest ten, który mówi *voilà* i kłania się w pas - powiedział. - A jedynym królem złodziei ten, który gubi pościg, uchodząc z łupem.

Ryjek westchnął i cisnął w gołębie chlebem.

EPILOG

Wiązka upiornie białego światła przyjęła kształt okna i taki też rzuciła na chodnik przed otwartą bramą. Mniej więcej prostokątny kształt z wyraźnie odcinającym się od bieli krzyżem z cienia. Na podjeździe przed domem stał zniszczony bus firmy remontowej, dwuskrzydłe, metalowe drzwi do piwnicy były otwarte; zapraszały na schodki wiodące w mrok.

Butch naprężył i rozluźnił mięśnie, potarł szczękę kantem dłoni i ostatni raz spojrzął w lewo i w prawo, zanim wszedł na schody. Ludźmi się nie przejmował, dla nich był niewidoczny. Ale Zadra powiedział wyraźnie: „Nie może cię zobaczyć nikt. Absolutnie nikt”. Więc Butch był czujny.

Zszedł do piwnicy i wiedziony instynktem przeszedł najpierw przez kotłownię, potem wózkownię, gdzie wbrew nazwie znajdowały się tylko trzy zabezpieczone zapieczkami rowery. Dopiero w następnym korytarzu zawahał się i szepnął:

- Zadra?

Jego partner wychylił się zza rogu i przywoła! Butcha ruchem głowy.

- Chodź - powiedział. - Chyba właśnie się budzi.

Większy z agentów nie wiedział, o kim mowa, ale nie zapytał, bo przecież od odpowiedzi dzieliło go raptem kilka kroków. Pokonał je, minął róg i zobaczył nieprzytomnego anioła, pólężącego na kupce węgla.

- Powinienem go znać? - zapytał.

Zadra wzruszył ramionami.

- Ja znałem, ale ty nie musisz. To jeden ze studentów. Isma'il. Chórzysta na przysposobieniu. Miał być Stróżem.

- Miał być? - Butch zmarszczył czoło. Postąpił krok do przodu i wyciągnął rękę, by dotknąć anioła, ale Zadra go powstrzymał.

- Znaczy nie, on żyje - wyjaśnił. - Tylko wiesz, on jakby... nie jest sobą. To znaczy jest, tylko... To on i nie on. Trochę jakby był opętany przez kogoś o tym samym imieniu albo przez inny aspekt samego siebie, tylko... Na

Trony, nie wiem, jak mam ci to wyjaśnić. Sam to łapię o tyle o ile...

- Więc odpuść - powiedział Butch. - Co to było za światło tam na górze?

- Film porno kręcą w klimacie okołoremontowym. - Sądząc po głosie, Zadra wyraźnie się zawstydził. - Nikt w ekipie nie ma Stróza, więc pomyślałem, że to dobra kryjówka.

- A przed kim się ukrywamy?

- No właśnie w tym rzecz, Butch, że przed wszystkimi.

Na dźwięk imienia większego z agentów, śpiący anioł najpierw drgnął, a potem otworzył oczy, pokazując jasnoblękitne, pozbawione źrenic i tęczówek gałki. Ich blask był tak mocny, że rozjaśnił całe pomieszczenie, dlatego Butch odsunął się od wejścia i na wszelki wypadek zamknął drzwi.

- Butch? - zapytał Isma'il. Jego głos brzmiał, jakby drogę od ust do ucha odbiorcy pokonywał przez miliony lat, podczas których wypowiedziane słowo zyskiwało i traciło tryliony znaczeń. - Butch, czy to naprawdę ty?

Większy z aniołów zacisnął pięści. Wyczuł na sobie zaniepokojone spojrzenie Zadry, ale nie odwrócił się, by na niego spojrzeć.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Mów mi Isma'il.

- To już wiem, ale skąd mnie znasz?

Isma'il uśmiechnął się krzywo, jakby miał w sobie siłę wyłącznie na uniesienie jednego kącika ust.

- Pochodzimy z tego samego miejsca, Butch... Z Creatorium... brudnopisu Boga... Ani ty, ani ja nie jesteśmy skończonymi kreacjami, a jedynie konceptami, z których... z których...

Isma'il skrzywił się, wyprężył, wyrzucając do góry kościste biodra, i oklapł bez przytomności. Butch skoczył ku niemu.

- Spokojnie - powiedział Zadra. - Miał tak już wcześniej.

- Wcześniej?

- Tak. - Drobniejszy z aniołów pokiwał głową. - Gdy mnie znalazł, najpierw w kółko powtarzał twoje imię, ściskając mnie za rękaw, a potem wpadł w słowotok. Mówił o tym Creatorium, o brudnopisie Boga i o Metatronie, że oszalał. Powiedział... o, czekaj, bo to się nagrało przypadkiem na jego dyktafonie i mam to... Moment. No właśnie, słuchaj!

Wcisnął przycisk, a z urządzenia popłynął obcy, bełkotliwy głos Isma'ila:

„Nie staję się sługą Panem pod jego nieobecność, a Głos nie stanie się Wolą, bo to Wola narzuca Głosowi słowa. Nadchodzi koniec, który nie

powinien być końcem, bo jest jednym z tysięcy końców. A jednak on będzie tym, bo to Głos go wybrał, nie Wola..."

Zadra przewiniął kawałek.

- I teraz pierdzieli coś i pierdzieli - powiedział, sprawdzając na wyświetlaczu dokładny czas nagrania - aż tutaj...

Włączył z powrotem:

„I pozna Gwiazda Zaranna miejsce ukrycia Czterech i natchnie go to, by wprowadzić nowy ład i porządek. I sprawi on, że bogowie pomniejsi, zrodzeni z umysłu człowieka, i wszelkie prawa, jakie ten człowiek woła Bożego Syna uczynił trwałymi na ziemi i w niebie, obrócą się przeciw dobru, a staną...

- Wyłącz to I — syknął nagle Butch i Zadra karnie wyłączył urządzenie.

Agenci długo wpatrywali się w siebie, w końcu to Zadra pierwszy się złamał i przeniósł wzrok na Isma'ila.

- Wiesz, o czym on mówi, Butch? - zapytał. - To całe Creatorium, wiesz coś o tym? I dlaczego mówi, że ty też stamtąd jesteś? Przecież ja znam twoją historię, twoją służbę, byłem nawet... no wiesz, wtedy na początku, gdy... No i na Trony, Butch, czy ja tu mam właśnie na taśmie zapowiedź przebiegu Apokalipsy?

Wielkie ramiona Butcha uniosły się i opadły.

- Na to wygląda - odparł.

- W dodatku - mówił dalej Zadra. - O ile zrozumiałem, nie jest to ten koniec, który powinien być... - Zawahał się i podrapał po potylicy. - A przynajmniej nie jest nim na pewno. Rozumiem, że Pan wymyślił wiele wariantów, ale nie wybrał właściwego i tam, w tym Creatorium wszystkie one są jednocześnie właściwymi i nie. Dobrze rozumiem?

- Nie wiem - odparł Butch.

Postąpił jeszcze krok do przodu i dotknął ręką czoła Isma'ila. Było rozpalone, choć nos, policzki, broda, pozostały zimne. Agent pochylił się, jakby chciał pocałować nieprzytomnego, i zapytał:

- Kim jesteś, Isma'ilu?

Nie usłyszawszy, odpowiedzi odwrócił głowę, by spojrzeć na partnera.

- Kim ja jestem?

Zadra przypomniał sobie słowa o dwóch ścianach pokoju. On sam był tą zwyczajną, Butch był ścianą bez początku i końca. Któregoś dnia po prostu się pojawił i wtedy był od zawsze. Jak dogmat.

- Dowiemy się, Butch, bądź tego pewien. A teraz zabierzmy go stąd.

Aniołowie wyszli z piwnicy- Zadra przodem, Butch za nim z Isma'ilem na rękach, a pięć minut później na piętrze ogłoszono koniec zdjęć i wyłączono reflektory.

Gdy już zwinięto cały sprzęt, aktorzy i aktorki opuścili podwórze i ruszyli każde w swoją stronę, a Umiarkowanie Długi Niki — reżyser, operator i montażysta w jednym- wsiadł do furgonetki i włączył światła. Gdy zakręcał, snopy bieli liznęły ściany budynku i piwniczne okienka.

Może gdyby Niki nie miał myśli zajętych tym, jakich argumentów użyć następnym razem, by Kitty jednak zgodziła się na gangbang, pewnie zauważyłby, że do jednej ze znajdujących się tuż przy ziemi szyb wciąż przywiera uchem mały, pluszowy miś.

KONIEC

STRÓŻE (I LOKI) POWRÓCĄ WKRÓTCE W KSIĄŻCE *STRÓŻE 2. BRUDNOPIS BOGA*

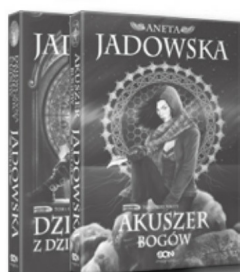
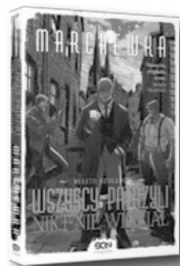
* Uprzedzając ewentualne pytania: nie, historii z serialu w tym zbiorze nie znajdziecie. Cały czas liczę, że uda się go nakręcić. Szkoda byłoby psuć Wam niespodziankę.



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

-  WydawnictwoSQN
 -  SQNPublishing
 -  wydawnictwosqn
 -  wydawnictwosqn
 -  WydawnictwoSQN
- www.wsqn.pl



CHYBA ŚNISZ

Dla Iwo, który rzucił mi wyzwanie

CZ. 1

TRZECH TO JUŻ TŁUM...

1.

Tylko głupcy wierzą w ciszę małych miasteczek. Myślą, że z nastaniem mroku, gdy ucichnie uliczny ruch, sklepy i lokale opustoszeją, a sygnalizacja świetlna przechodzi w tryb migającego ostrzeżenia, miasto rzeczywiście zasypia. To bzdura podobna do przekonania, że gdy spacerujemy nocą przez park lub ciemny las, otaczająca nas rzeczywistość zamarła w stopklatce od zmierzchu do świtu. A przecież wystarczy się zatrzymać, przystanąć, wsłuchać, by usłyszeć dźwięki nocy, trzask gałązek, ciche chrobotanie, szum w oddali, może czyjś przyspieszony oddech...

Miasteczka również pełne są dźwięków stłumionych ścianami jednorodzinnych domków, pełne radości, dramatów, gróźb i żartów. Pełne życia. Ledwie kilka metrów od głównej ulicy, za siatką, równym rzędem tuj, trawnikiem i warstwą cegieł ktoś może właśnie planować zbrodnię, zdradzać męża czy żonę lub cicho rozpaczać nad ekranową śmiercią bohatera *Gry o tron*. Nigdy nie wiadomo.

Tylko głupcy wierzą w ciszę małych miasteczek. A ci najwięksi idą jeszcze dalej, zakładając - wbrew logice, wbrew faktom i nade wszystko wbrew dekadom tradycji kina grozy - że owa cisza to gwarant spokoju i bezpieczeństwa. Skoro jest cicho, pusto i półmrok, myślą sobie, to właściwie co może się wydarzyć?

Wielu spośród tych ostatnich można zresztą zobaczyć po zmroku. Obnoszą się ze swoją wiarą w bezpieczeństwo. W lśniących sportowych strojach, z białymi słuchawkami w uszach, obładowani elektronicznymi gadżetami od migających światełkami butów, przez smartfon przy pasku, po inteligentny zegarek, niedbale, jakby od niechcienia uprawiają wieczorny jogging. Zasłuchani w składankę relaksacyjną albo podcast o sile pozytywnego myślenia i wiary w siebie są niczym dzieci kryjące się przed złem pod kołdrą. Skoro ja nie widzę jego, to jak ono może zobaczyć mnie? Zresztą, kto mógłby ich tu skrzywdzić? Przecież w małych miasteczkach wszyscy się znają od zawsze i wiedzą o sobie wszystko.

Mało kto w tym krótkim momencie po zmroku, przy kolacji, przed telewizorem czy pod prysznicem myśli o obcych na pustych ulicach - o przyjezdnych, wędrowcach, kimś nie stąd, kto przecież w każdej chwili może się zjawić w mieście pod osłoną mroku. Ile taki ktoś może przynieść ze sobą kłopotów, jak wiele nabruździć podczas tych kilku godzin pozornej ciszy i bezruchu?

Nie zadał sobie tych pytań żaden z wieczornych biegaczy widzących dwóch mężczyzn zmierzających w stronę stojącego na uboczu posterunku policji. Nie wzbudził zainteresowania ani osobliwy wygląd pierwszego z nich, ani czujność i napięcie w ruchach drugiego, idącego nieco z tyłu. Nikt nie zwrócił uwagi, że z kieszeni prochowca tego drugiego coś dwuznacznie sterczy, jakby wskazywało plecy kompana. Ze wszystkich miejskich amatorów zdrowotnej przebieżki przed snem właściwie tylko jeden obejrzał się za ową dwójką z czymś na kształt przelotnego zainteresowania. Nim jednak zdał sobie sprawę z tego, co właściwie go zaintrygowało, skręcił za róg. A tam oświetlona na pomarańczowo alejka ciągnąca się wzdłuż parku przypomniawszy mu, że przecież biega po to, by uwolnić się od wszelkich myśli, kłopotów i zakłóceń. Tu i teraz, w ciszy małego miasteczka po zmroku, jest bezpieczny i nie musi się martwić ani zastanawiać. Posłuchał jej, naiwny matole.

Posterunkowy Niecnota udawał, także przed samym sobą, że nie patrzy, ale nie mógł się powstrzymać. Raz po raz zerkał w odbicie w szklanych drzwiach szafki, by przyjrzeć się rozgrywającemu się za jego plecami spektaklowi, który- nieważne, ile razy wcześniej się go widziało - zawsze śmieszył. Ktoś obiecywał nawet kiedyś, że nagra to i wrzuci na YouTube'a, ale to nie byłoby już to samo. Ten show trzeba było zobaczyć na żywo.

Posterunkowy Felicjan Kozonow pisał na maszynie.

Maszyna, stary poczciwy Remington, relikw przesłości, odkąd komendantowi udało się wreszcie wymęczyć w komendzie wojewódzkiej cztery zdezelowane komputery, stała na uboczu, na małym, trójnogim stoliku na kawę. Nie dało się przy nim pisać, więc jeśli ktoś miał zamiar z niej skorzystać, musiał najpierw zrobić miejsce na swoim biurku, by ją tam postawić. A to znaczyło porozsuwanie raportów, przełożenie klawiatury i myszki oraz zdjęcie ze stołu wielkiego kloca, jakim był monitor z kineskopem. Mnóstwo z tym było zachodu, więc policjanci, choć początkowo niechętni, jeden po drugim przekonywali się do komputerów.

Ale nie Kozonow. On uwielbiał Remingtona, jego zapach, wydawane przez niego trzaski i odgłos dzwonka, gdy kończył się wers. Jak twierdził, z takim hałasem człowiek przynajmniej wie, na czym stoi, a nie, że nagle się okazuje, że go poniosło i raport ma nie czterdzieści wierszy, lecz sto dwadzieścia, a zamiast pochwały człowiek zbiera opierdół, że mu koszt papieru i tuszu z drukarki odliczą od premii. Co akurat było jawną bzdurą i niesprawiedliwością, bo posterunek nigdy nie oszczędzał na papierze, tuszu czy długopisach, a wyłącznie na przydziałowych nabojach i premiach za nadgodziny.

Kozonowa jednak przekonać się nie dało i po prawdzie nikt nie zamierzał. Było coś swojskiego i nieodmiennie zabawnego w tym, jak wąsaty policjant, stara dusza, choć fizycznie ledwie około czterdziestki, przynajmniej raz w tygodniu dokonywał maszynowego rytuału. Porządek na biurku, potem postękiwanie przy przenoszeniu maszyny, regulacja krzesła i wreszcie to, co stanowiłoby sedno filmiku - koncert.

Bo tak to właśnie wyglądało. Jakby Kozonow zabierał się za odegranie wyjątkowo skomplikowanego utworu na konkursie chopinowskim. Twarz skupiona, usta ściągnięte, zmrużone oczy. Ręce wzniesione do góry, długie palce zgięte w szpony. Zanim pierwszy palec uderzył w pierwszą literę, policjant zamierał na krótki moment, jakby nie był pewien, od czego powinien zacząć, a potem nagle palce wskazujące uderzały w klawisze i...

Ku zaskoczeniu wszystkich, zamiast rytmicznej uwertury rozpoczynało się mozolne stukanie z regularnymi przerwami na szukanie kolejnych klawiszy. Mimo blisko dwudziestu lat służby i tysięcy raportów napisanych na tej samej maszynie ani palce, ani mózg Kozonowa nie były w stanie ustalić zeznań i zapamiętać, gdzie na tej cholernej klawiaturze znajduje się która literka.

Tak było i tego wieczora, choć tym razem po blisko godzinie udało się policjantowi złapać pewien rytm. Może dlatego, że nie pisał z głowy, a przepisywał z notatek nagryzmołonych w zeszyt? Wyobrażał sobie nawet, że pisze w rytm skocznej, popowej muzyki dochodzącej z radia, ale w rzeczywistości daleko mu było do tempa utworu. Dwa zdania później przerwał na dobre.

- Szlag! - mruknął, podnosząc zeszyt i przysuwając go sobie pod nos. Przez chwilę wodził palcem po koślawych literach, ale w końcu się poddał i odwrócił na krześle. - Ty, Grzechu, weź mnie tu przeczytaj, co on takiego napisał, co?

Niemal przyłapany na podglądactwie Niecnota całkiem wiarygodnie udał, że niechętnie odrywa się od swojego zajęcia. Sapnął, co w jego wykonaniu zawsze przywodziło na myśl spuszczenie powietrza z ludzika Michelin, po czym puścił trzymaną w rękę myszkę. Zrobił to ostrożnie, jakby rzeczywiście był saperem, a pod którymś z maleńkich kwadracików na ekranie monitora rzeczywiście czaiła się najprawdziwsza bomba. W końcu powoli, majestatycznie, niczym wrota świątyni w filmie o Indianie Jonesie, odwrócił się na krześle. Wziął do ręki wyciągnięty w jego stronę zeszyt i przez chwilę wpatrywał się w robaczki zdań.

- Kto to pisał? Ślusarski? - wymawiając nazwisko nieobecnego kolegi, pogardliwie wyjął wargi.

- No a kto? - Kozonow podsunął się na krześle i pokazał kłopotliwy dla niego wyraz. - O, o to mnie chodzi, zobacz. „Znieważył funkcjonariusza przez...” i tu chyba coś z oczami jest na końcu. Tu, widzisz? Coś tam, coś tam, oczu.

Niecnota znowu sapnął, sięgnął ręką za siebie i wymacał okulary do czytania. Nie nałożył ich jednak, tylko przytrzymał przy oczach, przyglądając się zagadkowemu wpisowi.

- Nie oczu, tylko moczu - zawyrokował w końcu i odłożył okulary. - Znieważył funkcjonariusza przez oddanie na niego moczu.

- Jezu, oszczał go?! Dobrze, że nas tu wtedy nie było. Ciekawe który?

Posterunkowy Niecnota wzruszył ramionami.

- Ja tam wątpliwości nie mam. To jak nic pijana akcja, a gruby to chyba nawet piwa nie wypił.

Ostatnie powiedział z dumą, jakby owa wstrzemięźliwość bezpośrednio łączyła się z tuszą. Jakby wszyscy otyli byli braćmi kierującymi się solidarnością i środowiskową dumą.

- Gruby znaczy Ślązak? - upewnił się Kozonow.

- Albo Kaszub, ja się tam na gwarach nie wyznaję. Ale słowa z tego, co mówił, nie zrozumiałem.

Z drugiego pomieszczenia, gdzie na czas remontu właściwego aresztu mieściła się klatka jak z westernu, dobiegł ich nagle bełkotliwy śpiew, w którym naprawdę oddany i wyrozumiały fan karaoke mógłby się dosłuchać *Time is on my side* Stonesów. Nie zaskoczyło ich to ani nie przstraszyło. Recital trwał, odkąd rozpoczęli zmianę, z przerwami między utworami od kwadransa do pół godziny.

- Cicho tam! - ryknął Niecnota, po czym westchnął po raz trzeci. - To będzie długa noc.

- Ano - zgodził się Kozonow.

Wziął zeszyt, odwrócił się na krześle i zabrał się do dalszego pisania. Zdążył wstukać wers do końca, zanim znowu zaskrzypiało krzesło Niecnoty.

- Felek, a czemu ty właściwie za Ślusarskiego raporty piszesz? - zaciekał się gruby policjant.

- Nawet mi nie mów. - Kozonow uderzył jeszcze w trzy klawisze, po czym sięgnął do niemal pustego kubka z kawą. Wysiorbał z niej głośno ostatni, zawieszony łyk i zamaszystym gestem otarł wąsa. - Jego stara uczy mojego Tadka angielskiego, ale się gnój nie uczył, to mu teraz grozi pała na semestr. Wziął się do roboty, jak mu pasek ojcowski zaśmierdział, nauczył się wszystkiego, ale ta Ślusarskiego, że to nie studia, że cały semestr trzeba było pracować, uczyć się i zdawać, i teraz to ona mu nie pozwoli i nie odpuści. No to Misiek powiedział, że to z nią załatwi, ale musi sposobem. Parę wieczorów, kolacyjki, wino jakieś...

- Przejebane.

- Nawet mi nie mów. - Kozonow obrócił w palcach pusty kubek. - Jak tylko ten mój gówniarz dziesięć lat skończył, nie ma dnia, żebym go nie chciał udusić. A jak sobie pomyślę, że mógłbym mieć córkę w tym wieku...

- Strasznie śmieszne, Felek- prychnął gruby policjant wymownie spojrzawszy

na stojące na biurku zdjęcie z wakacji w Juracie przedstawiające jego samego w rozpiętej koszuli, chudziutką żonę i dziewczynkę w różowym kostiumie kąpielowym.

Kozonow podążył za tym spojrzeniem i zdawszy sobie sprawę z *faux pas*, palnął się ręką w czoło.

- Wybacz, Grzechu, nie chciałem. Co tam w ogóle u tej twojej Marty? Nadal się z tym młodszym od Kasprzyckich... ten, no, prowadzi?

- Spierdalaj.

Kozonow uśmiechnął się pojednawczo.

- Ej no, nie spinaj się tak. Wiesz przecież, że nie chciałem. I tak tylko pytam, rozmowę podtrzymuję.

- Wal się. Kawy chcesz?

- Jak robisz. - Kozonow podał koledze kubek.

Akurat gdy dostał z powrotem naczynie wypełnione brązowym tłustawym płynem, z drugiego pomieszczenia znowu dobiegło ich wycie, tym razem przywodzące na myśl *You shook me ail night long* zespołu AC/DC. Tym razem albo śpiewający lepiej znał utwór, albo powoli zaczynał trzeźwieć, bo brzmiało to nawet znośnie. Jak się zaraz okazało, nie dla wszystkich.

- Stul ten, kurwa, pomarszczony ryj!

Słyszając nagle ten donośny, niski ryk, policjanci spojrzeli po sobie.

- Ty, a o tym to już zupełnie zapomniałem - przyznał Kozonow, co było dlań otyłe wstydlive, że akurat tego aresztanta, wielkiego motocyklistę z długą rudą brodą i godłem rozbitego zegara naszytym nietypowo nie na kamizelkę, a na plecy skórzanej kurtki, osobiście zamykał w celi. - Myślisz, że uciszy śpiewaka?

Niecnota wykonał gest, który właściwie mógł znaczyć wszystko, i już otwierał usta, by go doprecyzować, ale zamarł z uniesionym palcem, gdy okazało się, że olbrzym z pomieszczenia obok jednak nie skończył.

- Nie dość, że drzesz się jak pojebany, to jeszcze rzniesz te kawałki jak nakurwioną małolatę w dyskotekowym kiblu, i jak ci zaraz...

Słowa nagle przeszły w zaskoczony krzyk, coś błysnęło, głośno trzasnęło i w całym posterunku nagle zamigotały światła. Zaraz potem rozległ się głuchy łoskot upadającego ciężkiego ciała, a wszędzie wokoło zapachniało mokrym chodnikiem w letni dzień.

Kozonow poderwał się z krzesła, sięgnął po pałkę i zamocował ją przy

pasie. Niecnota wyjął z szuflady służbowy pistolet i wsadził go do kabury.

- Idź pierwszy - sapnął do kolegi, jakby już ta czynność wystarczająco go zmęczyła.

Kozonow skinął głową. Obszedł biurko, minął zepsuty automat ze słodyczami i wieszak na ubrania, na którym wisiał porzucony przez kogoś płaszcz i kapelusz komendanta z czasów, gdy ten miał jeszcze fazę na fedory i filmy gangsterskie.

Dwie obecnie czynne sale posterunku dzieliło od siebie szerokie przejście z wahadłowymi, dwuskrzydłowymi drzwiami otwartymi teraz na oścież. Kozonow minął je i stanął kilka kroków za progiem, biorąc się pod boki.

- Co tu się dzieje?- ni to ryknął, ni wycharczał, przesadnie starając się, by jego głos zabrzmiał donośnie, groźnie i stosownie do pełnionej przezeń funkcji, czego efektem tego był dźwięk, jakby policjant w połowie zdania zakrztusił się śliną.

Z miejsca, gdzie stał, widział tylko część klatki, resztę zasłaniało mu biurko dyżurnego. Dostrzegł więc głowę siedzącego grubasa mówiącego gwarą, który według ledwie czytelnych notatek Ślusarskiego nazywał się Alojzy jakiś tam. Obok niego stał wytatuowany, pomarszczony chudzielec w rockowej koszulce i trudnym do określenia, ale raczej już sędziwym wieku. Mężczyzna nazwiskiem Zwierzchowski - bodaj Ryszard, ale to Kozonow musiał jeszcze sprawdzić - miał włosy postawione na sztorc i podkrążone oczy; kołysał się to w przód, to w tył, to na boki niczym marynarz za wszelką cenę usiłujący utrzymać pion na pokładzie statku.

Rudy wielkolud, właściciel tubalnego głosu, podczas aresztowania nie miał przy sobie dokumentów i kazał się określać mianem Kędziora, twierdząc, że właśnie tak ma na imię. Posterunkowy nie mógł go w tym momencie zobaczyć, co potwierdzało ostatecznie teorię o źródle głuchego łoskotu. Jak nic za sprawą błysku, który wywołał też migotanie światła, olbrzym musiał paść na glebę. Oby nie bez życia, pomyślał policjant, bo się z raportów nie wygrzebiemy.

Niecnota stanął obok niego, lecz zaraz, zaskakująco szybko jak na kogoś o takiej tuszy, wyprzedził kolegę i pierwszy okrążył biurko. Stamtąd rzucił przelotne spojrzenie na leżącego olbrzyma, oparł rękę na kaburze pistoletu i wlepił surowy wzrok w pomarszczoną gębę Zwierzchowskiego.

- Co tu się stało? - zapytał dokładnie takim głosem, jakim chciał mówić Kozonow.

- A chuj wie, panie władzo - odparł tamten z rozbijającą niewinną miną.
- Podeszedł, rękę chciał podać i go jebło.

- Jak to? Tak po prostu? - Kozonow również obszedł biurko.

Zatrzymał się przy klatce w odległości na tyle bezpiecznej, by nie dało się go sięgnąć zza krat. Widział na filmach takie zagrywki aresztantów. Rockers i motocyklista mogli być w zmowie. Jeden fałszywy ruch i już jeden trzyma go za nogę, drugi za szyję i wrzaskami domagają się otwarcia celi.

Najwyraźniej jednak Zwierzchowski nie zamierzał nikogo za nic łapać. Odwrócił się tylko do siedzącego na pryczy grubasa, krzywiąc pomarszczoną gębę w grymasie skrajnego rozżalenia na dziejącą mu się właśnie krzywdę.

- Alojz, weź no panu władzy na Barbórkę przysięgnij, bo nie wierzy. No wzięło i jebło. Musi jakaś elektrostatyka. Burza była rano przecież.

- Nie rano tylko wczoraj - odruchowo poprawił Kozonow.

Gdy widział, że ktoś się myli, albo w powietrzu wisiało niedopowiedzenie, często zaczynał czuć się nieswojo. Musiał wtedy albo poprawić, albo dopowiedzieć. To właśnie za sprawą tej przypadłości własny syn i żona zablokowali go na Facebooku.

- I niy żodno burza ino ci sam w tym domu kultury pedzieli, że zarozki po tobie bydom grali jakiś tyn, hip- hop - dodał zmęczonym głosem grubas zwany Alojzem.

Niecnota niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

- Co on powiedział?

- Że takie rzeczy się zdarzają - wyjaśnił karnie Zwierzchowski. - Burza szaleje, a potem czego się nie dotkniesz, to kopie. Pamiętam, jak raz byłem pod Monachium na festiwalu takim, to...

- Po prostu proszę już nie śpiewać, dobrze? - wszedł mu w zdanie Kozonow.

Przez chwilę rozważał też, czy nie kazać się aresztantowi odsunąć, by mógł wejść do celi i sprawdzić rudemu olbrzymowi puls, ale wspomnienie filmowych pułapek wciąż było w nim mocne, a w dodatku olbrzym zaczął się ruszać, więc chyba faktycznie nic takiego się nie stało.

- Dajcie znać, jak ten tutaj się obudzi - dodał jeszcze.

- Tak jest, panie władzo - Zwierzchowski wyprężył się i spróbował zasalutować, ale dłoń rozminęła mu się z czołem i trafił się w nos. - Się

rozumie.

Przez moment wydawało się, że będzie chciał powiedzieć coś jeszcze, ale wtedy właśnie drzwi na posterunek otworzyły się z impetem i do środka wpadł najpierw skuty kajdankami tyczkowaty blady chudzielec o podkrążonych oczach, a zaraz za nim wymiętolony blondyn w równie wymiętolonym prochowcu sięgającym połowy łydki.

- Właż, piaskarzu- warknął blondyn, a zaraz potem, rozejrzawszy się po posterunku, krzyknął do wszystkich i do nikogo. - Dobra, kto tu dowodzi?!

Coś było w nim, w tym jego pogniecionym wyglądzie, w postawie i głosie, co dawało mu pełne prawo do wykrzykiwania takich zdań i domagania się odpowiedzi. Jakby podobne filmowe kwestie były dla niego codziennością i miał już tyle okazji, by je wypowiedzieć w akcji, że zdołał je dopracować. Wszystko u niego grało pod ten okrzyk, pod jego wiarygodność. Prochowiec i włosy sterczące w każdym kierunku, a jednocześnie równo przycięta broda i przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu. Śnieżnobiały uśmiech, ładny i zawadiacki, ale w żadnym razie nie miły czy przyjacielski; wykałaczką przeskakująca z jednego kącika ust do drugiego. Nawet konwojowany blady chudzielec pracował na blondyna, choć z jego ponurej miny zdało się wyczytać, że robi to raczej niechętnie.

- Co jest, mowę wam wszystkim odebrało?! Pytałem, kto tu dowodzi! - ponowił blondyn.

Niecnota pierwszy się opamiętał. Obciągnął bluzę mundurową, odkaslnął w ściśniętą pięść i postąpił krok do przodu.

- Ja- powiedział. - Znaczy chyba - dodał zaraz, gdy skończył mu się zapas pewności siebie.- Znaczy... Kim panowie są?

Blondyn również postąpił krok do przodu, jednocześnie unosząc rękę, jakby chciał ją podać policjantowi. Zamiast tego jednak położył ją na ramieniu chudzielca i pociągnął go w stronę klatki.

- Nadkomisarz Lo... Lucjan Szemrany, Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji. Zaraz się wylegitymuję, jak tylko zamkniemy tego ptasz... ej, ten koleś w celi! Czy on śpi?!

Wskazał wolną ręką na leżącego w klatce grubasa, a obserwujący go uważnie Kozonów podążył wzrokiem za wskazaniem jego palca, jakby rzeczywiście nie wiedział od razu, o kogo chodzi.

- Ten?- Niewinnym głosem zapytał Zwierzchowski. - Nie śpi, tylko przez

łeb dostał i się tak teraz... regeneruje.

Blondyn zmrużył oczy i zmarszczył czoło, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. Według Kozonowa wyglądał w tym momencie, jak filmowy gwiazdor. Taki konkretny, ze starych filmów, choć policjant za nic nie mógł sobie przypomnieć teraz nazwiska. Jego żona by wiedziała; jej matka kochała się kiedyś w tym aktorze. Jak mu, kurde, było?

- Przestań mamrotać, piaskarzu.- Z rozmyślenia wyrwał policjanta blondyn, warcząc do bladego chudzielca, a potem na powrót zwracając się do... Właściwie trudno było powiedzieć. Do policjantów, aresztantów, wszystkich razem?- A wy przerwijcie koledze sjęstę. Ten tutaj- wskazał ręką na chudzielca - strasznie się nakręca na śpiących i jak go tam wpuszczę, to jeszcze narobi jakichś głupot.

Kozonow w pierwszej chwili chciał zaprotestować, domagać się najpierw wyjaśnień, ale magia stopnia i Komendy Stołecznej zadziałały na jego wyobraźnię. Wiedział, że ci z góry potrafią być mściwi i uprzykrzać życie za mniejsze drobiazgi. Uznał więc, że nie będzie się wychylał.

- Jasne panie, eee nadkomisarzu - powiedział, po czym zwrócił się do Alojza. - Panie Ślązak, weź go pan tam szturchnij... ale nie nogą, bo tak to... Dobra, to może jednak ty.

Przeniósł wzrok na Zwierzchowskiego i zaraz uzmysłowił sobie, że to nie najlepszy pomysł, bo ten z radości aż zatarł ręce.

- Nie ma sprawy, panie władzo - zapewnił tamten, kucając przy wielkoludzie. - Już się robi. Pełna...

Położył olbrzymowi rękę na piersi, odwrócił głowę, a zaraz potem potężna wiązka elektryczna aż

podrzuciła rudego do góry. Gdy opadł na podłogę, zatrzepotał powiekami i otworzył oczy.

- ...współpraca - dokończył Zwierzchowski, zacierając ręce. - I proszę, zadziałało! Czym się strułeś, tym się lecz. Zawsze to powtarzam.

- Ja, akurat, ty powtarzasz. Dyc to jo cołki czas tak godom - mruknął ze swej pryczy grubas, ale dziadyga zbył go machnięciem ręki.

- No po tobie powtarzam. Nie rób zaraz, kurwa, sprawy takiej.

Nikt nie słuchał ich przekomarzania. Blondyn zajęty był chudzielcem, a rudy olbrzym pojękiwaniem i nieudolnymi próbami podniesienia się z podłogi. Niecnota z Kozonowem próbowali z kolei odbyć swój pierwszy wżyciu prawdziwy, telepatyczny dialog. Nie szło im najlepiej, bo wciąż

odbijali między sobą ten sam komunikat niczym piłeczkę w meczu tenisa stołowego. W końcu Kozonow skapitulował i postanowił podzielić się tą myślą z resztą.

- No dobra, co tu się właśnie odjechało? - zapytał na głos, a żeby uściślić, bo przecież niniejsza kwestia mogła dotyczyć naprawdę wielu rzeczy, wskazał palcem dziadygę. - Jak ty to przed chwilą zrobiłeś? Tą ręką, prądem, znaczy.

Rockman wzruszył ramionami z miną niewiniątka.

- W sumie, jak tak teraz sobie o tym myślę, panie władzo, to może faktycznie to coś ze mną. Tak mi to, cholera, wygląda. Sam nie wiem, może mi młody w złej wodzie rzeczy wyprał i to przez to się elektryzuję.

- Rysiek, dej się pokój. Bydziesz tak robił tych milicjantów za bozna, to cię przeca zawrzom - pouczył go Alojz, na co Zwierzchowski wyciągnął przed siebie ręce, jakby się poddawał.

- Ale jakie, kurwa, nabijał, zaraz! Gdzie ty tu jakieś nabijanie z policji widzisz?! Ja tam tylko widzę, że mi iskry jak pchły po rękawach skaczą, ludzi dotknięciem podrzucam, to rozwiązania jakiegoś szukam, nie? Ja tam z policją chcę dobrze żyć. To nie era Wodnika, że zaraz każdy pies to Świnia. I jak tam, koleżko, już przebudzony?

Ostatnie słowa skierował do Kędziora, który dźwignął się wreszcie do pozycji siedzącej i został tak, trąc jedną ręką po potylicy, a drugą po piersi, jak dziecko próbujące dla zabawy jedną ręką się głaskać, a drugą klepać.

- O kurwości - mrucał przy tym. - Mój łeb. Co mi się właściwie stało?

- Godoleś, że ci się niy podoba to śpiewanie i chcioł żeś narobić larma - wyjaśnił uczynnie Alojz, ale w ramach odpowiedzi rudzielec posłał mu tylko zaskoczone spojrzenie.

- Czekaj, zaraz - powiedział. - Chyba mi ten prąd jakiś pierdolnik w klepkach zrobił, bo ni chuj nie rozumiem, stary, co właśnie powiedziałaś.

- Że nam się gusta muzyczne nie zgrały - tym razem odpowiedział dziadyga.- Ty pewnie wolisz... czekaj, niech zgadnę. Skóry, frędzelki, obcisła koszulka. Wham?

Zapadła cisza, taka prawdziwa. Kozonow, żonaty równie długo, co w służbie, znał ten konkretny rodzaj bezdźwięku i wiedział, że byli właśnie świadkami momentu przejęcia, chwili zastoju świata, zanim wszystko z hukiem pierdolnie. Oczyma wyobraźni policjant widział już pięść olbrzyma wznoszącą się i opadającą niczym dziesięciokilowy młot, czaszkę

zapadającą się pod wpływem uderzenia i absurdalnie śmieszoną minę dziadygi, jakby jego twarz stała się nagle gumową maską. Bezwiednie położył rękę na przytroczonej do pasa palce i z całej siły ścisnął jej uchwyt.

Ale olbrzym zamiast się wkurzyć, roześmiał się rubasznie.

- To ci od budzenia na go- go? - zapytał. - Chuj tam, kurwa, wstydu nie ma.

Atmosfera natychmiast zelżała i na niemal wszystkich twarzach odmalowało się uczucie ulgi towarzyszące zwykle tym, którzy cudem uniknęli katastrofy. Kozonow też odetchnął, bo wiedział dobrze, że naprawdę niewiele tu brakowało. Wystarczyło jeszcze kilka słów i...

- Widzisz, Alojz? To jak z psami. Nie pokazuj, że się boisz, to zyskasz szacun. Z całym oczywiście szacunkiem dla panów władzów.

Rockowy dziadyga skłonił się lekko policjantom, szczerząc się przy tym ni to przymilnie, ni to szyderczo. Ta nieokreśloność intencji sprawiła, że ani Kozonow, ani Niecnota nie mieli pomysłu, jak na to zareagować, więc po prostu obaj udali, że nie zauważyli gestu.

- E, mie się zdo, że to spokojny gizd, niy chce się z żodnym wadzić - stwierdził Alojz, a Zwierzchowski wymierzył w niego palcem.

- No pewnie, że nie szuka zwady. Ci frajerzy na motorach to straszne maminsynki są. Wystarczy na początku pokazać, kto...

Niecnota dostrzegł, jak twarz olbrzyma tężeje, i pomyślał, że jednak pewne rzeczy są zwyczajnie nieuniknione. Jak śmierć w tym filmie o oszukiwaniu przeznaczenia. Jak twoja kolej zmywania naczyń, gdy znowu zepsuje się stara zmywarka. Jak...

- Coś ty, kurwa, dziadek, powiedział?! - ryknął Kędzior.

Jego lewa ręka wystrzeliła w stronę szyi Zwierzchowskiego. Prawa zaś, jak w wyobrażeniu Kozonowa, wzniosła się nad głowę dziadygi niczym wielki młot. Tym razem nie pomogły roztańczone iskry i srebrzyste wiązki pełzające po ciele starego i przechodzące na potężną, naprężoną łapę olbrzyma. Nic nie dawały trzaski i wyładowania.

- Zaraz ci te iskrzące paluchy w dupę wsadzę - wycedził wielkolud. - Zaraz...

- Ej! - krzyknął Niecnota; doskoczył do klatki i uderzył pałką w jej pręty. - Ej...!

Jego okrzyki nie były wstanie powstrzymać ani pierwszego ciosu, ani kolejnych, jakie jeden po drugim spadły na pokrytą zmarszczkami gębę

Zwierzchowskiego. Wielka pięść odbijała się od twarzy, ciosy wywoływały na luźnej skórze efekt podobny do kręgów na wodzie po wrzuceniu kamienia.

- Ja ci, chuju pomarszczony, matki nie obrażam! - darł się Kędzior. - Ja! Ci! Matki! Nie...!

Nagły huk, a potem wizg i odgłos tłuczonego szkła powstrzymały olbrzyma od kolejnego, być może ostatecznego uderzenia. Wielkolud zamarł z ręką wzniesioną ku górze, a potem równocześnie on i jego ofiara, Alojz i dwaj mundurowi powoli zwrócili głowy w stronę chudzielca i blondyna. Ten ostatni trzymał w górze dymiący jeszcze pistolet, a na jego ramieniu i włosach skrzył się białą tynk z sufitu. Blondyn obrócił wykałaczkę językiem.

- Teraz, gdy zwróciłem już waszą uwagę - powiedział z przekąsem - chciałbym przypomnieć, że...

Ale tym razem magia stopnia i stołecznej komendy nie zadziałała i Kozonow nie dał mu dokończyć.

- Popierdoliło pana, komisarzu?! Strzelać w zamkniętym pomieszczeniu?! Mógł pan kogoś zabić!

- Właściwie nadal mogę - zauważył spokojnie blondyn. - Ale na razie wolałbym zamiast tego wsadzić tego tu za kratki. Ty, duży! Możesz już przestać? A pan, panie Ślązak, posprzątać trochę kolegę?

- Matkę mi skurwiel... - zaczął olbrzym, ale blondyn zbył to machnięciem ręki.

- Tak, wiem. Obraził ci matkę. Możesz w rewanżu obrazić jego, ale jeśli jakimś cudem kobiecina jeszcze żyje, to pewnie słyszała już wszystkie obelgi świata i nic nowego nie wymyślisz. Sugeruję więc, żebyś już dał mu spokój, dobra? Albo następną kulkę, w twoim kolanie, wytłumaczę w raporcie skuteczną interwencją podczas próby ucieczki.

Olbrzym wahał się przez chwilę, a wciąż wzniesiona pięść zadrzała niepewnie. W końcu musiał uznać, że nie warto, bo splunął na podłogę, otarł usta i podniósł się z kłęczek.

- No dobra - mruknął.

Niecnota i Kozonow przyglądali się temu wszystkiemu pogrążeni w dziwnym stuporze, niezdolni do wykonania ruchu. Cała sytuacja była tak surrealistyczna, że trudno było znaleźć na nią stosowną procedurę postępowania. W końcu jednak grubszy z policjantów drgnął, potrząsnął

głową, jakby się właśnie obudził. A potem zdecydował, że zrobi to, co już dawno powinien. Energicznie ruszył w stronę biura.

- Dość!- podniósł głos.- Dzwonię po komendanta! Nie obchodzi mnie, kim pan jest, panie Szemrany...

- Żarty z nazwisk? - skrzywił się blondyn. - Słabo...

- ...ani na co wam pozwalają w stolicy, ale tutaj... Jezus, Maria, Felek! Twoje raporty!

- Co?! Co jest?!

Kozonow poważnie się zaniepokoił, bowiem usłyszał w głosie kolegi autentyczne przejęcie i trwogę. Emocje, których nie wywołało chwilę wcześniej ani zagadkowy dwukrotny incydent z aresztantem porażonym prądem przez drugiego, ani śmigający po posterunku pocisk. Taką reakcję mogło w państwowym urzędniku wywołać tylko jedno - dodatkowa robota papierkowa. Z tą myślą obiegnął biurko i pędem wpadł do drugiego pomieszczenia. Już w progu zobaczył, co się stało. Pocisk blondyna zrykoszetował od metalowej oprawki lampy, a potem trafił w stojący na biurku kubek kawy. Naczynie rozprysnęło się na kawałki, a brązowy, aromatyczny płyn rozlał się na maszynę, przepisane kartki i zeszyt z notatkami Ślusarskiego.

- Chryste! - zawołał Kozonow.

Przeżegnał się, jak zawsze w takich sytuacjach robiła jego babcia, a potem, ponieważ w jego domu nigdy nie brakowało męskich wzorców, odruchowo dołożył jeszcze soczyste ojcowskie:

- Kurwa mać!

Wtedy ktoś się roześmiał. Z początku cicho i nisko; śmiech był niczym początek pustynnej burzy, niczym pył unoszący się z drogi, który z każdą chwilą coraz mocniej przesłaniał rzeczywistość. Był nie tylko dźwiękiem, był całkowitym wypełnieniem przestrzeni, kompilacją zmysłów, która wdzieriała się wszędzie niczym drobny piasek, ścierała w powietrzu z zapachem kawy, kurzu, ludzi. A potem nagle śmiech się urwał i zmienił w nerwowy kaszel.

- Śmieć się, śmieć, piaskarzu- mruknął blondyn cofając łokieć.- Wciążu godziny będą tu archaniołowie, to ci się zaraz skończą okazje do żartów.

Blady chudzielec nie zareagował, za to grubas w celi zadarł głowę i lekko ją przekrzywił niczym zaciekawiona sroka.

- Czy łon pedzioł właśnie „archaniołowie”? - zapytał.

- A co ty myślisz, że policja nie ma swojego slangu? - wtrącił się Zwierzchowski, nim blondyn zdążył odpowiedzieć. - „Archaniołowie” to pewnie jeszcze z esbeckich czasów, jak funkcjonariusze jeździli za papieżem i mu pałowali ministrantów.

Kozonow słyszał to tylko jednym uchem, w dodatku niewyraźnie. Wciąż szumiało mu w głowie od huku wystrzału, a ponadto przez głowę pędziło mu teraz tysiąc myśli niczym wagony niekończącego się pociągu, stukające do rytmu o podkłady. Kur- wa, kur- wa, kur- wa. Co powinien zrobić, by nie przepisywać tego całego syfu od nowa?

Niecnota podpowiedział farelkę, ale Kozonow mruknął, że to idiotyczny koncept, bo przecież papier na farelce zapali się w moment.

- Co pan! - krzyknął z drugiego pomieszczenia wyraźnie rozbawiony blondyn. - Raporty nie płoną, za dużo w nich wody!

- Pan to się już lepiej nie odzywa! - odkrzyknął mu Niecnota.

Kozonow też miał zamiar coś odpowiedzieć, ale w porę wrócił mu instynkt samozachowawczy. Pociąg w jego głowie wciąż tłukł się o podkłady. Kur- wa, kur- wa...

- Dacie mi go chociaż zamknąć w celi? - Blondyn zmienił temat. - Żeby tak nie stał?

- Chwila - mruknął Niecnota. - Do komendanta muszę zadzwonić najpierw.

- A co? - zdziwił się nadkomisarz. - Nie pozwala wam się bawić kluczami czy jak?

Kędzior parsknął, a Zwierzchowski zaśmiał się sztucznie, uznając najwyraźniej, że opłaci mu się zapunktować u nowego, ale najwyraźniej ważnego gracza.

Kozonow raz jeszcze wymienił z Niecnotą spojrzenia nad biurkiem i tym razem telepatyczny przekaz popłynął jak należy, bo gruby policjant skinął głową. Kozonow odpiął od paska pęk kluczy, przeszedł do pomieszczenia z celą. Otworzył ją i pozwolił blondynowi wprowadzić więźnia.

- Właż i bez sztuczek - powiedział nadkomisarz, wpychając chudzielca do środka, a następnie zwrócił się do posterunkowego. - Macie może kawę?

- Bardzo śmieszne - mruknął tamten.

Blondyn spojrział nieco zaskoczony. Gdy wreszcie po chwili do niego dotarło, roześmiał się jak z najlepszego dowcipu.

- No już, posterunkowy, pan się tak nie dąsa - powiedział. - Zaraz

załatwimy to ze stołeczną, przyślą wam tu jakąś cyncatą, że niby na staż, przepisze, wydrukuje i jeszcze z całusem na serwetce zostawi. A teraz naprawdę potrzebna mi kawa.

Wizja piersiastej stażystki nie rozjaśniła całkowicie zachmurzonego oblicza Kozonowa, ale była jak pierwszy promień słońca spomiędzy szarych kłębow chmur.

- Tylko rozpuszczalną mamy - mruknął.

Blondyn potrząsnął głową.

- A nie, to nie. - Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej mały jutowy woreczek. - Ale dobra, powinno mi wystarczyć, przynajmniej czysty towar.

Otworzył woreczek i Kozonow nie musiał się nawet pochylać, by zaciągnąć się świeżym aromatem dobrze uprażonej kawy.

- Tę mam panu zaparzyć?- zapytał, czując, że od samego zapachu przytomnieje, a w ustach gromadzi mu się ślina.

Blondyn znowu zaprzeczył.

- To nie do tego. Ej, wy tam, odsuńcie się, bo potrzebuję miejsce na usypanie kręgu. A ty, piaskarzu, siadaj. Siadaj mówię! Tu, na podłodze.

Chudzielec miał przez chwilę minę, jakby chciał się postawić, sprzeciwić, ale ostatecznie tylko zagryzł wargi i powoli usiadł po turecku.

- Twój czas się kończy, Loki - powiedział niskim, grobowym głosem. - Już za kilka godzin...

- ...dowiemy się za sprawą archaniołów, co daje połączenie piasku i ognia - dokończył za niego blondyn.

Kozonow, znowu wiedziony odruchem szkolnego prymusa, internetowego mściciela i zbawcy, który żadnego niedomówienia nie zostawi samopas, zaraz dodał:

- Szkło daje.

- No brawo. - Nadkomisarz spojrzał na niego z udawanym uznaniem, spod którego, niczym spod przetartego materiału, wyzierała czysta kpina. - Ktoś tu widzę do policji nie za piękne oczy trafił. Dobra, panie posterunkowy, pan mnie będzie asekurował, kiedy ja...

- Zamierza pan to wysypać na podłogę?!

Kozonow nie wiedział, co go bardziej oburzyło. Czy to, że blondyn zamierzał zapaskudzić podłogę aresztu, czy marnowanie dobrej kawy. Bo w jej jakoś posterunkowy nie wątpił nawet przez moment, już sam jej zapach robił mu dobrze, pobudzał i...

- To kawa Szecherezady- wyjaśnił blondyn, usypując za pomocą drobnego pyłu krąg okalający chudzielca. - Podawali ją sułtanowi Szachrijarze, żeby nie spał, bo przez sen dręczyły go dżiny. Podobno jakimś cudem wytrzymał tysiąc i jedną noc. Żeby mu się nie nudziło, dali mu taką jedną Indyjkę z pobliskiego burdelu. Ta próbowała mu opowiadać jakieś bajki, ale że jej nie szło, wzięła się za to, na czym się znała. Potem wspólnie napisali *Kamasutrę*, którą ona po jego śmierci zabrała do swoich. Znaczy, wie pan, podobno, według legendy. Tak czy owak, ta kawa, nazwana jej imieniem, to najmocniejsza kawa na świecie i jeden z najlepszych środków na potencję.

- He, he, patrzcie, jak pomarszczony kutafon uszami zastrzygł- zaśmiał się wciąż siedzący na ziemi Kędzior - Co, dziadku, już nie bryka jak kiedyś?

- Twoja matka nie narzekała - odpyskował Zwierzchowski, ale zanim zdążył za to zarobić kolejne razy, Kozonow stanął między nim a Kędziorem.

- Spokój mi tu.

- Niech przeprosi - warknął motocyklista. - I to zaraz, bo jak nie, to mu taką eutanazję w dupę wykurwię...

Kozonow, choć groźby nie pochwalał, postulat uznał za zasadny. Wymownie spojrzął na Zwierzchowskiego.

- No, Zwierzchowski. Przepróż.

Stary rockman nie wyglądał, jakby zamierzał się ugiąć, i Kozonow już zastanawiał się nad kolejnym argumentem, gdy w sukurs przyszedł mu nieoczekiwanie nadkomisarz, dopełniający właśnie kółko.

- Przepróż, przepróż - powiedział. - A dam ci to, co mi tu zaraz zostanie. Trochę tego będzie, na parę razy wystarczy.

Oferta ostatecznie przełamała opór Zwierzchowskiego, który westchnął, podrapał się po głowie i burknął:

- Dobra, przepraszam twoją matkę...

- Kędzior - odpowiedział olbrzym.

- Przepraszam twoją matkę. Kędzior.

Wyglądało na to, że konflikt został zażegnany, ale nauczony poprzednią sytuacją Kozonow jeszcze się nie rozluźniał. Wciąż była szansa, że któryś coś palnie, że dołoży do już wypowiedzianych słów takie, którego tym razem nie będzie można odpuścić czy zbyć przeprosinami. Czujnie przenosił więc spojrzenie od jednego do drugiego niczym w jednym ze starych westernów. Przestał dopiero za sprawą Alojza, wyraźnie zafascynowanego

działaniami blondyna.

- Wyklarujesz mi, ło co sam tak richtich idzie? - chciał wiedzieć Ślązak.

Blondyn nie odpowiedział od razu. Najpierw domknął krąg, potem przyjrzał się uważnie całości i wreszcie wstał, otrzepując ręce.

- To taka nowa metoda śledcza - odparł. - Profilowanie ezoteryczne. FBI wprowadziło rok temu, najnowszy krzyk mody...

Wydawało się, że nadkomisarz rozwinię tę myśl, ale najwyraźniej skończył. Wyszedł z klatki, przeciągnął się i wypluwszy jedną wykałaczkę do kosza, zaraz sięgnął po następną. Podczas wszystkich tych czynności Kędzior obserwował go uważnie.

- Dobra, dobra- powiedział po chwili namysłu.- Pan nam tu, panie stołeczny, jakieś gówno w krawat ubierasz. Tak po ludzku, bez ścierny i na tyle prosto, żeby pana koledzy też załapali. Na chuj ci, złościutki, ta kawa?

Kozonow w pierwszej chwili nie zorientował się, że go obrażono, a poza tym bardziej niż wyrażanie gniewu interesowała go teraz odpowiedź na zadane przez motocyklistę pytanie, gdy więc ostatecznie zareagował oburzonym „ej”, zabrzmiało ono cicho, niepewnie i nikt nie zwrócił na nie uwagi.

Blondyn zastanawiał się przez chwilę, wodząc wzrokiem po wszystkich zebranych w klatce. Zdaniem Kozonowa wyglądał, jakby bardzo uważnie analizował, ile może im powiedzieć. A może po prostu zmyślał na poczekaniu jakieś nowe wytłumaczenie? Zanim jednak powiedział cokolwiek, odezwał się siedzący na podłodze chudzielec.

- Naprawdę myślisz. Loki, że ta odrobina zwietrzałego pyłu mi zaszkodzi? Że powstrzyma władcę snów? Gdy tylko pogrążą się we śnie, gdy tylko ostatecznie zatrze się granica między światami, ci, którzy po wewnętrznej stronie powiek szukają ukojenia, staną w szeregu, by...

Rozległ się trzask wyładowania i znowu zamigotały światła. W pokoju obok Niecnota zaklął i po chwili pojawił się w progu, by sprawdzić, co się stało tym razem.

Chudzielec nie upadł, ale zwiotczał, jakby ktoś spuścił z niego powietrze, a stojący nad nim Zwierzchowski cofnął rękę, którą dotykał chudego karku, i wytarł ją o spodnie.

- No jak chuj, panie władzo, elektrostatyka - powiedział do Kozonowa, po czym, jakby to zamykało temat, przeniósł wzrok na nadkomisarza. - No, panie Szemrany, pan zdaje się miał nam coś wyjaśnić, nie? No to teraz już

można bez przeszkód.

2.

Kiedyś cieszył się z takich chwil, z odcinków przez las przejeżdżanych w środku nocy na pełnych światłach i z nieodpartym wrażeniem, że cała droga należy wyłącznie do niego. Był wtedy wojownikiem asfaltu, królem polskich szos, od którego kaprysu zależało, czy zmieni światła na mijania, czy uzna, że nadjeżdżający z przeciwka poddani powinni zostać oślepieni blaskiem jego majestatu.

Był czas, że znali go we wszystkich przydrożnych barach, a tirówki mówiły mu proszę pana i przymilały się jak kociaki. Niektóre nazywały jego osiemnastokółowego renaulta Kabiną Miłości lub Gniazdem Orgazmów. Oto on, Henio Strzępek, samuraj tranzytu.

Ale to było kiedyś, gdy jeszcze dawano mu jeździć za granicę. Ale potem dostał misia w papiery, skończyły się kursy na Hiszpanię i nie było czym przyszpować. Tylko litości szefa Henio zawdzięczał to, że mógł jeszcze jeździć po kraju w dostawczaku dla Biedronki, ale z tego ani kasa, ani sława, więc co było, to było i szybko stało się wspomnieniem. Przez jakiś czas zostawały jeszcze te kręte odcinki przez las, niegdyś wyjątkowe, ale i one szybko stały się normą i mu zbrzydły.

Tego wieczoru Henio nie był jeszcze zmęczony, ruszył ledwie przed dwoma godzinami, ale już czuł się znużony i wypruty z sił. Przed samym wyjazdem pokłócił się ze starą o jakąś pierdołę, trzasnął drzwiami na odchodne, a potem zorientował się, że nie wziął dokumentów, i musiał wracać. W dodatku przez tę aferę cholera nie zrobiła mu kanapek i nie spakowała termosu, musiał więc z i tak szczupłego budżetu na kurewki wysupłać parę złociszysy na hot doga z czosnkowym i dużą kawę.

No ale też niewielka strata, pomyślał z żalem, bo na tej trasie dobre dupy i tak się nie zdarzały. Tylko te tłuste lampucery, co w siatkowanych rajstopach wyglądały jak obwiązany sznurkiem baleron. Aż tak go jeszcze nie piliło.

W radiu leciały najlepsze polskie przeboje. Kilka prześpiewał, całą resztę wystukał na kierownicy i wymruczał głosem cichym i - jak lubił myśleć-zmysłowym. Akurat szedł *Mój jest ten kowalek podłogi*, który Henio grał kiedyś na gitarze na ogniskach. Drąc się do refrenu, niegdysiejszy król szos wszedł w ostry zakręt i... zahamował gwałtownie. Dostawczak zatrzymał się

ostatecznie, gdy pod tylnym kołem już chrzęścił żwir pobocza.

Kilkanaście metrów dalej w poprzek pasa leżał kurwioczerwony motocykl ścigacz. Obok niego stała rudowłosa babeczka w ciasnym, skórzanym kombinezonie rozpiętym tak, że widać jej było stanik i naprawdę dobre cycki. Ani jej, ani maszynie chyba nic się nie stało i kiedyś Henio pomyślałby, że to pułapka zastawiona przez ruskich czy inną mafię, by go skroić z towaru. Ale bycie dostawcą dla Biedronki i świadomość, że zarówno ty, jak i twój towar jesteście dla wszelkich gangusów gównem warci, miało też zalety - mogłeś na powrót zacząć ufać ludziom. Zwłaszcza seksownym sztuniom w obcisłych kombinezonach i z cyckami na wierzchu.

Ze schowka w drzwiach wyjął masywną latarkę i opuścił szybę. Gdy dziewczyna podbiegła, poświecił jej niby to w twarz, ale tak naprawdę na cycki, by móc się im lepiej przyjrzeć. Z bliska wyglądały jeszcze lepiej.

- Co tam, maleńka? - zapytał.

- Och, cudownie, że się pan zatrzymał - powiedziała słodko, aż go załaskotało w podbrzuszu. - Już myślałam, że będę tu nie wiem ile sterczała na tym zimnie.

Henio zarechotał. Miał już gotowy żarcik o sterczeniu i zimnie, ale go sobie darował. Nie chciał jej spłoszyć. W końcu kto wie, może jeśli to dobrze rozegra i jej pomoże, to zaoszczędzi kurewkowe? Niby nie była z jego ligi, ale szok nie takie rzeczy z ludźmi robił, nie do takich skłaniał.

- To co ci się z tą maszyną stało, skarbie? - zapytał. - I chodź tu, do kabiny, rozgrzejesz się, kawy napij...

Nie skończył, bo nagle w oknie pojawiła się jakaś męska gęba. Żyłasty, krótko przystrzyżony blondynek, w błysku latarki wyglądający jak gwiazdor dawnych filmów akcji, wyszczerzył równe rzędy białych zębów i z całej siły grzmotnął Henia w nos. Jednocześnie kierowca usłyszał, jak otwierają się drzwi pasażera i ktoś siada na drugim fotelu. Zapachniało papierosami i czymś słodkim.

- Nie wierzgaj, a wszystko będzie w porządku - poradził spokojnie bezbarwny głos, a zaraz potem biała ręka sięgnęła do stacyjki i wyjęła z niej kluczyki.

A więc jednak pułapka, pomyślał z żalem Henio, przykładając rękę do rozkwashzonego nosa. Kurewski świat, nawet kierowcy z Biedry nie odpuści. Ciekawiło go, kto siedzi obok niego, ale bał się spojrzeć, więc zamiast tego przyglądał się, jak blondynek zeskakuje ze stopnia i pomaga rudej ściągnąć czerwoną maszynę z drogi, a potem wyciągnąć z krzaków dwa masywne

choppery. Na bakach obu maszyn znajdował się ten sam znak - owinięty łańcuszkiem biały zegarek cebula z rozbitą szybką.

- Co mi zrobicie? - zapytał Henio, wciąż się nie odwracając.

- Nic takiego - odparł jego nowy współpasażer. - Spuścimy tylko trochę paliwa, bo nam brakło, i spadamy.

Henio westchnął głośno.

- To nie dało się bez bicia?

Zaryzykował odwrócenie się i zaraz tego pożałował. Obok niego siedział ogolony na łyso diabeł w swym zimowym wydaniu. Facet był tak blady, że prawie nierealny. Usta okalał mu śnieżnobiały zarost przechodzący w kozią bródkę, a głęboko osadzone oczy lśniły przerażającą czerwienią. Wokół jednego z nich wytatuowane miał pióro przypominające trochę węża chcącego pożreć własny ogon.

- Pomyśleliśmy, że też będziesz chciał mieć coś z życia - powiedział biały diabeł, wedle naszywki na kurtce zwany Stalówką. - Teraz możesz powiedzieć, że, nie wiem, zawinęliśmy ci kasę albo że cudem uratowałeś transport. Zaimponujesz szefom, może panienkom czy komu tam chcesz. Bądź bohaterem, stary. Wymyśl coś sobie.

Henio zastanowił się przez chwilę i uznał, że w sumie to nie najgorszy układ. Co prawda oszczędności zrobionych na paliwie trochę mu było szkoda, ale jak to faktycznie dobrze rozegra, może wyjdzie jeszcze na swoje. Szkoda mu było w tym momencie jedynie tej małej rudej, która po drodze już zdążyła się dopiąć. Miała naprawdę fajne cycki.

- Dobra - powiedział w końcu. - Bierzcie to paliwo. Ile chcecie, byle bym dojechał do jakiejś najbliższej stacji. A skoro już o dojeżdżaniu mowa, to jakby była opcja na tej waszej rudej pojeździć przez chwilę, albo żeby chociaż lodzik...

Biały diabeł spojrział na niego smutno i powoli, jakby z rezygnacją, pokręcił głową.

- Oj, chłopie. Mogłeś tego nie mówić.

- Nie taki był plan - powiedziała Dzwoneczek z wyrzutem, gdy Stalówka wysiadł wreszcie z ciężarówki i dołączył do niej i Milczka przy maszynach. W uszach wciąż jeszcze miał klakson, który spłoszył chyba wszystkie ptaki śpiące na okolicznych drzewach.

- Plan trochę się zmienił - odparł albinos i wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę papierosów. - Ale fakt, tłuczenie jego głową o kierownicę było nierozważne.

Milczek zamachał coś nerwowo, na co Stalówka odpowiedział mu również na migi, unosząc dłoń z uniesionym środkowym palcem.

- Niby kogo miał tu zaalarmować, mądralo?— zapytał.- Swoją drogą, jesteś ostatnim, który powinien mnie pouczać. Mamo, powiedz, jak to jest, że to zawsze o nich chodzi. Jak nie jeden, to, kurwa, drugi. Albo gdzieś przepadną, albo wpakują się w gówno, o którym żadne z nas nie pomyślało nawet, że może istnieć?

- Taka natura pionierów - odparła Dzwoneczek; wyjęła mu z ręki papierosa i zaciągnęła się dwa razy łąpczywie, na zapas. - Dobra, pakujemy się i jedziemy, bo mówiąc szczerze, coraz bardziej się martwię. Kędzior jest duży i zwykle powiedziałabym, że da sobie radę, ale tym razem...

- No już, już - uspokoił ją Stalówka. - Miłe myśli, pamiętasz?

Wzruszyła ramionami.

- Myślę, że jak któreś z nas będzie dla odmiany realistę, to na pewno nam nie zaszkodzi. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to zastanawiam się, czy gość nie tankował na jakiejś podejrzananej stacji. Wyglądał na takiego, co mógłby.

Stalówka nie odpowiedział.

- A właściwie dlaczego tak thukłeś jego łbem o kierownicę? - zaciękaowała się. - Zrobił coś?

- Różnica poglądów. - Stalówka zaciągnął się dymem i pstryknął niedopałkiem na asfalt. - Ryzykujemy Skrót? Jak myślisz?

- Myślę, że nie ma wyjścia - odparła, dosiadając maszyny. - Nie wiemy, gdzie jest Kędzior, więc zostaje nam jazda po Skrócie, myślenie o nim intensywnie i nadzieja, że nas jakoś koło niego wyrzuci. Czasem to działa, nigdy nie wiesz.

Odpaliła silnik, przygazowała w miejscu. Stalówka wysypał na rękaw proszek z maleńkiego woreczka i wciągnął go w całości lewą dziurką. Potem podał woreczek bratu. Ten jednak zlekceważył to, zawzięcie usiłując coś wymigać.

- No już, Milczek, nie machaj łapami, tylko wciągaj... - mruknęła zniecierpliwiona Dzwoneczek. - Dobra, jasne, jak znajdziemy jakąś stację, kupimy też ten cholerny komiks. Naprawdę nie masz się czym teraz...

Kurwa, Milczek, nie mów, że „Kędzior by sobie życzył”, tak się o zmarłym mówi... Dobra, rozumiem, wciągaj i jedźmy już.

Założyła kask, ale po namyśle zdjęła go i cisnęła w krzaki. Odczekała, aż Milczek i Stalówka odpalą maszyny, po czym wyrwała do przodu na prostej drodze. Gdy po chwili się z nią zrównali, uniosła rękę.

- Trzy, dwa, jeden...

- Bangarang! - ryknęli całą trójką.

A wtedy osłona rzeczywistości naprężyła się, pękła i trzy motocykle przedarły się z drogi prosto za kulisy świata.

3.

- Coś mi z tym gościem nie gra - szepnął Niecnota do ucha Kozonowa.

Zrobił to tak jak ludzie, którzy szepczą w kinie czy teatrze, a ty masz wtedy ochotę ich zabić, bo gdyby powiedzieli to normalnie, głośno, może nawet wykrzyczeli, nie słyszałbyś ich ani trochę lepiej. Tak powiedziane słowa są niczym niesione wiatrem kartki papieru. W nierozpakowanej ryzie.

Kozonow nerwowo wyjrzał zza winkła, ale wyglądało na to, że szczęśliwie nikt ich nie usłyszał. Czterej osadzeni siedzieli bądź stali w niewielkim, prowizorycznym areszcie, każdy zajęty swoimi sprawami, a „ten gość”, czyli nadkomisarz Szemrany, przechadzał się pod oknami wpatrzony w ekran telefonu. Raz po raz przykładął aparat do ucha, a potem cofał rękę gwałtownym ruchem, jakby odrywał plaster, mamrotał coś pod nosem i znowu gapił się w ekran.

W końcu przystanął. Spojrzał na Kozonowa, który nie zdążył się schować.

- Zawsze macie tu takie problemy z zasięgiem?

Posterunkowy wzruszył ramionami. Zza rogu wystawały mu w zasadzie tylko głowa i kawałek szyi, więc mogło to z perspektywy nadkomisarza wyglądać jak tik nerwowy.

- Zależy od pogody- wyjaśnił. - A co, do stołecznej chce pan zadzwonić? Bo to może lepiej ze stacjonarnego...

- Do mojej - odparł Szemrany. - Chciałem jej powiedzieć, że na noc nie wrócę. Szlag, znowu nic! Może na zewnątrz będzie lepiej.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Kozonow już miał się

wyprostować, ale poczuł, że ktoś na niego mocno napiera, prawie go przewracając.

- Powinniśmy za nim iść - szepnął po swojemu Niecnota, również usiłujący wyrzeć zza winkla; mięta z żutej od dłuższego czasu gumy coraz gorzej radziła sobie z narastającą nieświeżością gorącego oddechu.

- To idź. - Kozonow wysliznął się spod ramienia kolegi i poprawił mundur. - Ja tam nie zamierzam słuchać o jego prywatnym życiu. Ma prawo dzwonić, gdzie mu się podoba, nie?

- No niby tak - zgodził się niechętnie Niecnota – ale...

- Żadne ale. Sprawdziłeś mu papiery i się zgadza. W komputerze na stronie znalazłeś, tak? No to należy się koledze po fachu trochę zaufania. Daleko od domu jest, w delegacji. Chciałbyś tak, żeby cię miejscowi szpiclowali, jak się będziesz starej tłumaczył, że na chatę nie wrócisz? Poza tym... - Tym razem to Kozonow zniżył głos do szeptu, dumny z tego, że umie to zrobić właściwie. - Chcesz, żeby potem w stołecznej narobił nam koło pióra? Bo ja jakoś nie.

Niecnota otworzył usta i zaraz je zamknął, kłapiąc głośno, jakby właśnie połknął słowo, które chciał powiedzieć. Potem sapnął, machnął ręką i odwrócił się do ekspresu.

- Mogę ci zrobić kawę w kubku Ślusarskiego - powiedział.

- To zrób, chętnie się...

Po raz kolejny tego wieczoru drzwi posterunku otworzyły się z trzaskiem i raz jeszcze do środka wpadł Szemrany. Kozonow miał już zamiar zapytać z przekąsem, czy nadkomisarz nie wie, że można tu wejść normalnie, ale wtedy zobaczył jego niespokojną i napiętą twarz. Posterunkowy odruchowo sięgnął do pałki przy pasie.

- Co się u diabła dzieje z księżycem?! - zawołał blondyn, wskazując ręką za siebie. - I z mgłą?!

Zabrzmiało to cokolwiek dziwnie, ale Kozonow powstrzymał się i od tego komentarza. Podszedł do drzwi, wyjrzał na zewnątrz.

- No księżyc jak księżyc - powiedział.

Zaraz jednak opadły go wątpliwości. Bo czy srebrny glob nie był za duży? Czy kratery na jego powierzchni zwykle wyglądające jak pryszczata twarz nie zmieniły ułożenia? Czy to możliwe, żeby księżyc się odwrócił? Nie, to bzdura, pomyślał, potrząsając głową. Ulegasz jakiejś głupiej sugestii, udzieliło ci się zmęczenie albo może to opary tej dziwnej kawy. Może coś w

niej było i...

Wtedy jednak zwrócił uwagę na mgłę - siwą jak włosy starca, a jednocześnie gęstą, niemal jednolitą. Była niczym ściana i ciągnęła się wzdłuż lasu prostą linią, od dołu rozlewając się po ziemi, z góry sięgając ponad czubki drzew. Kozonow wpatrywał się w biały mur w całkowitym niemal bezruchu, aż zrobiło mu się zimno. Gdy dreszcz targnął jego ciałem, pochylił głowę i dostrzegł cienkie, srebrnobiałe nitki rozpięte na ziemi niczym naczynia krwionośne. Rozchodziły się siatką, rozrastały, sunęły w stronę miasteczka. Zaczynały się pod jego stopami, tuż na progu.

- Cholera, obym się mylił, obym się mylił- mamrotał Szemrany gdzieś za plecami Kozonowa i ta nerwowość w głosie wyluzowanego dotąd nadkomisarza sprawiła, że posterunkowemu z miejsca zrobiło się jeszcze bardziej nieswojo.

- Gdzie ja to, kurwa, wsadziłem?! - krzyknął Szemrany. - Gdzie... a, dobra, mam. Posterunkowy?!

Kozonow odwrócił się, ale Niecnota odezwał się pierwszy.

- Tak?

- Kubek wody potrzebuję!

- Drugie drzwi na prawo jest łazienka i...

- Natychmiast!

Niecnota mruknął coś pod nosem, ale zniknął za rogiem i po chwili pojawił się znowu z kubkiem w ręce.

- Proszę - burknął, podając kubek Szemranemu.

Nadkomisarz podziękował, postawił kubek na biurku i wyjął z kieszeni kawałek rzemienia zakończony lśniącym kamieniem w kształcie łyży.

- O, wahadelko! - odezwał się Kędzior. - Fajna rzecz, miałem kiedyś takie. Wpadliśmy z nim do żeńskiego akademika i łaziliśmy od pokoju do pokoju, sprawdzając laski, która jest przez sen najbardziej wilgotna. Bo wiesz, to wilgoć wykrywa.

- To różdżka - poprawił odruchowo Kozonow.

Zaraz skarcił się w myślach. To właśnie powinien powiedzieć w obliczu usłyszanego właśnie przyznania się do przestępstwa na tle seksualnym? Właśnie to?!

- Różdżki to się używa potem, jak już znajdziesz. - Kędzior zarechotał z własnego żartu.

Zrobił to w tak obleśny, paskudny sposób, że Kozonow z całego serca

miał nadzieję, że ten drugi, Zwierzchowski, znowu trzepnie go taserem z palców. Ale stary dziadyga najwyraźniej również świetnie się bawił.

- To mi przypomina - powiedział- jak kiedyś byłem na koncercie Gunsów w peruce Slasha i...

- Kurwa! - zaklął Szemrany.

Zwierzchowski uniósł brew.

- Kto, Slash?

Ale nadkomisarz go nie słyszał. Wypluł wykałaczkę, jednym szybkim ruchem zawinał wahadełko wokół dłoni i uderzył pięścią w blat obok kubka.

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! Zrobił to jebany, piaskowy skurwiel.

Domyślając się, o kogo chodzi, wszyscy przenieśli wzrok na chudzielca siedzącego na podłodze klatki, który teraz uśmiechał się tajemniczo. Z szeroko otwartymi oczami, wyglądającymi, jakby składały się z samych źrenic, robił w tym momencie naprawdę upiorne wrażenie.

- Panie stołeczny - Kędzior jako pierwszy odwrócił wzrok od dziwadła, strzyknął śliną na bok i otarł usta rękawem - nie to, że się, wie pan, wpierdalałam czy coś, ale jak jest jakiś problem z tym tutaj, to wie pan, jedno słowo, a mu wykurwię po kulturze jakiś wypadeczek w żebra.

- Włazidupa- prychnął pogardliwie Zwierzchowski. - Tylko się łokciami nie rozpychaj, bo panu stołecznemu jelito ponacią... auu, odwal się z tą pięścią, koleś! Znowu?! Co ja ci takiego zrobiłem?!

- Dupnął żeś go sztromem- zauważył spokojnie Alojz. - Dwa razy. I jeszcze coś żeś nazdał o jego matce. Tyż ze dwa razy ...

- Ty, a po której ty jesteś stronie, tłusciochu?- Zwierzchowski spojrzał na niego z wyrzutem, a po jego ramionach, brzuchu i piersi przebiegły pierwsze iskry.

Widząc to, Kozonow postąpił krok do przodu, choć właściwie nie wiedział po co. Zamierzał interweniować? Uderzyć pałką koleś, który najwyraźniej umie, niczym filmowy superbohater, strzelać w ludzi prądem? Z jednej strony niby powinien, w końcu jego zadaniem była ochrona aresztantów, także przed nimi samymi. Z drugiej strony czy był aż tak bardzo oddany swojej pracy, by łądować się w sprawy nadprzyrodzone z pałą w ręce? A skoro już był w temacie spraw nadprzyrodzonych, to... co tu się właśnie odpierdalało?! Ta mgła, inny księżyc, facet w kręgu z kawy i koleś strzelający piorunami. Czy to jakiś tajemniczy odcinek *Trzynastego posterunku* zmieszanego z *Mamy cię!*? Czy zaraz wpadnie tu Pazura z tym,

no... ktokolwiek prowadził ten drugi program, i wręczą jemu i Niecnocie kwiaty?

Jego rozmyślania przerwał nagle Szemrany, który podszedł do klatki, wyciągając przed siebie uniesione ręce.

- Dobra, uspokajamy się - powiedział.

Obejrzał się za Niecnotą i Kozonowem i przywołał ich gestem. Obaj podeszli.

- Musimy pogadać - stwierdził Szemrany. - Zaczniemy od kilku pytań, które muszę wam zadać, zanim cokolwiek wyjaśnię. Po pierwsze, czy ktoś mieszka w tym miasteczku obok? Rozumiem, że panowie posterunkowi, tak?

- No ja to tak właściwie kawałek dalej, bo...

Szemrany wszedł Niecnocie w zdanie:

- Ta sama gmina?

- Tak.

- To wystarczy, a kolega? - zwrócił się do Kozonowa.

- Z dziesięć minut stąd piechotą - odparł posterunkowy.

Blondyn pokiwał głową. Wyjął z kieszeni pudełeczko wykałaczek i wsunął jedną do ust.

- Dobra, dalej. Panowie ze Śląska?

- Ja, z Tauzena - powiedział Alojz, a Zwierzchowski natychmiast dodał:

- Ale nie mieszkamy razem. To duże miasto, Katowice w sensie, wie pan. I Tauzent też duży. Szemrany znowu pokiwał głową, a półuśmiech na jego twarzy zgasł równie szybko, jak rozbłysnął.

Przeniósł wzrok na Kędziora, który bezradnie rozłożył ręce.

- Sorry, szefie, ale mama nie pozwala mi takich rzeczy mówić obcym.

- Jestem z policji - zauważył Szemrany, na co olbrzym tylko pokiwał głową ze smutkiem.

- No właśnie. Ale nie jestem z tego miasteczka.

Wykałaczka w ustach nadkomisarza przewędrowała na środek ust. Obrócona językiem pokazała światu swój drugi koniec i przeskoczyła w lewy kącik.

- Jeszcze dwa pytania- powiedział Szemrany.- Tym razem tylko do dużego i Ślązaków. Czy dotarliście tu niedawno i mieliście zmuśną podróż?

- Jesteśmy tu od wczoraj - odparł Zwierzchowski. - A drogi nie

pamiętam, bo spałem. Ale chyba trochę rzucało. I było mgliście.

- Czyli jednak - westchnął Szemrany i podrapał się po policzku. - Kurwa!

Kędzior przyjrzał mu się uważniej. Powoli postąpił krok do przodu i oburącz chwycił za kraty, jakby miał je zaraz rozerwać. Sądząc po jego posturze, mógłby to zrobić, gdyby tylko włożył w to odrobinę wysiłku.

- Co jednak? - zapytał chłodno, cedząc słowa. - Dobra złociutki, bo coś mi się zaczyna zdawać, że ty masz tyle z policją, co ja z baletem.

- A co masz z baletem? - nie wytrzymał Kozonow.

Po raz nie wiadomo który tego wieczoru miał ochotę odgryźć sobie język albo zwyczajnie trzepnąć się w łeb za tę nieposkromioną ciekawość i skłonność do poprawiania innych. Olbrzym rzucił mu niechętne spojrzenie i strzyknął śliną niemal pod jego nogi.

- Porno z laskami w śmiesznych butkach - warknął. - Się kurwa nie interesuj.

- Ej! - Kozonow położył rękę na pałce. - Grzeczniej, bo...

Pięści olbrzyma zacisnęły się na prętach. Napięły się mięśnie pod skórzaną kurtką, a szyja naprężyła, prezentując ścięgna i żyły. Jeszcze chwila i skończy się ta gra pozorów, zabawa w grzecznego aresztanta i policjanta panującego nad sytuacją. Za chwilę ten osiłek rozegnie kraty jak siłacz w cyrku i po prostu wyjdzie na zewnątrz. Co mu wtedy robi jakaś tam pałka? Albo nawet, cholera, kula? O ile Kozonow w ogóle zdążyłby sięgnąć po broń.

- Bo co? - Kędzior przechylił głowę, wyraźnie napawając się strachem policjanta. - Zamkniesz mnie z jakimiś pojebami i pogadamy o fazach księżycy? No, co zrobisz? Siedzę tu z gościem, który nie umie po ludzku, drugim, któremu przebija jebany rozrusznik, a czwartym do brydza jest facet w kółku z kawy. Po drugiej stronie krat dwóch policjantów to wioskowi debile, a trzeci międli w ryju wykałaczkę, wali konia wahadelkiem i pyta, gdzie mieszkam i jak podróż. - Odwrócił się do Szemranego i wyszczerzył zęby. - Otóż podróż była zajebista. Tak się składa, że nakurwiałem drogą, której nie chcielibyście znać, ale której zaletą jest brak korków i to, że jest...

- Skrótem? - zapytał Szemrany.

Kędzior umilkł i zmrużył oczy.

- No dobra, teraz na serio - powiedział. - Kim jesteś?

Szemrany uśmiechnął się lekko, po czym dobył pistoletu i wycelował w zaskoczonego Kozonowa.

- Panie poste run kowy, pan wypuści tych ludzi - poprosił. - Możliwie natychmiast, jeśli to nie kłopot.

Kozonow ukradkiem zerknął na Niecnotę, ale ten tylko pokręcił głową. Nie ryzykuj, mówił ten gest.

Nie zaryzykował więc, tylko posłusznie otworzył celę.

Pierwszy wyszedł Zwierzchowski, następnie Alojz. Jako ostatni celę opuścił Kędzior. Musiał się schylić w przejściu i docisnąć ręce do ciała.

- Duży, weź klucz, zaraz zamkniesz - polecił Szemrany. - Panowie posterunkowi zdają spluwy tutaj, na biureczko, i wchodzą grzecznie. Pałki możecie zatrzymać. Tylko bez akcji, proszę, widziałem wszystkie filmy o twardzielach i wiem, jak reagować. Świetnie, dziękuję. Duży, zamknij i daj mi klucz.

Kędzior wykonał polecenie i położył klucze na blacie. Kozonow przyglądał im się z lodowatą wściekłością. To, że dali się tak załatwić, bardziej go irytowało, niż martwiło. Kwestia tego, co będzie jutro, gdy przyjdzie ich zmiana, właściwie go w tym momencie nie zajmowała. Czuł gniew na myśl o tym, jak naiwnie dali się z Niecnotą podejść i zamknąć we własnej celi. Policyjna, kurwa, solidarność. Jebany Szemrany.

- Co teraz? - zapytał Kędzior.

Szemrany wzruszył ramionami.

- W zasadzie to wasz wybór. Możecie sobie iść, ale zapewniam, że choćbyście nie wiem jak próbowali, nie wyjedziecie poza to miasteczko. Wyrzuci was z powrotem, spali, posadzi przed telewizorem i każe oglądać powtórki *Mody no sukces*. Nie wiem, zrobi cokolwiek, ale się nie wyrwiecie. Jeśli rzeczywiście jesteście tacy, jak myślę, to przeżyliście w życiu dość, by uwierzyć, że takie rzeczy są możliwe.

- Dobra, bo teraz mam trochę ciary - stwierdził Zwierzchowski. - O co tu chodzi?

- O to, panie starszy...

- Mów mi Rychu - poprawił go dziadyga.

Szemrany się uśmiechnął.

- Dobra, Rychu. Ja jestem Loki. A chodzi o to, że skądkolwiek normalnie jesteśmy, żaden z nas nie jest już w pieprzonym Kansas.

Dźwięk towarzyszący wybrzuszącej się rzeczywistości przypominał przeciągły jęk. Membrana światów naprężyła się niczym balon, wygięła przestrzeń nad drogą i po chwili pękła z trzaskiem i sykiem, wypuszczając trzy maszyny na lśniący niedawnym deszczem asfalt. Pierwsze dwie, potężne motocykle o szerokich poróżach kierownic, lśniących bakach i chromowanych silnikach, gładko wpadły na asfalt i z mlaskiem kół przyklejających się do mokrej nawierzchni pognały dalej. Trzecia, krwistoczerwony ścigacz, miała mniej szczęścia. Przednie koło zahaczyło o leżące na drodze truchło i straciło przyczepność. Motocyklem zarzuciło i przegiął się niebezpiecznie na bok, aż ostatecznie przewrócił się i wyhamował już w poziomie, trąc bakiem o asfalt. Siedzącej na maszynie Dzwoneczek udało się w porę zeskoczyć i przetoczyć po ziemi, za wszelką cenę chroniąc głowę w klatce rąk. Gdy się zatrzymała, położyła się na plecach, odetchnęła i zaklęła cicho.

Słyszając wizg, Milczek obejrzał się i natychmiast dał znak Stalówce. Wielkie czarne maszyny zawróciły. Zatrzymały się nieopodal, a motocykliści rzucili się biegiem, albinos do leżącej na ziemi dziewczyny, Milczek do motocykla.

- Nic ci nie jest? - zapytał Stalówka, pomagając mamie wstać.

- Chyba nie - obmacała się. - Nie, w porządku. W ścierwo wjechałam i... jak tam Milczek?

Niemowa podniósł wzrok znad maszyny i pokręcił powoli głową.

- Ale tak zupełnie nie?

Znowu zaprzeczenie, które tym razem Milczek uzupełnił kilkoma mignięciami. Dzwoneczek ponownie zaklęła.

- Dobra, chuj - stwierdziła w końcu z rezygnacją. - Poszukamy jakiegoś warsztatu w pobliskim miasteczku, a na razie będziesz musiał znieść plecak.

Stalówka podał jej papierosa i sam wziął jednego.

- Jak się nie będziesz za bardzo tulić. - Odpalił sobie i jej, po czym rozejrzał się wokoło. - Kurwa, ta mgła jest jakaś dziwna. Wygląda jak ściana, zauważyłaś?

- No, trochę jakby jakiś mglisty lodowiec, w którym zamrożone są wszystkie drzewa - potwierdziła, po czym wskazała ręką przed siebie. - Cholera, gdyby nie te domy i światła, uznałabym, że ciągle jesteśmy na Skrócie, w jakiejś nieznannej części.

- Teraz to już i tak nie robiłoby to różnicy, nie? - Stalówka zaciągnął się

papierosem.

- To znaczy? - zapytała.

- No, zatrzymaliśmy się - odparł, wypuszczając jednocześnie dym. - Złamana zasada Skrót.

Pokiwała głową. Raz jeszcze się rozejrzała i wciągnęła do płuc świeże, nieco wilgotne powietrze.

- Ale to nie Skrót - stwierdziła. - Tu coś innego jest... ej, zaraz. Co to za świry?

Stalówka podążył za jej gestem i dostrzegł wyłaniającą się zza zakrętu procesję kolorowych postaci. Co najmniej kilkadziesiąt osób, może setka, niektórzy w samej bieliźnie, inni w porozciąganych dresach czy za dużych T-shirtach. Kilka osób nago, co jednak nie wywoływało niczyjego zgorszenia czy podniety. Dorośli z opaskami na oczach i dzieci w polarowych wdziankach w kształcie pandy, starzy i młodzi. Szli w milczeniu, wszyscy wpatrzeni w jeden punkt gdzieś przed sobą. Wiodły ich ku niemu srebrzyste nitki babiego lata targane wiatrem.

Milczek zbliżył się do Stalówki i Dzwoneczka, dotknął ich ramion, po czym zamigał.

- Nie, Milczek - Dzwoneczek pokręciła głową - nie wiem, czy to coś religijnego, ale nie sądzę. Oni są w piżamach.

Milczek znowu coś zamigał, a ona westchnęła.

- Skąd mam wiedzieć, czy Jezus miał piżamę, do cholery?

Wtedy ją zauważyli. Stalówka odwrócił się gwałtownie, wyszarpując zza paska pistolet, ale Dzwoneczek położyła dłoń na lufie. Przed nimi na krawędzi pobocza stała pięcio- może sześćioletnia dziewczynka. Mały nosek miała zadarty, na zaróżowione pyzate policzki opadały równe, starannie rozczesane włosy barwy czerwonego złota. Ubrana w różową koszulkę nocną, bosa, ścisnęła pod pachą pluszowego jednorożca skazanego chińskim brakiem precyzji na wyjątkowo głupi wyraz pyszczka. Mała księżniczka swoich rodziców, zupełnie sama w środku nocy, w dodatku sunąca na ślepo, z zamkniętymi oczami. Jak na tym obrazku z aniołem stróżem i dziećmi przeprowadzanymi przez kładkę.

- Nie zamierzasz jej chyba zastrzelić. Stalówka? - zapytała cicho Dzwoneczek.

- Dlaczego nie?- zdziwił się albinos.- Mała dziewczynka, sama w środku nocy łązi poboczem w piżamie. To nie jest normalne.

- A odstrzelenie głowy dziecka jest?! - Nie wytrzymała i zaraz zerknęła w stronę małej. Słyszała, że nie wolno budzić lunatyków, bo to się może źle skończyć. Ale dziewczynka nadal niewzruszenie sunęła naprzód. Milczek uśmiechnął się pod nosem i zamigał.

- Zamknij się, Milczek - warknęła. - Sam jesteś porażka wychowawcza. Gdyby nie ty i ten wielkolud...

- Cicho. - Stalówka przyłożył lufę pistoletu do ust. - Ona coś mówi.

- Raczej śpiewa - zauważyła Dzwoneczek.

Postąpiła krok w jej kierunku, potem kolejny. Wciąż miała problem z rozpoznaniem słów, ale melodia wydała jej się znajoma. Tylko skąd?

- Milczek mówi, że to z Disneya. *Śpiąca królewna*. - Stalówka zaśmiał się cicho. - Ciekawe, skąd ty wiesz takie rzeczy... Ej, wiesz, co sobie możesz z tym palcem zrobić? Wiesz co?!

Dzwoneczek posłała im obu zniecierpliwione spojrzenie i ruszyła w stronę małej.

- Ej, co robisz? - zawołał za nią Stalówka. - To może być jakaś przebitka ze Skrótłu!

- Przebitkę to ty masz w mózgu - prychnęła.

Wyciągnęła ręce w stronę dziewczynki, objęła ją delikatnie, lecz stanowczo, i zatrzymała w miejscu. Poczowała opór, jakby coś pchało dziewczynkę przed siebie. Albo ciągnęło, pomyślała, widząc przed sobą cienką jak włos srebrzystą nitkę falującą na wietrze. Nić tańczyła, unosila się, opadała, kołysała na boki. Hipnotyzowała.

- Zabierzemy ją na policję - stwierdziła Dzwoneczek. - Powiemy, że mała lunatykowała, i przy okazji dowiemy się, co to za pierdolnik... auuu! O, ty mały gryzoniu, ja ci zaraz... Stalówka schowaj ten, kurwa, pistolet, bo nie ręczę za siebie!

Stalówka posłusznie, acz wyraźnie niechętnie opuścił broń i doskoczył do Dzwoneczka, by pomóc jej przy dziewczynce. Milczek podszedł do maszyny i z sakwy wyjął woreczek z trytytkami. Wyjął dwie najdłuższe, a po namyśle jeszcze dwie dodatkowe. Zerknął w stronę procesji lunatyków, która z każdą chwilą była coraz większa i bardziej różnorodna. Zastanawiał się, dokąd ich tak wszystkich niesie.

Wcześniej Kozonow nie przypuszczał, że ma w sobie tyle nienawiści. Teraz jednak wszystko pomiędzy kolejnymi mrugnięciami to były kule bezbrzeżnego gniewu, oczy zmieniły się w lufy armat, a każda myśl mknąca wyładowaniem po neuronowej sieci mózgu zamieniła się w ładowniczego tych dwóch ogromnych dział. Cel, pal! Cel, pal! Kanonada trwała już dobre kilka minut. Będący pod ostrzałem Szemrany, czy też Loki, jak właśnie się przedstawił swoim nowym koleżkom, nic sobie jednak z tych kolejnych salw nie robił. Przeciwnie, teraz gdy zrzucił z siebie brzemię niewątpliwie fałszywej tożsamości zachowywał się spokojniej, pewniej. Jakby pozbył się przyciasnego uniformu.

Ale przynajmniej nie jest z policji, pomyślał Kozonow. Wbrew rozsądkowi przyniosło to jakąś ulgę, przywróciło choć cień wiary w porządek świata. Inni mogli być szujami, ale żeby tak pies psu...

- Która jest godzina? - zapytał nagle Loki, podnosząc głowę znad kartki, nad którą od dłuższej chwili się pochylał.

Kozonow już otwierał usta, by odruchowo odpowiedzieć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Koniec z byciem tym dobrym, z pomaganiem, wyjaśnianiem, udzielaniem odpowiedzi. Dopóki ich stąd nie wypuści, nie pomoże temu łachmycie w żaden sposób. Potem zresztą też nie, ale...

- Dwudziesta trzecia dochodzi - usłyszał nagle głos Niecnoty.

Odwrócił się i spojrzał na niego z wyrzutem, co gruby policjant zbył wzruszeniem ramion.

- No co - rzucił. - To żadna tajemnica, nad drzwiami jest zegarek.

Kozonow miał mu już właśnie wyjaśnić swój nowy punkt widzenia, ale wtedy Loki przywołał byłych aresztantów gestem i ukradkiem zerknął na pogrążonego we śnie chudzielca w kręgu. Znaczyło to zapewne, że ma swoim nowym kompanom coś do oznajmienia; posterunkowego mocno interesowało, co to takiego.

- Dobra - zaczął Loki, nie za głośno, ale też nie szeptem. - Mamy chwilę, by sobie to i owo wyjaśnić. Bez specjalnych szczegółów, ale i też bez ścierny, bo... aż się sobie dziwię, że to mówię, ale musimy sobie zaufać, by przeżyć następnych parę godzin. Choć ostrzegam, że w to, co mam wam do powiedzenia, trudno będzie...

- Nie owijaj wnętrzości na kijek, stary. - Kędzior klepnął go w ramię. - Nie takie rzeczy żeśmy z bratem pewnie po pijaku...

- Jestem bogiem - przerwał mu Loki.

Kędzior umilkł i skubnął brodę, zastanawiając się, jak właściwie powinien zareagować na takie słowa. Możliwe, że był to jedyny wariant, jakiego się nie spodziewał. Uprzedził go Zwierzchowski.

- U nas na Śląsku był już taki jeden, co tak mówił, i się potem z dachu... ej, jak to, kurwa, zrobiłeś?!

- Co takiego? - zapytał siedzący naprzeciwko Zwierzchowski numer dwa.

Był identyczny z oryginałem, jeśli nie liczyć tkwiącej w zębach wykałaczki, nawet głos miał taki sam. Zaraz potem zmienił się kolejno w Kędziora, Alojza, a potem papieża, murzyńską piosenkarkę, której nikt z zebranych nie pamiętał z nazwiska czy ksywy, i aktora, tego z bródką z *Avengers*.

- Mówiłem już, jestem... - powiedział i wyszczerzył się tym swoim hollywoodzkim uśmiechem. - Jestem bogiem.

- Niezłe, kurweczka - przyznał Zwierzchowski, gdy Loki wrócił już do swojej postaci.

Tylko Alojz nie wydawał się przekonany.

- Te, Richard, a pamiyntosz ta dziółszka z Krakowa, co to mordowała ludzi? Łona tyż tak poradziła godać.

- Zwierzchowski pokiwał głową smętnie, jak ktoś, komu właśnie wyjaśniono mechanizm zaskakującej magicznej sztuczki.

- W sumie to mi kolega podpowiada, że znaleźmy już taką jedną, co tak robiła. Więc wiesz, numer nie tylko zgrany, ale wykonany przez laskę.

- A wszystko jest lepsze, gdy ma cycki - zauważył Kędzior i zaraz dodał, patrząc na Alojza: - Nie, stary, ty nie.

Loki nie wydawał się zbity z pantafyku.

- Oczywiście, że widzieliście takie rzeczy- powiedział. - Jak wspomniałem, nie trafiliście na ten posterunek przypadkiem.

- Ja tu pracuję od siedemnastu lat - zauważył zza jego pleców Kozonow; jego głos drżał, jakby policjant przed chwilą zobaczył ducha.

- To też na swój sposób wyjątkowe. - Loki nawet się nie odwrócił.

Niecnota doskoczył do krat i złapał je, jak wcześniej Kędzior. Choć w tym przypadku nic raczej nie wskazywało na to, by miał je rozerwać. Poziom wściekłości, choć wysoki, nie rekompensował braku mięśni.

- Co to niby miało znaczyć, hę?! - wrzasnął. - Możesz nas zamknąć, ale

nie możesz nas, do cholery, obrażać!

Kozonow nie widział twarzy Lokiego, ale był pewien, że ten uśmiechał się teraz, przerzucał wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego i zastanawiał się, czy rzucić jakimś wyjątkowo złośliwym komentarzem. Sam miałby parę, których użyłby na jego miejscu. Znaczący gdyby był zakłamanym oszustem podającym się za policjanta, a potem... zmieniającym swój wygląd? Nie, pomyślał. To ostatnie musiało mu się tylko przewidzieć, z tego stresu i w ogóle.

- Dobra, do brzegu - powiedział w końcu Loki. - Sytuacja wygląda tak, że ja jestem bogiem, ty strzelasz prądem, ty gadasz po Śląsku i wyglądasz jak kopalnia tłuszczu, a ty... w sumie fajna broda.

- Dzięki.

Kędzior odruchowo pogładził zarost, zaraz jednak cofnął rękę i położył ją na stole. Wyglądał w tej pozycji, jakby w każdej chwili mógł poderwać się do ataku lub złapać za blat i przewrócić mebel, zgniatając pod nim pozostałych.

- Mówisz, koleżko, że jesteś bogiem - kontynuował - i może jesteś, ja się na tym nie wyznaję. Ale czy to aby nie tak, że skoro nim jesteś, to powinieneś móc wszystko?

Zwierzchowski zakołysał dłonią, po której znowu przebiegło kilka elektrycznych wiązek.

- To zależy- powiedział i zwrócił się do Lokiego. - Ty to jesteś bardziej ten „Toooooopcie się, Egipcjanie!” czy „Falalalala World Trade Center”?

- To akurat jeden i ten sam facet - stwierdził Loki. - I nie, ja jestem inny.

- To widzę, ale skąd jesteś? - Kędzior zaczynał się niecierpliwić.

- Przybyłem z krainy lodu i śniegu...

- O, Zeppellini - ucieszył się Zwierzchowski, a Loki wycelował w niego palcem.

- Nareszcie ktoś to załapał. Przedstawiam się tak od nie wiem kiedy i... Dobra, nieważne. Jestem Loki, pan ognia, bóg kłamstwa, do usług. - Skłonił się lekko. - To co, mogę już? W sensie mówić dalej?

Alojz znowu okazał się tym nieprzekonanym i zwrócił się do Ryśka:

- Kłamstwa? To kto umie pedzieć, czy nos niy cygani?

Zwierzchowski zbył go machnięciem ręki.

- Weź ty nam tu, Alojz, nie wpierdalaj logiki, gdzie jej nikomu nie trzeba. A ty, blondynek, mów.

- A jak skończysz szlugi i wódę, to możesz nawet się nie streszczać.

- Ej - zza ich pleców znowu odezwał się Kozonow - tu nie wolno palić. Znaczek jest.

Wskazał ręką na tabliczkę przy wejściu. Kędzior spojrzał najpierw na niego, potem na tabliczkę.

- Weź ty się pobaw pałką, co? A ty, panie boże, nawijaj.

Loki rozgryzł wykałaczkę i wypluł drzazgi na leżącą przed nim kartkę. Tę zgiął w pół i przesunął na bok, patrząc, jak wilgoć śliny powoli przegryza się przez papier.

- Do rana to nie, bo nie mamy aż tyle czasu - powiedział, po czym odwrócił się i wskazał na chudzielca. - Ten gość to Morfeusz, władca snów. Jeśli kiedykolwiek mieliście koszmar o tym, że stoicie nago pośrodku klasy, to właśnie jemu go zawdzięczacie.

Kędzior pokręcił głową.

- Akurat u mnie to nie był taki koszmar. Pamiętacie ten akademik, co wcześniej mówiłem? Ten żeński? No więc założyliśmy się kiedyś... - Przerwał, czując na sobie spojrzenia wszystkich. Westchnął i gestem zachęcił Lokiego, by mówił dalej.

- Jeśli ktoś w zasięgu Morfeusza śpi, to on może przejąć nad nim kontrolę. Może kazać mu robić rzeczy, mówić w jego imieniu i diabli wiedzą co jeszcze. Choć nie - zastanowił się - akurat diabli to na ten temat gównie wiedzą.

Kędzior poskubał brodę, wodząc wzrokiem po pozostałych. Nigdy nie był od myślenia. Nie to, że nie umiał, miał swoje w głowie, ale przy stole zawsze był ktoś, kto podejmował takie decyzje za niego- jak mama albo Stalówka. Można się było z łysą pałą kłócić, ale zwykle albinos miał sporo racji i umiał myśleć strategicznie. Teraz wyglądało na to, że z całej ich trójki tylko Kędzior umiał jednocześnie myśleć i wysłować się po ludzku. Niemal czuł na karku brzemień odpowiedzialności.

- Jaki zasięg ma ta jego moc? - zapytał.

Loki uśmiechnął się, jakby czekał na to pytanie. Wyjął z kieszeni płaszcza pudełko z wykałaczkami i włożył jedną do ust.

- No właśnie w tym rzecz, że jeśli mam rację co do tego miejsca, to w jego zasięgu jest teraz całe miasto. Wszyscy, którzy w nim zasną, przyleżą tu, by go uwolnić. Pewnie część z nich już tu idzie - dzieci, starsi jacyś. Pierwsza fala...

- Ty, a nie moglibyśmy go po prostu puścić? - zapytał Zwierzchowski. - Może wiesz, przepraszam, kawa na drogę, jakieś ciastko? Po chuj go w ogóle łapałeś?! Przecież nie jesteś gliną.

Bóg kłamstwa westchnął ciężko. Wyjął z ust wykałaczkę, położył na stole i trącił ją palcem.

- To są właśnie szczegóły, w które nie chciałem wchodzić - stwierdził, patrząc na patyczek. - No ale niech będzie. Bogów jak ja jest wielu, o różnym stopniu mocy. Są tacy zupełnie słabi, kryjący się pośród ludzi, są też całkiem sprawni, robiący za gwiazdy, polityków i innych takich. Część kryje się gdzieś i planuje powrót do chwały. No i jest ten, którego chrześcijanie nazywają Stwórcą. I to generalnie jest *capo di tutti capi*. Don Corleone bogów. Sauron, jeśli czytaliście *Władcę Pierścieni*. On jest najważniejszy i rządzi. Znaczący rządził, bo jakiś czas temu zniknął, zostawiwszy tylko dość nieprecyzyjne rozkazy dla swoich armii.

Alojz, który jeszcze przed chwilą całą uwagę poświęcał widokowi za oknem, nagle się poruszył i skupił wzrok na Lokim.

- Jezderkusie! A łód kiedy? Bo wiysz, jeszcze na Wielkanoc my ciepli na taca.

- Dałeś to dałeś - uspokoił go Zwierzchowski. - Pewnie jakiś anioł to skrętnie zapisał, będzie oprocentowane, i jak Bóg wróci, będzie tego tyle, że cię z butami do Nieba weźmie. No ale pytanie zasadne, panie bogu kłamco. Od dawna go nie ma?

Loki rozłożył ręce.

- No co mam ci powiedzieć, dość dawno. Ale są ci jego aniołowie z rozkazami, że mają zrobić czystki. To znaczy jest zwłaszcza jeden taki archanioł... No co się tak na siebie gapicie, Ślązaki? Tak, powiedziałem archanioł. Najprawdziwszy, z płonącym mieczem. Psychol jakich mało, ma swoją interpretację pierwszego przykazania. Kiedyś było, że żadnych bogów przed Stwórcą, ale on to sobie skrócił i uprościł do „żadnych bogów” i kropka. No i teraz tu są mityczni - położył na blacie jedną rękę, a potem równoległe, najdalej, jak sięgał, drugą - a tu skrzydlaci. I trwa zadyma.

Kędzior aż cmoknął z uznaniem.

- A ja głupi na religii w statki grałem.

Zwierzchowski pokiwał głową, ale jego zmarszczone czoło sugerowało, że nie wszystko mu gra w tej historii. Po dłuższej chwili zapytał:

- Czekaaj, ale ten Morfeusz, to on przecież też mityczny. Jak ty. To za co

go aresztowałeś? Dawał dupy aniołom czy jaki chuj?

- Nie on - odparł Loki. - Ja.

- Dawałeś dupy aniołom?!

- Pracuję ze skrzydlatymi - wyjaśnił bez większego skrępowania bóg kłamstwa. - W zasadzie to dla nich. Dostałem kiedyś taki wybór i teraz...

- Znaczący żeś jest taki folksdojcz ino łód aniołów, ja? - upewnił się Alojz.

W pierwszej chwili Loki spojrział na niego ostro, zaraz jednak jego wzrok złagodniał, a on sam się roześmiał się. Wyjął kolejną wykałaczkę, obrócił w palcach i wsunął do ust.

- Chyba można mnie tak nazwać, anielski folksdojcz - powtórzył sobie. - W każdym razie tego tutaj złapałem i miałem przekazać archaniołom. Problem w tym, że nie doceniłem skurwiela, a on zna się na swojej robocie lepiej, niż mi się zdawało. Bo generalnie ci inni mityczni siedzą w bagienku własnych wyznawców i rzadko się zdarza, by któryś umiał poza swoją wiarę nos wyściubić. A ten tutaj najwyraźniej załatwił nas starą, celtycką sztuczką, która nazywa się Mgły Avalonu. Polega ona na tym, że... a nie, zaraz. Posterunkowy, jak się nazywa to miasteczko?

- Nic mu nie mów - wycodził Kozonow, siedzący z twarzą wciśniętą między kraty.

- A co za różnica, Felek - mruknął zrezygnowany Niecnota. - Jabłonowo Małe - dodał głośniejsze.

- Dzięki. - Loki uniósł palec, jakby właśnie coś udowodnił. - No właśnie, zgadza się. Nazwa miejsca musi mieć coś wspólnego z jabłkami, żeby dało się to powiązać z Avalonem, wyspą jabłoni. Pewnie w trakcie transportu drań zobaczył tabliczkę i mu się przypomniało. W każdym razie, gdy ktoś rzuci taki czar, mgły rozpełzają się w czasie, przestrzeni i wymiarach i szukają pobliskich kandydatów na bohaterów, by poddać ich próbie. Areną dla tych prób, odpowiednikiem wyspy, czynią miejsce poza czasem i przestrzenią. Bohaterowie, zwłaszcza ci będący już w podróży, trafiają tu po poplątanych ścieżkach. Potem, jeśli próba się uda, odejdą wolno, a ktoś napisze o nich pieśń. Ale jeśli nie...

Przejechał ręką po szyi na tyle sugestywnie, że Zwierzchowski aż przełknął nerwowo ślinę.

- A gdzie mam zgłosić, że się wypisuję? - zapytał. - Ze mnie żaden bohater, a już z Alojza to w ogóle. On by mógł co najwyżej próbę zeżarcia rolad z kluska... auu! Co mnie, kurwa, pod stołem kopiesz, jak ci dupę

ratuję, hanysie pierdolony?!

Loki wstał i się przeciągnął.

- Nie można się z tego wypisać - odparł. - Tak jak nie można się było wpisać. Nie nasz wybór.

Kędzior obejrzał się przez ramię i uważnie przyjrzał Morfeuszowi.

- A gdyby go tak, no wiesz... - Spróbował to wyrazić niewerbalnie i może subtelniej, ale kompletnie nie miał pomysłu ani na jedno, ani na drugie, więc ostatecznie machnął ręką. - No zajebać, znaczy?

Bóg kłamstwa wzruszył ramionami.

- On stworzył arenę, więc w sumie nie wiem, co by się stało - odparł. - Może zniknęłyby mgły, a może całe miasteczko razem z nami? Wiem za to, że aniołowie, a zwłaszcza archanioł Michał, chcą go żywego. A jeśli w perspektywie masz walkę albo z armią lunatyków z Jabłonowa Małego, albo z tym skrzydlatym skurwielem, to wierz mi, że wybór jest prosty.

6.

Tłum śpiących płynął niczym rzeka całą szerokością drogi i nic nie wskazywało na to, by miał się skończyć i uczynić ją w jakikolwiek sposób przejezdną w przewidywalnym czasie. Nie dało się go wyminąć, nie widzieli sensu w tym, by się wmieszać i przebijać. Pozostawało czekać. Dzwoneczek siedziała na motocyklu Stalówki ze śpiącą dziewczynką na kolanach; jedną ręką zabezpieczała małą, by nie spadła, w drugiej trzymała dogasającego papierosa. Milczek przechadzał się wzdłuż ściany mgły; raz po raz wkładał w nią rękę i wzdrygał się, by zaraz wyszczerzyć jak kompletny idiota. Stalówka siedział na asfalcie, usiłując naprawić zapalniczkę. W pewnym momencie uniósł głowę.

- Pamiętasz, jak kiedyś utkwiliśmy z ciekawskim Grzesiem za procesją w Boże Ciało i musieliśmy siedzieć w jego polonezie, bo nie byliśmy dobrze ubrani?

Dzwoneczek się zamyśliła. Ledwie pamiętała tego pulchnego facecika imieniem Grzegorz, pracownika kadr w jakimś dużym zakładzie przemysłowym, który zdobył swoje przezwisko za sprawą maniery językowej objawiającej się zwłaszcza w nerwowych chwilach. Mówił: „Zaraz ja ci tak zadzwonię przy uchu i ciekawe, co się stanie!”. Albo: „A teraz przez tydzień nie będziesz oglądał telewizji i ciekawe, co ty na to!”. Czerwienił się przy tym każdorazowo i pieklił tak, że mu szkła okularów

zachodziły parą.

Byli razem może z pół roku, miał się nawet wprowadzić, ale wtedy Dzwoneczek urządziła sobie wieczór szczerości z winem i ostatecznie doszła do wniosku, że aż tak nie potrzebuje stabilności w życiu. Facet był zwyczajnie nudny, a do tego pełen kompleksów, wychodzących coraz częściej w codziennych sytuacjach, tak jak w tamten czwartek.

- Kto tam wtedy z nami był? - zapytała.

- Ty, ja i bliźniaki. - Stalówka wziął w dwa palce kamień z zapalniczki i obejrzał go dokładnie. - Nie mieliśmy jak wycofać, bo uliczka była wąska i zaraz za nami ustawił się korek, a procesja szła... no, jak ci tutaj. No to wszyscy wyszli - jakieś lody z pobliskiego sklepu, jakieś pepsi... a on nam kazał siedzieć.

Skinęła głową. Pamiętała tę sytuację, rzeczywiście. To był bodaj ostatni moment, gdy powstrzymała się od uwag i kłótni, pokornie znosząc jego dziwactwa. Była wtedy chwilowo bez pracy, a on, cokolwiek by o nim powiedzieć, pomagał jej w rachunkach. Ale czuła na sobie wtedy spojrzenie chłopców, ten niemy wyrzut, że nie interweniuje w obliczu tak jawnej niesprawiedliwości. Potem temat, nieporuszany, jeszcze długo wisiał między nimi.

- Jechaliśmy wtedy na kąpielisko. Dojechaliśmy w końcu?

- Nie. - Stalówka pokręcił głową z wyraźnym rozbawieniem. - Drugi z tego upału dostał jakiegoś udaru i ledwie przetrzymaliśmy procesję, pojechaliśmy na pogotowie.

Część zapalniczki wyleciała mu z ręki, więc zniecierpliwiony trzepnął dłonią resztę, wstał i rozkopał kawałki butem. Wyjął papieros z za ucha, wsunął go do ust i podszedł do Dzwoneczka. Uniósł jej dłoń z wciąż żarzącym się niedopałkiem, odpalił.

- Ale powiem ci, warto było tam siedzieć, żeby zobaczyć Kędziora idącego w procesji - stwierdził, wypuszczając dym po pierwszym zaciągnięciu.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Że co?

- No Kędzior. - Stalówka uśmiechnął się szeroko. - Był tam, ubrany elegancko, nawet krawat sobie zawiązał. Idiotycznie, jak powróż, ale jednak. Dzwoneczek pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Wkręcasz mnie teraz. Po cholere on miałby... Anie, czekaj. Ta jego

Jagódka, to ona nie była aby z Oazy?

Stalówka raz jeszcze się zaciągnął i dmuchnął w stronę mgły. Dym zlał się z nią, wtopił w niematerialną ścianę i z miejsca zastygł w szarych, nieruchomych oparach.

- Ponoć ostatecznie udało mu się ją wkręcić jakimś cytatem z pisma - podjął albinos po chwili - że ręczne robotki są spoko i na chwałę Pana, ale co się przy tym biedak namęczył... W każdym razie widzieliśmy go już w jednej procesji. Teraz, kto wie, może zobaczymy go w drugiej.

- Może.

Dzwoneczek westchnęła i spojrzała na wciąż ciągnący się tłum, jego obwisłe piersi i brzuchy, ponaciągane koszulki, dresy, majtki wrzynające się w rowki, uda pokryte cellulitem. Nic nie wystawało nad lśniąco łysiny i skłębione w nieładzie włosy. Żaden rudy łeb.

- Ślini się - zauważył Stalówka.

- Co?

Wskazał palcem na dziewczynkę.

- Ślini się i zaraz będziesz cała mokra.

- Szlag!

Dzwoneczek odsunęła od siebie dziewczynkę i z grymasem obrzydzenia dotknęła wilgotnego miejsca.

- Teraz pomysł odstrzelenia jej łba nie wydaje się już takim złym pomysłem, co?- zaśmiał się albinos.

- Pierdol się, Stalówka - położyła małą na siedzeniu. - I wiesz co? Chodźmy, tym razem nie będziemy czekać do końca procesji.

7.

Drzwi trzasnęły i grzmotnęły o framugę, a do środka wpadł, drąc się w niebogłosość, otyły mężczyzna w przykrótkiej żonobijce i gaciach do kolan. W jednej ręce trzymał wałek, w drugiej nóż do chleba, a usta miał rozdziawione tak, że gdyby nie było słychać krzyku, prędzej można by pomyśleć, że ziewa.

Bóg kłamstwa zareagował błyskawicznie. Dobywając broni, odwrócił się na pięcie i strzelił z biodra. Kula weszła gładko w otwarte usta faceta z wałkiem, jego mózg wykwitł na ścianie obok drzwi wzorem przypominającym nieco indiański łapacz snów. Przerażony Kozonow

patrzył na osuwające się powoli ciało, a gdy zniknęło za stołem, przeniósł wzrok na Lokiego spokojnie chowającego broń.

- To był... to był... - spróbował wydusić z siebie, czując, że właśnie robi mu się zimno i dostaje drgawek. - To był Czesiek Bosak. Piekarz.

Loki pokiwał głową ze zrozumieniem.

- No tak- powiedział.- Nie dziwota. Ci to się zwykle kładą wcześniej. Ale spokojnie, panie posterunkowy. To nie tak, że on naprawdę nie żyje. To trochę jak sen, rano się obudzi z bólem głowy. Ale zaraz będzie ich tu więcej, więc jakbyście pomogli mi zastawić te drzwi i okna, byłoby miło. Kędzior, możesz odstawić stołki i... o właśnie, dzięki. A teraz, jakbyś mógł tu przynieść któreś z tamtych biurek z drugiego pomieszczenia, a my zajmujemy się tym.

Kozonow zamrugął z niedowierzaniem. Wszystko w nim krzyczało, że właśnie, kurwa, zginął człowiek. Sąsiad. Facet, który co prawda czasem sprzedawał czerstwe bułki, jak mu nie zeszyły jako świeże, i smażył pączki na tym samym oleju zbyt wiele razy, ale przecież...

- Nie zasłużył na śmierć - za jego plecami powiedział Niecnota. - To było najzwyczajniejsze w świecie morderstwo!

Loki, targający właśnie biurko do spółki ze Zwierzchowskim i Alojzem, zatrzymał się w pół kroku.

- Coś ty powiedział? - wycedził. - Najzwyczajniejsze?

Utrzymał tę gniewną powagę kilka sekund, po czym uśmiechnął się i puścił oko.

- Już ci mówiłem - powtórzył. - To tylko sen. Nic mu nie będzie. Ale my możemy zginąć naprawdę.

Ustawili biurko przy drzwiach. Wcześniej musieli odsunąć na bok ciało, by nie zawadzało. Posadzili je przy ścianie i oparli głowę o ściankę biurka, tak że piekarz wyglądał, jakby spał.

- Widziałem kiedyś, co ten piaskowy skurwiel każe im czasem robić - wyjaśnił Loki, wpatrując się w ciało. - Gdybyśmy go nie powstrzymali, Morfeusz kazałby mu do skutku przeciskać się między kratami. Albo zabić nas i wyjść nam twarzą.

- Nie możesz tego wiedzieć! - krzyknął Kozonow, wciąż wpatrując się w zwłoki. Zupełnie nie kupował tłumaczenia o śnie. Tam była krew i kawałki mózgu, a wszystko układające się we wzór indiańskiej pamiątki sprzedawanej od Helu po Zakopane. - To nie była obrona konieczna!

- Żadna nie jest - wzruszył ramionami Loki. - Zawsze możesz się poddać i dać sobie spuścić łomot. Ja uważam to za głupotę, ale chrześcijanie czasem dają za to ołtarze. No dobra... - rozejrzył się - gdzie tu jest magazyn broni?

- Nigdy się tam nie dostaniesz! - krzyknął Niecnota z desperacją w głosie. - Jest zabezpieczony cyfrowym zamkiem na kod, którego złamanie...

Przerwał na dźwięk wciskania kolejnych klawiszy na tonowej klawiaturze; potem rozległ się trzask otwieranego magnetycznego zamka. Po chwili zza rogu wyłonił się Kędzior uzbrojony w karabin i z kilkoma pistoletami wetkniętymi za pasek.

- Robiłem w tym kiedyś- wyjaśnił. - Znaczy w instalacji zamków. Nie spotkałem jeszcze nikogo w państwowych firmach, komu chciałoby się czytać instrukcję i przeprogramowywać te cacka z ustawień fabrycznych.

Położył karabin na biurku i zaraz dorzucił do niego wszystkie pistolety prócz jednego.

- Jest tam jeszcze coś, ale wszystko w takim samym stanie. Jak to ma być, kurwa, zbrojownia, to ja jestem pierdolona Matka Polka wypoczęta!

Gdy wrócił, uzupełnił stosik o kilka nowych znalezisk, a wtedy cała niezamknięta czwórka zgromadziła się nad bronią.

Kozonow patrzył na nich z rosnącym przerażeniem. Dłonie pobieleły mu od ściskania krat. Przecież wiedział, czym to się skończy. Żaden z tych świrów nie przejął się śmiercią Bosaka, być może nawet uwierzyli w tę brednię o śnie. A to znaczyło, że jeśli Szemra... znaczy Loki ma rację i zjawi się tu zaraz pół miasteczka, lada chwila rozpocznie się masakra. Obejrzał się na Niecnotę i dostrzegł na twarzy kolegi ten sam strach.

„Co robimy?” - zapytał bezgłośnie. Niecnota wyjął pałkę, wsunął ją między kraty i napał. Nikt z czwórki tego nie widział, ale też nie przyniosło to żadnego skutku.

Nadal stali nad stosikiem broni. Czterech... Dopiero teraz do posterunkowego dotarło, że są jak ci z Biblii, czterej jeźdźcy apokalipsy. Bojowy olbrzym to wojna, a gruby Ślązak wyglądał tak, jakby jednym obiadem do syta mógł wywołać głód w całej Europie. Do tego chudy rockman, zaraza nosząca pewnie w sobie zalążki wszystkich chorób wenerycznych świata. No i ten ostatni, który próbował właśnie wmówić im wszystkim, że sen i śmierć to jedno, przynajmniej w przypadku Czeška Bosaka.

Stali tam sobie i rozmawiali jak gdyby nigdy nic. Wyglądało na to, że ze

znalezisk, szczególnie jednego z nich, najbardziej ucieszył się Ślązak. Podniósł z podłogi starego, przechodzonego kabekasu, przymierzył się.

- Za bajtla wygrał zech kiedyś zawody na romlu, mogli my tam szczyłać z kabekasu. O, wejrzyj się, dokładnie taki som - wyjaśnił swój entuzjazm.

Bóg kłamstwa pokiwał głową, po czym sam podniósł z podłogi jeden pistolet i wepchnął go za pasek.

- Dobra, to teraz...

Umilkł i uniósł palec.

- Słyszycie?

Odgłos dochodzący z zewnątrz, w pierwszej chwili bardzo cichy, z każdą chwilą narastał - szuranie i cichy basowy pomruk wzmacniacza, raz po raz rozlegały się też jakieś pojedyncze stęknięcia, chrapnięcia, pierdy. Loki rzucił się do okna, zerknął przez nie.

- Idą! Całą bandą! - zawołał. - Co za pieprzone miasto nudziarzy, żadnych, kurwa, rozrywek na wieczór nie mają?! Dobra, zajmować pozycje. A, jeszcze jedno, najpierw próbujcie ich budzić. Może być ostro, brutalnie, ale budzić. Zabijanie tylko w ostateczności, bo mi potem skrzydlaci nie darują. Jasne?

- Przecież właśnie powiedziałeś, że to nie jest prawdziwa śmierć, draniu. Kłamałeś! - Kozonow, świadom, że w swojej bezradności za oręż miał tylko słowa, postanowił dźgnąć nimi w samo serce. - Kłamałeś i odpowiesz za to!

- Szlag, masz rację, dałem ciała - odparł Loki, szczerząc się. - I jak nic odpowiem. Wyrzucą mnie ze stowarzyszenia bogów kłamstwa, nawet mimo opłaconych składek.

Przegryzł wykałaczkę i wypluł połówkę.

- Na razie jednak się skupcie - polecił. - Morfeusz jest potężny, zwłaszcza tutaj, ale długo takiej bandy nie utrzyma. Same Mgły Avalonu to zakłęcie strasznie męczące i dające w kość. Musimy więc wytrzymać najdalej do świtu. Co wy na to?

CZ. 2

APOKURWALIPSA W JABŁONOWIE DOLNYM

8.

Kędzior podniósł z podłogi dwa stołki o okrągłych siedziskach i założył je sobie na ręce niczym bokserskie rękawice. Uderzył jednym o drugi i wyszczerzył się szeroko.

- Bangarang! - ryknął i odwrócił się.

Zrobił to w samą porę, bo właśnie rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i przez zakratowane okno sięgnęła do niego czyjaś ręka. Damska, o wypielegnowanych paznokciach, na razie bez żadnego ubytku. Kędzior nie był potworem, a wychowany przez Dzwoneczka wiedział, ile kosztuje zrobienie, a potem utrzymanie takich paznokci. Ile czasu, przygotowań, ile nerwów, gdy coś się odklei, odprysnie czy ułamie. Dlatego zrzucił z dłoni jeden stołek, złapał za tę rękę, chwytając ostrożnie za nadgarstek, unikając choćby dotknięcia smukłych palców. Dopiero wtedy szarpnął, przyciągnął do siebie i uderzył krawędzią siedziska stołka, łamiąc kości przedramienia.

- Przepraszam, panią - powiedział, a ktoś na zewnątrz wrzasnął przeciągle, piskliwie. Trudno było jednak orzec, czy obudził się z bólu.

Olbrzym postanowił tego nie roztrząsać, zwłaszcza że podczas schylania się po stołek dostrzegł natarcie śpiących na drzwi wejściowe. Nawet zastawione biurkiem broniły się tylko przez chwilę, by zaraz pęknąć w połowie pod naporem pochrapującego tłumu. Górna część odskoczyła na bok jak drzwi w stajni. Biurko przesunęło się, na razie tylko kawałek, bo zaparło się o wystającą płytkę podłogi, ale przez otwór nad nim już się ktoś wpychał. Już dało się dostrzec pierwszą szlafmycę i czyjeś wałki. Pierwsza ręka sięgała do krawędzi blatu, by go złapać i dzięki niemu wciągnąć resztę do środka.

Huknął strzał, potem kolejny i najpierw cofnęła się łapa, a potem szlafmyca poleciała do tyłu, zataczając w powietrzu łuk maleńkim, czerwonym pomponem.

- Kędzior, atakuj! - krzyknął Loki.

Przez wielkoluda przemknęła buntownicza myśl, że co tu się właściwie odpierdala i dlaczego miałby kogokolwiek słuchać, ale jego ciało zachowało się zdecydowanie karniej wobec okrzyku niż jego przemyśleń. Olbrzym doskoczył do biurka, zaparł się nogami i machnął z solidnego zamachu. Głowa w wałkach grzmotnęła o framugę, ale zaraz się otrząsnęła. Potrzebowała kolejnego ciosu stołkiem, by osunąć się... i zaraz wpuścić następnego śpiocha.

Wieczorem musiała być naprawdę ładna, przemknęło Kędziorowi przez myśl, gdy jego wzrok omsknął się na moment na dwie wypukłości pod niemal przezroczystą, zwiewną koszulką. Ale to było wcześniej, zanim jeszcze na włosach pojawiła się porwana teraz siatka, zanim twarz pokryła się spękaną mazią barwy gnijącego groszku, a zmarszczki wypełniły się błotem. Aparat na zębach błyskał refleksami jarzeniówkowego światła, a na oczach, niczym monety na kładzione na ciałach w dawnych kultach, kobieta miała po plastrze ogórka.

Przerażające, pomyślał motocyklista. Jakby obserwować przepoczwarczenie się motyla albo tę fajną rudą laskę z *Gry o tron* po tym, jak zdjęła magiczny naszyjnik. Brrr... Mimo to piersi tej tutaj, kształtne, wciąż jędrne i z pewnością twarde półkule przyzywały go. Niczym syreny śpiewały swoją pieśń, o której wiedział, że przyniesie mu zgubę, lecz mimo to nie potrafił się...

Poczuł nagle, jak włosy stają mu dęba, a w powietrzu rozchodzi się zapach ozonu. Błyskawica niczym pocisk śmignęła mu przed nosem, rozwarstwiając się, rozłaząc w rozedrganym powietrzu niczym zaniedbany włos. Trafiła zielonogębą w szyję. Ta wyprostowała się nagle, wyprężyła, a z maseczki na jej twarzy w jednej chwili wyparowała resztką wilgoci. Kobieta wyglądała, jakby skamieniała, i właśnie jak kamienna rzeźba, której postumentem ktoś zachwiał, runęła na blat. Kędzior obejrzał się i dostrzegł Zwierzchowskiego wciąż złożonego do strzału. Wyglądał trochę jak z plakatu tego filmu o czarodzieju z blizną. Czy też raczej, by dokładniej oddać myśl olbrzyma, z powstałej na podstawie tego filmu rock opery w wykonaniu rezydentów domu starców.

- Dzięki, dziadek! - zawołał Kędzior i pomachał stołkiem.

Zwierzchowski czuł przepływającą przez niego moc. Miał wrażenie, że pęcznią mu mięśnie, skóra się naciąga, ujędrnia, a on sam z każdą chwilą zyskuje niezwykłą energię, która w nim narasta, aż wreszcie, potrzebując ujścia, wystrzeliwuje spomiędzy palców. Zrobił to przypadkiem. Znaczący trafił tę zielonogębną. Przepadkiem, bo musiał się pozbyć nadwyżki mocy, ale uznał, że dobrze wyszło, bo olbrzym, z którym źle zaczęli, a teraz najwyraźniej stał się jego sojusznikiem w bitwie, uznał to za pomoc.

- Nie ma sprawy - powiedział Zwierzchowski, gdy wielkolud zamachał mu krzesłem. - Też mi czasem odpierdala na widok fajnych cycków. Ale dajesz, brachu. Nie odpuszczamy. Rock and roli!

- Bangarang! - odkrzyknął niezrozumiale tamten.

Znowu trzasnęła jakaś pękająca szyba, ktoś coś wrzucił do środka. Kamień, a może kawałek cegły grzmotnął o podłogę i potoczył się z łoskotem, jednak za daleko, by komukolwiek zagrozić. Zwierzchowski miał jednak doświadczenie w takich sprawach i wiedział, że to dopiero początek. Widział te gęby próbujące się przepchnąć między kratami. Na razie wyglądało to śmiesznie, ale przecież w pewnej chwili skóra ustąpi, razem z nią mięśnie. Kości się ugną. Jeśli nie uda się ich ani obudzić, ani zneutralizować inaczej, śpiący prędzej czy później się tu wedrą!

Rozejrzał się za Alojzem. Grubas, trzeba było mu to przyznać, umiał się zwykle odnaleźć w ryzykownych sytuacjach i nieraz wspierał Zwierzchowskiego w akcjach spod znaku Dreszcza. Teraz też sobie radził. Wsparty o ścianę raz po raz strzelał do głów pojawiających się w oknach i przeładowywał kabekaes. Strzelał i przeładowywał. Był jak maszyna. Jak terminator, którego metalowy szkielet zatopiono w tłuszczu, by przeszmuglować go przez wehikuł czasu. Hanysator! Śląski snajper. Sztygar Zagłady.

- Hej, z tyłu! - krzyknął nagle Loki. - Tam coś chrobocze! Jest tam jakieś drugi wyjście?

- Nic wam nie powiemy! - wrzasnął Niecnota. - To jest rzeź, to masakra! To...

Zwierzchowski strzelił z palców raz, prosto w grubego policjanta, a potem drugi, by na wszelki wypadek uspokoić też kolegę. Przez głowę, podobnie jak iskry po ciele, przebiegła mu w tym momencie myśl, że zachowuje się jakoś dziwnie. Bez problemu uwierzył komuś, kto

przedstawił się jako bóg kłamstwa, a teraz faktycznie pomaga w dokonaniu rzezi na mieszkańcach miasteczka, tylko dlatego, że... no właśnie, co?

Dlatego że cię atakują, rozległ się głos w jego głowie. Zaraz potem usłyszał krzyk Alojza i dźwięk, który mógł być albo chrapnięciem albo krzykiem w wykonaniu kogoś, komu usunięto krtań. Zwierzchowski się odwrócił. Za klatką, w miejscu, które dotąd wydawało się ścianą, a było w rzeczywistości zaszpachlowanymi drzwiami wiodącymi nie wiadomo dokąd, stał ogromny facet. Był łysy, niekoniecznie z wyboru, a pod nosem pysznił mu się gęsty, swojski wąs. Na policzkach miał alkoholowe wykwity, czoło zroszone potem, ale gdyby nie wystający zza paska wielki brzuch przypominający trochę ogromny skórzany bukłak, gość mógłby uchodzić za rasowego strongmana. Szeroką, barbarzyńską pierś porastał czarny, gęsty mech. Masywne barki przechodziły w umięśnione, pokryte żyłami ramiona, a te z kolei w solidne, wytatuowane przedramiona. Dalej były już tylko okrwawione rękawice i dwa ogromne, brudne tasaki, którymi wywijał na boki z żonglerską wprawą. Brakowało tylko, by zaczął je podrzucać. Dreszcz złożył się do strzału, zanim jednak zdążył porazić giganta, rozległ się huk i z nadętego brzucha trysnęła krew.

Zwierzchowski posłał Lokiemu spojrzenie pełne wyrzutu, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Sorry- uśmiechnął się przepraszająco. - Widziałem, że też miałeś chrapkę na rzeźnika, ale ja strasznie lubię tę scenę z *Poszukiwaczy zaginionej Arki*. Między nami gra, nie?

Nie czekając na odpowiedź, wykręcił piruet i zaczął tłuc kolbą pistoletu w ręce wystające z okna. Przypominało to rozgrywkę na tym automacie do gier z salonu gier przy katowickim kinie IMAX, gdzie traktowałeś młotkiem pieski preriove. Było w tej czynności coś hipnotyzującego, a rytm uderzeń z każdym kolejnym stuknięciem coraz bardziej przypominał perkusyjną partię... No właśnie, czego? Co to był za...

- Aaaa, *Another one bites the dust* - zawołał nagle, z jednej strony zadowolony, że odgadł, z drugiej zawstydzony, że tyle zajęło mu skojarzenie znanego przecież kawałka.

Już miał zamiar podzielić się tą refleksją z Alojzem, ale w tym samym momencie dostrzegł, że w jednym z okien zbiorczy wysiłek śpiących dał właśnie radę kratom. Stojący w pierwszym szeregu półnaczy chłopcy, wyglądający jak lokalna drużyna piłkarska, wyrwali je razem z zaprawą i odrzucili gdzieś za siebie, nie bacząc na to, kto z sąsiadów, znajomych,

może kolegów czy koleżanek stoi za nimi. To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia prócz woli siedzącego w klatce chudego wymoczka.

Gruby Ślązak złapał kabekaes w obie ręce, jakby miał na nim bagnet. Rzucił się do przodu z wrzaskiem, którego wystarczyło mu na ledwie kilka kroków i który zaraz przerodził się w astmatyczne charczenie.

- Idę do ciebie, grubasie! - zawołał Zwierzchowski. - Ktoś pomoże?

- Nie da rady! - krzyknął Loki.

- Ja też sanepid w burdelu! - odwrzasnął Kędzior.

Jeden i drugi już bez opamiętania tłukli napierających śpiących, jeden stołkami, drugi kolbą. Tryskała krew, wylatywały zęby, a wszystko to w rytmie przeboju grupy Queen. - A jebać!

Dreszcz rzucił się do biegu, a elektryczne wiązki śmigły już po całym jego ciele. Zbierał moc, ładował się w sposób, którego nie rozumiał, ale doskonale nauczył się go wykorzystywać i kontrolować. W ustach czuł metaliczny posmak, szumiało mu w uszach, nos wypełniła woń ozonu. I nagle przypomniał mu się zupełnie inny kawałek, jakże adekwatny do tej sytuacji. Polski utwór zespołu Dżem.

- Lunatyyycyyyy otaczają mnieeeeeee! - wydarł się najgłośniej jak potrafił...

- Jeeee, jeee jeeeeeee! - podjął chrapliwie Alojz i odwróciwszy kabekaes sprawnie niczym żołnierz z kompanii reprezentacyjnej, grzmotnął kolbą patykowatego golasa, który właśnie wpadł przez okno.

9.

- Stalówka, czy my się zachowujemy racjonalnie? - zapytała Dzwoneczek.

- Jak na nasze standardy czy tak ogólnie?

Od dobrego kwadransa szli w lunatującym tłumie, z każdą chwilą coraz mocniej zdając sobie sprawę, że nic - ani głośne rozmowy, ani potracanie, popychanie czy skubanie policzków - nie jest w stanie wybudzić śpiących. Wędrowali więc z nimi już bez większego skrępowania, po prostu ciekawi, dokąd zmierza ta cała banda.

- Chodzi mi o to - rozwinęła swoją myśl Dzwoneczek - że odkąd znaleźliśmy się tutaj, zachowujemy się dziwnie. Niby jak my, ale nie my. Zobacz, zostawiliśmy maszyny przy drodze...

- A kto miałby je stamtąd zabrać?

- Każdy, Stalówka, w tym właśnie największy problem. Każdy może, bo zostawiliśmy je za miastem na poboczu pierdolonej drogi!

Obejrzała się na Milczka, licząc, że ją poprze, ale zdała sobie sprawę, że nie za bardzo ma jak. Kilka minut temu sama przekazała mu śpiącą dziewczynkę i teraz niemowa miał zajęte ręce.

- Chodzi mi oto, że mam wrażenie, jakby niektóre myśli nie były moje - spróbowała wyjaśnić.- Jakbym po prostu dostawała zadania i musiała je zrealizować. Zostaw maszyny i idź za tłumem. Zaopiekuj się małą. Ale to nie są rozkazy wprost, a raczej takie sugestie ze świadomością, że nie masz wyboru. Jak wtedy, gdy graliście z Kędziorem w tę grę z kostkami i gadaniem...

- RPG - odpowiedział Stalówka, a ona skinęła głową.

- No właśnie, RPG. Pamiętam, jak przyszedłeś się pieklić, że niby macie wolny wybór, ale jak przychodzi co do czego, to macie iść tak, jak on chce i zaplanował.

Stalówka się zamyślił.

- Kędzior był chujowym mistrzem gry - przyznał po chwili. - Ale nie mam pojęcia, co to ma teraz do rzeczy?

- Sama nie wiem.

W międzyczasie weszli już do miasteczka i zabudowania wokół nich gęstniały z każdą chwilą. Minęli dwa spożywcze, monopolowy, straż pożarną i salon meblowy, a z każdej bramy pomiędzy sklepami wylaniały się kolejne postacie. Tak samo jak tłum, byli w piżamach, mieli zamknięte oczy i powłóczyli bosymi stopami, nie zważając na otarcia czy okaleczenia.

- Ciekawe, skąd idzie ten nasz tłum - mruknął Stalówka. - Chcesz coś powiedzieć, Milczek? Dobra, możesz ją postawić, przecież nic jej nie będzie.

Milczek rzeczywiście postawił dziewczynkę na nogach, a ta, niczym nakręcana zabawka, ruszyła, jeszcze zanim ją na dobre postaviono. Po kilku krokach wdepnęła w szkło z rozbitej butelki, ale nawet się nie skrzywiła. Milczek na ten widok wzruszył ramionami, po czym zamigał kilka słów. Najwyraźniej chwilę temu minęli mapę, z której wynikało, że Jabłonowo Małe, w którym się właśnie znajdowali, ma kształt nerki. Droga, na której zostawili maszyny, przechodzi przez środek lasku wcinającego się w przewężenie terenu zabudowanego.

- To znaczy, że wszyscy mieszkańcy miasta zmierzają na śpiąco do jednego, konkretnego punktu, który...

Nie dokończyła, bo nagle z oddali dobiegła ich seria wystrzałów, a zaraz potem ryk:

- Bangarang, pierdolone ululańce! A masz, ty śpiąca kurewno!!!

Krzykom towarzyszyły odgłosy rozróby.

- Biegiem - zakomenderowała Dzwoneczek.

Skoczyła do przodu jako pierwsza, przepychając się między śpiącymi. Stalówka i Milczek szybko ją wyprzedzili. Zaczęli torować drogę, rozdając na lewo i prawo kuksańce i pełnoprawne ciosy. W ten sposób pokonali przecznicę, zakręt i ich oczom ukazał się samotny, jednopiętrowy budynek, wyglądający jak porzucony na trawniku klocek, zewsząd otoczony lunatykami próbującymi wtargnąć do środka. Szło im coraz lepiej. Kilku weszło już na dach i darło papę, starsza pani w podomce niczym szympans uwiesiła się na wiszącym nad wejściem neonie „Policja”. Po lewej, oknem, w którym brakowało krat, śpiąca tłuszcza nie tyle wchodziła, co wślaczała się do środka niczym Japończycy podczas godzin szczytu do wagonów w tokijskim metrze.

Kędzior stał w progu rozłupanych drzwi; na rękach miał stołki, którymi okładał napierających na niego napastników. Za jego plecami raz po raz rozbłyskiwały wyładowania elektryczne i niemal równocześnie rozlegały się grzmoty kolejnych wystrzeliwanych pocisków.

- Błysk i grzmot na raz - powiedział Stalówka - Znaczy, że burza jest dokładnie tam. Biegniemy?

Przez głowę Dzwoneczka jeszcze raz przemknęła ta myśl, że zachowują się nieracjonalnie, jakby pod czyjeś dyktando. Może to była jakaś pułapka - Skrót, Cienia czy może innego nadnaturalnego wroga, którego się przez lata nabawili? Może, jakimś cudem, samego Piotrusia?

- Pieprzyć to! - zawołała. - Nie dajmy się Kędziorowi bawić samemu. Milczek?

Dopiero teraz dostrzegła, że niemowa w bitewnym szale już prawie przedarł się do brata. Dzieciaki, pomyślała, dobywając broni.

10.

Kozonow ocknął się, uniósł na łokciu i rozejrzał. Wszędzie poza klatką roztaczało się pole bitwy. Ktoś dobijał się do okien, błyskały pioruny,

padały wystrzały i rozlegały się wrzaski. Wszędzie unosił się smród krwi, prochu, odchodów i ozonu. Ktoś, chyba woźny Kierłowicz z urzędu miasta, pełznął właśnie po podłodze i sięgał rękami, łapiąc co popadnie, a to czyjąś rozwaloną głowę, a to segregator, resztki kubka, torebkę. Gdy zbliżył rękę do klatki, stojący przy prętach Niecnota nadepnął na nią, miażdżąc kości pod obcasem. Czołgający się mężczyzna nawet się nie skrzywił, po prostu wyszarpnął dłoń spod buta i popęłznął w inną stronę.

- O, obudziłeś się - zauważył Niecnota. - Myślałem, że będę ci musiał wyrznąć, żebyś nie zrobił nic głupiego, ale widać nawet cię nie zauważył.

Wskazał głową na Morfeusza mamroczącego coś po cichu. Kozonow przyjrzał się chudzielcowi i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Nie mów. Grzechu, że ty też uwierzyłeś Szemranemu.

- A co mam nie wierzyć? - obruszył się grubszy policjant. - Sam zobacz. Pół miasta tu jest, w piżamach! Nie czują bólu, nie dają się normalnie zatrzymać, mają zamknięte oczy. I próbują za wszelką cenę dostać się do tego... O, patrz, tam leżą Krycha z biblioteki i Rokowski z wodociągów. Przed chwilą wpadli tu gówniarze z bursy, ale Ślązak ze starym ich odparli. Ten wielki przed paroma minutami połamał stołek na Krasowskiej.

- Tej z poczty? - zdziwił się Kozonow. - Przecież to drobiazg.

- Nie tej... - Niecnota musiał przerwać, by wygrzmiał im w uszach kolejny wystrzał. - Jej synowej, tej wielkiej. Ta z poczty to się siłowała ze Ślązakiem i ugryzła go w sutek! A teraz leży - przez chwilę szukał wzrokiem - o tam!

Kozonow podniósł się powoli i również przywarł do krat. Zelżała targająca nim wcześniej myśl, że właśnie jest świadkiem wielkiej masakry, nagle wydała się mniej istotna czy przerażająca. Zaraz jednak pojawiła się kolejna, w porównaniu z tamtą absurdalna, a jednak w jakiś sposób równie przerażająca.

- Komendant nas zabije - stęknął.

- Gdzie tam. - Niecnota pokazał ręką na stos ciał. - Widzisz? Tam, na samym dole. Wzięli go za rzeźnika, bo wpadł tu z wywalonym bębniem, machając majchrami jak jakaś jebana nińdza. Słowem się nie odezwałem, bo wstyd straszny.

- Ano wstyd - zgodził się Kozonow.

To musiał być sen, pomyślał. Po prostu w pewnym momencie przysnął, pewnie nad tymi cholernymi raportami i wtedy się zaczęło. Ot i całe

wyjaśnienie. To się tylko śni, powtórzył sobie w głowie i spojrzął jeszcze raz na chudzielca, który w tym właśnie momencie otworzył czarne jak węgiel oczy.

- Ej, czemu się zatrzymali? - zapytał Kędzior, wznosząc w górę resztki stołka.

Rzeczywiście, napierający tłum w jednej chwili zamarł. Ci, którzy byli najbliżej okien i drzwi, zrobili jeszcze kilka kroków do tyłu, w pierwszych rzędach trochę się zakotłowało, ale i oni po chwili zatrzymali się, opuścili ręce wzdłuż ciał i zwiesili głowy niczym armia robotów, którym właśnie odcięto zasilanie. Po ich twarzach, nagle bladych i zsiniałych, raz po raz przebiegały różnokształtne cienie.

- Ej, u was też tak jest czy tylko moi się zepsuli? - Kędzior obejrzał się, ale sama nagła cisza stanowiła odpowiedź na jego pytanie. Zaskoczony, podrapał się po zarośniętym policzku i zwrócił się do stojącego nieopodal Lokiego. - I to już wszystko? O to było całe halo?

Bóg kłamstwa nie odpowiedział. Wydawał się równie zaskoczony sytuacją, ale choć zbity z tropu, ani na moment nie opuścił broni i nie przestawał rozglądać się uważnie.

- Nie wiem - przyznał. - Może potrzebują regeneracji albo...

Nagła myśl sprawiła, że odwrócił się błyskawicznie i wymierzył w stronę klatki.

- Ty! - warknął. - Siadaj!

Ale stojący w kawowym kręgu Morfeusz nie usłuchał. Wzniósł i rozłożył ręce, jakby się modlił, jego usta poruszały się delikatnie. Emanowała od niego dziwna światłość, ni to srebrna, ni niebieska, trochę jak poświata bijąca od starych telewizorów w ciemnym pokoju.

- Siadaj, piaskarzu, mówię! - krzyknął jeszcze raz Loki.

W odpowiedzi Morfeusz uniósł ręce wyżej, a otaczająca go aura pojaśniała.

- Ej, oni mi tu zaczynają świecić jak po Czarnobylu! - zauważył Kędzior. - Ja rozumiem, że dziadyga swoich naładował, ale moi?

- To już koniec. Loki - odezwał się władca snów, uśmiechając się przy tym złowieszczo. - To miejsce jest teraz moją domeną, a ci wszyscy tutaj, starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni weszli właśnie w...

- Ajechać to! - krzyknął Loki, a potem huk trzech następujących po sobie wystrzałów do reszty zagłuszył słowa Morfeusza.

Kule jednak nie sięgnęły celu. Tuż przy kratkach wyraźnie zwolniły i dało się bez trudu dostrzec, jak wirują w powietrzu, suną jedna obok drugiej, jakby się ścigały. Doleciawszy zaś do kawowego kręgu, rozdzieliły się. Jedna poszła po łuku wprawo, druga w górę i lewo. Trzecia zrykoszetowała od niewidzialnej bariery, pognąła z powrotem, uderzyła w pręt, a potem znowu łapała naturalną prędkość i wbiła się w podłogę, przerywając usypany krąg.

Morfeusz postąpił krok do przodu, nie przestając się uśmiechać.

- Weszli w fazę REM, dupku - szepnął, ale tak głośno, że obaj znajdujący się w celi policjanci złapali się za uszy, krzywiąc się z bólu przy szeleszczącej głosce.

Kolejne kule pomknęły w stronę władcy snów, a wraz z nimi błyskawica i ciśnięta przez Kędziora noga od stołu. Wszystko to jednak nie sięgnęło nawet krat, lecz zatrzymało się w powietrzu, zatańczyło w szalonym kręgu i opadło na podłogę. Niemal w tym samym momencie pręty rozgięły się niczym ciepła plastelina. Morfeusz wyszedł z celi, mówiąc w rytm niespiesznych kroków:

- Czyż wszystko, co wiemy. I co nam się wydaje. Nie jest jedynie. Snem we śnie. Loki?

Blondyn wzruszył ramionami.

- Nie wiem, nie znam się na tym „uwierz w siebie” pierdoleniu. A gdy zjawi się tu archanioł Michał...

- Nikt się nie zjawi - tym razem to Morfeusz wszedł w słowo bogu kłamstwa. - Ale mnie już się nie da powstrzymać. Ich- wskazał ręką na swoich znieruchomiałych popleczników- nie dacie rady powstrzymać. Oni mają sen!

Jego słowa wypełniły przestrzeń na podobieństwo dzwonów wdzierających się w niedzielny poranek i pozostawiających powietrze rozedrganym na długo po ostatnim uderzeniu. Były czystą mocą i energią, skrzyły się, unosiły włosy na karku i wibrowały w plombach. Na ich tle Morfeusz z uniesionymi rękami jawił się jako sam zbawiciel, który co prawda na modowy motyw przewodni paruzji wybrał subkulturę gotów, ale w niczym nie odbierało mu to powagi i należnej chwały.

W końcu jednak Zwierzchowski nie wytrzymał.

- Ja się tam na tym specjalnie nie wyznaję - przyznał - ale czy jak takie rzeczy o maniu snu mówi biały kolo, to nie jest to aby rasistowska kpina?

Absurdalna uwaga wytrąciła na moment władcę snów ze skupienia. Wystarczyło to jednak, by poświata wokół niego osłabła, a oczy na powrót zrobiły się normalne. Jednocześnie, co dla obrońców posterunku nie było już takie dobre, cała zaspana banda sprzed budynku w jednej chwili wróciła do gry. Po pięciolinii myśli Zwierzchowskiego przebiegły znajome takty *You Can't Always Get What You Want* Stonesów.

- Dobra! - wrzasnął Kędzior. - To na czym stanęliśmy, bando posranych niedospańców? Dawać, nocne fujarki, mamy tu jeszcze trochę dla...

Zamarł w pół słowa, wciąż jednak ściskając pod pachą głowę jakiegoś staruszka. Przymocowana do niej reszta starca wierzgała całkiem dziarsko jak na kogoś w tym stopniu zaususzenia, ale olbrzym nic sobie z tego nie robił. Wpatrywał się tylko zmrużonymi oczami w widoczny przez drzwi punkt pod laskiem, tam gdzie kończyła się linia tłumy.

- No pierdolonawzaprzeszeniemdupębladź! Mama? Stalówka?! Milczek?! A co wy tu... au! Nie gryź, chuju pomarszczony! Na to ci pan ortodonta porcelankę zamontował? Na to?!

Zdzielił staruszka przez łeb. Nie za mocno, tylko ot tak, by go skarcić, ale mężczyzna zwiotczał i opadł na ziemię jak zwiędły, zaususzony liść. Kędzior przestąpił nad nim. Wywijając pięściami na lewo i prawo, odpychając śpiących, ruszył w stronę ekipy.

- Kędzior! - krzyknął za nim Zwierzchowski. - Drzwi pilnuj!

Olbrzym się odwrócił, a na jego twarzy pojawiło się wahanie. Popatrzył na posterunek, na Dzwoneczka, znowu na posterunek. W końcu zrobił zbolalą minę.

- Mamo - zwrócił się do wróżki tonem, jakiego nie używał od co najmniej dwudziestu paru lat.- Mamo, mogę jeszcze chwilę zostać?

Wtedy niemal nigdy nie skutkowało; teraz też, widząc niezadowoloną minę Dzwoneczka, Kędzior spodziewał się odmowy. Wróżka jednak w odpowiedzi tylko sięgnęła za pasek, dobyła i odbezpieczyła broń.

- Co to za jedni? - zapytała, czując, że zwraca na siebie uwagę pobliskich śpiących, którzy jednak nie zidentyfikowali jej jako wroga, więc żaden nawet nie skierował się w jej stronę.

- Pytasz o kolegów czy... - zaczął Kędzior, nie przestając się opędząć od kolejnych atakujących; ludzie wokół niego latali jak szmaciane lalki. - A

czekaj, idę do was.

- Drzwi, Kędzior! - znowu usłyszał za plecami.

- Tak - zgodziła się Dzwoneczek. - Pilnuj. Idziemy do ciebie.

Zaczęła się przepychać między śpiącymi, a ci z początku ustępowali jej miejsca. Gdy jednak doszła do połowy drogi, zorientowali się najwyraźniej gremialnie, dokąd i po co zmierza, bo część rozluźnionych snem twarzy zwróciła się w jej stronę. Jakiś facet zionął jej prosto w nos nieświeżym, kiełbasianym oddechem. Obok niego puszysta dziewczyna wyszczerzyła nocny aparat na zęby, a żylasty, mocno opalony facet uniósł rękę zaciśniętą w pięść.

Nim zdążyła zareagować, coś świsnęło i chudy poleciał na innych śpiących. Z ust sterczała mu rękoność noża. Dzwoneczek popatrzyła obojętnie na trupa, po czym zaparła się nogą i oswobodziła broń. Uchyliła się przed ciosem dorodnej pani domu w czepku nie z tej epoki, cięła młodego faceta z brzuszkiem i folią na ramieniu okrywającą świeżo zrobiony tatuaż, a następnie wyprostowała się, podrzuciła nóż i złapała go za ostrze. Podała broń Milczkowi.

- Dzięki, ale pilnuj, bo znowu zgubisz.

Niemowa wyszczerzył się w odpowiedzi i rzucił się przez tłum w kierunku drzwi.

11.

- To jest twoja matka?! - zapytał nagle Zwierzchowski.

Kędzior obejrzał się i dostrzegł, że dziadyga stoi obok.

- Ej, a ty nie miałeś okna pilnować?! - zauważył.

Zwierzchowski machnął ręką.

- Alojz poczuł zew bohatera i rozpycha się jak wariat - wyjaśnił. - Poza tym muszę się trochę naładować. Ale ty możesz mi powiedzieć, jak to możliwe, że twoja matka wygląda, jakby była młodsza od... A czekaj, to taki wasz motocyklowy slang, tak? - Strzelił błyskawicą w golasa z blizną po wyrostku. - Jak stopień wojskowy?

- Nie, to naprawdę moja mama - odparł Kędzior. Zderzył głowami napierających nań identycznych chłopców, mało nie robiąc z nich bliźniaków syjamskich. - Dobrze wygląda, bo to wróżka.

- Znaczy specjalistka od różdżek? - zarechotał Zwierzchowski.

Kędzior nawet się nie obejrzał, tylko rozkwaśił staremu nos łokciem.

- Ostrzegałem - powiedział spokojnie.

- Wiem. - Zwierzchowski odsunął się o krok.

Oderwał z najbliższej leżącego ciała kawałek piżamy z małymi logo Batmana i zrobił sobie tampon, który wsadził do nosa. Zerkał przy tym z ukosa na wielkoluda, jakby coś rozważał. W końcu odsunął się jeszcze bardziej i zawołał:

- Ej, Bożek? Widziałeś, jaka sztunia z matki wielkoluda? Jak myślę, że ona go urodziła, to...

Ale Loki na niego nie patrzył. Stał naprzeciwko Morfeusza z bronią przy biodrze, jakby obaj szykowali się do westernowego pojedynku.

- To was nie uratuje. Loki - powiedział Morfeusz. - Noc jest jeszcze młoda, ja u szczytu mocy, a armia śpiących, których mogę powołać w każdej chwili, w zasadzie nieograniczona. Tu można przybyć w każdej chwili. Kłamco. Niezliczone zastępy ze wszystkich światów, aż braknie wam sił, woli walki. A oni będą przybywać i przybywać w chwili, gdy zmorzy ich sen. W tę stronę droga jest otwarta. Stąd nie można tylko wyjść.

Loki patrzył, a wykałaczką przeskakowała raz po raz z jednego kącika ust do ust. Nie uśmiechał się, nie poruszał, a zgiełk wokoło zdawał się go nie dotyczyć.

- Zastanawia mnie w tym wszystkim tylko jedno, piaskarzu- powiedział w końcu, gdy Morfeusz skończył swój wywód. - Dlaczego, mówiąc do mnie, patrzysz przed siebie, skoro...

- ...jestem za tobą - powiedział drugi Loki prosto do ucha władcy snów, przykładając mu do szyi metalowe nożyczki zagarnięte z biurka Kozonowa.

Loki z pistoletem uśmiechnął się bezradnie i rozłożył ręce.

Zwierzchowski przyglądał się starciu dwóch mitycznych z umiarkowanym zainteresowaniem. Widział już jedną osobę jednocześnie w dwóch miejscach i choć takie rzeczy wciąż nie stanowiły dla niego normy, to- jak mawiał kiedyś jego kumpel ze starego zespołu El Voltage - z prawdziwym zdziwieniem jest jak z dziewictwem. Działa tylko raz. I nie pomoże zszywanie błony, okresy regeneracyjnej abstynencji ani nawet

amnezja. Gdy raz się stało, wszystko, co potem, to już tylko echo i powidok. Oczywiście Śliski Dżordż ujął to wtedy w bardziej zwięzłych słowach, ale taki był ich ogólny sens i prawdziwość tego spostrzeżenia właśnie dawała o sobie znać. Zwierzchowski zobaczył dwóch Lokich i nawet nie mrugnął.

Wyprostował się jednak, gdy tuż przy swoim uchu usłyszał nagle głos Kłamcy.

- Nie oglądaj się teraz.

Idiotyczne polecenie, bo wiadomo było, że takie słowa mogą wywołać tylko jeden rodzaj reakcji. Na szczęście jednak Morfeusz był dość zajęty klóceniem się z parą Lokich, by zwrócić uwagę na cokolwiek jeszcze.

Blondyna nie było za plecami Ryśka, ale dało się w falującym powietrzu wyczuć jego obecność.

- To iluzja - powiedział bóg kłamstwa. - Ten prawdziwy stoi z nożyczkami, a teraz gram na dwa fronty.

- Wykorzystałeś to już w seksie, prawda? - zapytał półgębkiem Zwierzchowski. - Laski muszą to uwielbiać.

- To nie temat na teraz... — powiedział Loki, zaraz jednak dodał. - Ale tak, lubią. Przypomnij się później, to ci opowiem.

Zwierzchowski oszczędnie skinął głową.

- Teraz mów, po coś tu przylaźł i co to za cuda odwalasz, zamiast nam pomagać.

- Ty też nie widzę, żebyś jakoś ciężko...

- Do rzeczy!

Powietrze odchrząknęło.

- Możesz mnie pierdolnąć prądem? Nie pytaj.

Dziadyga wzruszył ramionami.

- W sumie każdemu jego porno. Jakiś specjalny woltaż?

- Potrzebuję zasnąć, zasnąć.

- Znaczący umrzeć? - upewnił się Zwierzchowski.

- Nie - zirytował się głos Lokiego. - Co jest z tobą nie tak? Zasnąć muszę, żeby ograć pewną równie starą sztuczkę. Może nawet starszą niż Mgły Avalonu. To jak, możesz?

Zwierzchowski wyjął z nosa kawałek pizamy, wysmarkał w niego krew i strzyknął różową śliną na podłogę.

- Obyś wiedział, co robisz. A jak się poszczasz, to żeby potem pretensji nie było.

- Się wie - odparł głos. - I pamiętaj, ten z nożyczkami.

- Nożyczki fajnie przewodzą - powiedział Rychu i wstał.

Pozwolił, by przebiegła przez niego moc, by elektryczne wiązki wysliznęły się z butów, pomknęły po nogawkach, po pasku, opięły ramiona i postawiły na sztorc siwe włosy. Zebrał całą tę moc w jednej ręce, na wysokości łokcia, który przez moment wyglądał jak saturn z jego pierścieniami.

- Jebać wrogów rock and roll!!! - ryknął i wyprostował rękę.

Szarpnął nią do tyłu i wypchnął do przodu, a wtedy srebrzysty promień, opleciony wiązками niczym siatką żył, wystrzelił w Morfeusza i Lokiego, mijając nienaturalnie pierwszego z nich i gładko wnikając w boga kłamstwa. Loki szarpnął się, wyprostował, a z ust wypadła mu przegryziona wykałaczką. Blond włosy stanęły dęba, a nożyczki zsunęły się z wyprostowanych nagle palców.

- Co ty chcesz z tym zrobić, stary - mruknął Zwierzchowski - to ja nie mam pojęcia.

Był pewien, że ten strzał pozbawi go resztek energii, ale stało się wręcz przeciwnie. Czuł, że od nadwyżki swędzi go całe ciało, a wewnętrzne ciepło grzeje mu krew w żyłach. Musiał się tego wszystkiego pozbyć, wyrzucić z siebie jak najszybciej.

- Hej, Kędzior - powiedział.

Olbrzym posłał mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Trochę tu zapierdalałam, więc szybko.

- Idź się przywitać z rodziną - zaproponował Dreszcz. - Zastąpię cię.

12.

Z jednej strony miejsce było to samo, ale z drugiej, różniło się tak bardzo jak to tylko możliwe od posterunku, w którym Kłamca był jeszcze przed momentem. Wszystko skąpane było w migotliwej, niebieskiej poświacie, a gęsta, zimna mgła kłębiła się u jego stóp, wiła wokół nich, zaciskała i rozluźniała uchwyt, jakby nie mogła się zdecydować. W tej przestrzeni nie było obrońców posterunku ani siedzących w klatce policjantów. Nie było też ścian, a jedynie ich ledwie widoczny, niematerialny powidok, który dla niebieskich, rozedrganych tłumów szturmujących budynki nie powinien stanowić żadnej przeszkody, a mimo to nikt nie przekraczał magicznej bariery. Wszyscy próbowali dostać się oknami lub któryś z wejść, a coś na

kształt komiksowych dymków nad ich głowami to błyskało, to znów przygasało.

- To tak się tu zabawiasz - powiedział Loki.

Rozejrzył się na boki, a gdy uniósł głowę, dostrzegł przez niematerialny sufit nieboskłon z gwiazdami układającymi się w twarz Morfeusza.

- Oj chłopie, ale ego to ty masz chyba odwrotnie proporcjonalne, co? Czym jeździsz?

- Na nic ci się te żarty nie zdadzą. Kłamco - powiedziało Niebo ustami uformowanymi z gwiazd. - To moja domena i mogę cię tu rozgnieść na miazgę.

Loki sięgnął do kieszeni po wykałaczki.

- To ciekawe, czemu jeszcze stoję, co? - odparł.

Włożył patyczek do ust i przeszedłszy przez ścianę, musnął dymek nad głową pierwszego z brzegu śpiącego, młodego nastolatka o czole pokrytym świeżymi, ropnymi pryszczami. Dymek wypełnił się tekstem, który Loki szybko przeczytał. Niepotrzebnie zresztą, bo chłopiec zaraz wyrecytował zawartą w dymku myśl, słowo w słowo.

- Nie będzie w ciąży. Wystarczy, że wyrwę temu grubasowi z karabinem serce, i wszystko się ułoży - mówił mechanicznie i obojętnie jak półprofesjonalne komputerowe syntezatory mowy.

- Zwiąże mnie jak w tej książce. Będzie klepał, dotykał, szczypał, a potem weźmie pasek... - Równie beznamiętnie podzieliła się swym snem dotknięta w dymek czterdziestolatka, atrakcyjna, choć nieco oszpecona wielką włochatą brodawką na podbródku.

Kłamca wytarł dłoń o spodnie i znowu spojrzął na nieboskłon.

- I to wszystko, piaskarzu? Bawisz się ich lękami i wciskasz pornole w sny? To mniej, niż oferuje przeciętna kablówka!

- Mówiłem ci już, możesz kpić - Morfeusz zmaterializował się nagle tuż obok Lokiego, ledwie na wyciągnięcie ręki - ale nie pokonasz potęgi snów.

Bóg kłamstwa parsknął śmiechem.

- Naprawdę myślałeś, że zamierzam to zrobić? - zapytał. - Jestem Loki, ogień, który nie ma kształtu, i kłamstwo, które zawsze się dostosuje. Kłamcy poradzą sobie zawsze i wszędzie, piaskarzu. A już zwłaszcza w miejscu, gdzie wszystko, jak tu, jest tak... umowne.

Ostatnich słów nie wymówił już swoim głosem, a tym samym przejmującym basem, którym posługiwał się władca snów. Wyglądali już

również tak samo - dwóch bladych chudzielców o oczach czarnych jak otchłań nocy.

- To... tylko iluzja - jęknął Morfeusz. - To ja jestem prawdziwym władcą...

- ...snów - dokończył za niego Loki. - Tak, to ja. Inie muszę się niczym martwić, bo to miejsce przecież rozpozna swojego pana, prawda?

- Nie możesz... - zaczął niepewnie Morfeusz, ale mgła już zaczęła migotać w niezdecydowaniu, na twarzach śpiących pojawiła się niepewność, a drobne pajęczne nici snów rozedrgały się jak na wietrze.

Loki tymczasem znowu wyciągnął rękę do dymku chłopca.

- To co, podbijemy stawkę? - zapytał. - Młody, twoja laska nie tylko nie będzie w ciąży. Ona też zapragnie trójkąta z... kogo ty jeszcze masz w tym dymku, czekaj... - Machnął parę razy ręką, jakby przerzucał strony na dotykowym tablecie. - To matka, babka, siostra, kuzyn i... serio?! No jak tam chcesz, będziesz miał swojego Tyriona Lannistera. Wystarczy tylko, że dorwiesz tego drugiego chudzielca. Tak, brachu. To promocja, wystarczy tylko tyle. Dobra, teraz pani...

Morfeusz cofnął się o krok, mało nie potykając się w niezdecydowanej mgle.

- Nie uda ci się- powiedział zdjęty nagłym, nieudolnie maskowanym lękiem.- Nie przejmiesz wszystkich.

- Wystarczy część. - Loki przeszedł do kolejnej osoby. - Jedni pójdą za mną, inni zostaną z tobą, a większości tak namieszamy w głowie, że przepalą im się obwody. To co, fałszywy władco snów? Zaczynamy festiwal obietnic? Wprowadźmy trochę demokratycznego bullshitu w ten kraj. Trochę wyborczej kiełbasy. Kto obieca więcej, kto...

- Czego chcesz. Loki? - wycodził przez zaciśnięte zęby Morfeusz, a w jego głosie nie pobrzmiwała wcześniejsza pewność ani nawet drobina dostojeństwa; słychać w nim było wyłącznie gniew.

Kłamca się roześmiał.

- Sam jesteś Loki - odparł. - A czego chcę? By przyśnili ci się aniołowie, przyjacielu. W ten sposób ich tu wpuścisz.

- I mnie zabiją - zauważył Morfeusz, ale Kłamca pokręcił głową.

- Mnie nie zabili, uznali za przydatnego. A ty masz jeszcze lepsze możliwości, piaskarzu. Spróbuj, może dzięki temu kiedyś będziemy pracować razem. To może być początek pięknej przyjaźni.

Morfeusz zazgrzytał zębami. Rozejrzył się wokoło, oceniając swoje szanse. Wciąż jeszcze mógł wygrać. Bez trudu powinien uporać się z Lokim, zanim ten zmieni senne marzenia wystarczającej liczby śpiących. To nie powinno być trudne, nie tutaj, nie w jego...

- Zgoda - westchnął z rezygnacją. - Niech ci będzie. Kłamco.

Unióśł ręce jak do błogosławieństwa i zaczął coś cicho mamrotać. Na dziesiątkach dymków w miejsce marzeń pojawiły się niebieskie ekrany pełne białych kanciastych liter układających się w kilka zwięzłych komend. Ostatnia z nich dotyczyła śnienia aniołów. Morfeusz zatwierdził ją na wszystkich dymkach ledwie zauważalnym ruchem palca.

13.

- Możesz mi powiedzieć. Kędzior - Dzwoneczek wyrznęła kolbą pistoletu w bezzębną szczękę starszej pani - jak ty się w to wszystko wpierdoliłeś?

Olbrzym wzruszył ramionami, a ponieważ właśnie unosił nad sobą jegomościa w skórzanej masce z zamkiem na ustach, wyglądało to jakby ćwiczył barki z nietypową sztangą.

- To tak jakoś samo wyszło, mamó- wyjaśnił, po czym cisnął mężczyzną w tłum. - Jechałem, wpadłem na piwo i tak od słowa do słowa, od akcji do akcji... Milczek, kurwa, cieszę się, że ci dobrze idzie, ale ja naprawdę nie liczę, ilu już załatwiłem. To bez sensu gra, bo zacząłem wcześniej i... Sam jesteś, cipa, kretynie. No dobra, to patrz!

Rozłożył ręce najszerszej, jak potrafił, i zaczął się kręcić coraz szybciej i szybciej.

- I kto teraz jest cipa, niemowo? No kto?! Zaraz wszyscy padną na ziemię jak domino i...

Ledwie to powiedział, większość śpiących osunęła się na ziemię jak marionetki, którym przecięto sznurki. Nad stosem leżących pokotem osób przemknęła błyskawica i świsnął goniony śląskim przekleństwem pocisk z kabekaesu. Kędzior wyhamował z trudem i powiódł wzrokiem dookoła.

- Ej, to jeszcze nie ja - powiedział i zerknął na Milczka. - Serio... Sam jesteś, kurwa, oszust!

Kilka ciał dalej Stalówka owinął rozciętą rękę wyciągniętą zza paska bandaną i zaczął przeszukiwać kieszenie śpiących.

- Zapalniczki potrzebuję - wyjaśnił. - I fajki się kończą.

- No dobra. - Dzwoneczek schowała spluwę za pasek i ręką przeczesła włosy. - To co, przedstawisz nas teraz swoim nowym kolegom, Kędzior?

- Jasne - olbrzym zatarł ręce. - Są dziwni, jeden trochę obleśny, ale też w porządku. A drugi to w ogóle bóg... No jebnę mu zaraz, mamu, naprawdę mu pierdolnę! Nie, Milczek. To nie tak, że znowu znalazłem sobie dupę z Oazy. Tamto było w chuj dawno i nawet nie wiem, skąd ci się to w ogóle wzięło teraz?!

- Okoliczności przypomniały- uśmiechnęła się Dzwoneczek.

14.

Kozonow jako pierwszy minął wygięte pręty klatki i powoli wyszedł na zewnątrz. Mało nie pośliznął się na jelicie Szołowiaka z nadleśnictwa, ale ominął je w ostatniej chwili, zamiast tego stając na palcach Kryszczakowej z lumpeksu na Wyszyńskiego. Chrupnęło, a policjant kolejny raz w ciągu ostatnich minut z trudem opanował mdłości.

To się nie dzieje naprawdę, to sen, utwierdzał się w przekonaniu, lawirując między ciałami i nieprzytomnymi mieszkańcami miasta. To wszystko tylko wynik chujowej kawy w biurze i tego, że zjadł ten zepsuty serek.

Stanął na środku pokoju, tuż obok dwóch sylwetek zwartych w uścisku. Tym z tyłu był Szemrany, zwany też Lokim, a tym bliżej chudy... jak on go nazywał? Piaskarz? Blondyn trzymał przy szyi bladego nożyczki.

- Ej, to moje - zauważył policjant.

Sięgnął po nożyczki, ale jego ręka przeniknęła przez postacie, jakby były hologramem. Nie zdziwiło go to. Nie takie rzeczy zdarzały mu się w snach. Choć musiał przyznać, że rzygający mu za plecami Niecnota pojawił się w nich po raz pierwszy.

- Musimy znaleźć komendanta - powiedział Kozonow. - Martwy czy nie, on tu dowodzi.

To było głupie. Być może najgłupsze, co w życiu powiedział. Ale takie przecież są sny. Nie muszą mieć sensu.

Zwierzchowski usiadł koło sapiącego, wspartego o ścianę Alojza. Na czole Ślązaka pojawiły się krople potu wielkie jak grochy, koszula lepiała się

do ciała, oczy wychodziły z orbit, a nozdrza rozszerzyły się jak u konia po wyścigu. Rychu pomyślał, że jego przyjaciel wygląda tak, jakby próbował wciągnąć powietrze każdym możliwym otworem w ciele. Klepnął go w ramię.

- Wiesz, ten cały Kędzior ma zajebistą matkę, ale chyba mu nie powiedziała, że jest adoptowany- powiedział i podrapał się po nosie. - W ogóle to jakaś koślawa pozszywana rodzinka, jeden brat to albinos, drugi niemowa, trzeci przerośnięty niedorozwój... No dobra, żartowałem, nie patrz tak na mnie.

Popatrzył na swoje ręce. Mrowiły go, zwłaszcza przy opuszkach, które były teraz pomarszczone, jakby się zasiedział w wannie.

- Zabiłeś dziś kupę ludzi, Alojz - powiedział w końcu, po dłuższej przerwie. - Ja też kilku, ale ty to naprawdę dałeś czadu. Myślę więc, że powinniśmy o tym solidnie porozmawiać, na wypadek gdyby to jednak nie był tylko sen.

Alojz spróbował coś powiedzieć, ale tylko poruszył ustami jak ryba, a z jego gardła prócz sapania wyrwał się schrypiały jęk. Mimo to Rychu pokiwał głową, jakby go zrozumiał. Potarł ręką o rękę, wytarł je w spodnie.

- Myślisz - odezwał się po kolejnej dłuższej przerwie - że jak poprosimy Czarnucha Zawiszę, to nam ogarnie jakieś alibi na akademikach?

15.

- Powinniśmy tam wrócić? - zapytał Loki. - Znaczy do reszty?

Morfeusz wzruszył ramionami.

- Teraz to już bez różnicy - powiedział z rezygnacją. - Aniołowie są już w domenę, czuję ich. Zresztą całe tamto miejsce zaraz zniknie i wgra się na nowo, dublując wczorajszy dzień. Twoi sojusznicy obudzą się w celi, matka wielkiego i reszta pewnie w końcu go znajdą i zabiorą. Gdy już opuszczą Jabłonowo, nigdy więcej go nie znajdą. A w samym mieście? Chyba tylko umarli we śnie będą się czuć trochę słabo. Może obolali...

Loki nie krył zaskoczenia.

- Czyli to, co powiedziałem, że oni wszyscy nie giną, to prawda?

Morfeusz uśmiechnął się smutno.

- Blefowałeś? Cóż, czasem zdarza ci się powiedzieć coś prawdziwego, Kłamco. - Przez chwilę zapatrzył się w dal. - Powiedz, jak jest na służbie u

tych... skrzydlatych?

Kłamca wzruszył ramionami.

- Ktoś mi kiedyś powiedział, że to jak bycie freelancerem. Każą ci się cieszyć, że masz robotę, płacą z opóźnieniami i zawsze za mało. Żadnych świadczeń, kumple na etacie cię nie lubią. Ale jak się dobrze zakręcisz, możesz dorobić.

Władca snów pokiwał głową. W oddali na rozgwieżdżonym niebie widział już kilka spadających gwiazd. Miał nadzieję, że spełnią jego życzenie.

- Lecą - powiedział i uniósł kościsty paluch. - Zaraz się okaże.

- Ano - pokiwał głową Kłamca.

- I wszystko będzie dobrze, nie?

Gdy się odwrócił, czarne oczy władcy snów przypominały błagające ślepie bezbronnego szczeniaka.

- Będzie - bez mrugnięcia skłamał Loki.

KONIEC

Nietypowe śledztwa, dziwne międzygatunkowe przyjaźnie i całe tony niebiańskiej biurokracji...

Ot, dzień jak co dzień w pracy anioła stróża.

Wszystko komplikuje się – jak zwykle... – przez Lokiego: cyngla od brudnej roboty, prowodyra i sprawcę niejednego zamieszania. Tym razem nordycki bóg kłamstwa pokaże pełnię swoich możliwości.

Jeśli znasz i lubisz Kłamcę, Stróże sprawią, że polubisz go jeszcze bardziej. Jeśli nie znasz, oto świetna okazja, by zacząć właśnie od tej książki! A jeśli znalazłeś się w grupie, która miała autorowi za złe zakończenie tamtej historii, wiedz, że nic nie kończy się ostatecznie ani tylko na jeden sposób.

STRÓŻE ZMIENIĄ WSZYSTKO!

www.wydawnictwosqn.pl



9 788381 291712

36,90zł | cena zawiera VAT

Fantastyka

Wirtualna Biblioteka

FANTOM

na EKRANIE.PL

CREATIO FANTASTICA

WYDAWNICTWO SQA



scena
po napisach
końcowych